

CIZIA ZYKË

SAHARA

(Sahara)

Przełożył Stanisław Wojnicki

Część pierwsza

Niamey. Z ciężarówki zesliśmy zmęczeni i pokryci kurzem. Za ostatnie centymy kupuję dwa lodowate piwa miejscowej produkcji i rozkoszujemy się nimi spędzając chwilę w spokoju i chłodzie.

Ponieważ ma klimatyzację i wygodne wnętrze, Rivoli - bar, w którym znaleźliśmy schronienie - przeznaczony jest w zasadzie dla białych, do których dołączają nieliczni zamożni czarni, na ogół kupcy lub młodzi nigerscy studenci. Właścicielka, gruba matrona o wyblakłym i nieświeżym wyglądzie, ma niesamowity marsylski akcent.

Na zewnątrz jest gorąco i wilgotno. Na ulicach faluje niespokojnie tłum dzikich, ubranych w kolorowe bubu albo w cokolwiek. Powoli, niosąc na głowie miednicę, przechodzą kobiety o imponujących zadkach, zaledwie przysłoniętych kawałkiem materiału. Ten obrazek jak z pocztówki dopełnia widok małych czyścibutów i sprzedawców owoców mango.

Kiedy Miguel opowiadał mi o Afryce, nie zdawałem sobie sprawy Jak bardzo są czarni i jak jest ich dużo. Dla mnie Afryka to była dżungla i pełno zwierząt: przy barze, sącząc whisky, stał podróżnik w kolonialnym kasku, do jego ramienia tuliła się blondynka o ochrypłym głosie, a nad ich głowami pracował ogromny wentylator. Kiedy zatrzęsnałem za sobą drzwi szwajcarskiego mieszkania, wiedziałem tylko, że to gdzieś na dole. Na południe, w kierunku słońca?

Po niebezpiecznych związkach z heroiną haust świeżego powietrza stał się konieczny. Powziąłem decyzję w ciągu dwóch minut, i z rękami w kieszeniach zagłębił się w ten nieznany kontynent... Nieznany, ale nie bezludny! Afryka to przede wszystkim czarni; jest ich dużo i są wszędzie, wielkie roześmiane dzieci ciekawe wszystkiego, do tego stopnia, że chwilami staje się to trudne do zniesienia. Prywatność tutaj nie istnieje.

Najdrobniejszy nasz ruch wydaje się mieć kapitalne znaczenie.

Otacza nas tłum dzikich, którzy obserwują, komentują, opowiadają co widać tym, którzy stoją z tyłu, albo po prostu patrzą na tych dwóch dziwnych facetów. Faktem jest, że nie mają absolutnie nic innego do roboty. Ta świadomość, że jest się gwiazdą otoczoną reporterami, jest z początku przyjemna, ale szybko staje się nużąca. Nie można zrobić kroku, żeby spod ziemi nie wyrosło Murzyniátko, które prosi wrzaskliwie: DDać prezent, szefie?''.

Dla nich biały, tubab, to worek z forszą: jest zawsze bogaty. Odkąd zaczęliśmy z Miguelem tę podróż, nie potrafię wbić im do głowy, że należymy do nowego plemienia, o

którym tu nie słyszano, plemienia białych bez forsy. Konieczne są długie dyskusje, by to mogli pojąć. Wszystko ma swoją wartość, nawet kawałek sznurka podtrzymujący spodnie Miguela. Każdy ma coś do sprzedania: skórę kajmana, posążek albo siostrę. W Niamey wszyscy interesują się samochodami. Od naszego przyjazdu przychodzą bezustannie.

- Kupię twój samochód, szefie.

- Nie mam samochodu.

- Bardzo dobrze zapłacę, szefie.

- Mówię ci, że nie mam.

- Znam kogoś, kto go kupi, szefie.

Męczą mnie. Odysłałam dwóch, dwudziestu, pięćdziesięciu, zanim udaje mi się zaznać chwili spokoju.

- Bardzo przepraszam, przyjechali panowie samochodem?

Zaczyna się.

Ale postać, stojąca przed naszym stolikiem, od razu wydaje mi się bardziej interesująca niż wszyscy poprzedni handlarze razem wzięci. To wysoki facet, bardzo stary i pomarszczony, w niebieskim bubu, w białej myce na głowie. Ten Murzyn jest muzułmaninem. Ma sympatyczny uśmiech, a jego spojrzenie jest nieprawdopodobnie sprytne. Z tego staruszka tryska inteligencja, tutaj to raczej rzadkość.

- Słuchaj, nie mamy samochodu, nie mamy forsy i chcemy mieć spokój. Jasne? Uśmiecha się jeszcze szerzej i kłania się.

- Czy mógłbym się przysiąść?

Kiedyś wbito mi do głowy, że na osoby starsze nie należy podnosić ręki, a poza tym jego spojrzenie budzi sympatię. Siada i przedstawia się.

- Jestem Ministrem Dobrych Interesów. Wszystko sprzedaję Wszystko kupuję. Śmieje się.

- Jestem Charlie. A to jest Miguel.

Minister. Dobrych Interesów oznajmia, że jest mu bardzo miło, i wyciąga z małego jutowego woreczka orzeszek cola, który zaczyna przeżuwać nie przerywając rozmowy. Tu, w Niamey, podobnie jak w całej Afryce, wszystko można wymienić, kupić lub sprzedać. Robi wrażenie króla handlu, dobrego i sprytnego złodzieja, ale inteligentniejszego od innych, bo bardzo szybko pojmuję, że mówimy prawdę; nie mamy samochodu, ani nawet jednego centyma. Zaskoczenie: zaprasza nas do siebie. Przyjmujemy zaproszenie bez ceregieli.

Na zewnątrz nadal piekielny żar i ogłuszający hałas. Nasz nowy przyjaciel kupuje w

skleconym z paru desek stoisku trochę cukierków i tłumaczy, robiąc do mnie oko, że ma dużo wnucząt. Zatrzymuje taksówkę, rozklekotanego peugeota 404, która pędzi przez Niamey trąbiąc nieustannie. Minister Dobrych Interesów mieszka w ogromnej kolonialnej willi, koloru brudnożółtego. Kiedy tylko pojawia się, nadbiega chmara dzieciaków i wszystkie wczepiają się w jego bubu. Szczęśliwy wśród tych Murzyniątek, rozdziela wkoło cukierki i klepienia w głowę.

Ogród, który kiedyś musiał być pięknym parkiem, zamieniony został w rodzaj wysypiska; pełno tam wraków samochodów na kołkach, rozebranych niemal doszczętnie, starych opon, kawałków żelastwa i bliżej nie zidentyfikowanych przedmiotów. To prawdziwe rumowisko, nieopisany burdel. Willa ma co najmniej piętnaście pokoi, w których roi się od dzieci, lecz są tam także mężczyźni w różnym wieku oraz mnóstwo kobiet. Większość tych ostatnich ma obnażone piersi, noszą tylko rodzaj długiej spódnicy zawiązanej dookoła talii. Tłok panuje wszędzie, w każdym pokoju i nawet na korytarzach; to potomstwo naszego gospodarza. Minister prowadzi nas do pustego pokoju, w którym kilka kobiet pośpiesznie ustawia stolik i żelazne krzesła. Siadamy we trójkę. Mały chłopak przynosi miskę ryżu w sosie, po czym idzie usiąść w kącie pokoju. Tym razem nie chodzi o wnuka, lecz o sierotę, którego Minister Dobrych Interesów przygarnął i który służy mu za boya.

- Jesteś żonaty, Charlie?

- Nie.

- A więc jesteś mądry...

Przerywa, piorunując wzrokiem Miguela, który, nie mogąc się już powstrzymać, zaczął jeść zanurzając rękę w ryżu. Ten dureń pomylił ręce: u muzułmanów jada się wyłącznie prawą ręką. Lewa służy do podmywania tyłka. Tłumaczę to Miguelowi. Minister natychmiast odzyskuje dobry humor i kontynuuje swoje wywody.

- Kobiety są do niczego, Charlie. Kto może o tym wiedzieć lepiej niż ja, który miałem ich siedem i który codziennie patrzy na rezultaty?

Wskazuje mi na otaczające nas ludzkie mrowie i wzdycha. Miał osiemnaście córek i dwóch synów, z których jest bardzo dumny. Za każdym razem, kiedy któraś z tych panienek się puści, przybywa mu nowy smarkacz.

- Więc co mam zrobić, żeby ich wyżywić, he? Robię biznes, to jedyne wyjście; wszystko sprzedaję, wszystko kupuję...

Śmieje się, a z oczu tryska mu wesołość.

- I zarabiam. Widzisz, Charlie, tutaj kobiety drogo kosztują.

Afryka ma więc przynajmniej jedną cechę wspólną z innymi krajami Trzeciego

Świata, w Azji i Ameryce, które poznałem. Wydaje się, że miłość to choroba Zachodu. Romanse są mniej ważne niż przeżycie, trzeba mieć pełny żołądek, żeby zajmować się miłosnymi uniesieniami.

- Tutaj, Charlie, masz pieniądze, to masz kobiety. Ale uwaga: no money, no fuck.

Sam to też tak zrozumiałem; najpiękniejsza gęba na nic się nie przyda, afrykańskie damy czule są jedynie na banknoty.

Zajadając i żartując. Minister tłumaczy mi, jak zarabia swoje pieniądze. Większość jego interesów to samochody, używane części zamienne i wozy, których sprzedaż w tym kraju, jak się wydaje, może być bardzo intratnym zajęciem. Sprzedaje swoim rodakom, ale robi również interesy ze swoimi dostawcami, Europejczykami.

- W tej chwili pracuję z dwoma Francuzami, z Bordeaux, będą tu dziś wieczór. Ale teraz czas, żebyście trochę odpoczęli.

Mały boy prowadzi nas do pokoju, gdzie czekają na nas dwa cebrzyki z wodą. Dostosowujemy się do miejscowego zwyczaju, nakazującego spać, kiedy jest zbyt gorąco, by pracować.

Na krótko przed kolacją pojawiają się Europejczycy. Jest ich trzech, a raczej dwóch i jeden. Ten ostatni to klasyczny turysta, mały z brzuchem wystającym poza szorty, prościutki przedziałek z boku, nie zagojone oparzenia słoneczne, kraciasta koszula i sandały, krótko mówiąc, przeciętny bałwan na wakacjach.

Minister przedstawia mi go jako Ciastkarza.

Dwaj pozostali to cwaniacy, gangsterzy z francuskiego południowego zachodu. Frederic to wysoki, milczący brunet. Nosi okulary intelektualisty, zza których patrzą zimne oczy: prawdziwy skurwysyn. Alain, jego kumpel, też wygląda na skurwysyna, ale dużo sympatyczniejszego.

Jestem jeszcze zmęczony, ale po tej długiej sjeście czuję się odprężony i nie mam zupełnie ochoty na nawiązywanie bliższej znajomości. Nie zdradzam im, że całą swoją młodość spędziłem w Bordeaux. Sami też nie podejmują wysiłków, żeby ze mną rozmawiać.

Na kolację znowu dostajemy ryż podlany pikantnym sosem z roślinnymi przyprawami. Dla Afryki nie ma miejsca w przewodniku gastronomicznym.

Miejscowa trawka jest za to doskonała. Miguel zrobił ogromnego skręta za pomocą kartki z Biblii, którą ukradł w Watykanie. Ponieważ wewnątrz żar jest nie do zniesienia, rozkładamy sobie na noc posłania na dachu. W Afryce jednym z nielicznych przyjemnych momentów jest chłód świtu: kilka minut spokoju. Ale dzisiaj Miguel zdecydował, że będzie

inaczej. Miguel to mój towarzysz podróży, miły wariat. Dlatego właśnie postanowiłem mu pomóc i jest jeszcze ze mną.

Bardzo wysoki, chudy jak pajak, podkreśla jeszcze to wrażenie nosząc stale czarne spodnie, obcisłe niczym druga skóra. Ogromna klamra u pasa robi wrażenie, jakby miała przeważać go do przodu. Jego włosy, czerwone, zielone i niebieskie, dawniej wygolone po bokach, zwisają mu na plecy w postaci długiego, brudnego końskiego ogona.

Jego kostki i przeguby pokryte są bransoletami, które brzęczą przy każdym kroku. Mówi mało, ale dużo się śmieje. Choć jest całkowicie nieodpowiedzialny, Miguel ma czasami przebłyśki geniuszu, jak tego ranka, kiedy zamienił część swojego żelastwa na starą trąbkę, ponieważ się w ogrodzie Ministra. Teraz, stojąc na baczność i na granicy apopleksji, usiłuje wydobyć z niej jakieś dźwięki i działa wszystkim na nerwy. Nalewam sobie kawy do pożyczonej menażki. Boy wykorzystuje krótką chwilę ciszy, by włączyć na cały regulator radio, ale nie udaje mu się złapać żadnej stacji. Wychodzę pogadać z Alainem, małym cwaniakiem z Bordeaux, który ziewa przyglądając się, jak kilka wnuczek Ministra myje się na podwórzu, co stanowi piękny, wzruszający widok. Woda ścieka po ich ledwo rozkwitłych ciałach, młode piersi sterczą dumnie, krągłe pośladki dopraszają się gwałtu. To jeszcze uczennice, ale już kobiety.

- Piękne są, co?

- O, kurwa!

- Jesteś z Bordeaux, Alain?

- Tak.

- Ja też.

Alain patrzy na mnie zaskoczony:

- Niemożliwe, jesteś z Bordeaux?

- No przecież ci mówię.

I już. Szowinizm przydaje się również do zdobywania sobie kumpli. Dołączył do nas Fred i po półgodzinie, siedząc przy pierwszej tego dnia anyżówce, doszukujemy się wspólnych znajomych. Dyskutujemy tak cały ranek, a popołudnie schodzi nam na opowiadaniu o naszych najlepszych numerach. Po niezawodnym wieczornym ryżu Alain, coraz bardziej rozgadany i chępliwy, wyjaśnia mi, na czym polega ich handel.

Wystarczy kupić we Francji używany samochód, jak najtaniej, sprowadzić go stamtąd, przejechać przez pustynię i sprzedać go za dobrą cenę w Niamey, gdzie oczywiście Minister Dobrych Interesów zajmuje się negocjacjami.

Przejechać przez pustynię, żeby dotrzeć aż tutaj, to mnie interesuje.

- I można na tym zarobić?

- Człowieku, to kopalnia złota! To interes stulecia! Te czarne bałwany kupują byle co, i wierz mi, że mają forszę. Masz cztero albo pięciokrotne przebicie za każdym razem.

Piętnaście dni na podróż i przejazd przez pustynię, tydzień do dziesięciu dni na sprzedaż, zabawa tu, zabawa w Bordeaux, i następny kurs.

- A przejazd przez pustynię?

- Pustynia? Spokojnie! To pestka.

Nie może się powstrzymać, żeby nie opowiedzieć mi o podróży hiszpańskiego księdza, którego ostatnim razem zabrali na południu Algierii.

- Utknął tam. Więc powiedzieliśmy mu: DProszę księdza, prosimy do nas”, a on nam na to: □ dziękuję”.

Wybuchają śmiechem, i opowiada dalej:

- Po paru kilometrach Alain otworzył torbę Wielebnego Ojca i dla żartu wyrzucił przez okno pierwszą rzecz, jaka wpadła mu pod rękę. Ksiądz nie śmiał nic powiedzieć. Zachęcony tym Alain powyrzucał po kolei wszystkie jego rzeczy. Ponieważ szary ze strachu ksiądz nadal nie reagował, rozwścieczony Alain kazał mi się zatrzymać, nasrał w piach, sprofanował kilka stron Biblii, po czym, żeby zwiększyć jeszcze świętokradztwo, wsadził krucyfiks w swoje odchody. Nie pozostawało nam nic innego, jak zostawić świętego męża, który zaniemówił ze strachu, na środku szlaku, żeby poczekał na następną ciężarówkę.

Wydaje się, że jest to dla nich świetny dowcip do opowiadania i tarzania się ze śmiechu! Tacy to właśnie ludzie...

Najzabawniejsze jest to, że obaj skończyli tę samą surową religijną szkołę, która zrobiła z nich bandytów. To sympatyczni kłamcy i oszuści pozbawieni jakiegokolwiek moralności. Spokojnie upływają mi dni spędzone na rozmowach z Ministrem i tymi dwoma aniołkami.

Dziś wczesnie rano poszedłem się przejść. Niamey to miasto wilgotne i hałaśliwe. Ranne godziny to okres największego rozgardiaszu na ulicach, zwłaszcza w dzielnicy wielkiego bazaru, prawdziwego labiryntu słomianych dachów, kipiącego krzykliwymi kolorami i ruchliwym tłumem.

Większość Afrykanów to handlarze. Ci, którym wiedzie się najgorzej, siedzą na ulicy przed matą, na której leży ich jedyny towar: jeden owoc mango, trzy orzeszki ziemne albo dwie stare śruby. Tych los już się nie odmieni. Inni, grube czarne zwały tłuszczu, mają więcej szczęścia. Swoją sukces handlowy zawdzięczają doskonałej firmie UNICEF. Osiągają świetne marże, jako że sprzedają dary.

Zawsze sądziłem, że jestem pozbawiony skrupułów, ale w Afryce nie mam szans. Na niektórych kartonowych pudłach widnieje jeszcze nazwa tej dobroczynnej organizacji. Wielu uczestników akcji charytatywnych byłoby zapewne zdziwionych dowiadując się, że ich dary służą wyłącznie do podtuczania paru miejscowych świń.

Ale robi się tu jeszcze lepsze interesy: parę miesięcy temu sprzedano na licytacji kilkaset dziewcząt i kobiet z plemienia Tamachek. Uciekły z Sahelu szukając pomocy tutaj, gdzie poczynając od pewnego progu zamożności do dobrego tonu należy posiadanie haremu, co jest zwyczajem przyjemnym, lecz jakże męczącym. Problem ten rozwiązano w sposób radykalny, wycinając tym paniom łechtaczki, i definitywnie pozbawiając je wszelkich apetytów seksualnych.

Któregoś wieczoru Minister wraca rozradowany, z kieszeniami pełnymi cukierków. Właśnie sprzedał, za bardzo wysoką cenę, samochody obu Francuzów. Natychmiastowa decyzja Alaina i Freda:

Trzeba to uczcić. Zabawa musi być w wielkim stylu. Zgarnęliśmy tuzin dziewczyn w „Z club”, jedynym przyzwoitym nocnym lokalu w Niamey. W jednym z pokoi naszej willi Fred zawiesza banknoty o niewielkich nominałach franków CFA w regularnych odstępach na ścianie, na wysokości twarzy. Gra jest prosta: przed każdym banknotem staje dziewczyna, rozkładając ręce i nogi. Powstaje imponujący rząd czarnych, błyszczących pośladków. Fred, jako mistrz ceremonii, przechodzi za każdą z nich z wiadrzem w ręku i czyści gąbką zadki naszych gości, Ddla higieny”. Są gotowe. Miguel nie potrafi oprzeć się pokusie, Ciastkarz natomiast ostentacyjnie odmawia. Obaj chłopcy z Bordeaux przystąpili już do dzieła.

Jako człowiek bardzo pruderyjny z natury, zdejmuję trzy banknoty ze ściany i zaciągam odpowiadające im trzy Murzynki do innego pokoju.

Następnego dnia dwaj z Bordeaux szykują się do powrotu do Europy. Rano przychodzi do mnie Alain.

- Słuchaj, Charlie...

- No.

- Nie chcę się wtrącać w twoje sprawy, ale co ty robisz z tym hiszpańskim frajerem?

Patrzę na Miguela, który siedzi niedaleko. Po raz kolejny odcyfrowuje swoją miniaturową mapę Afryki, wydrukowaną na jednej stronie kieszonkowego kalendarzyka. Afryka ma tam dwa centymetry na trzy, a dookoła jest reszta świata. Co ja robię z tym

facetem, nie jest łatwe do wytłumaczenia.

Jesteśmy w tym samym wieku, ale należymy do dwóch różnych światów. Miguel jest niezdolny do dawania sobie rady samemu, a tym bardziej do dawania z siebie czegośkolwiek. Nawet jego fałszywy paszport to kwintesencja amatorszczyzny, stanowiąca stałe zagrożenie. Po wielu latach tułaczki potrzeba czystości i komfortu przywiodła mnie z powrotem do Europy, w przerwie między przygodami.

Zamieszkałem w Szwajcarii, często jeżdżąc do Amsterdamu, by zaopatrywać się w narkotyki na własne potrzeby. Tutaj się spotkaliśmy. Widzieliśmy się parę tygodni wcześniej w Hiszpanii i rozpoznał mnie. Opuścił ojczyznę uciekając przed ówczesnym faszystowskim reżimem. Był sam, bez pieniędzy, w środku europejskiej zimy, dostawał strasznie w kość i poprosił mnie o pomoc. To nie w moim stylu udawać dobrego samarytanina, i zwykle nie godzę się na takie układy. Staram się otaczać facetami z inicjatywą, których wartościowe cechy rozwijam, aby móc je wykorzystać. Przyjaźń przychodzi później.

Natomiast Miguel niewart jest złamanego grosza i ma nawet właściwość komplikowania każdej sytuacji. Już jego wygląd zewnętrzny przyciąga kłopoty. Wiedziałem też, że jeśli trochę mu pomogę, będę się uważał za zobowiązanego doprowadzić sprawę do końca. Ale udało mu się wymusić, być może nie litość, ale w każdym razie sympatię. Więc wziąłem go pod swoje opiekuńcze skrzydła. Jego zwariowane numery bawią mnie. Teraz polubiłem go, to dobry towarzysz podróży, do którego przyzwyczałem się, i do Afryki przyjechaliśmy po to, żeby mu pomóc.

Nie ma sensu tego tłumaczyć Alainowi. Nie zrozumiałby.

- Mógłbyś robić ciekawsze rzeczy. Jesteś od nas, jesteś na poziomie. Jesteś piratem tak jak my, Charlie. Rozmawialiśmy o tym z Fredem. Sfinansujemy twoją pierwszą podróż, pojedziesz z nami i obłowimy się ile się da. Zgoda?

Oferta jest kusząca. Od początku tej podróży wiem, że następna przygoda czeka mnie na tym kontynencie, zwłaszcza na tej pustyni, którą przejechałem niechcący. Widoki są wspaniałe, ludzie spokojni, a upał całkowicie mi odpowiada. Interesy Alaina i Freda idą dobrze. Na większą skalę można tu zrobić kokosy!

Przygoda jest tuż, tuż. Ale oznaczałoby to porzucić Miguela, a tego nie chcę. Kretańska dobroć zabrania mi pozostawić w bagnie kogoś, kto we mnie wierzy. Nie jestem mu nic winien, ale nie zostawię go. Z tym jego szmatławym paszportem oznaczałoby to skazanie go na najgorsze. Po co były te wszystkie wysiłki, zaczynając od Amsterdamu, jeśli miałyby to się tak skończyć? Miguel potrzebuje jeszcze poprowadzenia i nauczania paru rzeczy, zanim będzie w stanie dawać sobie radę sam. Ponadto ta przejażdżka jest potrzebna i

mnie, żeby do końca oczyścić się od europejskich narkotyków. Interesy przyjdą później.

Nie pierwszy raz jestem bez grosza ani nie ostatni, to nie problem. Nie mam zamiaru bawić się w turystę wiecznie. Wiem, że okazja jest. Wrócę po nią, muszę tylko dokończyć to, co zacząłem z Miguelem. Na razie muszę go jeszcze poprowadzić za rękę.

Dźwięk trąbki za plecami umacnia moją decyzję.

- Nie, Alain. To ładnie z waszej strony, ale nie teraz. Ciastkarz jest z wami? Pytanie to przywraca mu uśmiech.

- Żartujesz, przecież to frajer...

Opowiada mi, że Ciastkarz już dwukrotnie próbował przejechać pustynię, ale zawsze oblatywał go strach na południu Algierii. Tym razem udało mu się przejechać, bo dodawała mu odwagi obecność chłopaków z Bordeaux.

- Rozumiesz, chcieliśmy go naciągnąć. Ale pilnuje się, skurwiel, nieufny jest. Śpi ze swoją forszą, wiesz o co mi chodzi?

Aż za dobrze! Tchórz i skąpiec, akurat typ faceta, jakiego najbardziej nienawidzę. Może się zabawimy, ale potrzebuję jeszcze paru informacji.

- Chce jechać do Czarnej Afryki, nie? Alain kiwa głową.

- Tak. Taki ma zamiar, ale się waha. Boi się, myśli, że Murzyni go zjedzą.

- To doskonale. Na pewno będzie potrzebował przewodnika... Alain szybko rozumie. Wybuchą śmiechem i wali się dłońmi po udach. Kiedy trochę mu przechodzi, zapewnia, że szepnie o mnie słówko.

W niecałe piętnaście minut później Ciastkarz podchodzi do mnie, z wypiętym brzuchem i buzią w ciup.

- Charlie... To prawda, że dobrze znasz Afrykę?

- Tak. Urodziłem się tu i spędziłem całe swoje życie.

- A! Tak. Bo widzisz, ja tak dobrze nie znam, a chciałbym trochę zwiedzić...

- Co chcesz robić? Polować?

- Nie, po prostu pojeździć.

- To nie moja działka. Ja się głównie zajmuję polowaniem. Lwy, bawoły, słonie.

- A!

Zrobiło to na nim wrażenie, ale jednocześnie jest rozczarowany. Czuję, że jest gotów zrezygnować. Pytam go miłym tonem:

- Dokąd chcesz jechać?

- Na wybrzeże. Gdybyś zechciał, eee...

- Nie.

- Nie?

- Twój samochód jest zbyt mały.

Żądam w końcu godziny do namysłu i spędzam ją na paleniu trawki z Miguelem. Po upływie czasu Ciastkarz pojawia się ponownie.

- Dobrze. Przemyślałem to. Zgadzam się. Jego twarz rozświecła szeroki uśmiech ulgi, ale po chwili znów poważnieje.

- Ale trzeba ustalić... eee... Jakie chcesz wynagrodzenie?

- Słaby z ciebie psycholog, Ciastkarz. Ja nie pracuję za wynagrodzenie. Jeśli się zgodziłem, to żeby ci pomóc, jesteś sympatyczny i lubię cię.

Uśmiech pojawia się znowu.

- Wystarczy, jeśli pokryjesz koszty podróży. Jego uśmiech powoli zanika. Mówię dalej.

- To znaczy hotele, restauracje, no po prostu podstawowy komfort! Teraz z uśmiechu pozostało już niewiele.

- Ale nie obawiaj się, nie będziemy cię drogo kosztować.

- My?

- No tak, Miguel i ja.

Tym razem mina zrzędnęła mu na dobre. Kładę mu rękę na ramieniu protekcyjnym gestem i mówię:

- Ciastkarz, zrobimy piękną podróż.

Kiwa słabo głową, mimo wszystko zadowolony, że się zgodziłem. Czy ma to sens, czy nie, ludzie czują się przy mnie bezpieczni i Ciastkarz nie jest wyjątkiem.

Żeby uczcić naszą spółkę oraz wyjazd chłopaków z Bordeaux, inauguruje mój nowy budżet zapraszając wszystkich na mały wieczorek podobny do poprzedniego, z tym że Ciastkarz, który dziś stawia, decyduje się uczestniczyć.

Następnego dnia Francuzi odjechali do Europy. Długo ściskam dłoń Ministra Dobrych Interesów, który wie, że pojawię się znowu. Dałem mu w prezencie fotel pasażera z Citroëna mehari Ciastkarza. Fotel usunąłem, żeby móc jechać na tylnym siedzeniu wygodnie, z wyciągniętymi nogami. Miguel siedzi obok mnie.

I wyruszyliśmy na południe.

Ach, Ciastkarz! Dla niego te pięć tygodni wspólnej przejażdżki to prawdziwa droga krzyżowa. To jego wina, sam tego chciał.

Już od pierwszych dni skarżył się na ilość moich stosunków seksualnych, uważając, że przesadzam: przypominałem mu zasady naszej umowy. Posłusznie dalej wyciągał ze swej pedałówki wynagrodzenie dla wszystkich tych młodych panienek. Później powiedział mi, że nasza umowa nie przewidywała rozrywek Miguela. Nie zadał sobie najmniejszego trudu, żeby zrozumieć, że Afryka to kontynent seksu, i że połączone efekty skrętów z afrykańskiej. trawki i wszystkich tych sterczących zadków są odczuwalne i nagłace.

Nawet przyjacielskie trzepnięcia w kark nie przekonały go.

Nie dość, że psuł nam przyjemność swoją małostkowością, to Jeszcze pozwalał sobie na zrządzenie na temat cen hoteli i restauracji, w których się zatrzymywaliśmy: jego zdaniem powinniśmy byli uprawiać camping! Tak jakbym był typem człowieka, sypiającym pod namiotem! Ponieważ nalegał, żeby spać pod gołym niebem, musiałem poświęcić trochę czasu na rozmowę w cztery oczy, aż zrozumiał, jak niebezpieczne może się to okazać z powodu złodziei, bandytów i podobnych rzeczy.

Później oburzał się na brak pomocy z naszej strony za każdym razem, kiedy jego mehari łąpał gumę. Odkręcanie koła, naprawa, pompowanie, przykręcanie, wszystko to wydawało mu się zbyt ciężkie dla jednego człowieka. Godził się jeszcze na to, żebym odpoczywał zjadając banany, podczas gdy on pracuje, jako że byłem jego przewodnikiem, osobą odpowiedzialną i szefem ekspedycji. Ale irytowało go, że Miguel siedział koło mnie i patrzył na niego rechocząc lub dmuchając w trąbkę. Nic już nie układało się między nimi. Miguelowi sprawiało złośliwą przyjemność zjadanie jego porcji w restauracji, dawanie mu po głowie za moim przykładem, wymyślanie mu po hiszpańsku. Początkowo Ciastkarz prosił, żebym mu tłumaczył, ale potem zrezygnował.

Na szczęście poznawałem kontynent i sprawiało mi przyjemność rozglądanie się dookoła, na haju razem z Miguelem. W końcu przestałem zwracać uwagę na naszego kierowcę.

Afryka jest zabawna. Jest nieporządna, hałaśliwa, popsuta, połatana. Upał przytłacza wszystkich i nic nie działa jak należy, ale kiedy się jest tylko przejazdem, jest to nawet dobra rozrywka. W małych wioskach, gdzie są trzy domki i dwie małe okrągłe stodoły, ludzie są sympatyczni. Na nasze powitanie zbiegały się dzieciaki, całe w uśmiechach i z wyciągniętymi dłońmi. Na początku głaskałem je po głowie, żeby sobie wytrzeć ręce. Teraz robię to z sympatii. Dorośli śmieją się cały czas i nic nie można zrozumieć z tego, co wygadują. Kobiety są zawsze gotowe uczciwie zarobić parę franków, zadarłszy spódnice, nawet bez zdejmowania miednicy czy stosu drewna z czubka głowy.

Szkoda, że czarnuchy z miast są równie nieprzyjemne, co tępe. Ledwie zleźli ze swoich drzew, zwała się im na kark cywilizacja i nie wpłynęło to na nich dobrze. W miastach rządzi przemoc, są one pozbawione podstawowej higieny i infrastruktury, nic w nich nie można załatwić bez zapłaty. To prawdziwie absurdalne światy, podobne granicom wytyczonym przez kolonizatorów, tak samo jak Ich armie, ich administracja i wszystkie inne dziedziny, w których czarni zaczęli małpować swoje wzorce. Wszyscy celnicy, z którymi mieliśmy do czynienia, okazywali się nadętymi i skorumpowanymi skurwysynami. Wszyscy gliniarze to sukinsyny, podobnie zresztą jak sędziowie.

Z tymi ostatnimi nawiązaliśmy kontakt przez Ciastkarza. Dokładnie było to w Ghanie. Ciastkarz zaczął dzień zapominając, że po przejechaniu granicy, w środku buszu, trzeba nagle jeździć po angielsku. kolonizacja zobowiązuje, czyli po lewej, a nie po prawej, bo inaczej można nadziać się na ciężarówkę.

Po krótkich a gwałtownych emocjach rozumiemy, w czym rzecz.

W kilka minut później Ciastkarz wydaje z siebie okrzyk i hamuje w miejscu, wywracając Miguela.

- Moja torebka! Moje pieniądze!

Ten dureń zostawił swoją pedałówkę w restauracji, trzydzieści kilosów wcześniej. Wracamy i, oczywiście, po torebce ani śladu. Nie na długo jednak, bo krzyki Ciastkarza ściągają wszystkich dookoła. Co najmniej trzydziestu Murzynów przeszukuje okolicę, i w końcu dorywają dwóch sprzątaczy z restauracji, których oczywiście skusiła taka fortuna w zasięgu ręki. Nasz kretyń, ciągle jeszcze przerażony nawet po odnalezieniu zguby, ryczy, żeby wezwać policję. Po pięciu minutach do restauracji wpada dwóch gliniarzy, w szortach, długich niebieskich skarpetkach i ogromnych butach na tych ich murzyńskich stopach. Łapią pałki, rzucają się na obu gówniarzy i walą. Walą z całej siły, rozrywają tkanki, uderzają w głowę, w brzuch. Robi mi się niedobrze od ich brutalności, próbuję interweniować, ale jeden z gliniarzy zatrzymuje mnie wyciągając w moim kierunku pałkę.

- Don't move, it's our business.

Na szczęście w końcu przestają i wyciągają nieruchome ciała na zewnątrz, ale najpierw zabierają nam paszporty, bo musimy uczestniczyć w procesie jako świadkowie. Tego samego wieczora robi mi się głupio i idę do szefa policji, żeby wynegocjować zwolnienie obu chłopców. Ten sucho odmawia i nakazuje nam stawić się nazajutrz rano na procesie.

W ten sposób rano znajdujemy się w wielkiej brudnej sali Pałacu Sprawiedliwości. Kiedyś budynek musiał być ładny. Dzisiaj niewiele się różni od afrykańskiego bazaru, panuje

tu brud i lata pełno much.

Czekamy tak od godziny na łaskawe nadejście sędziów. Oskarżeni, w swoim oddzielnym boksie, są w opłakanym stanie. Cali posiniaczeni, z popękanymi wargami, popuchniętymi głowami, w postrzępionych ubraniach, ledwie trzymają się na nogach. Ręce mają związane za plecami, a za nimi stoją dwaj wysocy gliniarze, z których każdy trzyma kij i dla rozrywki poklepuje nim guzy obu ofiar. Jako świadkowie jesteśmy także pilnowani. Poza tym na sali jest około dwudziestu osób, korespondentów lokalnej prasy albo sprzedawców mango; nie mam pojęcia, może przyszli tu się ochłodzić albo przespać.

Wreszcie Panowie Sędziowie, świadomi własnej ważności, wchodzą na salę. Wymierzam Miguelowi cios łokciem między żebra, żeby powstrzymać niepohamowany śmiech, jaki go ogarnia.

Ich Wysokości ubrane są po angielsku, w czerwone togi i białe falowane peruki. Już na starym angielskim lordzie takie rekwizyty wyglądają niepoważnie, ale na czarnej mordzie robią zabójcze wrażenie.

- Uważaj, są niebezpieczni.

Rzeczywiście, w miarę jak rozwija się ceremonia, czuję, że dzieciaki są w niebezpieczeństwie. Tamci kretyńscy postanowili udowodnić nam, że w ich kraju sprawiedliwość nie jest pustym słowem, i zamierzają wlepić im karę najwyższą. Nie można do tego dopuścić. Wstaję więc i zabieram głos. Oświadczam im, że ich kraj jest bardzo piękny i żywię wiele szacunku dla ich kultury. Opowiadam im o legendarnej wielkości Ghany, przypominam szczególne stosunki, jakie zawsze łączyły nasze kraje, oraz pełno innych niedorzeczności tego rodzaju, po czym wzywam do okazania wspaniałomyślności obu oskarżonym. To my jesteśmy winni, bo stworzyliśmy pokusę. Zresztą jest to prawda. Nie zostawia się majątku w zasięgu rąk dzieci, które umierają z głodu.

Podczas mojej przemowy patrzę w punkt wysoko ponad ich głowami. Nie potrafię zachować powagi widząc te mordy kłownów. Jednakże zauważam, że są niezdecydowani. Jeden nieustannie drapie się w kark, przesuując w ten sposób perukę, która jest dla niego za duża i spada mu wtedy na oczy.

Walę obcasem Miguela, który chichocze obok, i siadam wśród ogólnej ciszy, poprosiwszy na zakończenie przysięgłych o wielkoduszność. Sędziowie patrzą po sobie, najwyraźniej zakłopotani, przyglądają się oskarżonym, potem sufitowi, a kiedy nie zostaje już nic do oglądania, ogłaszają uniewinnienie. Chłopcy dostają jeszcze końcowe lanie, po czym zostają wyrzuceni na ulicę. Odbieram nasze paszporty i również wychodzę, by dołączyć do Miguela, który zatacza się ze śmiechu na chodniku.

Od tego czasu Miguel traci ostatecznie szacunek dla Ciastkarza, który przecież nadal robi swoje.

Togo, Dahomej... Podczas gdy w buszu pełno jest zachwycających Murzynek, to właśnie w Lagos, w Nigerii, w najniebezpieczniejszym mieście Afryki, niedorzecznym rezultacie afrykańskiej urbanistyki, nasz szanowny towarzysz objawia nagle swoje seksualne potrzeby. I oto w środku nocy jedziemy jego citroenem do czerwonej dzielnicy, w której dziewczyny podchodzą w światło reflektorów, by rozwierać uda i wykrzykiwać swoje bojowe zawołanie: DFucky-fucky! Fucky - - fucky!”

Po dłuższym kręceniu się po okolicy, co pozwala, żeby wszyscy nas zauważyli, Ciastkarz wybiera sobie trzy grube, po czym, kiedy przychodziło płacenia, naturalnie zaczyna awanturę. Za trzy minuty ekstazy na podwórku dziewczyny żądają więcej, niż było ustalone. Zamiast dać spokój i zapłacić, Ciastkarz przeciąga sprawę. Sprzeczka przyciąga jakichś facetów, i zaczyna się corrida. Każę pozostałym wycofać się do samochodu. Tamtych jest trzech. Ciastkarz coś długo nie może ruszyć, więc walimy. Uderzam najbliższego lewarkiem. Miguel wbija saperkę w czoło drugiego. Cofają się. Mój klient ma twardą głowę, wraca, więc tym razem walę go z całej siły, podczas gdy Ciastkarzowi wreszcie udaje się wrzucić jedynekę.

Tym razem nasz koleś się przestraszył. Na pełnym gazie opuszczamy kraj i jedziemy do Kamerunu. Kilka dni później noc zaskakuje nas na szosie niedaleko Yaounde, i nie ma szans na znalezienie hotelu. Zgadzam się na spędzenie nocy pod gołym niebem, i śpię kamiennym snem. Po przebudzeniu okazuje się, że nic już nie mamy. Skrzynki, ekwipunek, wszystko zniknęło. Miguel i ja spaliśmy w ubraniach, ale Ciastkarzowi została tylko pedałówka, którą miał pod głową. Stoi zaskoczony, w samych tylko slipach wątpliwej czystości, i przeżywa katastrofę. Dla niego to potężny cios. Później dowiem się, że złodzieje spalają jakąś roślinę, której dym pogłębia sen. Ciastkarz ma w nosie to wyjaśnienie. Załamuje się. Kupuje sobie nowe ubranie, po czym wyjawia mi, że zamierza wszystko rzucić i wracać do Europy.

Po krótkiej dyskusji zgadza się, że nie byłoby elegancko zostawiać swoich kumpli w środku dzikiej Afryki, bez centa odszkodowania za zerwanie kontraktu. Wyciąga swoje czekie podróżne i wypłaca mi pięćset dolarów, po czym wstaje od stołu barowego, przy którym siedzimy. Końcem warg mamrocze jakieś do widzenia i odchodzi, nawet nie kiwnąwszy nam ręką. Facet, który od ponad miesiąca dzieli ze mną życie, odwraca się ode mnie tak po prostu! Miguel i ja, nadal siedząc za stołem, z lekkim smutkiem patrzymy, jak citroen oddala się, po czym zatrzymuje, bo ten zboczeniec Miguel przeciął obie tylne opony.

I taki pozostanie mi ostatni widok Ciastkarza, zaczerwienionego z wysiłku, dyszącego, wychudłego i pomniejszonego, który raz jeszcze naprawia opony swego małego samochodu pod naszym rozczulonym spojrzeniem.

Mogłem odebrać mu wszystko. Moją wielką satysfakcją, odkąd przemierzam świat, jest to, że nigdy nie przestałem podróżować. Jestem bez skrupułów, inteligentny, jestem manipulatorem, jak kto woli, ale mam za sobą siedem lat podróży, z rękami w kieszeniach dzinsów, w wysokich butach na nogach i jedynie z paszportem. Mimo to nigdy niczego sobie nie odmawiałem. Pieniądze znajduję, a gdyby trzeba było oskubać tę miernotę z citroenem z ostatniego grosza. zrobiłbym to bez problemów.

Nie zrobiłem tego, bo do następnego kroku potrzeba mi tylko pięciuset dolarów. Będę musiał rozstać się z Miguelem, pozwolić mu iść własną drogą, i jednocześnie pozostawić sobie wolne ręce, żeby poważnie popracować. Muszę wrócić na Saharę, gdzie, jak wiem, czeka na mnie przygoda. Zaczynam naprawdę cenić Miguela. Wyrobił się, nabrał rumieńców. Zrobił się przy mnie rozmowniejszy. To dobry kumpel, ale nie ma dla niego miejsca w dalszym ciągu tej historii.

Pierwszą sprawą do załatwienia jest jego paszport. Przed wyjazdem trochę nad nim popracowaliśmy, ale nie mógłby się ostać poważniejszej kontroli. Dlatego właśnie pojechaliśmy do Afryki, żeby znaleźć dla niego nowy paszport, a także dlatego, że potrzebowałem świeżego powietrza po dwóch przedawkowaniach heroiny.

W Yaounde moją pierwszą czynnością było sprawdzenie, czy jest tam hiszpański konsulat. Kiedy to ustaliłem, wziąłem za pretekst podróż do Gwinei równikowej, dawnej hiszpańskiej kolonii, żeby spotkać się z konsulem. Był to młody, mniej więcej trzydziestopięcioletni facet, otwarty, bardzo sympatyczny i rozmowny, doskonały, do roli, jaką miał dla mnie zagrać.

Konsulu, jeśli czytasz te słowa, nie miej do mnie żalu, że cię nabrałem, chodziło o uratowanie kogoś!

Pierwsza sprawa, zmienić wygląd, mój, a zwłaszcza Miguela. Kupujemy marynarki, porządne buty, zegarki za trzy grosze i pozłacany łańcuszek na uzupełnienie stroju Miguela. Potem najtrudniejsze: przekonać tego tępogłowego hiszpańskiego hippisa, żeby ściął włosy. Udaje mi się go nareszcie do tego nakłonić i mały kameruński fryzjerczyk robi mu piękną główkę młodego kretyna, starannie wygoloną za uszami.

Kręcimy się po wszystkich klimatyzowanych barach w mieście, mając nadzieję spotkać tam Ramona, naszego konsula, który chętnie chodzi się zabawić wieczorami. Po

trzech dniach udaje się nam to w najelegantszej kawiarni Yaounde, gdzie jest bar dla białych i dla czystych dziewczyn; lokal prowadzi jakiś Niemiec, a Ramon jest tam częstym gościem.

Następne dwa tygodnie poświęcamy na zdobycie jego sympatii. Według naszego scenariusza Miguel jest chłopcem z dobrej rodziny, który uczy się życia podróżując. Ja jestem jego opiekunem. Obaj prześcigamy się w uprzejmościach dla Ramona, co przychodzi nam o tyle łatwo, że facet jest naprawdę miły. Dobrze zna Afrykę i chętnie o niej opowiada, dobrze się go słucha, a poza tym, rzecz nie do pogardzenia, lubi się dobrze zabawić.

Lokale, drinki, kolacyjki, parę wesołych zabaw z dziewczynkami, j szybko stajemy się nierozłączni. Dokładnie wtedy, kiedy właśnie zaczęła się pora deszczowa, oznajmiam mu nasz zamiar odbycia parodniowej wycieczki do dżungli. W czasie pory deszczowej drogi stają się prawdziwymi bagnami, i Ramon ostrzega, że będziemy cierpieć. Odpowiadam, że właśnie o to chodzi, że należy to do reguł gry, bo trzeba, żeby Miguel trochę się zahartował.

Następnego dnia opuszczamy Yaounde, choć oczywiście nie zamierzamy ginąć w lesie. Zatrzymujemy się w małej wiosce, dziesięć kilometrów od miasta, i siedzimy tam pięć dni, goszczeni przez rodzinę, która udostępnia nam jedno pomieszczenie w swojej chacie, i palimy, chlamy wino palmowe wygłupiamy się z tubylcami. Piątego dnia, w ulewnym deszczu, w obecności umierającego ze strachu Miguela, wrzucam uroczyście jego paszport w błoto.

Rezultat jest świetny. Nazwisko daje się odczytać, podobnie jak data urodzenia i termin ważności paszportu. Pieczęć na zdjęciu jest całkowicie zamazana.

Wracamy do Yaounde i wkrótce odwiedzamy Ramona w jego biurze. Przyjmuje nas z otwartymi ramionami, pyta o Miguela i jak udała się nasza ekspedycja.

- Właśnie, Ramon, mamy mały kłopot, może mógłbyś nam pomóc.

Wyjaśniam mu, że paszport Miguela nieszczęśliwie wpadł w błoto podczas trudnej przeprawy, że niedługo musimy jechać do Gwinei równikowej i że cała podróż stanie pod znakiem zapytania, jeśli będziemy musieli wracać do Hiszpanii, żeby wyrobić mu nowy paszport.

Ramon wznosi ręce do nieba. Ma wprawdzie możliwości, żeby wyrobić Miguelowi nowy paszport, ale oficjalnie nie ma do tego prawa. Wszystko zależy teraz od przyjaźni, jaka łączy nas od kilku tygodni, i od zaufania, jakie do nas żywi. Nie daje odpowiedzi od razu i prosi, żebym przyszedł następnego dnia. Przez całą noc Miguel chodzi w kółko po hotelowym pokoju. Jeśli Ramon odmówi, to już naprawdę koniec.

Następnego dnia Ramon zgadza się.

Późnym popołudniem Miguel znajduje się w posiadaniu oficjalnego paszportu,

podstemplowanego w hiszpańskim konsulacie. Jest to fałszywy dokument o tyle wiarygodny, że jest całkowicie autentyczny. W pokoju Miguel bez przerwy ogląda go ze wszystkich stron, podziwia go i od czasu do czasu wybucha pełnym szczęścia śmiechem. Te jego nagłe radosne okrzyki świadczą o tym, jak bardzo męczyła go stała niepewność jutra.

- Proszę pani, teraz wylizemy kuciapę.

- Teras... wylizujemy... kuczape.

Zdanie to Miguel powtarza kilkakrotnie. Akcent nie jest jeszcze dobry, ale moje lekcje francuskiego zaczynają przynosić owoce. Postanowiłem uzupełnić trochę jego wykształcenie, zanim zostawię go samemu sobie. Francuski i angielski, w połączeniu z jego hiszpańskim, pozwolą mu dawać sobie radę wszędzie.

- Kuciapę! Nie kuczape

- Kucz... Kuczape. Kuciapę!

Moje lekcje mają nieco szczególny charakter, ale w ciągu paru tygodni nie mam czasu nauczyć go wszystkich subtelności języka. Pomyślałem więc, że najlepiej poprzestać na sprawach najważniejszych.

Dlatego kilka razy w ciągu dnia zatrzymujemy, się przy drodze, żeby trochę odpocząć i, jeśli nie gramy w szachy, uczę go nowego świństwa. Im dalej posuwamy się tą pustą drogą, tym bardziej Miguel mnie zadziwia. Robi ogromne postępy i powtarza moje zdania z entuzjazmem. Odkąd ma w kieszeni swój nowy paszport, stał się innym człowiekiem. Śmieje się, rozmawia, bawi. Jego ramiona wyprostowały się i nie ma już tego wyglądu niewydarzonego cherlaka, przemykającego się ukradkiem przez życie, który uderzał w nim na początku podróży.

Po załatwieniu sprawy z konsulem w Kamerunie udaliśmy się do Czadu, do N'Djameny, ale nie zostaliśmy tam długo. Trwała tam wojna, a ponieważ nie byliśmy w stanie ustalić, którzy byli dobrzy, a którzy źli, zostawiliśmy ich swojemu losowi. Niech się dalej naparzają sami.

Nadarza się też pierwsza okazja, żeby pozbyć się Miguela. Zaczynam już mieć dość tej przejażdżki, i pilno mi zmienić działalność. Miguel ma teraz doskonały paszport, brakuje mu tylko trochę forsy ewentualnie kogoś, kto mógłby się nim zająć przez jakiś czas, żebym miał czyste sumienie.

Właśnie w N'Djamenie dwoje Hiszpanów prowadzi kwitnący handel. To wymarzona okazja.

- Miguel, idź do nich, powiedz im, że rodacy muszą sobie pomagać, nawsadzaj im

kitu! Musi ci się udać coś załatwić!

- Myślisz? Nie wiem, ja chyba nie potrafię. Lepiej byłoby, żebyś ty z nimi pogadał.

- Ależ nie, to nie byłoby to samo. Poza tym musisz się przyzwyczajać. No, jazda, trochę wiary we własne siły! Robi kilka kroków, zatrzymuje się, wraca.

- Nie, niezręcznie mi, idź ty.

- Kurwa, to ty jesteś Hiszpanem!

Idzie znowu, stoi parę minut niezdecydowany, po czym odwraca się w moim kierunku i robi wielki, zrezygnowany ruch rękami.

Do cholery! Mam go już dość, ta ofiara mogłaby zrobić mały wysilek.

To przez niego siedzę w tym idiotycznym kraju i sram z nudów. Opieprzam go, po czym w przypływie wściekłości odwracam się na pięcie i odchodzę, nie odwracając się. Niech sobie sam daje radę, dość już dla niego zrobiłem. Biorę się za coś innego.

Idę tak dobry kilometr, zanim głupie wyrzuty sumienia każą mi zawrócić. Miguel nie ruszył się, jak zamurowany gapi się na sklep. Daję mu znak ręką i idzie za mną, bez słowa.

Kierunek: Kongo, na południu. Pomyślałem sobie, że skoro już tu jestem, równie dobrze mógłbym zakończyć ten obchód Afryki małym wypadem do centrum, żeby zobaczyć jakieś zwierzęta i, jeśli się da, załatwić parę kobiet Pigmejów... Znów jesteśmy bez grosza, i nie mamy zupełnie ochoty zawracać sobie głowy. Wychodząc z N'Djameny wybieramy drogę na południe, do Konga pozostało sześćset kilometrów, i ruszamy pieszo.

Od paru tygodni idziemy tą długą drogą z czerwonej ziemi, całkowicie prostą, wysadzaną aż po horyzont małymi pokręconymi i kolczastymi drzewkami i wielkimi łysymi baobabami. Mangowce, na których od czasu do czasu znajdujemy wielkie owoce, pozwalają nam się pożywić. Są gorące, w środku płynne i powodują straszliwe biegunki, ale to praktycznie jedyna rzecz, jaką możemy jeść. Parę wiosek, przez, które przeszliśmy, czy pojedyncze chaty napotkane po drodze, ledwie pozwoliły nam na urozmaicenie menu. Jakiś ryż z sosem, papka z prosa i parę liści. Nic wykwintnego.

Mamy to gdzieś. Idziemy spokojnie, dwadzieścia lub trzydzieści kilometrów dziennie. Powoli tracimy poczucie czasu. Jest noc: zatrzymujemy się, żeby spać. Jesteśmy zmęczeni: siadamy. Przez resztę czasu maszerujemy na haju, rozmawiając po drodze.

Miguel utyka z tyłu. Ogolił sobie głowę i stracił ząb w wyniku chwili zdenerwowania z mojej strony, kiedy po raz kolejny próbował coś zagrać na swojej trąbce. Ciągłe trzyma ją w ręku i od czasu do czasu, bez widocznego powodu, wydobywa z niej jakieś dźwięki. Pod

pachą ściska Biblię i małe okrągłe pudełeczko po nesce, w którym znajduje się nasz zapas trawki. Jako dodatkowy bagaż schował do tylnej kieszeni małą papierową szachownicę pokrytą plastikiem i woreczek z figurami, które zrobiliśmy w Czadzie.

Już dawno nasze buty wyzionęły ducha i obaj poobcinaliśmy nogawki naszych dzinsów. Miguel zawiązał sobie na głowie koszulę, niczym turban. Przy każdej okazji, to znaczy niezbyt często, moczy ją wodą ze studni, błotnistą i o nieprzyjemnym ziemistym smaku. Na nogach mamy wspaniałe afrykańskie sandały z kawałków opon. Jesteśmy czarni, spaleni przez słońce, tak długo idziemy tą drogą bez żadnej osłony, i mamy doskonałą kondycję. Jedynym poważnym problemem jest noga Miguela. Nabawił się jakichś pasożytów stóp. Są to małe, jedno lub dwumilimetrowe larwy, gnieźdzące się pod skórą. Dziury, jakie ryją te stworzonka, w połączeniu z naszym nieustającym marszem, powodują prawdziwe cierpienia. Od paru dni zatrzymuję się trochę częściej, na partyjkę szachów. Pozwala to Miguelowi trochę odpocząć.

Podczas tej zwariowanej wyprawy przeżyłem dwie spośród najbardziej pamiętnych damskich przygód mojego życia.

Już parę kilometrów temu zauważyliśmy na horyzoncie samotną chatę przy drodze i powoli zbliżamy się do niej, mając nadzieję, że uda się tam coś zjeść.

Im bliżej jesteśmy, tym bardziej intryguje mnie pewien szczegół. Na wprost chaty porusza się mała turkusowoniebieska plama, dobrze widoczna na tle czerwonej ziemi. Jeszcze kilkaset metrów, i nie może już być żadnych wątpliwości: to porusza się dupcia, z góry na dół, zadek, który wydaje się wspaniały.

Ten wypięty tyłek zakryty niebieską spódnicą jest majestatyczny. Pochłonięta całkowicie swoją pracą kobieta, ucierająca proso w ogromnym moździerz przed chatą, nie słyszy, jak nadchodzimy.

- Dzień dobry!

Nie przerywając pracy odwraca głowę w naszym kierunku, patrzy na nas i odpowiada w miejscowym języku. Pełnymi dłońmi obejmuję poruszające się pośladki, otrzymując w odpowiedzi jedynie obojętny śmiech kobiety i absolutne przekonanie, że muszę mieć ten tyłek.

- Ej! Ślicznotko!

Znaczącym międzynarodowym gestem proponuję jej:

- Bum-bum, ty i ja?

Tym razem przestaje pracować, patrzy na mnie i odpowiada mi międzynarodowym znakiem: pieniądze.

- Nie ma pieniędzy, ślicznotko.

Przygląda się nam, jej wzrok pada na srebrną bransoletkę na ręku Miguela, to już ostatnia. Pokazuje mi ją palcem.

- Nie, Charlie, nie ma mowy!

Miguel zrozumiał i cofa się z ręką na bransoletce, żeby ochronić to swoje srebrne świństwo.

- Miguel!

- Charlie, posłuchaj...

- Daj mi tę bransoletkę.

- Nie, Charlie, to pamiątka. To ostatnia rzecz, jaka mi została po Virtudes, mojej narzeczonej...

Virtudes? Narzeczonej? Co to znaczy?

- Miguel, daj mi to.

- Nie!

Cofnął się o trzy kroki, z wypiętą piersią, zmarszczonymi brwiami, gotów bronić swojej ozdoby. Szybko uspokajam go ruchem ręki. Muszę koniecznie mieć ten niebieski tyłek, i będę musiał zabrać się do tego podstępem.

- Uspokój się! Spokojnie! Chodź tu. Chodź, mówię ci. Chcę z tobą pogadać.

Odciągam go trochę na bok i każę usiąść. Kładę mu rękę na ramieniu, patrząc prosto w oczy, i wyjaśniam:

- Dużo dla ciebie zrobiłem, prawda?

- Ale Charlie, miej chociaż trochę szacunku...

- Zrobiłem coś dla ciebie, tak czy nie?

- Tak, Charlie, zrobiłeś dużo, nie wiem, jak ci dziękować, ale...

- Możesz mi podziękować. Nie proszę, żebyś mi dał tę bransoletkę. Zależy ci na niej, to pamiątka, rozumiem to. Ale możemy o nią zagrać w szachy.

Wstaje, zupełnie nie uspokojony.

- To niesprawiedliwe, grasz dużo lepiej ode mnie.

- Turniej w piętnastu partiach, daję ci dwanaście wygranych, to chyba w porządku, nie?

Krzywi się, myśli, i w końcu się godzi.

Od następnego ranka rozpoczyna się turniej, na maleńkim kawałku pnia drzewa. Kobieta na nowo podjęła pracę, o parę metrów od nas. Patrzy, jak gramy, obojętnie, i przerywa swoje zajęcie jedynie, by iskać któreś ze swoich Murzyniątek, które od czasu do

czasu przychodzi szukać schronienia przy jej kolanach. Jej mąż wrócił wczoraj późno wieczorem, a dziś rano ponownie wyruszył w busz, z łukiem i strzałami na plecach.

Wygrywam wszystkie partie tego pierwszego dnia, doprowadzając do wyniku 6 do 12, kiedy mąż wieczorem wraca, najwyraźniej z pustymi rękoma. Idę spać dobrej myśli. Zmniejszyłem swój handicap o połowę. Jutro, najdalej pojutrze, niebieska spódnica i śniące mi się po nocach pośladki będą moje.

Następnego dnia wieczorem jestem już mniej pewny siebie. Miguel wygrał dziś jedną partię. Nie dość, że zmniejszyło to mój margines bezpieczeństwa, w dodatku zaskoczyła mnie jego taktyka.

W ciągu dnia stawka tej walki, niecierpliwie oczekująca swojej zapłaty, przyszła dowiedzieć się, jak sprawy stoją. Ale te kawałki drewna na papierku nic dla niej nie znaczą.

Podnosi spódnice i potrząsa tyłkiem przed moim nosem, wskazując na bransoletkę Miguela.

To szczere wyznanie miłości podwyższa mi ciśnienie, zaćmiewa umysł i sprawia, że przegrywam partię. Miguel dobrze wykorzystał moje lekcje, przecież grywamy tak już od miesiąca, odkąd idziemy tą drogą. Dziś wieczór jest 11 do 13, a ja sądziłem, że wygram w ciągu tego dnia.

Rankiem trzeciego dnia ten sukinsyn wygrywa pierwszą partię. 11 do 14. Przez cały dzień walczę jak wariat, bo forma Miguela rośnie. Nie doceniłem go. Bardzo inteligentnie wybrał taktykę systematycznej obrony, o którą rozbijają się wszystkie moje ataki. Następnie wykorzystując moje osłabienie pozwala sobie na luksus paru posunięć, które odpieram z najwyższym trudem.

Kiedy wraca mąż, nadal z pustymi rękami, mamy remis 14 do 14.

A kobieta coraz bardziej się niecierpliwi.

Za obopólną zgodą postanawiamy odłożyć decydującą partię na jutro, żeby przedtem dobrze wypocząć. Przez cały wieczór nie zamieniamy słowa, jemy podpłomyki przyniesione przez kobietę i kładziemy się spać nie mówiąc sobie dobranoc.

Następnego dnia rano po obu stronach pnia zasiadają wrogowie.

Przemyślałem swoją technikę. Przesunąłem pień tak obliczając jego nowe położenie, żeby Miguelowi przez cały dzień słońce paliło kark. Wszystkie chwyt dozwolone. Sześć godzin później, kiedy zbliża się pora powrotu męża, przegrałem.

Ma mnie. Królowa, goniec i jeszcze cholerny pionek. Parę dalszych ruchów i dostaję mata, nic się nie da zrobić. Podnoszę głowę, patrzę na niego, a on daje upust swojej radości. Jednym susem podrywa się, chwytając trąbkę i wypuszcza ku niebu przeciągły dźwięk triumfu.

Skurwiel!

Nie ma dwudziestu rozwiązań. Wygra, i będę musiał go ogłuszyć, żeby zabrać mu bransoletkę. Ze wszystkich sił dmie w trąbkę, śmieje się i tańczy.

Przepraszam cię, Miguel, walnę cię bez złości, ale jest poza dyskusją, żebym miał zostać pozbawiony mojej przyjemności.

Miguel w końcu odkłada trąbkę, siada, kieruje ku mnie szeroki dziurawy uśmiech i wyciąga rękę, żeby mnie wykończyć. Tuż przed zrobieniem ruchu poprawia położenie małego pionka, który właśnie ma spaść, na brzegu kartki.

Skaczę na równe nogi.

- Dotknięte! Dotknięte!

- Co, przecież by spadł!

- Dotknięte, musisz zagrać pionkiem, którego dotknąłeś. Takie są zasady.

W takich sytuacjach moja zła wola nie zna granic, i nic na to nie można poradzić. Powołuję się na międzynarodowe przepisy szachowe, odpowiada, że nigdy ich nie stosowaliśmy.

- Właśnie, najwyższy czas. Dość już tego kantowania.

W mniej niż pół godziny później podchodzę triumfalnie do mojej wymarzonej, z bransoletą w ręku, po uprzednim postawieniu Miguela na straży, żeby nie dostać strzałą od zazdrosnego męża.

Murzynka śmieje się i chce zaciągnąć mnie do chaty. Zatrzymuję Ją i gestem każe dalej tłuc proso. Właśnie tak ją chcę mieć. Zabiera się do roboty, a ja nareszcie unoszę niebieską spódnice.

Niesamowita rozkosz, zupełnie wyjątkowa, lecz niestety zbyt krótka.

Ale, po raz pierwszy odkąd rzną się w Afryce, mam wrażenie, że przyjemność jest wspólna. Jedną ręką tłukąc proso moja zdobycz nie wypuszcza z drugiej swojej bransoletki, szczebiocząc radośnie; od czasu do czasu odwraca się do mnie, zaaferowanego za jej plecami, pokazuje mi bransoletkę i uśmiecha się błyskiem wszystkich zębów. Ach! Miłość!

Następnego dnia odeszliśmy bardzo szybko, bo mąż, który znów powrócił z pustymi rękami, za wszelką cenę chciał również dostać prezent. Jednakże, chociaż zapewnił nas, że także umie tłuc proso Miguel, na którego wypadła kolej, wołał nie skorzystać.

Następnego dnia Miguel nadal boczy się na mnie. Kuleje parę kroków za mną, z głową uparcie opuszczoną ku ziemi. Ponieważ ze swej strony nie robię najmniejszego wysiłku, żeby nawiązać rozmowę, maszerujemy w milczeniu. Pochłonięci swoimi myślami

przechodzimy niepostrzeżenie przez maleńką wioskę, składającą się z czterech czy pięciu chat.

Właśnie z niej wychodzimy, kiedy wrywa nas gwałtownie z zamyślenia ostry i nieprzyjemny dźwięk gwizdka. Odwracam się i widzę, jak kilka metrów za nami jakiś karzeł zbliża się wymachując rękami, a na szyi ma gwizdek. Facet jest mały, pomarszczony, w mundurowej marynarce z odznaczeniami i w szortach, slipach czy kalesonach; wrzeszczy:

- Co to ma znaczyć! Co? No!

Patrzemy nie rozumiejąc, a tamten wydiera się jeszcze głośniej:

- Nie wolno chodzić nago po obszarze zabudowanym. Takie są przepisy! No!

Jak to nago? Po prostu nie mamy koszul, to wszystko. Co do reszty to nasze szorty są na pewno porządniejsze niż jego, a poza tym na tym kontynencie wszyscy chodzą na golasa! Jego obszar zabudowany liczy trzy domki: chodzi mu po prostu o wyłudzenie forsy od „szefów”. Daję znak, żeby się zmywał, i odwracamy się od niego, żeby iść w dalszą drogę.

Mały dmucha co sił w płucach w ten swój gwizdek, podbiega do nas i rzuca się na Miguela.

- Co to ma znaczyć! A przepisy, co? Trzeba zapłacić karę! Miguel wrywa się jak może, usiłuje się odsunąć. Rzuca mi pytające spojrzenie, więc potakuję:

- Wal.

I Miguel zabiera się do roboty, uderzeniami pięści i trąbki. Wykańcza kopniakami, kiedy gliniarz leży już na ziemi. Sam dokładałam parę kopnięć sandałem, bez specjalnej nienawiści, ale dlatego, że zawsze przyjemnie jest dołożyć władzy. Gotów jestem zapomnieć o incydencie, ale Miguel jest innego zdania i nadal wyładowuje cały swój zły humor na małym gliniarzu. Powstrzymuję go, kiedy dusi go sznurkiem od gwizdka.

- Wystarczy, spływamy.

Miguel wściekle wciska gwizdek w usta gliniarza, wzdycha, wzrusza ramionami i idzie za mną. Jeszcze długo słyszymy w tyle dźwięk gwizdka, najpierw gniewny, potem coraz bardziej rozpaczliwy.

Dzień kończy się zdecydowanie dobrze, jako że w parę godzin po naszym złym uczynku zatrzymujemy się na noc w misji katolickiej. Misja to zawsze przyjemne miejsce, bo trzeba przyznać, że księża jadają dobrze. Po kąpieli boy prowadzi nas na mszę.

Ksiądz chyba nie zarabia zbyt wiele. Oprócz trzech czarnuchów i nas dwóch w kościele są tylko dwie zakonnice. Jedna z nich to gruba Francuzka w okularach, którą ledwo zauważam, tak dalece wpatrzony jestem w drugą.

Twarz włoskiej madonny, lekko natchniona, o bardzo czystych rysach, zwrócona ku ołtarzowi w modlitwie, niczego innego nie dostrzegam. Zapominam o mszy, o chwilach, kiedy trzeba wstawać, i o sposobach, żeby wyglądało, że się odpowiada. Miguel trąca mnie łokciem, ale pogrążony w kontemplacji nie zwracam na niego uwagi.

Jest ubrana na granatowo, bez cienia kobiecości. Nie przeszkadza mi to jej się przyglądać, obserwować jej ciało poprzez gruby materiał, a krągłości, które odgaduję, doprowadzają mnie do szału. Śpiewa trzymając mszał w dłoniach. Ruch jej warg czyni jeszcze trudniejszym do zniesienia to pragnienie, które wzbiera we mnie od chwili, kiedy ją zobaczyłem.

Moje spojrzenie jest zbyt natarczywe. Odwraca głowę, patrzy. Jej wzrok napotyka mój, ucieka natychmiast, wraca na chwilę. To kobieta około trzydziestu pięciu lat, cudowna.

Przed kolacją idę na spacer, żeby się uspokoić. Wypuściłem koszulę na szorty, żeby zakryć wstydlive miejsce; całe szczęście, bo inaczej nie wiem, jak bym wyglądał stojąc podczas podniesienia.

Siedzi dokładnie naprzeciwko mnie. Położyłem stopę na jej stopie. Oczekała kilka chwil, akurat trochę więcej, niżby to wynikało z zaskoczenia, po czym cofnęła nogi. Druga zakonnica, poczciwa starsza pani, zawraca mi głowę jakimiś historiami o konfiturach. Miguel zajął się rozmową z księdzem, w połowie po francusku, w połowie po hiszpańsku. Co do mnie, to za każdym razem, kiedy patrzy na mnie moje vis-a-vis, muszę się hamować, żeby nie rozwalić wszystkich dookoła i nie wziąć jej tu, na stole.

Dobry Boże, jak ja jej pragnę! Czuję aż ból w całym ciele. Pożądanie rozrywa mi plecy i żołądek, a ta kolacja nie ma końca. Na szczęście tutaj chodzi się wcześniej spać. Mówię wszystkim dobranoc i idę się przejść po terenie misji. Wkrótce obie siostrzyczki idą do siebie. W kilka minut później pani od konfitur gasi swoją świeczkę. Moja madonna mieszka na parterze. Słyszę odgłosy prysznicza.

Czekam niecierpliwie w cieniu. Teraz idzie się położyć boy. Zostało już tylko światło w okienku łazienki. Wreszcie wychodzi, ponownie ubrana, z lampą naftową w ręku, i rzucam się do przodu. Jest to pierwsza biała kobieta, do jakiej zbliżam się od miesięcy, i wszystkie bum-bum są niczym w porównaniu z tym, co pcha mnie ku niej.

Wzdryga się na mój widok. Nie daję jej czasu na opór, a zresztą nie ma wcale na to ochoty. Wbiegamy razem do jej pokoju i zamykam drzwi.

Jest rozpalona, gotowa. Nie wypowiadamy słowa i padamy sobie w objęcia.

W tym pokoju o gołych ścianach, pod małym drewnianym krucyfiks, przeżyłem jedną z moich najwspanialszych miłosnych nocy, po której wstaję wcześniej, o wiele za

wcześniej, następnego ranka. Chronię się w swoim pokoju, gdzie Miguel jeszcze śpi. Moje ramiona i plecy pieką strasznie, porane paznokciami mojej towarzyszkii jednej nocy. W kilka godzin później wymieniamy ostatnie spojrzenia. Ona musi jechać daleko na północ, towarzysząc choremu Murzyniutku w drodze do lekarza. Jest to spojrzenie ukradkowe, które prześlizguje się między księdzem a grubą, zasypującą ją zaleceniami i przestrogi. Amore mio... Wsiada do citroena 2 CV misji i odjeżdża.

Gruba od konfitur opatruje stopy Miguela, po czym wkrótce ruszamy w drogę.

- Y, entonces, que pasa? Co jest?

Miguel bardzo by chciał, żebym mu opowiedział, ale szybko rozumie, że lepiej, żeby dał spokój. Przesiedziałem tak kilka godzin, wspominając tę cudowną noc, przeżywając raz jeszcze te chwile uniesienia najsilniejszego, jakiego nie zaznałem od dawna.

Wreszcie ruszyliśmy na południe.

Bangui. Potrzebowaliśmy jeszcze tygodnia na dotarcie do stolicy Republiki Środkowoafrykańskiej. Miasto leży na brzegu rzeki Oubangui, po drugiej stronie jest już Zair. Nad rzeką znajduje się największa budowla miasta: hotel Rock, wygodny i klimatyzowany. Tam udajemy się najpierw, a ściślej do baru, w którym zostawiam Miguela. Sam idę na mały spacer po mieście.

Bangui, o czym wiem, bo czytałem w folderach hotelu Rock, zwana jest La Coquette - Elegantka. W czasie spaceru widzę, że jest to uzasadnione. Stolica przypomina małe prowincjonalne miasta francuskie, z tymi swoimi domami w stylu kolonialnym i spokojnymi ulicami. Naturalnie Afryka zaczyna ponownie upominać się o swoje prawa. Ściany są coraz częściej obdrapane, tablice z nazwami ulic powykrzywiane, wszędzie panuje bałagan, ale pozostaje atmosfera, całkiem przyjemna po ponad miesiącu spędzonym w buszu.

Mam tylko nadzieję, że miejskie czarnuchy nie będą się mnie zbyt czeplić. Już i tak o mały włos nie rozbiłem mordy środkowoafrykańskiemu celnikowi, który nie chciał nas wpuścić do kraju. Musiał oglądać mój paszport dobrych pięć minut, żeby znaleźć zdjęcie, zdać sobie sprawę, że trzyma je na odwrót, obejrzeć je, kazać nam poczekać, podrapać się w jaja, zanim wreszcie zdecydował się nas przepuścić.

Jest tu jeden czarnuch, który wydaje się być całkiem zadowolony z siebie. Wszędzie na ulicach Bangui widać transparenty: „Dożywotni Prezydent Jean-Bedel Bokassa”. Na ścianach, wszędzie, plakaty i zdjęcia: „Generał Jean-Bedel Bokassa, Dożywotni Prezydent”. Ten przynajmniej umie zadbać o reklamę.

Odnajduję Miguela w hotelu i widzę, że nie tracił czasu. Daje się właśnie poderwać jakiejś Europejce, tłuścawej i zupełnie przeciętnej. Miguel wygląda całkiem pocziwie. Skóra spalona przez słońce, włosy wyblakłe i bardzo krótkie, jego wygląd solidnie się zmienił. Rozśmiesza mnie, kiedy widzę go z puszką neski pełną trawki i Biblią na kolanach, jak nieśmiało przygruchuje sobie po francusku dziewczynę zasłaniając sobie usta dłonią, co stało się jego nowym tikiem, mającym na celu ukrycie braku przedniego zęba. Moje lekcje francuskiego dały owoce, bo dziewczyna patrzy w niego jak w obraz.

Ona też utknęła tutaj. Przyjechała do Afryki z mężem, wysłanym służbowo. On wrócił, ona została. Biedaczka zaznała wszystkich możliwych nieszczęść. We Francji była całkowicie anonimowa, prowadziła ciężkie życie, jej seks był prosty i nieciekawym.

Afrykańskie słońce rozbudziło jej zmysły i wreszcie odkryła w sobie zdolności uwodzicielskie. Tutaj podobala się. Była pożądana i szybko ustąpiła pod naporem argumentów czarnuchów, złąknionych cywilizacji.

Jej dom wkrótce zapełnił się boyami do wszystkiego i jej życie zmieniło się. Któregoś dnia jej mąż miał tego dość. Początkowo, choć zaskoczony, był wyrozumiały, lecz szybko zmęczył się i ten tchórz bez serca zostawił ją samą na pastwę goryli. Od tej pory dziewczyna zarabia na ulicy.

Jest to w Afryce przypadek klasyczny, i liczne są, piękne romanse, które umierają na tym kontynencie.

Poza tym jest miła, jakby lekko zmęczona tymi wszystkimi przygodami. Miguel ją pociąga, i szybko zaprasza nas do siebie, do domu, który dzieli ze swoimi środkowoafrykańskimi koleżankami. Tak jak się domyślałem, ten dom to po prostu burdel zamieszkały przez grupę dziewczyn mniej więcej z jednej rodziny. Jest tu dosyć duże zaniedbane podwórze, otoczone sporą liczbą pokoi. W jednym kącie około dziesięciu dzieciaków siedzi spokojnie i bawi się z psem. Osiem czy dziesięć koleżanek Francoise leży w spódnicach, z gołymi piersiami, z oczami zaczerwienionymi od dymu papierosowego, dookoła rozżarzonego piecyka. Francoise przedstawia nas:

- Miguel i Charlie. To kumple. Właśnie przyjechali i są bez forsy.

Po czym bierze Miguela za rękę i znikają w jednym z pokoi. Dziewczyny patrzą, jak siadam obok nich, nie przywiązując do mojego przybycia szczególnej wagi. Aby przełamać lody, robię grubego skręta i puszczam w obieg, co zostaje przyjęte bez problemów.

Nie wiem, co robić. Zwykle jest tak, że to ja rznę dziewczynę, a Miguel czeka. Na szczęście atmosfera jest przyjemna. Dziewczyny pociągają ogromne sztacy z mojego skręta. Przychodzi jeszcze jedna z jakimiś ciastkami, inna robi kawę i częstuje mnie. Wszystkie te

panienki spokojnie jedzą podwieczorek wśród głośnych wybuchów śmiechu.

Widać, kto tu jest szefem, to wysoka dziewczyna, która poczęstowała mnie kawą, wydaje innym polecenia i opieprza Murzyniutka, kiedy w kącie robi się zbyt głośno.

W pewnym momencie moja sąsiadka z lewej wstaje, to mała kobietka z lasem zaplecionych warkoczyków na głowie, i zdejmuję spódnice, pod którą nie ma niczego. Naturalnym ruchem rozsuwa nogi. Schylając głowę kładzie pod krocze małe lusterko i zaczyna się drapać palcem wskazującym. Na lusterko spada pełno małych wszy, słysząc ich uderzenia o szkło. Cierpliwie drapie aż do chwili, kiedy nic już nie zostało, po czym zsypuje wszystko z lusterka w ogień i zakłada spódnice. Musiałem się roześmiać na ten widok, bo Aissa śmieje się patrząc na mnie. Wydaje się, że czuje do mnie sympatię. Robię drugiego skreśła i podaję jej, a ona siada koło mnie, połyka ogromny kłęb dymu, i mówi:

- Pracujesz tu?

Pytanie to zadaje zapewne wszystkim swoim klientom. Potrząsam głową.

- Nie, jestem nowym papieżem!

Wybuch śmiechem walić się w uda przez dobrych pięć minut. Przyglądam się jej uważniej. Jej twarz nie jest zbyt ładna, jak zwykle u Murzynek, ale ma królewskie ciało, szczupłe i giętkie jak liana, co jest tutaj rzadkością. Zauważa moje spojrzenie, które nie wydaje się jej krępować.

- Bum-bum, malutka?

Tym razem wybuch śmiechu jest powszechny. Moje określenie wydaje się im podobać, powtarzają je sobie, bum-bum, i śmieją się jeszcze głośniej. W końcu Aissa zaciąga mnie do swojego pokoju, gdzie czeka mnie kolejna niespodzianka. Pokój jest całkowicie pusty, z wyjątkiem ogromnego łóżka z baldachimem, które pamięta lepsze czasy. To naprawdę fajne miejsce. Zostaniemy tu jakiś czas. I tak mijają spokojne dni, spędzane z dziewczynami.

Około siódmej wieczorem cała „rodzinka” zabiera się do roboty. Panienki biegają we wszystkich kierunkach, przenoszą wiadra wody do mycia i naręcza czystych ubrań. Wymieniają rzeczy między sobą i hałas jest w całym domu. Około ósmej są wreszcie gotowe, przebrane za europejskie kurewki. To pora pracy, i czasem im towarzyszymy.

Spędzają wszystkie wieczory w dyskoteczce hotelu Rock, gdzie bez problemu znajdują klientów wśród Europejczyków, którzy mają ochotę na małą Murzyneczkę.

W nocy Aissa przychodzi do mnie na parę przyjacielskich bum-bum, do samego rana. Na ogół wszyscy śpią długo. Po Południu siedzą w kucki w spódnicach i objadają się

pysznymi ciastkami z sąsiedniej cukierni, palą i wygłupiają się. Wszystkie są miłe i bardzo sympatyczne. Robią „z dupy sklep” bez problemów, a co więcej, ich nocne przygody dają im tematy do jeszcze większych wygłupów.

Ich ulubiony skecz to imitowanie głupoty donżuanów poprzedniego wieczora, okrzyków i westchnień tych panów.

- I co, malutka, zadowolona? I walą się po udach z uciechy.

- Czujesz mnie, powiedz, czujesz?

Siedząc w kucki z wypiętymi brzuchami małe piękności dla tubabów śmieją się do łez. Te białaski chciałyby je zadowolić! Odgrywają przed nimi komedię przez cały wieczór i całą noc, żeby nie poczuli się zawiedzeni. Popołudniami wszystkie razem powtarzają swoje role, w kręgu dookoła piecyka.

- Teraz, teraz, weź mnie, dobrze mi.

- Już, już, juuuuż...

Są niesamowicie autentyczne w tej grze podpatrzonej na filmach porno, i daje im to okazję do zabawy. Potem dobry skręt, parę ciastek, kawa...

Czas by jednak pomyśleć o wymarszu.

Któregoś dnia, siedząc nad rzeką i rozkoszując się chwilą samotności, wpadłem na niezły pomysł. Jechaliśmy już ciężarówką, szliśmy piechotą, teraz można by spróbować pirogą. Popłynęlibyśmy w dół Oubangui, aż do Kongo, które doprowadziłoby nas bezpośrednio do portu w Pointę Noire. Stąd Miguel popłynąłby statkiem, ja wróciłbym do Europy i zająłbym się poważnie tą Saharą, która wciąż na mnie czeka.

Miguel natychmiast kupuje pomysł. Francoise i Aissa są gotowe sfinansować budowę wielkiej tratwy złożonej z trzech pirog połączonych drewnianymi balami. Wynajęliśmy więc paru czarnych, mianowałem Miguela kierownikiem budowy i jako inżynier nadzoruję prawidłowy przebieg operacji.

Od tej pory spędzamy całe dnie nad brzegiem rzeki. Miejsce jest przyjemne, w pełnym słońcu, z widokiem na Zair naprzeciwko. Na obu brzegach kobiety piorą bieliznę i rozkładają ją na ziemi, co tworzy ogromne kolorowe plamy.

W ciągu tych dni odkryłem, że Republika Środkowoafrykańska, nie mająca żadnego dostępu do morza, posiada Marynarkę Wojenną. Każdego ranka bowiem, w licznym towarzystwie, obserwuję wciągnięcie bandery na małej przystani z desek, przy której zacumowane są dwie motorowe pirogi, o jakieś dziesięć metrów od naszego placu budowy.

W tej ważnej uroczystości uczestniczy pełny skład osobowy Marynarki Wojennej w komplecie: pięciu dzikich, którzy podzielili między siebie jeden jedyny mundur francuskiego marynarza. Najgrubszy admirał, ma na sobie praktycznie całość stroju oprócz butów, które zastąpiły sandały z opon, wygodniejsze. Jego zastępca, zapewne bosman, ma buty. ale za to jest bez spodni. Dwaj inni mają na spółkę nakrycie głowy: jeden ma beret, drugi wpiął sobie we włosy czerwony pompon. Piąty dusi się w ogromnej żółtej sztormowej pelerynie, zapiętej pod szyję. Wszyscy zachowują śmiertelną powagę starając się stać na bacność. Z brzuchem wypiętym do przodu, tyłkiem odstającym i stopami do wewnątrz grubas dmucha w gwizdek i facet z pomponem, najniższy stopniem, wyćwiczonym ruchem chwyta banderę. Następnie podbiega do masztu, wspina się na niego, zamocowuje szmatę na wysokości pięciu metrów od ziemi i, schodzi. Ponowny dźwięk gwizdka i cała armia, na czele z admirałem, znika.

Każdego ranka moje nadzieje, że zobaczę, jak facet spada na ziemię, okazują się płonne. Czuję, że rozczarowanie to przeżywają wszyscy obecni, i sfrustrowani nie mają ochoty się rozejść.

Marynarka Wojenna: musi to być jeszcze jeden kaprys Jean-Bedela Bokassy, Dożywotniego Prezydenta. Nie tylko wytapetował całe miasto swoimi fotografiami, swoim nazwiskiem albo obiema tymi rzeczami naraz, ale w dodatku miejscowe radio mówi tylko o nim. Nawet piosenki są o nim, a na tym jeszcze nie koniec.

Którejś niedzieli, kiedy wszyscy jesteśmy nad rzeką pracując przy budowie naszej tratwy, żeby przyspieszyć wyjazd, przychodzi po nas stado gliniarzy, którzy chcą nas zabrać do pałacu prezydenckiego, chałupy trochę większej niż inne, gdzie podobno mamy wziąć udział w jakiejś uroczystości.

Moją pierwszą reakcją jest odesłanie ich do diabła, ale w końcu ustępuję wobec słuszności ich argumentów, bo są grubi, liczni i dobrze uzbrojeni. Uroczystość to mianowanie na wyższy stopień generała Bokassy, Dożywotniego Prezydenta. Wszyscy murzyńscy notable są obecni, podobnie jak praktycznie wszyscy biali mieszkańcy Bangui, a w pierwszym rzędzie stoją dyplomaci z koszmarnie znudzonymi minami. Zostać konsulem w takim pajacowatym kraju to zapewne bardziej szykana niż awans. Na wprost publiczności udekorowane podwyższenie. Obok pięciu dzikich w operetkowych mundurach; jest to zapewne Dożywotnia Orkiestra Republiki Środkowoafrykańskiej, która bez przerwy gra melodię „Marszałek Jean-Bedel Bokassa”, następny przebój Radia Bangui.

Pół godziny oczekiwania, dookoła wszędzie pełno żołnierzy pod bronią. Wreszcie nadjeżdża, w galowym mundurze, przy dźwiękach pum, pum, pum, hymnu narodowego nieludzko fałszowanego przez orkiestrę.

Staje przed mikrofonem. Obok niego wojskowy pajac uginający się pod ciężarem orderów potakuje głową każdemu słowu naczelnego pajaca.

I zostajemy zbryzgani potokiem kretynizmów.

- Mamy dzisiaj wielki dzień dla przyszłej historii, właśnie, więc muszę podziękować wszystkim, którzy zechcieli przyjść i fizycznie uczestniczyć w tej uroczystości, zarówno obywatelom zaprzyjaźnionych krajów, jak i członkom wspólnoty ludności naszego pięknego kraju. To wielki dzień, który widzi w mojej osobie, która stała się marszałkiem, gwarancję jedności, wojskowo i społecznie biorąc, w Republice Środkowoafrykańskiej, nareszcie ostatecznie przywróconej...

I tak to trwa przez godzinę. Nie gwarantuję dosłowności tego przemówienia, ale właśnie dokładnie takie wrażenie to robi.

Miguel i ja skręcamy się ze śmiechu, i dostrzegam wokół wiele osób, które powstrzymują się z trudnością. Od czasu do czasu Miguel wykrzykuje jakieś hiszpańskie przekleństwo, tonem jakby to był komplement.

Bokassa mówi dalej, całkowicie niezrozumiale, ja zaś zupełnie przestałem słuchać. Wreszcie milknie, pozwala się oklaskiwać, drapie się w jaja i znika. Możemy się rozejść.

Trudno uwierzyć, że ten błazen jest głową państwa i że ma za granicą swoich przedstawicieli. Ale jeszcze tego samego wieczoru zdaję sobie sprawę, że jak zawsze w Afryce, komiczne szybko przekształca się w tragiczne.

Jest niedziela, dziewczyny nie pracują i wszyscy siedzimy wokół piecyka w największym pokoju, kiedy przerywa nam zabawę jakiś sierżant. To potężny, dwumetrowy osiłek, tępý i całkowicie pijany. Postanowił, że będzie dziś rżnąć, i upodobał sobie jedną z naszych koleżanek. Choć jest to niedziela, Afrykanka nigdy nie odmówi zarobienia paru groszy. Ale nasz gość, dumny ze swego munduru, chciałby walić za darmo. Dyskusja zaognia się, po czym zaczyna się wymiana ciosów. Goryl, z przekrwionymi oczyma, wyciągnął pałkę i wali, gdzie popadnie, nie patrząc, czy to dziecko, staruszka czy mniej stara. Aissa, która najwyraźniej mu się spodobała, zostaje pozbawiona przytomności jednym uderzeniem i ta gruba świnia rzuca się na nią najwyraźniej zamierzając skonsumować swoją miłość na miejscu. Odtąd wszystko dzieje się bardzo szybko. Z zasady nigdy nie mieszam się do spraw miłosnych, ale kiedy zaczął walić dookoła po głowach, trzeba było zadziałać z dużym taktem. W tym przypadku takt to tłuczek do prosa.

Odporność Afrykanów na ciosy zawsze mnie zadziwiała. Tłuczek jest ciężki, uderzenie bolesne, ale facet nadal stoi na nogach.

Sufit jest nisko i nie mogłem zadziałać z konieczną w takich przypadkach precyzją. Na szczęście zdradzieckie kopnięcie w goleń pozbawia go równowagi. Przybiera dogodniejszą pozycję, i mogę przedstawić mu ze dwa dodatkowe argumenty, które ostatecznie go przekonują.

Dziewczyny są zadowolone, plują na niego i częstują kopniakami. Ale co zrobić z tą górą mięsa, żeby uniknąć zemsty? Jestem zdania, żeby wrzucić gościa do rzeki. Miguel chce go utopić w latrynie, a Aissa proponuje dać jego wątrobę do zjedzenia dzieciom, które są właśnie w wieku dojrzewania. Ratuje go Francoise mówiąc, że jest tak pijany, że nazajutrz i tak nie będzie pamiętał niczego, więc ukradkiem przenosimy go na niedalekie wysypisko. Pomysł Aissy, żeby zjeść mu wątrobę, rozbawił mnie, ale Francoise zapewnia mnie, że nie był to żart.

- To się jeszcze często robi, żeby przejąć siłę wroga.
- Niemożliwe, są jeszcze ludożercy?
- Więcej, niż myślisz. Nie mówi się o tym, ale są.

Wszyscy tutaj wiedzą, że prezydent Bokassa jest wielkim amatorem ludzkiego mięsa.

Kretyński ludożerca, jak można pomylić wyborców ze spiżarnią? Zapada wieczór, a ja dowiaduję się coraz ciekawszych rzeczy o tym skurwielu. Nie ma tu jednej rodziny, która nie ucierpiałaby od jego despotyzmu i w której przynajmniej jeden człowiek nie zostałby zjedzony lub nie zaginął bez wieści. Jedyne obowiązujące prawo to jego dobra wola. Południowoamerykańscy dyktatorzy to nowicjusze w porównaniu z nim. Kazał uwięzić lub wytluc tysiące ludzi, których jedynym przestępstwem było posiadanie bogactw, na które miał ochotę. Mężczyźni, kobiety, dzieci, nikt nie zostaje oszczędzony, a często nawet ginie z jego własnej ręki. Młoda biała turystka, na którą miał ochotę, została znaleziona nieżywa w swoim pokoju w hotelu Rock. Czasami przybiera to bardziej zabawne formy. Na przykład kazał wsadzić do więzienia całą drużynę futbolową, bo przegrała mecz z reprezentacją kraju sąsiedniego. To zdecydowanie niewyraźna postać. Jeśli wielcy tego świata przyznają mu rangę, której się domaga, kto wie, jak daleko jeszcze może się posunąć...

Byliśmy już świadkami, jak wysoki urzędnik francuski podarował mu szpadę Napoleona, to znaczy broń faceta, który, choć był dyktatorem, miał jednak zdecydowanie inną klasę niż ten cesarz za dychę. Później Francja udzieliła azylu politycznego temu mordercy, który zasługuje jedynie na zwykłe więzienie. Brawo dla Amnesty International, której udało się obalić tego kretyńskiego ludożercę.

Po tej błazenadzie jeszcze bardziej mi pilno, by zwijać się z tego kraju, i przyspieszam

prace, dzięki czemu po paru dniach tratwa jest wreszcie gotowa. Jest wspaniała, są to trzy siedmiometrowe pirogi połączone ogromną platformą z bambusa. Nadbudówka z palmowych liści będzie nas chronić przed słońcem.

W dniu ochrzczenia naszego okrętu wieczorem nadciąga burza, która powoduje ogromne fale na Oubangui. Całą noc jestem niespokojny, i kiedy następnego dnia rano przychodzimy na plac budowy, moje obawy potwierdzają się. Tratwa została zabrana. Ludzie mówią, że to na pewno sprawa Zairczyków, którzy mają tu złą reputację, ale ponieważ nie mamy pewności, wyruszamy na poszukiwania pięć kilometrów w dół rzeki, gdzie ponownie stykamy się z afrykańskimi bzdurami.

Podobno w trakcie naszych poszukiwań znaleźliśmy się niechcący w strefie wojskowej, w której ilość drzew ma znaczenie strategiczne. Toteż wkrótce otacza nas uzbrojony oddział. Są doskonale wyposażeni, mają wszystko co trzeba, widzę nawet jednego z maską przeciwgazową u pasa.

Aresztowanie, więzienie, żadnego bicia, ale izolacja przez dwa dni, do dnia procesu. Jesteśmy oskarżeni o szpiegostwo. To afrykańska choroba. Nie mają nic do ukrycia, ale trzeba na przykład mieć zezwolenie na robienie zdjęć. To chorobliwe majaczenia. W dwa dni później proces. Jesteśmy na podwórzu koszar. Naprzeciw nas, u szczytu schodów jakiegoś baraku, zebrani są wszyscy oficerowie. Po bezładnym przemówieniu wydają brudnym szpiegom, którymi jesteśmy, polecenie opuszczenia terytorium środkowoafrykańskiego w ciągu dwudziestu czterech godzin. W przeciwnym wypadku: więzienie, proces, rozstrzelanie. Kiedy przechodzą kryzys szpiegomanii, są zdolni do wszystkiego.

Postanawiamy opuścić kraj. Ale nie ma tu samolotu, nie ma pociągu...

Sytuację ratują Francoise i Aissa, kupując nową pirogę, do której wsiadamy tego samego dnia, zaopatrzeni w niezbędny prowiant. Prąd nas unosi, Miguel trochę wiosłuje. Znowu wyruszyliśmy na południe. Już po paru minutach rzuciłem wiosło.

Przez kilka tygodni trwa ta podróż jak z chorobliwego snu. Miguel szybko przestał wiosłować. Leżymy na dnie pirogi i pozwalamy się unosić prądowi. Palimy ogromne ilości zairskiej trawki doskonałej jakości, która zwała nas z nóg na całe dnie. Czasami, widząc w pobliżu wioskę, schodzimy na ląd szukać czegoś do jedzenia, po czym ruszamy dalej. Na noc po prostu unieruchamiamy pirogę na mieliźnie. W trakcie tego spływu zobaczyłem nareszcie afrykańskie obrazki, jakich się tutaj spodziewałem. Widziałem pełno zwierząt, hipopotamy, krokodyle. Miałem też w końcu okazję załatwić kilka kobiet Pigmejów. W jednej z wiosek stary Pigmej zaprowadził mnie do swojej chaty, by z dumą pokazać mi stary, pordzewiały

budzik. Doradziłem mu, żeby nosił go na szyi, aby odpędzać złe duchy.

Początek podróży był zabawny, ale zakończenie okazało się trudne i męczące.

Nabawiliśmy się malarii i ameby, żeby się napić, musimy nurkować do dna, gdzie woda jest mniej zanieczyszczona. Wstrząsani dreszczami szybko tracimy na wadze. Jakby naumyślnie piroga często utyka wśród gałęzi przybrzeżnych drzew, a wysiłki potrzebne dla jej odblokowania wycieńczają nas. Trawieni gorączką i bez sił docieramy do Brazzaville, gdzie mieliśmy nadzieję odpocząć. Ale czekał na nas nieprzejednany celnik.

W Kongu-Brazzaville zostali maoistami. Celnik, Murzyn w chińskim mundurze, na początek zabronił nam wyjścia do miasta i pobytu w nim. Nie wolno nam nawet iść do lekarza. Potem oglądał nasze zdjęcia w paszportach przez dobrych dziesięć minut, udając, że czyta nazwiska. W końcu popatrzył mi prosto w oczy i powiedział:

- Nie jesteście do niczego przydatni w naszym życiu.

- Co?

- Jesteście nieproduktywni. Jesteście pasożytami. Wszystkie ręce powinny być wykorzystane dla produkcji, żeby rozkwitło sto kwiatów, Jak nas nauczył przewodniczący Mao. Powinniście się wstydzić.

Zachowuję się cierpliwie, dopóki nie przystawi nam swoich pieczętek, po czym mówię mu, żeby dał sobie wsadzić jakiemuś Grekowi.

- Wsadzić Grekowi?

Niczego nie zrozumiał. Ułatwiam mu zadanie mówiąc, że wystarczy Senegalczyk. Zanim potrafi znaleźć jakąś odpowiedź w swojej małej czerwonej książeczce, już nas nie ma. Skoro nie możemy zostać w mieście, wsiadamy do pociągu, który przez busz dociera do Pointe Noire, naszego przystanku docelowego. Bo mamy już dość tej przejażdżki po Afryce. Postanowiłem, że na tym koniec.

Na plaży, koło portu, powoli wychodzimy z malarii. Tam też kończymy naszą Biblię. W ciągu tych kilku dni poznaję paru Europejczyków, którzy stali się Afrykanami przez te lata, jakie tu spędzili. Goszczą nas u siebie i parę interesów z nimi pozwala mi na zgromadzenie gotówki. Połowę oddaję Miguelowi.

Znalazłem sobie statek. Stary cypryjski pordzewiały towarowiec, który jutro wypływa do Rotterdamu. Ja wracam na północ.

Już najwyższy czas się rozstać. Cała ta historia naprawdę zaczyna mi ciążyć. Miguel może już sobie sam dać radę. Co do mnie, osłabionego tym długim afrykańskim epizodem, pora, bym zabrał się za ciąg dalszy.

- Ciao, Miguel!

- Do widzenia, Charlie. Dziękuję za wszystko. Ściska mi dłoń. Jest wzruszony, to widać. Ja też, ale nie okazuję tego.

Ej, ty tam, na górze! Widziałeś?. Uratowałem kogoś!

Część druga

Statek wysadził mnie w Rotterdamie, po przyjemnej podróży bez przygód. W czasie wolnym od pracy cypryjscy marynarze grali w backgammon. Ponieważ mieli już kości, nauczyłem ich ciekawszej gry w craps. Szczęście mi sprzyjało. Nie musiałem nawet oszukiwać, żeby oskubać ich z paru setek dolarów. W Europie jesień. Powrót do cywilizacji jest dla mnie zawsze trudny. Za dużo ludzi, za dużo hałasu, za dużo przepisów. Natychmiast pojechałem do Bordeaux, gdzie zawsze odżywają moje wspomnienia z dzieciństwa.

Tu osiedliła się moja rodzina po przyznaniu niepodległości Maroku. Tutaj miałem swoje □ czterysta batów”.

Byłem fizycznie nadzwyczaj rozwinięty na swój wiek i całkowicie poświęciłem się jednemu interesującemu zajęciu, jakie wówczas było w moim zasięgu, to znaczy ulicznej przygodzie. Równocześnie trochę pochodziłem do liceum, żeby zrobić przyjemność matce. Było to moje jedyne ustępstwo. Pamiętam dzień matury. Byłem już szefem gangu, przyjechałem na egzamin kradzionym samochodem, z jednym z moich ludzi jako kierowcą...

Narobiłem wtedy sporo głupstw, które zmusiły mnie do opuszczenia miasta w bardzo młodym wieku. Spędziłem następnie rok na Lazurowym Wybrzeżu, starając się przekroczyć granicę. Żeby wyjechać z Francji, próbowałem wszystkiego.

Dwukrotnie wstępowałem do Legii Cudzoziemskiej, zgłosiłem się na ochotnika podczas Wojny Sześciodniowej: ileż nieudanych prób. Trafiłem wreszcie na sędziego dla nieletnich trochę mniej głupiego, a może trochę sympatyczniejszego niż inni, który zrobił co trzeba, żebym dostał paszport. W Cannes wsiadłem na statek do Buenos Aires - miałem osiemnaście lat, przeżyłem siedem lat intensywnych przygód, przyjemności, podróży. Wracam do Bordeaux po raz pierwszy. Ciekawiłoby mnie spotkać moich dawnych kumpli, tych, którzy się ostali spośród członków bandy nieświadomych niczego dzieciaków, jakimi wtedy byliśmy. Chciałbym przede wszystkim spotkać się z grubym Christianem. Poszedłem go szukać w barze, w którym mieliśmy zwyczaj się spotykać. Właściciel, gruby i wąsaty, nie może otrząsnąć się ze zdumienia.

- Charlie, kurwa, ile to lat. Siedziałeś?

- Nie.

- Nawiałeś?

Naprawdę nic się tu nie zmieniło, i nie czuję się z tym dobrze. W tych gorszych dzielnicach, jak Capus, Klober, Saint-Michel, gdzie jako nastolatek szukałem przygód,

mieszkają teraz cudzoziemcy. W każdej rodzinie, hiszpańskiej, portugalskiej czy arabskiej, przynajmniej jeden chłopak siedzi albo się ukrywa. Porozumiewawcze mrugnięcie barmana, jego zachowanie starego alfonsa, cały ten cyrk zbytnio przypomina mi to wszystko, co sam znałem.

To powrót do przeszłości, o której myślałem, że jest już definitywnie zamknięta. Przerywam wąsatemu, który już rozpoczął jakąś opowieść.

- A gruby Christian, masz jego namiary?

Po niecałej godzinie wiem, gdzie go szukać. Mieszka na jednej z tych brudnych uliczek za portem. Jego dom nie wygląda zbyt zachęcająco: to budynek trzypiętrowy, ciemny i pełen wilgoci. Mieszkanie Chrisa jest na ostatnim piętrze.

Pukam. Otwiera on sam.

- Charlie!

Zaskoczenie. Zmienił się, nie przypomina człowieka, którego znałem. Gruby Christian stał się ogromny. Waży co najmniej sto kilo, jego rysy jakby pogrubiły. Zestarzał się.

Po chwili zakłopotania zaprasza mnie do środka. Tu następne zaskoczenie, Christian jest żonaty. W kuchni poznaję jego żonę, która ma brzuch równie duży co mąż. Ale ona ma wytłumaczenie, jest w ciąży.

Trochę zażenowany patrzę, jak Christian, który także czuję się nieswojo, nalewa anyżówkę. Posyłając mi zakłopotane uśmiechy przeszukuje swoje małe zasyfione mieszkanie i w końcu znajduje w tym bałaganie dwa czyste kieliszki. Właściwie ma nadal tę samą, lekko otluszczoną mordę, postarzał się głównie przez ten brzuch. Kiedy siada naprzeciwko mnie, rozpoznaję swojego starego kumpla. Nasze zakłopotanie szybko znika, i na całkowitym luzie wypijamy anyżówkę za anyżówką wspominając dawne czasy.

- Słuchaj no, a gdzie twój brat?

- Nie żyje.

Młodszy brat Christiana był wspaniałym facetem. Nie miał szczęścia. Ale był coś wart.

- Co się stało?

- Obrabiał jubilera.

Pociąga łyk anyżówki, wypuszcza dym ze swojego małego cygara.

- Jubiler strzelił mu w plecy. Tydzień męczył się w szpitalu.

To cios. Pierwszy. W miarę, jak wypytuję o innych członków mojej bandy, gruby Christian wypija łyczek i oznajmia mi wyrok: umarł w więzieniu albo, dla szczęśliwców, ukrywa się. Dziewczyny powychodziły za mąż lub zniknęły.

- Jedna tylko często do mnie dzwoni, żeby pytać o ciebie, to Suzy. Chyba zdrowo na ciebie leci, bo za każdym razem nalega, żebym jej powiedział, gdzie jesteś. Jakbym ja coś wiedział...

- Już nie jest z małym Peyruse?

Peyruse, też jeden z moich najlepszych kumpli, był do szaleństwa zakochany w blondynce Suzy, która traktowała go jak szmatę, aż w końcu zgodziła się za niego wyjść na krótko przed moim wyjazdem.

- Nie są już małżeństwem. Rzuciła go. Od tej pory Peyruse rozpił się, ona wyszła powtórnie za mąż, to wszystko.

Nalewa nowy kieliszek i spokojnie zapala małe cygaro. Pije dużo więcej niż dawniej, ale zachował zwyczaj zapalania małych mecarillos. Nadal robi to tym samym ruchem, z głową pochyloną nad zapalką. Zdaję sobie sprawę, jak wielką przyjemność sprawia mi spotkanie z nim.

Wieczorem zabawa na mieście, i piękna Suzy kładzie się do mojego łóżka.

To piękna kobieta, blondynka, wysoka i elegancka, ale noc kończy się fiaskiem. Jej widok przypomina mi za bardzo Rancho Peyruse'a, mojego najlepszego kolegę, pełnego zalet, który był w niej tak zakochany, że aż sam się przez to zniszczył... Wolałem nie spotykać się z nim, żeby nie tracić dobrych wspomnień, jakie po nim mam.

Suzy wyjaśnia mi, że zainteresowała się mną od czasu, kiedy któregoś wieczoru dałem jej kopa w tyłek, bo nie mogłem już znieść tego, jak traktuje Peyruse'a. To, że jakiś mężczyzna poniżył ją, podczas gdy wszyscy klęczeli u jej stóp, wywarło na niej głębokie wrażenie.

Następne dni są rozczarowujące. Christian prowadzi mnie do starych znajomych, którzy ustatkowali się i zeszmacili albo zaczęli zajmować się jakimiś beznadziejnymi szwindlami, które mnie nie interesują. Tylko jeden spośród nich, Claude, utrzymał się na powierzchni i prowadzi życie w sposób przyzwoity.

Ale najprzyjemniejsze chwile spędzam z moim starym kumplem. Między kieliszkiem anyżówki i szklanką wina, które przypominają mi smaki znane z młodości, opowiadam mu swoje przygody. Któregoś wieczoru pyta:

- A co teraz?

Opowiadam mu o afrykańskim handlu, o samochodach, o pustyni, o Afryce, o zabawach.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- W tych dniach.

- Można na tym zarobić?
- Jak się to zrobi po mojemu, to tak.
- Jadę z tobą.

W zasadzie miałem zamiar odbyć tę pierwszą podróż sam. Ale reakcja Christiana sprawia mi przyjemność.

Tyle razem narozrabialiśmy! Napisano nawet o nas artykuł w prasie, w DSud Ouest”, pod tytułem „Początkujący gangsterzy”. To równy facet, odważny i tak spokojny, że nic, absolutnie nic, nie może go wytrącić z równowagi.

- A twoja żona? Obala tę wątpliwość.
- Mam ją w dupie.

Z grzeczności próbuję się za nią wstawić.

- Wygląda bardzo miło.

Patrzy na mnie przez chwilę. Wie, co myślę o kobietach, i zna moją opinię na temat małżeństwa.

- Charlie, nie zawracaj głowy. Wiesz, jak to jest. Na początku fajnie nam było w łóżku, podobało mi się to... Ale odkąd ma to dziecko, stała się nie do zniesienia. Zostawiam jej moją forszę i jadę z tobą. Wakacje dobrze mi zrobią.

Następnego dnia odwiedzamy okoliczne cmentarzyska samochodów, żeby znaleźć sobie wóz. Znajdujemy na trzecim. Właściciel złomu, młody facet, mówi nam, że ma właśnie do sprzedania peugeota 404?

- Od razu mówię, że nie wygląda najlepiej.

Ma akcent południowego zachodu, aż uszy bołą. Jest pół-Cyganem i zapewne półłodziem. Jeśli sam mówi, że nie jest to najlepsza okazja, to znaczy, że wóz się rozsypuje.

To wrak koloru piaskowego, poobcierany i pokryty pęcherzykami rdzy. Chris robi minę zawodowca i obchodzi samochód dookoła.

- Charlie, chodź zobaczyć.

W środku nie ma nawet jednej klamki na swoim miejscu, siedzenia są dziurawe, a podłoga przepuszcza światło. Chris ciągnie za kawałek blachy. Szeroki pas przeżartego metalu zostaje mu w ręku.

Prostuje się, zapala mecarillo i podsumowuje:

- Ten wóz się sypie. Zwracam się do Cygana:
- Jeździ to?

- Tak, jeździ, używam go na zakupy.
- I ile za niego chcesz?
- Boja wiem... Sześćset franków. Patrzę na Christiana i decyduję:
- Bierzemy go.
- Zgoda.

Cygan patrzy na nas przez chwilę, nie rozumiejąc. Z trudem powstrzymuje uśmiech, który rozszerza się, kiedy podaję mu dwa banknoty pięćsetfrankowe.

- Za nadwyżkę nałożysz mi do bagażnika części zamienne do peugeot'a i znajdź mi magnetofon i jakieś kasety, jeśli masz.

Z pomocą Christiana, który nosi jak najmniej. Cygan wypełnia mi bagażnik różnymi częściami, jak leci. Po półgodzinie magnetofon jest zamontowany i gość odstępuje nam parę swoich własnych kaset, ze Stonesami, Dorsami i Janis Joplin.

Możemy jechać. Silnik zapala od razu. Pochylony przy opuszczonej szybie Cygan pyta:

- Daleko tak jedziecie?
- Odpowiada mu Christian spokojnym głosem.
- Do Afryki.
 - Nie?

Teraz już śmieje się otwarcie. Pozostawiamy go rozbawionego i wracamy do centrum Bordeaux. Po południu Christian zajmuje się dokumentami, dowodem rejestracyjnym i ubezpieczeniem.

Około siedemnastej wyruszamy na południe.

- Dokąd konkretnie jedziemy, Charlie?
- Do Niamey, w Nigrze.
- O, kurwa!...

Dziś rano przekroczyliśmy granicę hiszpańską. Ja prowadzę. Żeby ze mną rozmawiać, Christian musi podnosić głowę. Po stronie pasażera kawałek podłogi puścił i połowa siedzenia zwisa pod samochodem, niedługo po naszym wyjeździe.

- Charlie, powiedz, gdzie jest ten Niger?
- Zaraz pod pustynią, po Algierii.
- Tam są Murzyni?
- Uhm.
- Są tak samo tępi jak ci, którzy mieszkają we Francji?
- Nie. Tam są w swoim środowisku. Ci z buszu są fajni. Ci z miast są zepsuci. Za

bardzo lubią pieniądze. Naśladują swoich kolonizatorów. Chociaż nie powinni.

Zapala mecarillo i sięga ręką do tyłu, żeby wziąć jakąś butelkę. Mamy tu parę litrów anyżówki, whisky, koniaku, wina bordeaux, a także sery. Możliwości Christiana zadziwiają mnie. Pije, po czym sika. Odkąd jesteśmy w Hiszpanii, narzeka, że za granicą źle się jada. Christian nigdy nie wyjeżdżał z Francji. Będzie cierpiał w Afryce, jeśli chodzi o jedzenie.

- To prawda, że tam zjadają się między sobą?

- Tak. Czasami...

- O, kurwa...

To cały Christian. Pojechał ze mną nie mając zielonego pojęcia o tym, dokąd jedzie. Zaśmiewamy się bez przerwy. Od wyjazdu całkowicie się odnaleźliśmy nawzajem. Magnetofon, dużej mocy, gra na cały regulator. Christian ubrany jest jak na lotnisko, cały na białło i w tenisówkach. Nacisnął sobie na oczy małe słomiane sombrero, co uzupełnia jego wygląd „a la mecarillo”.

- Dobry interes zrobiliśmy z tym wozem, nie?

Fakt, że samochód zachowuje się bez zarzutu. Jeśli nie liczyć jakichś metalicznych, nie zidentyfikowanych stuków oraz przeciągu, silnik musi być w dobrym stanie. Pracuje równo. Nie znam się zupełnie na mechanice i Christian też nie. Podczas postoju, jeszcze we Francji, obszedł samochód dookoła i powiedział:

- Charlie, trzeba dbać o wóz, nalewać wody i sprawdzać poziom oleju.

- Myślisz?

- Jestem pewien. Poza tym, trzeba nalewać benzyny.

Dał parę kopniaków w opony i zapewnił mnie, że są dobre.

Podczas kontroli drogowej gliniarz doradził nam jednak, żeby je zmienić. Jazda na łysych oponach jest niebezpieczna, a w dodatku zabroniona. Odparliśmy, że właśnie jedziemy to załatwić, i zmyliśmy się.

Christian ma prawo jazdy. Co do mnie, to miałem ich kilka. Niektóre kupiłem” żeby dostać pozostałe, musiałem oszukiwać. Nie mam pojęcia o znakach drogowych.

Jedziemy bez przerwy, chyba że Christian chce się wysikać. Praktycznie prowadzę zawsze ja. W Barcelonie aptekarka trochę głupsza od innych zgodziła się sprzedać mi bustai, i połykam pigułkę za pigułką.

- Co to za świństwo?

- Tabletki na schudnięcie.

- Po co to bierzesz?

- W dużych dawkach to środek pobudzający. To mocniejsze niż speed.

- No tak, to po prostu świństwo!

I sięga za siebie po omacku, by złapać jakąś butelkę.

Przejazd samochodem przez kraj europejski nie ma w sobie nic interesującego. Zamierzam jechać bez zatrzymania aż do Adraru, wrót do tej pustyni, w którą chcę się zagłębić. Stąd to teraz dwa tysiące kilometrów. Szybko dojeżdżamy do Algeciras, hiszpańskiego portu, skąd wsiada się na prom do Maroka.

Po dwugodzinnej przeprawie, w całości spędzonej w barze, lądujemy w Ceucie. Jest to hiszpańska enklawa na marokańskim terytorium. Całe miasto to strefa bezcłowa. Christian jest zachwycony okazją. Korzysta, żeby zaopatrzyć się w alkohole.

Jego radość nie trwa długo. Zaraz po wyjeździe z miasta czekają na nas marokańscy celnicy w długim, brudnym baraku. Każą czekać całymi godzinami rodzinom obładowanym bagażami i tekturowymi pudłami. Ci panowie postanowili obrzydzić nam życie. We wściekłość wprawia mnie jakiś grubas, władczy, w nieświeżym mundurze. Jest pełen wyższości, podejrzliwy, i tracimy z nim godzinę. Rozpoczyna dokładne przeszukanie. Znajduje butelki z alkoholem żąda swojej części. Odstępuję mu kilka.

Już od pierwszej chwili ta świnią popsuła mi powrót do kraju.

Urodziłem się w Maroku i spędziłem tam dzieciństwo. Zachowałem z tego okresu najlepsze wspomnienia. Tak bardzo cieszyłem się na myśl, że spędzę tam znowu kilka dni, a teraz już nic z tego. Postanowiłem przejechać przez Maroko i rwać prosto na południe. Christian nie jest zachwycony utratą swoich butelek i mamrocze coś w swoim fotelu. Pomimo fali nienawiści, jaka mnie ogarnęła, zwielokrotnionej pod wpływem bustai, staram mu się przedstawić inny obraz Maroka. Celnicy to po prostu gliniarze. Kraje trzeciego świata i dyktatorzy, których tam zatrzesienie, stawiają sobie za punkt honoru, by ubrać w mundury najgłupszych ludzi w kraju. Im tyran jest silniejszy, tym większymi kretynami są jego psy. A na dole, nie doksztalceni, otumanieni propagandą, prości ludzie mogą tylko się zamknąć do czasu, kiedy jeszcze silniejszy facet albo jeszcze większy szaleniec potrafi wyrwać ich z tej bierności.

Przekraczamy masyw K'etama. Podekscytowany nie zwalniam na serpentynach górskiej drogi. Zaczynam odczuwać uboczne efekty bustai. Kark mam obolały. Wszystkie mięśnie mi sztywnieją. Myśl o jedzeniu napawa mnie wstrętem. Christian obżera się w oberży przy szosie. Ja kupuję sobie paczuszkę haszu od klientów, którzy palą bez przerwy, i wypijam

bez przyjemności miętową herbatę.

A przecież tak dawno miałem ochotę na tę herbatę. Należy ona do moich wspomnień z dzieciństwa spędzonego w Tarroudant, na pustyni marokańskiego południa. Jedna z ostatnich rzeczy, jakie pamiętam, pochodzi z okresu deklaracji niepodległości. Mam dziesięć lat i siedzę pod stołem z moimi braćmi i siostrą. Na zewnątrz wszystkie okna udekorowane są czerwonymi flagami marokańskimi, z wyjątkiem okien naszego mieszkania. Mój ojciec, legionista, wywiesił barwy francuskie. Sam, z gołą głową i w rozpiętej koszuli, strzela z pistoletu. Matka podaje mu pełne magazynki i Dkoktajle Mołotowa”, które przygotowała. Oboje są przekonani, że tamci przyjdą nas wyróżnić.

Christian śmieje się, słuchając moich opowieści.

- No, no, ostro wtedy było.

- Ostatnie chwile były trochę trudne. Ale tamci mieli rację, że się zbuntowali. Epoka kolonialna już się zakończyła.

Powtarzam mu, że Marokańczycy to ludzie sympatyczni, przyjaźni i bardzo gościnni. Ale po tych kilku beznadziejnych przykładach, jakie widział na własne oczy, nie udaje mi się go przekonać, a nie ma już okazji, żeby zobaczyć inne.

Przejeżdżamy przez Maroko w rekordowym czasie. Christian drzemie obok mnie, rzecz dla mnie niemożliwa, bo zbyt szybko jestem podekscytowany speedem, który utrzymuje mnie na fali.

Na pełnym gazie jedziemy drogą na Figuig, która na szczęście nie jest zbyt uczęszczana. Nieliczne ciężarówki, które jadą z przeciwka, Zmuszają mnie do zjeżdżania na pobocze, bo droga jest o wiele za wąska, żeby pomieścić dwa pojazdy obok siebie. Do Figuig dojeżdżamy wczesnym rankiem. Załatwiamy tylko formalności celne po stronie marokańskiej, oddajemy parę butelek, i w drogę.

Po stronie algierskiej zmiana jest natychmiast odczuwalna. Celnicy są sympatyczni i wykonują swoją robotę nie oczekując od nas niczego. Mimo to daję im parę butelek wódki. Zamierzam przejeżdżać tędy często i zależy mi, żeby zachowali o mnie jak najlepsze wspomnienie. Algierskie szosy są o wiele lepsze od marokańskich. Są szerokie, a nawierzchnia jest doskonale utrzymana. Z nogą wciśniętą w pedał gazu przemierzamy w godzinę odległość Figuig - Behar.

Tutaj postój. Kawa, benzyna, piętnaście minut przerwy. Mam zamiar od razu pokonać drogę do Adraru, gdzie zaczyna się szlak. Taki postawiłem sobie cel.

Tych ostatnich sześćset kilometrów to najtrudniejszy odcinek. Jesteśmy już porządnie

zmęczeniu i mamy dość tej jazdy. Szosa rozwija się przed nami, prosta aż po horyzont i ciągle jednakowo szeroka. Jedynie piaskowe zasy zmuszają nas od czasu do czasu do zwolnienia tempa. Dookoła, jak wzrokiem sięgnąć, ogromne pomarańczowe wydmy, jak na pocztówkach. Jest to zapewne wspaniały widok, ale nie mam czasu się nim rozkoszować. Chcę już jechać. Od wyjazdu z Francji nie zmrzyłem oka i koniecznie muszę już odpocząć. Christian też nie wygląda już tak świeżo, i przestał się odzywać. Z zaciśniętymi zębami jedziemy tak jeszcze kilka godzin. Wreszcie, około siódmej, wjeżdżamy do Adraru.

Domy są kwadratowe, bez okien. Ściany są wszystkie czerwone jak krew. Miasto jest bardzo małe. W parę minut znajduję jedyny tu hotel, na głównym placu. Pokój jest brudny. Każę zmienić pościel.

Christian bierze prysznic. Szybko wychodzi, z ręcznikiem owiązanym dookoła bioder, i kładzie się z ogromnym westchnieniem ulgi. Moja kolej. Kiedy wychodzę, odświeżony, parę minut później, Christian już śpi, w tej samej pozycji, nie wsunął się nawet pod prześcieradło. Kładę się, ale jestem zbyt napięty, by zasnąć. Potrzebuję paru skrętów z marokańskiego haszu, żeby zniwelować działanie speedu, rozluźnić ciało i wreszcie móc pograć się we śnie.

Następnego dnia rano budzi mnie Christian. Spałem piętnaście godzin. On jest już odświeżony, ogolony, z apaszką na szyi i w sombrero na głowie. Sala baru jest pusta. Tylko kelner, siedzący za ladą, zagłębiany jest w lekturze „El Mudżahidin”, miejscowej gazety. Kiwa głową potakująco na nasze zamówienie, ale potrzebuje dobrych dziesięciu minut, żeby złożyć swojego szmatławca i przynieść nam dwie letnie i obrzydliwe kawy.

Knajpa chyba nie robi interesów. Kiedyś musiało tu być przyzwoicie, może nawet luksusowo, ale od dawna nikt o nic nie dba. A przecież nie jesteśmy jedynymi klientami. Dziś rano Christian zauważył dwóch Europejczyków. Ich samochód, citroen mehari, zarejestrowany we Francji, zaparkowany jest na placu przed hotelem.

Jest już bardzo gorąco. Adrar to wymarłe miasto, przynajmniej o tej porze. Tutejsze dwa czy trzy bistra są puste. W paru sklepach są lady, ale nie ma nic do sprzedania. Zapiaszczone uliczki wyglądają jak opuszczone. Widać trochę ruchu na stacjach benzynowych, położonych na krańcach jedynej asfaltowej drogi. Dalej już nic. Pustynia.

Kiedy wracamy do hotelu, obaj Europejczycy siedzą przy jednym ze stolików. Szybko nawiązujemy znajomość. Rene i Patricio, obaj pochodzą ze wschodniej Francji i zamierzają przejechać przez Saharę dla sportu. Zgodnie ze swoim zwyczajem Christian rozwija

rozmowę. Szybko zaznacza, że jestem specjalistą od saharyjskich szlaków. W dwie minuty później dowiaduję się, że jestem największym znawcą Afryki, królem pustyni. Podczas gdy on faszeruje ich andronami, ja czuję się coraz gorzej. Te dwa i pół tysiąca kilometrów non stop nadwerżyły mnie. Wyrzucam resztę bustai.

W pokoju powietrze nawet nie drgnie. Biorę prysznic i cały mokry rzucam się na łóżko. Kiedy się budzę, jest noc. Na dole trwa zabawa. Obaj turyści są już podpici. Christian dostarczył alkohol, którego tutaj dostać nie można. Jest z nimi jeszcze ktoś. To dziewczyna, Monique, obywatelka Luksemburga, która przyjechała prosto stamtąd. Jest gruba z pocziwymi czerwonymi policzkami i opadającym tyłkiem, miła i gadatliwa. W Luksemburgu przeżyła krótki romans z malijskim studentem i jedzie teraz do niego.

Christian oczywiście zmyślił, że znam Mali. Monique pyta mnie:

- Nie znasz przypadkiem Youssoufa Bodialo?

Dla śmiechu każę jej powtórzyć nazwisko, po czym tłumaczę jej, że w Mali jest pięć milionów mieszkańców i że to duży kraj.

- Ale nie martw się, znajdziesz. Oni są wszyscy podobni.

Jej piękne oczy pozostają bez wyrazu. Trochę czasu upływa, zanim zrozumie i uśmiechnie się.

Polykam jakiś gulasz barani, tłusty i ostro przyprawiony, i zostawiam ich.

Następnego dnia rano znów budzi mnie Christian, jakimś cudem ma doskonałą i gorącą kawę.

Uśmiecha się szeroko.

- Charlie, ci dwaj to jelenie.

Jest rozradowany. Opowiedział im, że znam cały afrykański rynek i że mogę im pomóc, jeśli będą chcieli sprzedać swego mehari w Nigrze.

- I co ci powiedzieli?

- Są zainteresowani, zwłaszcza gruby. Zadali parę pytań na temat stanu naszego peugeota, ale nawadzałem im kitu. Jesteśmy z nimi umówieni.

- Kiedy?

- W południe. Zapraszają nas na piknik.

Wstaję, żeby wziąć prysznic i ogolić się. Dobra forma nareszcie powróciła. Nie lubię pikników, ale robota Christiana jest interesująca. Jedziemy tylko jednym samochodem, jeśli uda się załatwić drugi, to zyski też zwiększą się odpowiednio. Christian pogwizduje w swoim pokoju, naprawdę jest dzisiaj w świetnym humorze.

- Poza tym załatwiłem tę dziewczynę z Luksemburga.

- O! Dobrze było?

- Nie. Zbyt bierna. Ale to nieważne. Rozumiesz, teraz, kiedy działam na skalę międzynarodową, muszę załatwić parę cudzoziemek.

- No tak, rozumiem.

Piknik ma miejsce poza Adrarem. Jedziemy za mehari obu frajerów. Monique, cała radosna, jedzie z nami. W czasie drogi mówi:

- Charlie, chciałabym pojechać z wami.

- To niemożliwe.

Tłumaczę jej łagodnie, że z tyłu załadujemy dwustulitrową beczkę benzyny i że nie będzie dla niej miejsca. Nalega, bo boi się wsiąść do algierskiej ciężarówki, ale pozostaje nieugięty.

Dojeżdżamy do rodzaju rzadkiego gaju palmowego, skrawka cienia pośrodku piasków. Jak to podejrzewałem, Rene i Patricio to specjaliści od sprzętu składanego. W parę minut montują nam mały stolik z laminatu, płócienne krzesła, bidony, plastikowe kubki. Gdyby mogli przywieźć składane talerze, przywieźliby je. Są najwyraźniej dumni ze swego wyposażenia i odgrywają przed nami swój teatr. Zwłaszcza Rene jest wobec mnie po prostu uniżony. Tego zawsze nienawidzę.

Jest gruby, mały i nosi idiotyczne szorty. Jest strażakiem czy kimś takim. Drugi, Patricio, jest instruktorem narciarskim. Pracuje w sezonie, a przez pozostałą część roku nie robi nic. Jest miły i nie uważa za stosowne odgrywać roli pana domu, jak jego kumpel.

Na zakończenie posiłku strażak sprząta ze stołu. Termos, kawa, trzeba przyznać, że dbają tu o nas. Następnie wyciągają ogromną mapę Sahary, na której ich trasa wyrysowana jest ołówkiem, i zaczynają zadawać pytania.

Patrzę z zainteresowaniem. Po raz pierwszy oglądam mapę pustyni. Trzeba skorzystać z tej okazji, żeby dowiedzieć się paru rzeczy, bo jedyne informacje, jakie mam, pochodzą od Alaina, tego z Bordeaux, którego spotkałem w Niamey. Na każde z moich pytań odpowiadał: „To małe piwo”.

Christian pochylił się nad mapą. Patrzy, dokąd jedzie. Rene wodzi palcem po narysowanej linii. Na każdym etapie pytanie.

- Często przejeżdżałeś przez Tanezrouft, Charlie?

- Tak.

- A ten piach, tutaj, w punkcie czterysta, ciężki jest?

- To małe piwo.

Najwyraźniej przestudiowali tę swoją trasę i powtarzali co wieczór.

- A Adrar Iforasów?

- Małe piwo.

Christian wpatrzony jest w mapę i rozmarzył się. Tamci dwaj ciągną mnie do swego mehari. Koniecznie chcą poznać moje zdanie na temat ich samochodu i wyposażenia. Mają tego pełno. Zabrali ze sobą imponującą ilość kanistrów, skrzynek i innych rzeczy. Nowiutkie podkłady pod koła są starannie poprzyczepiane po bokach. Całość wygląda bardzo elegancko.

- Macie za duże obciążenie, chłopaki. Ale mehari to dobry wóz. Przypominam sobie Ciastkarza: ostrzegam ich, że będą ciągle łapać gumy. Rene z wielką dumą wyciąga skrzynkę zawierającą cały zestaw materiałów do łatania ogumienia. Patricio nieśmiało wypowiada komentarz na temat mojego samochodu. Patrzę na niego i pytam, co mu się nie podoba w moim peugeocie, po czym, jako że pikniki męczą mnie szybko, przyspieszam przygotowania do powrotu.

Po południu Christian bierze samochód, żeby odbyć małą przejażdżkę ze swoją ukochaną, i proponuje, że przy okazji zrobi zakupy na podróż.

- Weź benzynę. Kup dwustulitrową beczkę, napełnij ją i połóż na tylnym siedzeniu.

- Kupić coś do jedzenia?

- Tak, kup trochę sardynek.

- A woda?

- Tak, trzy litry wody.

- To wystarczy?

- Tak! Mamy tylko siedemset kilosów do przejechania.

Jutro wyjeżdżamy. Na ostatnią kolację Christian wyciągnął nowe butelki alkoholu. Obaj górale są cali podekscytowani. Takie harcerskie wieczorki i kretynizmy, jakie się przy takich okazjach opowiada, zawsze mnie denerwowały. Monique nadal walczy, żeby dostać miejsce w naszym peugeocie. Posyła mi przeciągłe spojrzenia. Nie mogę się powstrzymać, żeby jej nie powiedzieć, że ma opadający tyłek, i że tego nie lubię, po czym idę spać. Następnego dnia rano, przy odjeździe, czeka mnie przykra niespodzianka. Dziewczyna jest przy wozie. Jeszcze raz prosi, żeby ją zabrać.

Jestem cierpliwy.

- Monique, bądź tak miła i nie nalegaj. Widziałaś, że nie mamy miejsca, więc dlaczego nie poprosisz górali, oni mają wolne siedzenie.

Głupia popłakuje.

- Oni nie chcą.

- Więc pojedź ciężarówką.

- Nie chcę.

Panienska nie chce. Panienska postanowiła dać nam popalić. Przed moim samochodem stoi siedemdziesiąt pięć kilo bierności. Christian rozkłada bezsilnie ręce. Próbował wszystkiego. Zgadzam się.

Trzeba przejść przez cło. To mały budynek, czerwony jak pozostałe, trochę poza miastem. Naprzeciwko placyk z ubitej ziemi służy jako parking, stoją tam, dwie ciężarówki. To miejscowe landary, stare, powgniatane i pokryte plackami piachu przyklejonego do karoserii. Wokół nich kilkunastu mężczyzn z plemienia Tamachek, pustynnych nomadów, rozładowuje jeden po drugim worki z towarem. Celnicy, w szarych mimo upału pozapinanych mundurach, nadzorują przebieg operacji. Otwierają losowo kilka worków, dla kontroli. Przeszukują ciężarówki po ich opróżnieniu. Następnie, kiedy wszystko zostaje sprawdzone, Tamachekowie ponownie ładują na wozy dziesięć ton worków.

W naszym przypadku formalności są krótsze. Rene i Patricio jadą tuż za nami. Nasza pani pasażerka dołącza do nas z ogromnym plecakiem. Wór jest równie wielki co ona, i zabiera tyleż miejsca. Upycham go jak mogę nad beczką, z tyłu, i ruszamy.

Przez pierwszych dziesięć kilometrów jadę za ciężarówkami. Trzymam się parę metrów z tyłu i cały czas pogrążeni jesteśmy w tumanach pyłu, jakie wzbijają w niebo. Musieliśmy zamknąć okna. Bez wentylacji samochód zamienia się w piec. W tej żółtej mgle nie widzę zupełnie nic i parokrotnie muszę ostro hamować. Głowa Monique uderza o przednią szybę. Koleiny są głębokie i szorujemy podwoziem po ziemi.

- Christian, ile mamy do Reggane?

- Mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów. Wyprzedzam obie ciężarówki i mając wolną drogę wciskam gaz do dechy. Obaj turyści zostają w tyle.

- Monique, przesun się, przeszkadzasz mi.

Peugeot 404 jest wąski i ta gruba przeszkadza mi w odpowiednio płynnym zmienianiu biegów. Przyciska się do Christiana i w końcu siada mu między kolanami.

W ten sposób mam swobodę ruchów i bawi mnie ta przejażdżka. Ślady opon na szlaku są doskonale widoczne. Wystarczy jechać za nimi. Jeśli weźmie się koleinę między koła, rzecz jest dziecinnie prosta. Z głośnika wyje Janis Joplin, szyby opuszczone, w samochodzie

ciepły wiatr, wciskam gaz, ile się da...

Szlak nie jest w najlepszym stanie. Czasami muszę omijać dziury metrowej głębokości, skręcając w ostatniej chwili. Przez mniejsze przelatuję. Samochód odrywa się od ziemi. Przy każdym ponownym kontakcie z ziemią ten kurewski plecak spada mi prosto na kark. Monique natychmiast go poprawia.

Jeździłem już po takich szlakach w wielu miejscach świata i ten nie przedstawia dla mnie żadnych specjalnych trudności. Jestem tylko trochę niespokojny o samochód, który zaczyna rozpadać się na odcinkach wybojów, tak zwanej blachy falistej. Na szczęście odcinki takie są rzadkie. Przez dwie minuty trwają gwałtowne wstrząsy, po czym ponownie pokazuje się piasek. To małe piwo.

Miejscami szlak ma sto metrów szerokości. Przejeżdżamy nie opodal małych grup kwadratowych domków, w dali widać palmy. Od szlaku odchodzą zapiaszczone drogi, prowadzące gdzieś poza horyzont, gdzie zapewne znajdują się wioski.

Trzy godziny później przejeżdżamy koło małego skupiska czerwonych domków. Trochę dalej widać mały fort, tego samego koloru, otoczony niskim murkiem: to Reggane.

Panienska przygotowuje nam sandwicze z sardynkami z puszek, które Christian kupił w Adrarze. Szybko zjadamy ten posiłek uzupełniony herbatnikami przywiezionymi przez dziewczynę.

Układamy się wygodnie i korzystamy z wieczornego spokoju. Zachód słońca, podobnie jak wschód, to jedna z najpiękniejszych chwil na pustyni. Słońce tworzy wtedy wspaniałe pasmo najróżniejszych odcieni koloru pomarańczowego, które zlewają się z ciemnym granatem nieba. Jest chłodniej, i odkąd zabroniłem Monique skarżyć się na zmęczenie, panuje całkowita cisza.

Noc zapada w dziesięć minut. Magiczna chwila przemija. Luksemburg śpi. Układamy się, by pójść w jego ślady. Później, w ciągu nocy, nadjeżdżają ciężarówki. Słyszę jeszcze tylko jakieś urywki rozmowy między Christianem i obu góralami, jakieś arabskie głosy, i wreszcie zasypiam.

Kiedy się budzę, pierwsza rzecz, jaką widzę, to pustynia.

Rozciąga się przede mną ocean piasku, w nieskończoność, płaski i bez żadnych przeszkód. Natężenie światła jest już silne, ale nie ma jeszcze upału. Siedząc na murku zapalam skręta zapatrzonego w ten bezkres.

Przyłącza się do mnie Christian. Zwrócony ku tej gigantycznej przestrzeni złotego piasku, w sombrero na głowie, głośno formułuje swoją myśl:

- O kurwa...

Nie jest to strach. Christian to jeden z najodważniejszych facetów, jakich znam. To szacunek. Pierwszy raz przejechałem Saharę z Miguelem. Byłem pasażerem, na dachu ciężarówki. Tym razem z tą pustynią trzeba będzie powalczyć.

- Spokojnie, to małe piwo.

Przez chwilę rozkoszujemy się widokiem i ciszą. Za nami pomału zaczyna się ruch. Wracamy do pozostałych.

Ciężarówki i mehari zaparkowane są po drugiej stronie murku. Monique przygotowuje kawę. Siedzący obok niej Rene i Patricio zasypują mnie komentarzami na temat wczorajszego przejazdu. Odciągam moją pasażerkę na bok.

- Słuchaj, dzisiaj mamy do przejechania sześćset sześćdziesiąt kilosów. Monique, grubasku, bądź taka miła i pojedź ciężarówką.

- Och, Charlie, proszę cię, nie.

Ogarnia ją panika, nie nalegam, ale muszę pozbyć się plecaka. Wyciągam go z samochodu i idę do ciężarówek.

Kierowcy są pochłonięci pracą. Pomocnicy zapalili małe ogniska i gotują herbatę. Inni przeglądają silniki, pochyleni nad mechanizmami bez pokryw.

Kierowca pierwszej ciężarówki, żółtego berlieta, przyjmuje mnie przyjaźnie. Nazywa się Wallid. To Arab urodzony w Paryżu, ma około trzydziestki. Za jego wyczyny w Barbes wydali go z Francji. Od paru miesięcy prowadzi ciężarówki na pustyni.

Nie ma problemu z plecakiem Monique.

- To twoja żona?

- Nie. Spotkałem ją w Adrarze.

- Daje dupy?

Od czasu kiedy turyści zaczęli przyjeżdżać do Północnej Afryki, dla Arabów europejska kobieta to kurwa i nic poza tym. Chodzi z mężczyznami do łóżka, choć nie są jej mężami.

- Powiedz jej, żeby jechała z nami.

Tłumaczę mu, że panienska się ich boi. Wybuchają śmiechem, mówi coś po arabsku do pomocników, i wywołuje ogólne wycie. Żartują między sobą po arabsku i robią obsceniczne gesty. Zostawiam ich rozbawionych.

Druga ciężarówka to pomarańczowy mercedes. Ten model, 19-24, jest popularny w Afryce. Jest przeciążona. Afrykańscy kierowcy nigdy nie przestrzegają norm załadunku. Skoro w Europie wóz może przewozić dziesięć ton, to znaczy, że udźwignie i piętnaście.

Właścicielem jest Ajudził, gruby spokojny facet w zawoju i okularach. Siedzi na macie, poza zasięgiem spojrzeń i pali kit. Proponuje mi colę, jego pomocnik, ogromny Tamachek w brudnym płaszczu zamiast burnusa, podaje mi szklaneczkę herbaty. Daję mu trochę haszu. To poważny kupiec w rejonie między Adrarem i Gao, może mi być przydatny w przyszłości. Rozmawiamy o handlu. Jego zamówienie na części zamienne jest interesujące. Obiecuję mu to załatwić na następną podróż. Zna Alaina i Freda z Bordeaux, i dowiaduję się od niego, że są w Afryce. Jadą tym samym szlakiem, o parę dni przed nami, w towarzystwie jakiegoś trzeciego faceta. Formalności wyjazdowe jak zwykle przedłużają się. Władze algierskie nie wypuszczają z Reggane nikogo samego. Trzeba wyjechać w konwoju. Potem każdy robi, co chce.

Ciężarówki wyruszają przed nami. Kazałem Monique, żeby dała o sobie zapomnieć, i stara się zajmować jak najmniej miejsca między fotelami. Obaj górale przyznali mi się, że dostali porządnie w dupę przez ten pył poprzedniego dnia. Proszą mnie o pozwolenie pojechania dzisiaj za mną.

- Zgoda, ale sto metrów z tyłu.

Siadam za kierownicą. Christian odgrywa małą komedię. Zwrócony w kierunku mehari, z rękami opartymi na biodrach, powtarza wszystkie moje instrukcje.

- Zachowujcie odległość, to ważne.

Obrzuca ich samochód ostatnim spojrzeniem i siada koło mnie. Tym razem ruszamy naprawdę.

Sto metrów dalej zaryłem się w piasku.

Pojechałem śladem obu ciężarówek, koleiny wyhamowały mnie. Czuję, jak tylne koła ślizgają się w miejscu. Włączam niższy bieg, żeby zwiększyć moc. Jadę jeszcze dziesięć metrów. Jestem na jedynce. Samochód staje. Parę razy mocno dodaję gazu. To błąd, koła kręcą się w miejscu i pograżają się głębiej.

Za mną obaj turyści zaryli się również. Wsiadam, zamykam drzwi kopniakiem i wrzeszczę.

To ci kretyni z ciężarówek. Rozpieprzyli szlak swoimi wielkimi dupskami.

Rene i Patricio nadbiegają.

- Dobra, będziecie mieli lekcję odpiaszczania. Podkłady! Łopaty! Szybko!

Podczas gdy przynoszą sprzęt, patrzę na drogę przed samochodem, w żadnym wypadku nie należało jechać koleinami. Gdybym wziął jedną między koła, przejechałbym. Jest też twardy pas szlaku po prawej. Tu, gdzie jesteśmy teraz, trzeba będzie męczyć się z

podkładami przez co najmniej pięćdziesiąt metrów, zanim dojedzie się do twardego i płaskiego gruntu.

Pokazuję tamtym, jak usuwać piasek sprzed kół i jak równać grunt, żeby położyć podkłady. Nie jest to skomplikowane. Przyglądają się jak uczniowie. Christian, którego nigdy nie widziałem przy jakiegokolwiek pracy fizycznej, daje tysiące rad i powtarza wszystko, co mówię. Podczas gdy tamci dwaj idioci pracują, siadam za kierownicą.

W piasku pograżają się tylne koła, czasem nawet do połowy. Trzeba przygotowywać dla nich pochylnie, żeby mogły wyjechać z dziur, jakie wydrążyły. Oznacza to pracę łopata. Rene i Patricio, na kolanach w piachu, inaugurują w pocie czoła swoje nowiutkie saperki. Następnie trzeba wsunąć podkład, sześćdziesięciocentymetrową blachę z nawierconymi otworami, dokładnie przed koło.

- A teraz pchajcie.

Wrzucam jedynkę. Poganiani przez Christiana obaj turyści i panienka wyężdżają siły z tyłu samochodu. Tryska na nich piasek, wyrzucany przez tylne koła, które się ślizgają. Samochód wyjeżdża, przesuwa się o dwa metry i grzęźnie znowu. Gdyby nabrać rozpędu, można by przejechać, ale przy ruszaniu z postoju to niewykonalne. Skoro nie można skrócić, pozostaje tylko jedno wyjście: wykopać podkłady pokryte piachem w czasie poprzedniej operacji i wszystko od nowa.

Zwłaszcza gruby Rene przeżywa katusze. Jest bardzo, bardzo gorąco. Poci się i słyszę, jak dyszy. Patricio jest silniejszy. Postawił kołnierz, żeby chronić kark przed słońcem. Monique ma dosyć.

Powtarzamy operację pięć albo sześć razy, zanim peugeot łaskawie przejeżdża kilkadziesiąt metrów, nareszcie wolny. Wsiadam, krzyczę do pozostałych, żeby się pośpieszyli, i siadam za kierownicą mehari.

Wszyscy są oblepieni piaskiem, który przyłgnął do spoconej skóry, kiedy ustawiam mehari obok peugeota po godzinie takich wykopków.

Wszystko zrozumiałem. Pustynia to nic trudnego, wystarczy nie jechać w koleinach po ciężarówkach. Wielki szlak to szeroki korytarz porysowany śladami kół. Jeśli jedzie się z boku, nie ma ryzyka. Zjechałem w prawo co najmniej dwieście metrów. Muzyka gra na całym regulator. Monique dużo pije. Znowu siedzi na kolanach Christiana, który obmacuje jej piersi. To małe piwo.

Po paru kilometrach szlak robi się węższy. Na ziemi jest mniej śladów kół. Jadę dalej.

Pojechaliśmy równoległą drogą, która w jakimś momencie powinna dołączyć do

szlaku. Zaczynam mieć wątpliwości. Przede mną widać już tylko dwa ślady. Nagle znikają. Grunt zmienił się. Piasek pełen jest drobnego żwiru. W podłożu takim nic nie widać. Zataczam półkole i krążę, niczego nie widząc. Patrzę na Christiana. Jego wzrok pyta mnie:

- Zabłądziłeś?

Odpowiadam mu spojrzeniem.

Zatrzymuję się. Nadbiegają obaj kretyni. Nie odpowiadam na ich pytania, idę przed samochód, żeby spróbować znaleźć któryś z tych kurewskich śladów. Za mną Christian uspokaja wszystkich.

- Dajcie Charliemu spokój. Bada teren.

Nie na darmo pochodzi z Bordeaux. Słyszę, jak improwizuje.

- Szuka skrótu... Rozgląda się...

Rzeczywiście się rozglądam, ale niczego nie znajduję. Sto metrów dalej jakiś ślad, dokładnie prostopadły do naszego kierunku. Wracam do samochodu i każę wszystkim wsiadać. Ruszamy. W niecały kilometr później w piasku widać już tylko dwa cienkie ślady, a potem nic. Zgubiłem się. Zatrzymuję samochód. Tym razem tamtych dwóch ogarnia panika. Nie mam im nic do powiedzenia i oddalam się, żeby się wysikać. Podczas gdy rysuję na piasku arabeski, Christian raz jeszcze stara się uspokoić całe towarzystwo. Wyjaśnia im, że muszę pomyśleć, bo sprawa jest poważna.

- Charlie chciał, żebyśmy pojechali skrótem, który zaoszczędziłby nam dwieście kilometrów szlaku, ale nie ma zaufania do pogody.

Odwrocony do nich plecami zaśmiewam się w duchu słysząc, co opowiada. Wymyśla, że zauważyłem pierwsze oznaki burzy piaskowej na trasie skrótu i rozbudowuje tę historyjkę wykorzystując do tego mały obłoczek, przesuwający się w oddali po niebie. Wspaniała robota, którą kończy po mistrzowsku krótkim:

- No dobra, jedźcie pierwsi, wracamy do szlaku.

To świetny pomysł. Nie wiem, gdzie jesteśmy i zupełnie nie mam zmysłu orientacji. Nigdy nie potrafiłbym odnaleźć szlaku. Za kierownicą swojego mehari Rene wywiązuje się z tego zadania bez zarzutu.

Parę kilometrów dalej dzielny pogromca ognia odnajduje dobrą drogę, wówczas wyprzedzam go i ponownie staję na czele ekspedycji.

Pustynia to nic trudnego.

Począwszy od 50 kilometra szlak jest oznakowany. Co dziesięć kilometrów stoi czarna beczka, wystarczy jechać. To małe piwo.

Wkrótce wyprzedzamy berlieta Wallida wśród głośnego trąbienia i okrzyków. W dali przed nami widać czarny punkt. To ciężarówką Ajudżila. Mehari jedzie za nami. Mamy właśnie wyprzedzić wielkiego mercedesa, kiedy mój silnik zacina się i staje!

Cholera. Co się znowu stało?

Rene i Patricio są obrażeni. Najpierw gróźnienie w piasku, potem zgubienie drogi na pustyni, a teraz awaria, to dla nich za wiele. Posyłam ich do wszystkich diabłów i mówię, żeby jechali za ciężarówką Ajudżila, wybierają wariant bezpieczny i szybko odjeżdżają. Zbyt się boją tutaj zostać.

Dla zasady Christian podnosi maskę. Zna się na silniku tyle co ja, to znaczy wcale. Parokrotnie włączam rozrusznik, bez rezultatu. Monique leży wciśnięta w fotel. Utknęliśmy.

Christian wypija ostatnie krople swojej whisky. Robię sobie skręta. Słońce jest w zenicie i blachy samochodu parzą. Dookoła nas, jak sięgnąć wzrokiem, ze wszystkich stron piasek. Beczka znacząca szlak widnieje na horyzoncie jako maleńki czarny punkcik. Gruba wysiada z samochodu, gdzie zrobiło się zbyt gorąco. Domaga się wody. Wypiła już swój przydział. Przez dziesięć minut nie dzieje się nic, po czym daleko w tyle słychać pracę silnika. To ciężarówka Wallida. Hałas wzrasta, widać ją teraz, nadjeżdża, ale o czterysta metrów w prawo, daleko od nas. Pomagam Monique wejść na dach samochodu. Wysyła sygnały z takim entuzjazmem, że wygina blachę w sposób nieodwracalny. Wallid zauważył nas i jedzie w naszym kierunku. Śmieje się, kiedy mu opisuję objawy awarii, i pokazuje mi, co jest przyczyną. Z powodu gorąca pompa dostarczająca paliwo do gaźnika rozszerza się i zablokowuje. To częsty przypadek. Szczęśliwy, że może zabłysnąć przed Monique, naprawia mi to od ręki. Owija wokół pompy szmatę, polewa ją wodą i pompuje ręcznie. Włączam rozrusznik i silnik zapala. Dziękuję Wallidowi, który ze wspaniałomyślną miną zapewnia mnie, że to nic wielkiego, przybiera pozę bohatera i wraca do ciężarówki.

Trzydzieści kilometrów dalej silnik znów staje. Tym razem widzimy, że zostało nam bardzo mało wody, zaledwie trzy czwarte butelki. A szmata jest zupełnie sucha. Wallid jest daleko w przodzie. Nie pomyśleliśmy, żeby wziąć od niego wodę. Mamy mokre gacie.

Zabraniam grubej pić, żeby oszczędzać wodę, i zaczyna się zapieprz co trzydzieści kilometrów. Wkrótce butelka jest pusta. Udaje mi się jeszcze raz dzięki wodzie ze spryskiwacza szyb. Później musimy sikać.

Na szczęście Christian to specjalista. Mój udział jest bardzo Skromny, bo nie piję. Ale nawet Christian ma ograniczone możliwości. Po trzech postojach jego źródło wysycha. Monique zrozumiała, co jej zostało do zrobienia. Cała się rumieni, ale nie sprzeciwia się. Kiedy po raz kolejny podnoszę maskę, zdaję sobie sprawę, że nie będzie to takie łatwe. W

takiej sytuacji mężczyzna ma naturalną przewagę. Christian i ja podnosimy panienkę, żeby mogła wejść na silnik. Monique jęczy z bólu, bo uderzyła głową o podniesioną maskę. Nieźle się zaczyna. Christian stara się być miły.

- To nic, to nic. No, postaw tu nogę, tak, drugą tutaj...

- Aj!

Oparzyła sobie nogę o silnik. Mam ochotę zatrzasać jej maskę na łeb, ale Christian, cały czas pocieszając grubą, daje mi znak, żebym się uspokoił. Biorę z samochodu szmatę, którą Christian podkłada dziewczynie pod stopę. Może być?

- No, a teraz lej.

Patrzy na nas nieruchomo, zupełnie otępiała, na wpół pochylona nad maską. Christian rozumie pierwszy.

- Chcesz, żebyśmy się odwrócili?

Tak. Żeby uszanować wstydlivość panienki, cofamy się o parę kroków i odwracamy się do niej plecami. Christian zapala mecarillo i czekamy. Nic. Słyszeliśmy, jak się rusza, jak ściąga spodnie, jakieś pięć minut temu, i nic.

- Nie leje, co? Christian potrząsa głową.

- Nie.

- Przecież piła. Widziałeś, ile wypila.

- No. Powinna już sikać ze trzy razy.

- Co najmniej! Co ona robi, do cholery!

- Może jest spięta...

Odwracam się. Przykucnięta, z tyłkiem w powietrzu, wygląda smutno i żałośnie. Wrzeszczę.

- Będziesz wreszcie lać, do ciężkiej cholery!

Wzdryga się i wygląda jakby miała wybuchnąć płaczem. Christian kładzie mi rękę na ramieniu.

- Nie tak, Charlie! Nie umiesz rozmawiać z kobietami. Zostaw to mnie. Na jego wargach wykwita miły uśmiech, i podchodzi do samochodu.

- Moja malutka Monique, posłuchaj mnie. Słuchasz?

Tamta potakuje pociągając nosem.

- Musisz się odprężyć. Jeśli ci się to nie uda, to spędzimy tutaj noc, a może nawet zostaniemy dłużej, prawda, Charlie?

- No tak, parę dni.

Potakuje, tym razem wygląda na zdecydowaną. Christian nadal mówi do niej

łagodnie.

- Trzeba się pośpieszyć. Pomyśl, że ktoś mógłby nadejść... Dziewczyna śmieje się, trochę nerwowo, ale to już coś, trochę się odpręża.

- No, jesteś już dużą dziewczynką, zrób mały wysiłek, zrób nam duże siusiu, zrobisz nam przyjemność.

Tym razem śmieje się naprawdę, i nagle rozbrzmiewa delikatna muzyka siusiu, które tryska... na bok!

Rzucamy się do przodu. Strumień kieruje się w różne strony, tylko nie na pompę. Chwytny dziewczynę za uda, przekręcamy jej miednicę tak, aby nie uronić ani kropli drogiego płynu. Christian promienieje.

- Świetnie! Właśnie tak, dalej, jeszcze. Ależ to piękne siku! Brawo, dzielna jesteś.

Udało się oblać pompę. Silnik ponownie zapalił. Trzydzieści kilometrów dalej gruba znów siedzi na swoim miejscu, prze, z zaciśniętymi pięściami. Za trzecim razem już bez pomocy naszych przyjacielskich rad udaje jej się wycelować prosto w pompę.

Zapadła noc i w dali widać światła obozowiska. Ciężarówki i turyści zatrzymali się na noc. Weiskam gaz, trochę za mocno. Pakuję się w koleinę, która nagle pojawiła się tuż przed samochodem. Trzeba pchać. Christian wysiada z samochodu, żeby go odciążyć, i zachęca Monique okrzykami. Dziewczyna nie umie prowadzić, więc to ona musi pchać, biedaczka. Gdyby była wiedziała...

Zresztą, gdyby była wiedziała, wszystko odbyłoby się tak samo. Na szczęście nie ugrzęźliśmy w piasku tak naprawdę, po prostu podłoga osiadła na wybrzuszeniu między koleinami. Wychodzimy z tego dość szybko.

Kiedy dojeżdżamy, wszyscy są już ulokowani. Obaj turyści siedzą przy ognisku z Wallidem i jego pomocnikami. Wallid pyta mnie, czy miałem jeszcze problemy z jego szmatą. Odpowiadam, że nie, że wszystko przebiegło dobrze, tylko że woleliśmy jechać powoli. Częstuje panienkę herbatą, i tak to się zaczyna. Wallid odgrywa skecz człowieka pustyni, a dziewczyna przysłuchuje się pełna podziwu. Opowiada jej o piaskowych burzach, o podrzynaniu gardeł wielbłądom i inne historyjki zwykle kupowane przez turystów. Tutaj nie ma co opowiadać o Barbes. Rene i Patricio nadal są obrażeni, w przekonaniu, że rano zgubiłem drogę. Mówię im, że chciałem pojechać skrótem, którym zwykle jeżdżę; mrugnięcie do Wallida, który w rewanżu potwierdza moją historyjkę dodając jeszcze pomocne szczegóły.

- Masz na myśli drogę złodziei?

- Tak.

- O, tę to znają tylko prawdziwi zawodowcy. To zamyka definitywnie dziób strażakowi.

Podczas gdy wszyscy układają się na noc, Monique podchodzi, żeby ze mną porozmawiać. Odkąd zatankowaliśmy, śmierdzi benzyną. Jest bardzo gorąco i benzyna w beczce jest pod ciśnieniem, więc wytryskuje, jak tylko odkręca się korek. Monique zajmuje się tą operacją, toteż dostała strumień prosto w twarz. Teraz mówi mi, że jest zmęczona. Przyglądam się jej, to fakt, że nie wygląda najlepiej. Waha się, przestępuje z nogi na nogę, w końcu mówi mi z głupawym uśmiechem:

- Charlie, dalej pojedę ciężarówką. Dzielna dziewczyna. Z grzeczności pytam:

- Nie chcesz, żebyśmy zrobili dla ciebie małe miejsce?

- Nie, chcę jechać ciężarówką.

- Już się ich nie boisz?

Spojrzenie, które mi posyła, wyjaśnia mi wszystko. Każde rozwiązanie jest lepsze od kontynuowania rozmowy z nami.

Całuję ją więc w oba policzki i życzę dobrej podróży.

Pomocnicy Wallida śpią już na swoich matach. On sam podwiązuje właśnie swój hamak pod przyczepą, kiedy podchodzę, żeby z nim porozmawiać. Polecam jego opiece dziewczynę, prosząc, żeby był dla niej miły. To wszystko, co mogę dla niej zrobić.

Krótką wizytę u Ajudzila, który też już kładzie się spać. Rozmawiamy o handlu, podczas gdy Christian załatwia wodę u turystów. Udaje mu się wziąć od nich kanister, i ruszamy.

Postanowiliśmy jechać nocą, korzystając z chłodu, żeby uniknąć problemów z pompą.

Bidon V, o świcie.

- Lepiej, Charlie?

- Nie.

Bóle brzucha rozpoczęły się w nocy. Najpierw myślałem, że to zwykła kolka, i powiedziałem Christianowi, żeby się zatrzymał. Po dziesięciu minutach zdałem sobie sprawę, że rzecz jest poważniejsza. Poznają to! To nie ból brzucha, to wewnętrzne. Miewałem już takie kryzysy parę razy w życiu. Ostatnim razem w Pointę Noire z Miguelem.

To kamica nerkowa. Dwa ostrza wbijają mi się w trzewia. Mam wrażenie, że ktoś przepiłowuje mi biodra od wewnątrz.

Na parę minut odprężam się, i z trudnością wsiadam do samochodu. Tylko zastrzyk

rozluźniający, albo przynajmniej przeciwbólowy, mógłby mi przynieść ulgę. Nie ma sensu tu sterczeć.

Kiedy tylko Christian rusza, robi się gorzej. Wstrząsy samochodu powiększają moje cierpienia. A nawierzchnia szlaku właśnie pogorszyła się...

W punkcie 400 znów pojawia się piasek. Christian próbował łagodnie przejeżdżać przez trudne miejsca, ale wstrząsów nie dawało się uniknąć. Parę razy prosiłem go, żeby się zatrzymał, i próbowałem odprężyć się kładąc się na ziemi. Musieliśmy jednak ruszać dalej, żeby dojechać jak najprędzej do Bordj-Moktar, gdzie znajdę pomoc lekarską.

Nie wytrzymałem. Parę minut temu, kiedy zaledwie wstawało słońce, zobaczyłem hangary Bidon V. Ścisnąłem ramię Christiana, który natychmiast zatrzymał się.

Leżąc na piasku z rozłożonymi rękami staram się oddychać regularnie. Jeśli uda mi się odprężyć, ból nie zmniejszy się, ale będzie przynajmniej znośny. Obok mnie Christian próbuje zrobić mi skręta i denerwuje się nad kawałkiem papieru. Ja nie mogę się ruszyć. On podaje mi skręta do ust. Potem pomaga mi napić się wody. Jest gorąca, o metalicznym smaku, ale muszę pić, bo to właśnie brak wody wywołał kryzys.

Kurwa mać! Dlaczego zawsze muszę próbować obalać mity o przeszkodach i trudnościach! Przeklinam siebie za to, że wyruszyłem bez przygotowania. Przynajmniej pić wodę! Wydawało mi się, że jestem nadczłowiekiem, a teraz gryzę ziemię.

Połykam parę kulek haszu. W ten sposób Christian nie musi robić skrętów, a mnie może trochę znieczuli. Na razie jedynym skutkiem jest wysuszenie ust, i nabieram ciepłej wody, żeby zmyć ten obrzydliwy smak.

Dziesiąta rano. Czuję się trochę lepiej. Udało mi się podnieść głowę, muszę tylko kontrolować oddech. Ciężarówki i mehari przejechały daleko na lewo. Słońce zaczyna przypiekać. Na szczęście leżę w cieniu, pod osłoną małego półokrągłego blaszanego hangaru, postawionego na piasku. Jest tu kilka takich, wokół opuszczonego czerwonego baraczku. Miejsce to zapewne od czasu do czasu służy jako kibel, ziemia usłana jest wyschniętymi gównami. Dookoła tylko pustynia, a ludzie mimo to przychodzą odesrać się w osłoniętym miejscu.

Południe. Nie można tu już wytrzymać. Gówno przyciąga muchy. Bzyczą setkami wokół nas. Pod blachą powietrze jest gorące, duszne. Trzeba się stąd zabierać.

Kiedy próbuję wstać, ból robi się straszliwy, ale nie możemy tu zostać. Christian

podtrzymuje mnie w drodze do samochodu, w którym usadawia mnie jak może najlepiej. Następnie rusza i pędzi. Wstrząsy samochodu wzmagają moje cierpienie.

Okno jest otwarte, wysunąłem głowę w strumień powietrza. Nie dość, że mnie boli, to jeszcze walczyć muszę z mdłościami powodowanymi przez hasz. Grunt zrobił się twardy. Teraz kilometrami rozciąga się blacha falista, ale nie krzyczę. Postanowiłem nie narzucać swojego bólu Christianowi. Podróż ta trwa osiem godzin. Stanowiła jedno z najcięższych przeżyć, jakich zaznałem. Nareszcie. Bordj-Moktar. Zapada noc.

Wojskowy pielęgniarz, sprowadzony przez Christiana, przygotowuje dla mnie zastrzyk z morfiny. Leżę na kocu, obok posterunku, znów nie jestem w stanie zrobić najmniejszego ruchu, i patrzę na tego wysokiego Algierczyka, jak napelnia swoją szklaną strzykawkę. Jego dłonie są ogromne. Wbija mi igłę. Po pięciu minutach ból znika z mojego brzucha. Przeżywam chwilę nieopisaną błogości, po czym tracę przytomność.

W nocy pielęgniarz, obudzony przez Christiana, będzie znów musiał szybko przyjść i zrobić mi kolejny zastrzyk.

Bordj-Moktar to parę domów z suchych kamieni, tak samo szarych jak ziemia. Dookoła studni parę rachitycznych ogródków wprowadza trochę barw w tę szarą okolicę. O świcie kładę się tam, w cieniu, żeby się napić.

Christian poszedł kupić ampułki z morfiną i strzykawkę, żebyśmy mogli wyruszyć. Dzięki nocnym zastrzykom ból nieco przygasł, ale nadal trzyma się mocno.

Zmuszam się do połknięcia paru litrów błotnistej wody ze studni. To jedyny sposób, żeby wymyć piasek, który utkwiał w moich nerkach. Tamachekowie dostarczają mi nowych porcji.

Widziałem przelotnie Tamacheków podczas mojej pierwszej podróży przez Tamanrasset, ale nie zdałem sobie wówczas sprawy, jak wspaniali to ludzie. Kobiety są niewiarygodnie piękne. Ich skóra jest czarna, bardzo matowa, ale mają bardzo delikatne europejskie rysy. Kiedy się im przyglądam, śmieją się i usiłują skryć twarze za niebieskimi chustami.

Ich ciała starzeją się bardzo brzydko. Nie mają jeszcze trzydziestu lat, a już są ciężkie i zniszczone. Rozczulające są małe dziewczynki. Zresztą wszystkie dzieci, pomimo chudości, są niesamowicie piękne. Mali chłopcy mają na głowie tylko jeden kosmyk, jak Irokezi. Są uśmiechnięci, bystrzy i rozmawiają ze mną nieskazitelną francuszczyzną. Otacza mnie całe małe plemię, kiedy wraca Christian, przynosząc złe wiadomości. Pielęgniarz nie chce rozstać

się ze swoimi ampulkami morfiny. Są własnością państwa i przeznaczone są wyłącznie do użytku wojskowego.

Opada na ziemię koło mnie. Jest zmęczony, brudny i źle ogolony, wycieńczony przez upał. Jego białe ubranie jest poplamione i pokryte kurzem.

- Wracaj do niego. Weź go na bok, pogadaj z nim w cztery oczy, zaproponuj mu tysiąc franków. Nie odmówi. Weź dwie strzykawki i jak najwięcej ampulek, watę i spirytus.

Po godzinie wraca, uśmiechnięty, ma wszystko pod koszulą.

- Mam strzykawki, dziesięć ampulek i resztę.

Uf! Popołudnie mija spokojnie. Nie ruszam się z mojego kąta. Wallid i Ajudžil zajrzeli do mnie przez odjazdem. Monique, promieniejąca szczęściem, bezgranicznie zakochana, nie odstępowała już pięknego Wallida na krok.

Tamachekowie spędzają popołudnie z nami. Dajemy im prawie wszystkie pudełka sardynek, jakie nam pozostały. Nie potrzebujemy ich już. Do Tessalit pozostało tylko sto sześćdziesiąt kilometrów. Kazałem ojcu dzieciaków zarznąć i upiec barana. Jemy, po czym rozdajemy całą resztę. Wręczamy też parę banknotów. Ci wszyscy ludzie są tak cholernie biedni. Schronili się w Algierii gnani przez głód. U nich, w Mali, w Sahelu, studnie wyschły, a bydło zdycha.

Wieczorem czuję się trochę lepiej. Przejedziemy sto sześćdziesiąt kilometrów do Tessalit od razu. Tam będzie można trochę odpocząć.

Formalności celne skończone. Bordj-Moktar to ostatnie algierskie miasto. Później jeszcze sześćdziesiąt kilometrów terytorium algierskiego, a następne sto kilometrów to no man's land.

Christian siada za kierownicą. Już od pierwszych kilometrów czuję, jak ból powraca. Żeby uprzedzić wypadki, każę Christianowi zatrzymać i robię sobie zastrzyk dożylny.

Zapada noc. Wpadające przez otwarte okno powietrze jest orzeźwiające. Zwinąłem sobie w kłębek szmatę jako poduszkę. Wciśnięty w fotel, wystawiając twarz na wiatr, czuję się dobrze.

Budzi mnie głos Christiana. Jest noc.

- Charlie, to dziwne...

- Co?

- Na pewno do Tessalit miało być sześćdziesiąt kilometrów? Zrobiliśmy już dwieście, i nic...

- To nic. Dojedziemy. Wiesz, afrykańskie odległości... Jestem już kompletnie

rozbudzony. Droga jest dobra, praktycznie bez wstrząsów, żadnej blachy falistej; Jedziemy tak jeszcze przez godzinę, aż ogarniają mnie wątpliwości. Nagle przypominam sobie. Wśród nielicznych informacji, jakie zebrałem na temat tej trasy, jest i ta: Tessalit to góra, powinniśmy więc jechać pod górę, tymczasem dookoła płasko. Pytam Christiana:

- Były jakieś podjazdy po drodze?
- Cały czas płasko.
- Nie widziałeś gdzieś rozwidlenia?
- Nie.

Nie mamy czasu na niepokój. Christian klnie, błyskawicznie wrzuca niższy bieg. Podłoże zrobiło się miękkie. Koła ślizgają się, wrzuca jedynkę, dodaje gazu, żeby nas wydostać, ale nic z tego. Ugrzęźliśmy.

Wysiadamy, żeby ocenić sytuację. Siedzimy w bardzo drobnym, miałkim piasku. Opieram się o samochód. Jestem zbyt słaby, żeby cokolwiek zrobić, nawet żeby pomóc Christianowi.

- Słuchaj, Christian, zmyliliśmy drogę. Musiałeś gdzieś skręcić. Wrócimy po śladach aż do miejsca, gdzie się pomyliłeś. Ale to dopiero jutro. Rozejrzemy się, jak wstanie dzień.

Christian, ułożywszy się bezpośrednio na piasku, zasypia natychmiast. Ja jednak nie mogę się powstrzymać od przemyśleń. Nie mamy podkładów, nie mapy łopat, a przede wszystkim to osłabienie, które uniemożliwia mi skuteczną pomoc Christianowi. Powoli zasypiam, ale budzę się przeżywając kolejny atak, straszliwy ból na wysokości bioder.

- Christian.

Budzi się natychmiast.

- Zrób mi zastrzyk.

Wyciąga sprzęt. Nie ma oświetlenia w samochodzie. Zapala reflektory. Widzę, jak pochylony przed maską niezdarnie przełamuje ampułkę i napełnia strzykawkę.

- Uważaj. Bez powietrza.

Sprawdza, wstrzykuje płyn z powrotem do ampułki i powtarza operację. Tłumaczę mu, jak wypuścić kroplę ze strzykawki, żeby upewnić się, że nie ma tam pęcherzyka powietrza. Ból łamie mnie wpół, nie jestem w stanie zrobić ruchu.

- Zrób mi zastrzyk. Sam nie dam rady.

- Ale ja nie potrafię.

Muszę zrobić wysiłek, nawet żeby mówić. Wyjaśniam mu, jak założyć opaskę uciskową. Zawijam mu swój pasek wokół bicepsa. Z ręką w świetle reflektora zaciskam dłoń, żeby żyły wyszły na powierzchnię. Christian, z drżącymi rękoma, kaleczy mnie raz za

razem. Mam już dwa podskórne wylewy, kiedy wreszcie udaje mu się trafić w żyłę i wstrzyknąć płyn. Ponownie popadam w błogostan.

Wstajemy bardzo wcześnie rano, obudzeni przez wschód słońca. Przeglądamy cały sprzęt, jaki mamy ze sobą. Dywaniki podłogowe zastępują podkłady, a piasek będziemy odgarniać talerzem od felgi. Mamy już tylko jeden, trzy pozostałe odpadły w czasie aerobiku pomiędzy Adrarem a Reggane. Christian robi mi kolejny zastrzyk i bierze się do roboty.

Odgarniam trochę piachu ręką, leżąc obok samochodu, ale Christian musi dokończyć talerzem, kiedy już wybrał piasek po swojej stronie.

Ugrzęźliśmy w wielkiej ławicy miękkiego piasku, dookoła rosną akacje. Mamy przed sobą jakieś sto metrów, zanim grunt z powrotem stanie się twardy. Tu będzie można ominąć ławicę i wrócić tam, skąd przyjechaliśmy. Na razie nie sposób zawrócić, musimy jechać prosto. Dywaniki pozwalają na przejechanie zaledwie metra za jednym razem, i pod tym słońcem nasza praca to istna droga krzyżowa. Jednak metr po metrze posuwamy się do przodu.

Około dziesiątej, wycieńczeni, dzielimy się ostatnią puszką sardynek. Każdy dostaje dwie rybki i parę łyków gorącej wody.

O pierwszej po południu Christian rozwala talerzem tylną szybę i przez dziesięć minut wrzeszczy przeklinając cały ten burdel. Dotarliśmy zaledwie do połowy ławicy. Potem uspokaja się, wypala cygaro siedząc na piasku oparty o samochód. Podnosi talerz i wraca do pracy. Dywaniki nie wytrzymują długo. W połowie popołudnia oba są już podarte, rozwalone pod wpływem tarcia opon, i nie nadają się do użytku. Zastępują je koszule i marynarki, które Christian zabrał ze sobą. Materiał ten jest jeszcze mniej sztywny i mniej skuteczny. Za każdym razem przejeżdżamy pięćdziesiąt centymetrów. Christian przybiera barwę szkarłatną, poparzony przez słońce.

Około szóstej połykamy litry wody, której w innych okolicznościach nie wzięlibyśmy do ust, taka jest gorąca, po czym zasypiamy. W nocy budzę się, znów zwijam się z bólu. Nie chcę budzić Christiana. Trzęsąc się i całkowicie opadły z sił robię sobie zastrzyk w świetle reflektorów. Małeńki skoczek, podskakując dookoła mnie, przygląda się temu widowisku. Błogostan do rana. Christian nie mówi ani słowa. Kiedy tylko się budzi, bierze talerz i powraca do roboty. Wreszcie po dwóch godzinach wysiłków, samochód wyjeżdża z ławicy. Nie zostało nam już wiele benzyny. Ta wycieczka przedłużyła nam drogę o paręset kilometrów, a długotrwałe wychodzenie z piasku zeżarło mnóstwo paliwa. Nasze ślady są dobrze widoczne. Christian jedzie za nimi przez dobrą godzinę.

- Byliśmy już tutaj.

Tym razem jesteście na dobrej drodze.

W niecałe dwie godziny później dojeżdżamy do rozwidlenia szlaków pośrodku strefy kamienistego gruntu, zaraz za tablicą oznaczającą algierską granicę. Tutaj trzeba było skręcić w prawo. Mamy chyba jeszcze dość paliwa. Jest to przypuszczenie, bo wskaźnik paliwa jest popsuty. Po niecałych dwóch godzinach szlak robi się węższy. Samochód trzęsie się na blasze falistej. W oddali widać góry. Droga wznosi się, po czym opada, w miejsce piasku pojawiły się czarne, ostre kamienie, aż po horyzont. Dojeżdżamy do Tessalitu.

Na parę kilometrów przed wioską przejeżdżamy przez obozowiska Tamacheków. Dzieci robią do nas znaki i machają kanistrami prosząc o wodę. Ale nie mamy jej już wcale. Jedziemy dalej.

W Tessalit wypijamy wreszcie nasze pierwsze zimne piwo. Właściciel baru podaje nam wielkie, oszronione butelki marki Flag. Facet jest Malijczykiem o jasnej skórze, nazywa się Amico. Jest bardzo sympatyczny i nasze stosunki są od razu doskonałe. W jego barze, składającym się z czterech ścian z wyschniętego błota i podłogi z piasku, znajdujemy wszystkich naszych znajomych. Przede wszystkim są tu Rene i Patricio, którzy niepokoiili się już o nas. Christian natychmiast wytłumaczył im, że zrobiliśmy mały objazd, żeby odwiedzić paru klientów mieszkających w głębi pustyni. Jest też Monique, która nie odstępowała dwóch przystojnych pomocników Wallida. Ten ostatni jest przygnębiony. Zapominając o nakazach swej religii, wypija piwo za piwem. Zmęczonym głosem wyjaśnia mi, że panienska rozbudziła się na dobre i wycieńczyła go. Opadają również z sił obaj pomocnicy. Wallid mówi, że wielokrotnie zauważył, jak bardzo pociągający dla Europejki potrafi być męczyzna pustyni, ale żeby do tego stopnia, tego jeszcze nie widział.

Wynajęliśmy oba pokoje Amico. Ciężarówki i obaj turyści wyjeżdżają jutro rano. My postanowiliśmy zostać tu na parę dni, żeby wypocząć.

Wallid opisał mi resztę trasy. Jest jeszcze jedno trudne miejsce o dwieście kilometrów stąd, strefa miłkiego piasku zwana Marcouba, właściwie jedyna poważna trudność na tym szlaku. Musimy nabrać sił, zanim stawimy jej czoło. Musimy też zadbać o wyposażenie. Już dziś wieczór Christian poszedł do mehari i skonfiskował Rene'emu jedną z saperek. Według Amico na pewno znajdziemy tu jakiś podkład do kupienia. Następnego dnia rano, zgodnie z przewidywaniami, wszyscy wyjeżdżają. Christian, odświeżony prysznicem w postaci paru wiader wody, na podwórku za domem Amico, nabrał cywilizowanego wyglądu. Ja też czuję

się lepiej.

Tessalit to zupełnie mała wioska, licząca około trzydziestu domków zbudowanych z cegieł z suszonego błota, położona wśród wzgórz z czarnych kamieni, wyglądających jak hałdy węgla... Tutaj, w masywie Adraru Iforasów, jesteśmy w środku gór. Budynek celników stoi na uboczu, o pięćdziesiąt metrów od reszty zabudowań. Od niego zaczyna się Mali. Jesteśmy w Czarnej Afryce. Choć większość mieszkańców to Tamachekowie, jest tu też paru czarnuchów, w kolorowych bubu, gadatliwych i rozgestykulowanych.

Tamachekowie, wyprostowani, pogodni, są spokojniejsi.

Przez dwa dni dbamy o siebie. Każę zabić i upiec parę baranów, spośród tych wielkich chudych zwierząt pętających się wszędzie w wiosce, i zjadamy ogromne ilości mięsa. Amico dobrze gotuje. Uzupełniam menu dietą pomidorową. Kupujemy sobie poza tym świeże jarzyny u kobiety ubranej w bubu, noszącej zawsze w ręku starą damską torebkę; wraz ze swymi córkami prowadzi ona rodzaj restauracji w jednym z podwórek. Duże butelki Flag i doskonała trawka, którą sprzedał mi Amico, ostatecznie przyczyniają się do uprzyjemnienia nam tego pobytu, chociaż ciężkie gorące powietrze jest bardzo męczące. Poza tym mam w Tessalit przyjaciółkę.

Kupiliśmy podkład pod koła, dwumetrową blachę do ciężarówek, którą musieliśmy przeciąć na pół u sąsiadów Amico. Jest to rodzina Tamacheków, mająca wspaniałą córkę. Radijah ma wielkie czarne oczy, niesamowicie delikatne rysy, a kiedy się śmieje, jej zęby lśnią od bieli. Na przegubach i kostkach nóg nosi srebrne bransolety. Jest zawsze boso i sprawia mi przyjemność przyglądanie się, jak biega w swojej dziecinnej białej tunice. Jest wysoka, szczupła, wygląda na wyrośniętą na swoje dziesięć lat. Chwile, które z nią spędziłem, nadały uroku mojemu pierwszemu pobytowi w Tessalit.

Kiedy kupiłem podkład, przyszła przyglądać mi się, jak siedzę przed domem Amico, na wpół schowana za drzwiami swego domu. Zawołałem ją, oczarowany jej wielkim, nieśmiałym uśmiechem, i podarowałem jej puszkę soku pomarańczowego. Od tej pory nie odstępuję mnie już. Bardzo dobrze mówi po francusku, uczy się w szkole i po przewyciężeniu pierwszych zahamowań obsypuje mnie pytaniami o Francję i Europę. Jej ciekawość nie zna granic. Jestem zaskoczony sensownością pytań, które mi zadaje.

Któregoś ranka zaskoczyłem ją, kiedy długo czesała się na progu swego domu. Kiedy mnie zauważyła, wybuchnęła śmiechem i szybko uciekła do środka. Kiedy wróciła, żeby dokończyć swoje zajęcie, podarowałem jej lustro wsteczne z samochodu i grzebień Christiana. Od tej pory jesteśmy już prawdziwymi przyjaciółmi.

Wraz z Christianem wykonaliśmy również trochę pracy. Przed odjazdem przeszliśmy przez wieś i złożyliśmy kurtuazyjną wizytę celnikom. Jest ich pięciu, wszyscy to czarni z południa kraju. Większość nosi lekkie mundury khaki. Piąty jest w wojskowej panterce, ma spadochroniarskie buty i zielony beret noszony na boku głowy pocziwego idioty. Christian podchodzi, z szerokim uśmiechem, co natychmiast wywołuje ich wesołość, i ściska im wszystkim dłoń.

- Cześć. Wiecie, kim jesteśmy?

Śmieją się, nie rozumiejąc, o co mu chodzi, Christian wali się w pierś.

- Jesteśmy nowymi świętymi Mikołajami szlaku. Wszyscy trzej kiwają głowami, jakby nas rozpoznali. Wyjaśniam im, że jestem największym kupcem na szlaku do Tamanrasset, że postanowiłem teraz przenieść się tutaj i że będziemy przyjaciółmi. Przyjaciele, to znaczy prezenty. Pytam ich, co chcieliby, żebym im przywiózł, a Christian, z ważną miną, wyciąga z kieszeni mały notesik, żeby zapisywać zamówienia. Mamy powodzenie. Główny celnik chętnie widziałby samochód, ale nie ma dużo pieniędzy. Poza tym byłby zadowolony z paru talii kart. Może być jedno albo drugie. Drugi chciałby katalog domu wysyłkowego La Redoute, nie precyzując, co chciałby tam zamówić. Facet w panterce marzy o butach z podeszwą na słoninie, kolorowych, rozmiar 45.

Po zamówieniach rozsądnych zaczyna się delirium. Wszyscy mają ochotę na pełno rzeczy, które Christian skrupulatnie notuje. Na zakończenie stawiam wszystkim kolejkę piwa u Amico. Po nawiązaniu przyjaźni kupuję u nich na wagę złota benzynę, przeznaczoną dla ich służbowego samochodu, landrowera, który gnije na kołach w pobliżu posterunku.

Tankujemy, po czym Amico daje mi puszkę po nesce pełną jego doskonalej malijskiej trawki. Celnicy w komplecie przychodzą się pożegnać. Radijah również pojawia się, żeby dać mi buzi na do widzenia.

Bóle ustąpiły. Przejąłem kierownicę i jadę szybko. Mamy benzynę, wodę, pieczoną baraninę; jedynym mankamentem jest to, że nie gra już muzyka. Prawdopodobnie piasek zanieczyścił radio.

Szlak przekracza góry Adraru Iforasów i wije się wśród wielkich czarnych masywów. Jest to ciąg zakrętów, wzniesień i zjazdów pomiędzy kamieniami. Czasami któryś z tych ostatnich sterczy z ziemi pośrodku szlaku i trzeba go omijać. Gdzie indziej jest blacha falista. Wówczas jest tylko jeden sposób: jechać jak najszybciej.

Zanim nie osiągnie się odpowiedniej szybkości, samochód ciskany jest we wszystkie strony. Na maksymalnej szybkości ma się wrażenie, jakby jechało się po zupełnie gładkim

podłożu.

Nie lubię prowadzić. Jazda po asfalcie nudzi mnie. Piasek nie dostarczył mi żadnych przyjemności. Dopiero na tym wąskim i urozmaiconym szlaku prowadzenie samochodu to frajda. Jestem cały czas w napięciu, przeszkody pojawiają się jedna za drugą. Staram się jak najszybciej przejechać przez wszystko, co wyłania mi się na drodze, i to dopiero mnie podnieca.

Przyjemność psuje mi tylko świadomość szkód, jakie ta część trasy wyrządza samochodowi. Pierwsza puściła rura wydechowa. Odkąd ją straciliśmy, poruszamy się odrzutowcem, którego silniki pracują na najwyższych obrotach. Oslony reflektorów pospadały jedna po drugiej, a w ich ślady poszły niebawem same reflektory. Musieliśmy zatrzymać się i pourywać kable, na których wisiały. Spód podwozia sypie się, i Christian, na siedzeniu pasażera, znajduje się coraz niżej.

Zastanawiam się, co nam jeszcze pozostanie do sprzedania, kiedy wreszcie dojedziemy.

Trudny odcinek ciągnie się jeszcze przez sto kilometrów, po czym teren robi się płaski. Teraz przez nami widać długie płaszczyzny miążkiego piasku, na których rosną małe, bardzo suche kolczaste krzaki i wysokie zielone rośliny o liściach przypominających liście kapusty. Szlak biegnie zupełnie prosto. Jest to wąski pas, po którym można pędzić na maksymalnej szybkości jak po prawdziwej francuskiej szosie.

Pięć godzin po wyjeździe z Tessalit przejeżdżamy przez Aguelock, gdzie zatrzymujemy się na parę minut. Jest tu kilka kwadratowych domków z wyschniętego błota, wszystkie zamieszkane przez Tamacheków. Przyglądamy się, jak wyciągają wodę ze studni. Do dwóch gałęzi drzew rosnących nad dziurą w ziemi przywiązali blok z wypalanej gliny, i wielbłąd ciągnie linę, na końcu której znajduje się wiadro. Idzie prosto przed siebie czterdzieści metrów, po czym wraca i rzecz zaczyna się na nowo.

Dla zabawy gonilem gazelę, która przebiegła przez szlak przed nami. Przez piętnaście minut pędziłem wśród krzaków, starając się zrównać z jej małym białym zadkiem. To mała lania posuwająca się do przodu skokami, raz w prawo, raz w lewo. Nie udało mi się jej dogonić, za bardzo przeszkadzała mi roślinność. Pozwoliłem jej uciec i wróciłem na szlak, który około trzeciej po południu przeistoczył się nagle w dwie ogromne koleiny, wryte głęboko w piasek. Według opisu, jaki przedstawił mi Wallid, jest to Marcouba.

Zgodnie z jego radą zjeżdżam ze szlaku w prawo, by tam szukać dogodnego przejazdu. Twarde podłoże łatwo rozpoznać. Jest ciemniejsze niż połacie normalnego,

jasnoszarego piasku. Jeżeli weźmie się dostateczny rozpęd, jadąc po tych ciemnych odcinkach udaje się czasami uniknąć ugrzęźnięcia w piachu. Nie zawsze jednak, ale tym razem mamy podkłady i łopatę, i te nieliczne przypadki, kiedy musieliśmy kopać, wyglądały na żart w porównaniu z poprzednią gehenną.

Po piętnastu kilometrach w Marcouba, przejechanych wśród małych krzaczków, docieramy do strefy огоłoconej ze wszystkiego. Ziemia ma kolor brązowoczerwony i jest miękka, ma się wrażenie, jakby jechało się po zaoranym polu. Wciskamy gaz do dechy. Grunt jest akurat dosyć miękki, żeby nie tworzyła się blacha falista, i akurat dosyć twardy, żeby nie ugrzęznąć. Na pełnej szybkości dojeżdżamy do Anefis, gdzie spędzamy noc, po czym ruszamy wcześniej następnego dnia.

Dziesięć kilometrów dalej łapiemy gumę w przednim kole. Zadowoleni, że jest okazja trochę rozprostować kości, wyciągamy lewarek, zmieniamy koło i w ostatniej chwili zdajemy sobie sprawę, że w kole zapasowym dętka jest również dziurawa. Nigdy nie przyszło nam do głowy sprawdzić! Każdy bierze oponę na głowę i wracamy do Anefis.

Po drodze Christian śmieje się do siebie. A przecież nie ma tu nic śmiesznego. Jest bardzo gorąco, i po paru kilometrach ma się wrażenie, że opona na głowie waży tonę.

- Co cię tak bawi?

- Myślę o naszej sytuacji. Gdyby przejeżdżali tędy jacyś turyści, takim samochodem obładowanym sprzętem, pomyśleliby, że zwariowaliśmy: wyjechać w pustynię nie sprawdzając nawet koła zapasowego, trzeba mieć tupet, nie?

- Chyba nie chciałbyś, żebyśmy zaczęli szpanować i szykować się jak tamci?

- Nie, oczywiście, że nie, ale mimo wszystko...

I ponownie wybucha śmiechem.

Wiem, że ma rację. Zawsze ufałem swemu szczęściu i nigdy mnie ono nie zawiodło. Jeżeli któregoś dnia mnie opuści, będę się czuł cholernie samotny, tak bardzo się już do niego przyzwyczaiłem.

Jakiś facet przebrany za mechanika, mający parę kluczy, śrubokręt i kilka żelaznych prętów służących za łyżki do opon, naprawił nam oba koła. Kiedy czekaliśmy, jego żona podawała nam herbatę za herbatą. Wróciliśmy do samochodu z naprawionymi oponami na głowach.

Dookoła rosną już drzewa. Nie są jeszcze zbyt okazałe, całe suche, pokręcone i nie przekraczające dwóch metrów, ale w każdym razie nie są już krzaki. Podłoże jest nadal

piaszczyste, ale zbliżamy się do końca pustyni. Przejechaliśmy przez wioskę Tamacheków, złożoną z namiotów w postaci plandek zamocowanych na gałęziach, dookoła wysokiej wiatrowej turbiny. Według informacji Wallida jesteśmy już tylko o osiemdziesiąt kilometrów od Gao. Szlak nadal wije się wśród niskich drzew. Poza kilkoma odcinkami miękkiego gruntu przejazd to małe piwo. Jest trzecia po południu, kiedy dostrzegamy cysternę na palach, daleko w przedzie, wystającą zza piaszczystej wydmy. To wieża ciśnień w Gao.

Gao to Czarna Afryka, zupełnie małe miasteczko. Najpierw przejeżdżamy przez piaszczyste uliczki. Domy są z kamienia, większość w kolorze brązowym. Jest bardzo gorąco i wilgotno. We wszystkich zacienionych miejscach widać grupki leżących Murzynów, a w okolicy targu kłębi się zwarty tłum. Niedaleko płynie Niger, w jego wodach kobiety piorą bieliznę. Hotel znajduje się tuż przy brzegu.

Jest to duży budynek z betonu, w afrykańskim stylu. Beton jest żółtawy, obdrapany i w złym stanie, jak wszędzie w tych krajach. Zielone żelazne okiennice są pozamykane. Z tyłu znajduje się parking. Rozpoznaję tam ciężarówkę Wallida i mehari, stojące wśród innych samochodów i ciężarówek. Kiedy tylko wysiadamy z peugeota, podbiega do nas stado dziewcząt. To odpoczynek wojownika. Są w różnym wieku, w kolorowych spódnicach, przepychają się i wrzeszczą na siebie, żeby być na początku kolejki do sprzedania nam swoich usług. Christian jest zaskoczony. Ja wybieram dwie. Młodszą dla przyjemności, jeśli można tak powiedzieć. Większość ma wycięte łechtaczki, ich bierność jest nie do pokonania. Starszą do drapania mnie w plecy.

Wynajmujemy dwa pokoje od strony tarasu. Christian oczarowany i pod wrażeniem niskiej ceny chętnych do bum-bum, bierze ich sobie sześć.

Pokój jest podły, z łóżkiem, którego moskitiera jest oczywiście dziurawa i z wentylatorem zbyt powolnym, by dawać jakiś efekt. Jest tam jednak wnęka łazienkowa z prysznicem. Po godzinie, obmyty z pyłu, czysty, czuję się lepiej. Powierzam swoją bieliznę starszej, żeby mi ją wyprała w rzece. Daję parę banknotów i schodzę na dół. Z pokoju Christiana dobiegają mnie okrzyki i wybuchy śmiechu.

Bar znajduje się na dole. Jest to duża sala o wysokim sklepieniu. Cztery wentylatory przesuwają nieco powietrze. Całą jedną stronę zajmuje kontuar. Na półkach niewiele butelek. Czterech czarnych kelnerów śpi.

Tu odnajduję gości z Bordeaux. Fred i Alain stoją przy kontuarze, popijając anyżówkę, w towarzystwie trzeciego faceta. Spotkanie jest radosne. Alain, jak zwykle w

świetnym humorze, bezustannie poklepuje mnie w ramię, i przedstawia mi ich towarzysza.

- To Francis. Największy alfons w Bordeaux.

Tamten wygląda, jakby komplement mu się podobał. To wysoki frajer mający co najmniej metr dziewięćdziesiąt, bardzo się stara, żebym zauważył kolejno wielki sygnet, który nosi na małym palcu, i szeroki złoty łańcuch zwisający na lewym przegubie. Następnie opiera się łokciami o kontuar, wygięty w pałąk jak w nocnym lokalu w Bordeaux, i zamawia sobie następną anyżówkę. To prawdziwy skecz. Alain przedstawia mnie jako zawodowca afrykańskich szlaków, i Francis odwraca się w moją stronę.

- Ty też handlujesz z czarnuchami, Charlie? Stojący za jego plecami Alain robi do mnie oko.

- Francis jedzie citroenem tube. Ma talent do wybierania samochodów.

- O tak, ja potrafię wybrać wóz. Nie, żebym znał się na mechanice, ale mam nosa. Posłucham tylko silnika i wiem, czy jest dobry. Nachyla się ku mnie.

- Charlie, ty się na tym znasz, jak się sprzedają citroeny? Z tyłu Alain kiwa do mnie głową. Wydaję lekkie gwizdnięcie.

- Citroeny? Czy się sprzedają? Człowieku, idą jak woda! Zachwycony prostuje się, wymachuje sygnetem, łańcuchem, przeciąga dłonią po włosach.

- Widzisz, nie lubię, jak się ma mnie za idiotę. Ci dwaj... Odwraca się, a ci dwaj natychmiast przerywają robienie min i przybierają niewinny wygląd.

- Ci dwaj przyjeżdżają do mnie w Bordeaux i opowiadają mi, że zarobię. Dobrze się składa, kurwa. No wiesz, w Bordeaux już nie ma żyda. Z dziwkami koniec, kurwa. Naprawdę, dziewczyn już się nie utrzyma w garści, gadają tylko o niezależności, kurwa. Miałem dwie. Obie odeszły. Dałem spokój, sam wiesz, wiesz, jakie te dziwki są, same wrócą i będą jeszcze mi jadły z ręki. Co nie, Charlie? A na razie szukam czegoś na moją skalę.

Sygnet, łańcuch, anyżówka.

- Mówią mi, bierz peugeota 404, furgon. Według nich, to się sprzedaje. A jak przyjeżdżam, kurwa mać, akurat rynek nasycony. Czarnuchy zmieniły zdanie, teraz chcą peugeoty 504.

Za jego plecami Alain jest roześmiany od ucha do ucha. Nawet Fred, zwykle bez wyrazu za tymi swoimi okularami intelektualisty, uśmiecha się kątem ust.

- Mówią mi, nie martw się, to przypadek, odbijemy sobie to. Przyjeżdżam 504 limuzyną, a ten kurewski rynek się znowu zmienił, kapujesz. Charlie! Tracę szmal. Tym razem muszę się odkuć, ale citroen tube, nie bój się, zapłacą mi za niego te czarnuchy. Nie jestem jakimś frajerem.

Biedny kutas. Wystarczy, że przyjdzie ktoś zupełnie obcy i potwierdzi mu, że dobrze wybrał, a on już nabrał zaufania. Nie potrzeba mu więcej, żeby poczuć się ważnym. Te świnię, Alain i Fred, muszą mieć z nim niezły ubaw. Mają rację. Gardzę alfonsami; pod pozorami tego całego ich cyrku to mięczaki, które nie mają odwagi robić czegoś innego. Są na najniższym poziomie w półświatku. I pomyśleć, że nazywają siebie mężczyznami!

Starłem się z nimi bardzo wcześnie.

- Mały, zrobiłeś głupstwo. Będziesz musiał zapłacić karę.

Miałem wtedy zaledwie szesnaście lat, ale też dużo kumpli. Kiedy trzech alfonsi stawili się w umówionym miejscu, ich trzydzieści lat, mięśnie i wyszczerzone mordy nie na wiele się zdały wobec czterdziestu chłopaków uzbrojonych w łomy i trzonki od łopat.

Kiedy wyszli ze szpitala, opuścili miasto.

Dołącza do nas Christian i przedstawiam ich sobie. Pozostała część popołudnia upływa na rozmowach, obficie zakrapianych malijską anyżówką. W tym otoczeniu dźwięk czterech głosów mówiących z akcentem Bordeaux jest dosyć nieoczekiwany i raczej zabawny.

Pod pretekstem zmęczenia siadam na uboczu w jednym z bardzo niskich plastikowych foteli, które stanowią umeblowanie sali. Po jakimś czasie wchodzi Wallid i ciężko opada na fotel koło mojego. Rycerz pustyni jest całkowicie przybity. Lubię tego faceta. Od początku powstała między nami nić sympatii. Stawiam mu drinka, wybiera anyżówkę, żeby poprawić sobie humor.

- Po co podrzuciłeś mi tę dziewczynę, Charlie?

Jest cały odmieniony. Nie mam już przed sobą bohaterskiego Beduina. Wychodzi teraz z niego paryski imigrant, opowiadający mi o piekle, jakie przeżył.

- Wycisnęła ze mnie wszystko, wykończyła mnie, ciągle mnie prowokowała. A potem załatwiła jeszcze pomocników. Ich też wykończyła. Przysięgam ci. Nie byli już w stanie nic robić. A potem wzięła się za wszystkich pasażerów, po kolei. W końcu wszyscy się pobili...

Na to wspomnienie ogarnia go jeszcze większe przygnębienie. Zamawiam mu jeszcze jedną anyżówkę, ale efekt jest niewielki.

- Już nie mogę... Nie biorę jej więcej do swojej ciężarówki... Nie chcę jej już.

Cholerna Monique! Moja mała dzielna panienka nareszcie się rozwinęła. Później

przychodzi się poskarżyć Patricio. Nie ma już forsy. To on sfinansował zakup sprzętu campingowego i większość kosztów wyprawy. A teraz, kiedy nie zostało mu już nic, gruby strażak nie zaproponował mu nawet pożyczki. Patricio musi zebrać.

- Mam tego dość. W Niamey biorę samolot z powrotem. Mogę kazać sobie przysłać pieniądze. Rene sam sprzedaje wóz, mam to gdzieś. Nie obchodzi mnie, czy go naciągniesz.

- Jest lepszym psychologiem, niż sądziłem. Rene jest uwięziony w hotelu. Nasz strażak ma afrykańską biegunkę, nie wychodzi z ubikacji, a Patricio nie może się zdecydować na zabranie mu jego portfela. Zapraszam go na naszą małą zabawę. Bo dziś wieczór jest w Gao zabawa. Fred i Alain postanowili załatwić całe stado dziewczyn. Podczas kolacji Alain podpuścił Francisca, zwanego teraz Sygneciarzem, żeby opowiedział nam o swoich seksualnych wyczynach, i cały posiłek ten dureń zatrzał nam swoimi przechwałkami i swoją wulgarnością. Zabawa jest na najwyższym poziomie. O ile jakoś pozostawia nieco do życzenia, odbijamy to sobie na ilości. Co najmniej dwadzieścia tyłków stoi

rzędem pod ścianą. Przed oczami każdej z naszych piękności zawiesiliśmy banknoty. Oczywiście Fred zaopatrzył się w swoje wiadro i gąbkę, i przemywa im zadki. Ten dziwny rytuał to jedyna chwila, kiedy można zobaczyć, jak facet ten uśmiecha się i żartuje.

Wieczorek pozwolił mi poznać miejscowego alfonsa, zaopatrującego wszystkich białych. To stary czarny ślepiec, który zna Gao jak własną kieszeń. Nie zdarza się, by się o coś potknął albo żeby się omylił. Ma zadziwiający dar przemieszczania się i rozpoznawania ludzi, zanim się nawet odezwą.

Kiedy orgia rozpoczęła się na dobre, zaciągnąłem parę dziewczyn do innego pokoju, wzięwszy ze sobą przeznaczone dla nich banknoty, i bez specjalnego entuzjazmu zająłem się tymi paniami.

Była to bezsenna noc. Podczas gdy pozostali szaleli w głównej sali, wyszedłem z hotelu, by poszukać czegoś ciekawszego. W jednym z dwóch nocnych lokali w Gao, gorących miejscach, gdzie serwują ciepłe alkohole, spotkałem Wallida i Ajudżila. Dzięki nim poznałem bardziej interesujące miejsca. Razem zakończyliśmy noc w domu kurtyzan. To mauretańskie prostytutki, wyraźnie wyższej klasy niż uliczne bum-bum. Ukojony fajkami z kifem, przygotowanymi przez te jasnoskóre dziewczyny, zakończyłem noc długim tete-a-tete z Aiszą. To wspaniała, wysoka dziewczyna, o skórze koloru kawy z mlekiem.

Jej ciało jest rewelacyjne. Wybrałem ją, bo ma amputowaną jedną rękę. Brakowało mi jeszcze jednoręki na mojej liście podbojów.

O świcie natknąłem się na Monique. Wychodziła właśnie z afrykańskiej „prywatki”, z

włosami w nieładzie, promieniejąc radością życia.

To niewiarygodne, jak miłość potrafi zmienić człowieka. Monique cała promienieje, jest jak odmieniona. Oczywiście nie fizycznie, nadal ma swój obwisły tyłek, ale dobrze się czuje ze swoją brzydotą.

W hotelu, gdzie razem jemy śniadanie, popada w nie kończące się wywody o wspaniałości kontynentu afrykańskiego.

- Zrozumiałam, Charlie, nareszcie odnalazłam swoją drogę. Kiedy pomyślę o wszystkich tych straconych latach w Europie!

Nieśmiała i zakompleksiona Monique z naszego pierwszego spotkania już nie istnieje.

- Przerznęli mnie cudownie. Wszyscy. Są wszyscy fantastyczni. Charlie, znalazłam prawdziwe życie.

Już ani słowa o malijskim narzeczonym. Droga do niego będzie długa. Życzę jej szczęścia.

- No to idź, ślicznotko. Afryka czeka na ciebie.

Wszyscy już wstali z głową obolałą od nocnych uciech. Sygneciarzowi usta się nie zamykają. Doprowadził do orgazmu wszystkie te Murzynki, i trzeba było posłuchać, jak krzyczały... Nikt nie wspomniał mu o wyciętych lechtaczkach.

Połykamy śniadanie i opuszczamy Gao. Przed nami sześćset kilometrów nieciekawej trasy: mały mehari, citroen tube Sygneciarza, który już wkrótce stanie się własnością facetów z Bordeaux, prowadzących ze swej strony pięciotonowego mana i peugeota 504, wreszcie nasz wycieczony peugeot 404 z Christianem i mną.

Droga biegnie wzdłuż Nigru. Po drugiej stronie ziemia jest czerwona i rośnie więcej drzew. Od czasu do czasu nad wszystkim góruje baobab. Bez przerwy, w niewiadomym kierunku, przesuwają się przed naszymi oczami czarnuchy, pieszo, na wózkach zaprzężonych do szarych osłów, na rowerze. Kobiety mają usta umalowane na niebiesko. Musimy spędzić noc w Labbezenga, nigerskim punkcie granicznym, bo ci kretyni celnicy postanowili zamknąć interes. Aż do rana atakują nas komary. W połowie drogi do Niamey przejeżdżamy przez Tillaberi nie zatrzymując się. Silnik naszego samochodu, bez kompresji, milknie na dobre, kiedy nasz mały konwój zatrzymuje się przed domem Ministra Dobrych Interesów.

W Niamey zostajemy około dziesięciu dni. Minister to gościnny gospodarz. Opróżnił z mieszkańców kilka pokoi i zaopatrzył nas w materace. Jest to maksimum komfortu, jakie może nam ofiarować. Jest gorąco. Dni są długie.

Mój samochód przybrał żałosny wygląd. Jeden z przednich błotników odpadł. Nie

można zamknąć pokrywy silnika. Akcesoria pourywały się jedno po drugim. Część najważniejsza, silnik, prawie wyzionął ducha. Minister uśmieł się.

- Jest w dobrym stanie, Charlie. Zrobimy dobry interes. Zaprowadzę cię do przyjaciela w sprawie karoserii.

Afrykańscy blacharze to genialni fałszerze, odzyskiwacze wszelkich metali, powodzi im się świetnie. Przyjaciół Ministra Dobrych Interesów to tłusty muzułmanin w niebieskim bubu. Przez cały dzień rządzi dwudziestoma pracownikami, którzy biegają wokół niego.

Warsztat jest obszerny, urządzony na podwórzu. Stos drzwi, pokryw i różnych innych blach zajmuje co najmniej połowę powierzchni. W kącie, pod osłoną blaszanego daszku, przykucnięty stary Murzyn czyści śruby i robi resory i podkładki ze wszystkiego, co się tylko nada. Wali młotkiem w części leżące na ziemi i przytrzymywane palcami u nóg. Przez cały dzień siedzę w tym magazynie, żeby nadzorować pracę. Moim samochodem zajmuje się sześciu pracowników. Rozebrali go praktycznie bez narzędzi. Szukają teraz wokół, żeby zgromadzić kawałki nowej karoserii. Od czasu do czasu wysyłają na zewnątrz małego chłopca, który przynosi brakujące kawałki żelastwa. Przez cały dzień pracują, zatykając dziury i wadliwe złącza za pomocą jakiegoś kitu, w którym nie ma ani grama metalu. Dolna część tylnych drzwi zrobiona jest teraz w całości z wyklepanych puszek po konserwach. Pozostaje jeszcze lakierowanie.

Następnego dnia odbieram swojego 404, który znów wygląda jak nowy wóz.

Szybko też zostaje sprzedany. Minister Dobrych Interesów znalazł nabywców. Są to trzej miejscowi hadzi, dla których nie żywi żadnego szacunku, bo nie są dobrymi muzułmaninami... Nie są hojni.

- Jutro przyjdą wypróbować samochód i kupią go.

- Ale przecież zorientują się, że silnik jest do niczego.

- Oczywiście. Ale zapłacą najpierw.

Następnego dnia prowadzę podczas próbnej jazdy. Klienci są wszyscy trzej w białych bubu. Są braćmi. Trzaskają dziobami przez cały dzień. Za radą Ministra unikam podjazdu. W Niamey jest tylko jeden. Różnica wzniesień jest niewielka, ale wystarczyłaby, żeby unieruchomić mojego wraka. Trzej hadzi są zadowoleni i płacą tego samego wieczoru.

Następnego dnia rano przychodzą zaprotestować. Minister wybucha. Cały dom milknie, nasłuchując jego wściekłych wrzasków. Ryczy na hadzich, że są brudnymi czarnuchami, co jest zwykłym wyzwiskiem w sprzeczkach między dwoma Murzynami. Klienci rejterują. Części mechaniczne sprzedajemy właścicielowi warsztatu, przyjacielowi Ministra. Biorąc pod uwagę, że na początku zainwestowałem sześćset franków, robię

niesamowity interes. Minister zatrzymał swój udział w zyskach.

Dziś rano odjeżdża Christian. Zadzwoił do Francji i dowiedział się, że jego żona urodziła córkę. Postanowił, że nazwie ją Argine. To imię damy treflowej.

Następnie trzeba było zająć się Rene, grubym strażakiem. Zamierza sprzedać swego mehari i oczywiście Afrykanie zrobią go na szaro. - Wolę, żeby forsa wylądowała w mojej kieszeni. Nie zachował się porządnie w stosunku do Patricio, kiedy powstały między nimi problemy finansowe. To dusigrosz. Mam też z nim osobiste porachunki. W Tessalit zauważyłem, jak podglądał małą Radijah w intymnej sytuacji. Zakochałem się w tej dziewczynie i chcę się z nią ożenić. Zachowanie Rene wzburzyło mnie.

Po prostu nie lubię go, więc tym gorzej dla niego. W Afryce szwindle opierają się na dwóch zasadach. Po pierwsze, jest gorąco. Europejczycy nie są przyzwyczajeni i dają dupy. Jeśli sprawa się przeciąga, słabną. Po krótkim czasie są gotowi zgodzić się na wszystko, byle tylko móc odjechać. Druga zasada to ich szacunek dla oficjalnych dokumentów i dla munduru. Reagują wobec nich jak we własnym kraju. Podporządkowują się bez dyskusji. W Afryce dokumenty nie znaczą nic. Istnieją księgi, pieczętki również, ale to teatr. To po prostu Murzyni, którzy bawią się w białych. Jediną korzyścią płynącą z administracji jest nabijanie kabzy urzędnikom, którzy są skorumpowani albo mają nadzieję, że będą.

Minister wziął pierwszy akt na siebie. Zgodził się poszukać kupca na mehari. Przez trzy popołudnia zabierał ze sobą grubego Rene na „badanie rynku”. W rzeczywistości chodził do swoich znajomych na herbatę.

W tym czasie strażak siedział w mehari, w pełnym słońcu, i czekał na jego wyjście. Po powrocie Ministra poparzony słońcem Rene słyszał, że dana osoba nie była zainteresowana jego samochodem. Trzeciego dnia takiej obróbki Minister zmyśla ofertę, osiem tysięcy franków CFA, połowę tego, na co liczył Rene, który jednak skłonny jest już się zgodzić.

Od trzech dni Alain z Bordeaux jest bardzo miły dla strażaka.

Klepie go w ramię:

- No i co mały, sprzedajesz tego mehari?

- Tak, proponuję mi osiem tysięcy franków CFA.

- Osem tysięcy! O! Nieźle sobie radzisz. Klepięcie w ramię. Rene nabiera pewności siebie. Alain mówi dalej:

- Będziesz nawet mógł zafundować sobie samolot, jak już zapłacisz cło.

Strażak jest zaskoczony. Po raz pierwszy słyszy to słowo. Alain wyjaśnia mu, że

nigerskie przepisy, podobnie jak we wszystkich cywilizowanych krajach, zabraniają odręcznej sprzedaży samochodów należących do cudzoziemców. Trzeba najpierw zapłacić cło.

- Ile?

Niepokój w tym głosie to prawdziwa przyjemność. Z kamienną twarzą i błyszczącymi złośliwie oczami Minister rzuca;

- Sześć tysięcy pięćset franków.

Następnego dnia strażak wyrusza po informację. Urzędnik ceł w szamerowanym mundurze wyciąga księgę i potwierdza:

- Citroen mehari, sześć tysięcy pięćset franków.

To go dobija. Purpurowy, wycieńczony przez biegunkę, zmęczony dietą z mango i ryżu, Rene rezygnuje z zysku. Ze sprzedaży uzyska zaledwie wartość powrotnego biletu lotniczego, ale ma to w nosie. Wieczorem Minister proponuje mu wyjście od ręki. Kupi od niego mehari natychmiast za tysiąc pięćset franków. Rene godzi się. Ale nie został jeszcze oskubany całkowicie.

Podchodzę do niego.

- Słuchaj, strażaku, a prowizja Ministra? Alain klepie go w ramię.

- Fakt, mały, przecież pracował dla ciebie.

- Ale ja nie mam forsy.

Minister wstaje i zaczyna wrzeszczeć:

- Nie chcesz mi zapłacić?

Rene jest strachliwy. W panice gorączkowo szuka wyjścia z tej sytuacji. Podszeptuję mu, żeby zostawił swój sprzęt kampingowy Ministrowi, który już będzie wiedział, co z nim zrobić. Wściekłość Ministra znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Następnego dnia strażak uwalnia nas od swojego towarzystwa. Odpalam stowę wyszamerowanemu celnikowi, który przystawia mi pieczętkę o zwolnieniu od cła. Minister znajduje mi tym razem prawdziwego kupca w ciągu paru dni.

To prosta robota. Turyści to ofiary łatwe i zabawne. W przypadku Sygneciarza trzeba było znaleźć coś bardziej skomplikowanego. To dureń, ale ma jakieś pojęcie o szwindlach i ma się na baczności. Zgodnie z umową, ponieważ Alain pomógł mi obrobić Rene, ja pomagam jemu w uśpieniu czujności alfonsa.

Dwa pierwsze akty nie odbiegają od normy. Wieczorem Minister wraca do domu

rozradowany i otoczony grupką Murzyniątek. Sprzedał wozy obu z Bordeaux. Ale ma złą wiadomość dla Sygneciarza. Klienci przewidziani dla citroena już kupili ciężarówkę.

- O kurwa, znowu to samo? Chyba nie macie mnie za idiotę! Alain przybiera zakłopotaną minę. Przytłacza Sygneciarza współczuciem. Zapewnia go, że to było nie do przewidzenia i że zrobimy wszystko, żeby znaleźć mu klienta. Minister godzi się poszukać. Spokojnie przechodzimy do drugiej części scenariusza. Minister sprowadza do domu przyjaciół, których przedstawia jako kupców. Goście z Bordeaux i ja zaśmiewamy się do łez, kiedy tylko jesteśmy sami. Sygneciarz nie daje za wygraną. Czarnuchy przychodzące podrapać się po brzuchu oglądając jego citroena nie robią na nim wrażenia. Chce poważnej oferty i głośno się jej domaga. Proponujemy mu pięć tysięcy franków, jedną ósmą tego, czego oczekiwał. Przeciągamy sprawę. Dziś rano jestem gotów i w porze śniadania idę z nim pogadać. Jest nie ogolony.

- Francis, posłuchaj mnie. To już za długo trwa.

- Kurwa, to naprawdę już długo. Ale przecież nie sprzedam mojej ciężarówki za pięć tysięcy franków, nie.

I znów się zaczyna. Sygnet, łańcuch, Murzyni, nie trzeba go brać za idiotę.

- Francis, mogę oddać ci przysługę. Znam jednego hadzi, ma tu w Niamey duży interes. Twoja ciężarówka będzie go interesować. Mogę go sprowadzić.

Sygneciarz jest zachwycony. Ostrzegam go:

- Ale uważaj, to bogaty facet, to znaczy skorumpowany i twardy w interesach. Z nim nie będzie targowania się.

- Co tam! To przynajmniej ktoś poważny...

Po południu mój hadzi przychodzi w obszernym niebieskim bubu. Staje przed citroenem. To Senegalczyk, alkoholik i dziwkarz, którego poznałem w barze. Jest bez forsy. Zaproponowałem mu pracę. Wystarczy znaleźć niebieskie bubu i przychodzić do Ministra. Ma przyglądać się ciężarówce przez piętnaście minut, po czym przywołać mnie ruchem ręki, żeby pogadać. Przede wszystkim ma nic nie mówić, trzymać się z dala od reszty. Przedstawienie jest czysto wizualne.

Doskonale wywiązuje się ze swojej roli. Kiedy macha do mnie, podchodzę. Rozmawiamy. Odchodzi. Wracam do Sygneciarza.

- Zastanawia się. To dobry znak. Jutro wróci.

Scena powtarza się przez następne dni. Sygneciarz słabnie. Przez cały dzień nic nie robi. Przestał się golić. Jego ubranie jest teraz brudne i pomięte. Od czasu do czasu wybuch. Wrzeszczy na pięć tysięcy franków, na Afrykę, na jej mieszkańców, po czym wraca do cienia

i siada na ziemię.

Siedząc w naszym kącie z Fredem i Alainem oglądamy przedstawienie. Alain ukradkiem dosypuje przypraw i pieprzu do talerza Francisa podczas każdego posiłku. Zapłaciłem boyowi Ministra, żeby każdego ranka włączał na cały regulator swoje radio pod oknem Sygneciarza. Te drobne kawały uprzyjemniają nam czekanie. Fred zajmuje się niepokojeniem frajera.

- Dosyć już tego. Mam sprawy do załatwienia we Francji. Alain i ja wyjeżdżamy.

- Kurwa, chyba nie zostawisz mnie samego wśród czarnuchów?

- Jeśli nie potrafisz sprzedać ciężarówki, to twoja sprawa. Nie mamy żadnego powodu, żeby na ciebie czekać.

Każdego ranka o jedenastej mój Senegalczyk przechodzi przez podwórko. Przygląda się. Woła mnie. Rozmawiamy ścisłym głosem.

- Charlie, masz moje pieniądze?

- Nie. Kiedy skończysz robotę.

Po czym wracam do grupy widzów i niezmiennie oznajmiam Sygneciarzowi:

- W porządku, prawie się zdecydował.

Wkrótce frajer jest gotów. Zawiadomiłem Senegalczyka, że nadszedł dzień ostatniego aktu.

W trakcie trwania tej komedii mój człowiek popracował nad swoją grą. Teraz dostojnym krokiem przechodzi przez podwórko. Kiedy tak stoi przed citroenem, jest uosobieniem surowości. Jak każdego ranka, Sygneciarz jest na miejscu, z puszką piwa w garści.

- Dzisiaj się zdecyduje, Francis, to pewne. Senegalczyk wznosi ręce do góry.

- Patrz, już mówi.

Pośrodku podwórka mój człowiek kieruje wzrok na zebranych. Wszyscy zamilkli. Murzyniątka przestały się bawić. Senegalczyk opuszcza ręce. Wykrzykuje:

- Dwa tysiące franków!

Tego samego wieczoru Sygneciarz przyjmuje pierwszą ofertę Ministra i oddaje swego citroena za pięć tysięcy pięćset franków.

Drugi załatwiony.

To naprawdę nic trudnego.

W Afryce biały jest z góry upatrzoną ofiarą wszelkich oszustw. Już na początku świadomość, że nie można się w dupę podrapać nie będąc obserwowanym, stawia go w

niekorzystnej sytuacji. Ale, co najważniejsze, przyjeżdża tu ze wszystkimi swoimi europejskimi odruchami warunkowymi. Choć dopuszcza myśl, że nie każdy urzędnik jest zawsze uczciwy, nie zdaje sobie sprawy, że tutaj urzędnicy są zawsze skorumpowani do szpiku kości. Ponadto ma szacunek dla władzy. Nie rozumie, że we wszystkich krajach słabo rozwiniętych mundur to najlepszy sposób, by kraść całkowicie bezkarnie, i że ze wszystkich szakali, którymi jest otoczony, najżarłoczniejszy jest ten, którego zadaniem jest go ochraniać.

Po prostu nie jest w stanie wyobrazić sobie, do jakiego stopnia wszyscy dookoła mają chęć na jego forszę. W połączeniu z palącym słońcem, które go otępia, wszystko to robi z niego idealny materiał na frajera.

Upłynęło parę miesięcy.

Gruby Christian powoli powrócił na łono rodziny.

Ja przejechałem pustynię we wszystkich kierunkach, z północy na południe, ze wschodu na zachód. Przemierzyłem trzy szlaki, Mauretanię, Gao i Tam. Od Nuakszott do Timbaktu i jeszcze inne. Tyle po niej jeździłem, że w końcu jej mit rozwiął się dla mnie zupełnie.

Okazało się, że szukałem trudności tam, gdzie ich nie było. Tylko parę zwariowanych przejazdów przez piaski przyprawiło mnie o ten dreszcz konieczny do nasycenia mojego pragnienia przygód. Wobec tego nastawiłem się na bardziej lukratywne aspekty pustynnej przygody.

Zamieszkałem w Niamey, stolicy Nigru, skąd mogłem kontrolować handel samochodami w całym regionie, i tego roku wziąłem udział w narodowej rozrywce: safari na turystów. Zaczynała się wówczas demokratyzacja podróży afrykańskich i run turystyczny, ku wielkiemu zadowoleniu tubylców.

Wszyscy ci, którym udało się wyjść cało z przejazdów samochodem przez pustynię, mali i średni piraci handlujący między Europą a Sahelem, wszyscy trafiali w końcu do mnie. Plejada naganiaczy pracujących dla mnie kierowała do mnie moje przysze ofiary.

Cóż za przyjemność rano, po przebudzeniu, zobaczyć pod moimi oknami jeden czy dwa pojazdy, których właściciele smażą się na słońcu czekając na moje skinienie.

Moja metoda była prosta. Bez mojej zgody na moim terytorium nie mogła zostać przeprowadzona żadna transakcja. Jeżeli ktoś mimo ostrzeżenia naruszał tę regułę, tracił wszystko, co miał. Moje ceny były uczciwe, a poza tym każdy miał pełną swobodę próbowania szczęścia w sąsiednich krajach, nie dalej niż paręset kilometrów stąd. Ale lekka

presja, po której następowała rozsądna oferta, na ogół wystarczała turystom, którzy, zmęczeni podróżą, zwykle byli zadowoleni, że tak gładko im poszło. Skomplikowany scenariusz, parę szwindli, montowanie scenek, a nawet, jeżeli zachodziła taka potrzeba, wielki teatr, wszystko to zapewniało mi stałą klientelę w środowisku podejrzanych handlarzy, sprzedających swe dusze równie chętnie, co swoje samochody. Czasami, dla przyjemności, sam komplikowałem sytuację. Dysponowałem małym zespołem Murzynów, którym każdego ranka rozdzielałem role:

- Ty będziesz celnikiem, ty kupcem, ty mechanikiem...

I każdy ubierał się odpowiednio. Zdarzało się, że któryś z nich całkowicie rozbierał silnik, pod pozorem sprawdzenia czegoś, po czym podawał całkiem śmieszną cenę. Czasami, kiedy byłem w złym humorze, najzwyczajniej konfiskowałem po prostu towar najgorszym szumowinom. Miałem dzięki temu przez jakiś czas rozrywkę, poznając jednocześnie nową zasadę życiową. Ciężko jest napęniać sobie kieszenie, podczas gdy wszyscy naokoło zdychają z głodu.

Handel ten pozwolił mi poznać Sahel i niewiarygodną nędzę, jaka tam panuje. Całe plemiona, wypędzone przez suszę przenosiły się do Nigru. Nie mogłem długo znieść widoku tych dzieci o wzdętych brzuchach i poważnych oczach.

Zacząłem rozdzielać moje ogromne zyski w postaci pomocy żywnościowej. Podjąłem się utrzymania hord Murzyniątek, kazałem

rozdawać jedzenie i lekarstwa w obozach uchodźców. Odkryłem, że czynienie dobra daje przyjemność. Nie, żeby zostal świętym, ale pieniądze łatwo zarobione, łatwo się wydaje.

W tym czasie prześladował mnie okropny koszmar.

Śniło mi się, że stoję przed Trybunałem Niebieskim w czasie Sądu Ostatecznego. A tu panika. Z jednej strony świadkowie oskarżenia. Z drugiej ci, którym odmieniłem życie. Ogromny tłum z twarzami wykrzywionymi nienawiścią, ale których nie potrafiłem rozpoznać. Energiczne protesty moich nielicznych stronników były zagłuszane wyciem tej hordy, która domagała się mojej skóry, moich uszu i więcej jeszcze. Pośrodku, sceptyczni wobec takiej ilości nagromadzonej pasji, sędziowie zaczęli patrzeć na mnie krzywym okiem.

W tej sytuacji, żeby chronić tyły, postanowiłem w celu nadrobienia opóźnień pomóc wszystkim tym ludziom. Jeśli istnieje jakiś boski sędzia, obliczający saldo, mam nadzieję zdążyć wyrównać moje.

Na szczęście ta dobra stara Afryka daje po temu wystarczająco dużo okazji.

Ale choć ta mała działalność dostarczała mi wiele satysfakcji, przynosiła też sporo kłopotów. Nie będąc całkowitą szują zacząłem denerwować tych, którzy mieli mniej skrupułów. Po powtarzających się problemach z miejscowymi władzami musiałem wyjechać, zanim będzie za późno.

Przez parę miesięcy byłem na wakacjach, najpierw w Afryce Zachodniej, potem na Saharze Hiszpańskiej i w Mauretanii, gdzie ludzie, dla odmiany, naparzają się ile wlezie. Udało mi się ująć zwykłym w takich sytuacjach oskarżeniom o szpiegostwo i wylądowałem na Wyspach Kanaryjskich. I tu spotkałem przyjaciela, brata Jacky'ego.

Pochodził z dobrej rodziny, miał tupet, gardził pieniędzmi podobnie jak ja i tak jak ja lubił się wygłupiać; był idealnym towarzyszem. Wspólnie objechaliśmy całe Wyspy Kanaryjskie.

Jestem uparty i postanowiłem wrócić. Nie wyciągnąłem jeszcze z Afryki wszystkiego i odkryłem przyjemność pomagania innym. Nie było już mowy o dalszym sprowadzaniu samochodów szlakiem, w tej działalności nie było już dla mnie nic ciekawego. Poza tym nigdy nie robię dwa razy tego samego.

Pustynia przeżywała początek inwazji tłumu turystów żądnych wrażeń. Wymyśliłem więc nową grę. Stałem się przemytnikiem. Ulepszyłem nieco obraz szmuglera przenoszącego drżącą ręką małą walizeczkę. Moja walizka waży kilkaset ton. To konwoje kilkunastu ciężarówek wypełnionych po brzegi częściami zamiennymi, które w biały dzień przeprowadzam przez wszystkie afrykańskie urzędy celne aż do Mali.

Żadna z tych landar nie ma porządných dokumentów, żaden kierowca nie ma prawa jazdy, a ja sam byłbym w kłopotcie będąc zmuszony podać spis swojego ładunku. Takie są reguły gry. Nic legalnego i jak najwięcej ludzi. Im rzecz jest bardziej zwariowana, tym większe podniecenie i tym większa moja przyjemność.

Tym, co mnie pasjonuje w tej przygodzie, nie jest sama sprzedaż w Czarnej Afryce, chociaż osiągnane zyski są ogromne. Mnie pociąga ta zabawa w chowanego z władzami, kiedy depczę najelementarniejsze przepisy. Poza tym bawi mnie szalone przedsięwzięcie, polegające na przeprowadzeniu przez Saharę, przede wszystkim siłą woli, rozlatujących się ciężarówek, których nie remontowane silniki w Europie przeznaczono by na złom.

Tu, na tej pustyni, którą kocham, otoczony ludzkim mrowiem czekającym na moje rozkazy, czuję się dobrze.

W ten sposób, nadal rozdając część moich zysków, pomagam na, inny jeszcze sposób.

Bo czymże jest w tych niedorozwiniętych krajach przemysł, jeśli nie dobroczyńcą?

W Afryce jest rzeczą niemożliwą znaleźć samochód po uczciwej cenie. Cła importowe są niewyobrażalnie wysokie, a pieniądze te nie służą ludności. Idą prosto do kieszeni przywódców. Dzięki mnie miejscowy kupiec może założyć małą firmę przewozową po przystępnych cenach i w ten sposób rozwijać gospodarkę.

Nie płacąc cła za moje ciężarówki okradam rząd, zapewne, ale czymże jest w Afryce państwo, jeśli nie bandą łapowników tuczących się na koszt kraju? Gdybym zapłacił te pieniądze, posłużyłyby do wzbogacenia tych wykorzystywaczy. Podczas gdy, załatwiając sprawę po mojemu, umożliwiałem każdemu na mojej drodze, od szefa glin po najmniejszego celnika, pobranie swojej części zysku. Od granicy marokańskiej aż do Mali wszyscy oni żyli z mojej hojności.

I oto dlaczego kolejny raz siedzę w hotelu w tym kurewskim mieście. Cienki strumyczek wody wyciekający z prysznicy, powodujący drgania całego systemu kanalizacji, nie wystarcza, by mnie dobudzić. Jestem jeszcze otępiały od wczorajszych środków nasennych, od wilgotności powietrza i od braku snu.

Mopti to niewątpliwie najtrudniejszy etap podróży. W wyniku jakiejś aberracji, normalnej w Afryce, miasto zostało zbudowane na mokradłach, które są siedzibą miliardów komarów. Zaledwie wilgotny upał dnia ustępuje miejsca upałowi nocy, nadlatują w zwartym szyku, gotowe do uczty. Wciskają się wszędzie i ani trawka, ani środki nasenne nie umożliwiają snu.

Hotel, który musiał być luksusowy przez pierwsze tygodnie po wybudowaniu, dzisiaj rozlatuje się tak samo jak reszta. Niewygody te są znośne, kiedy stanowią część przygody. Ale kiedy przygoda się kończy, chciałbym mieć trochę luksusu. Tymczasem jest to niemożliwe. Afrykanie, delikatnie mówiąc, są niedbali, mają dar doprowadzania wszystkiego do ruiny. Nawet w najdroższych hotelach w prysznicach rzadko pojawia się woda, kawa jest zimna, a łóżka się rozlatują.

Przyglądam się, jak Chotard, nasz księgowy, przelicza górę banknotów, których połowa nie wystarczyłaby nawet na kupienie mi zimnego piwa, towaru w Mopti nie znanego. Chotard ponownie przelicza zyski z naszego ostatniego konwoju. To benedyktyńska praca; moi klienci płacą prawie zawsze w małych banknotach, niemal wyłącznie po pięć franków malijskich, pochodzących z oszczędności całego życia. Poza tym, że stanowi to górę pieniędzy, Chotard musi naprawiać najstarsze, zniszczone w czasie przechowywania w

skrytce, - gdzie przeleżały wiele lat, zanim wylądowały w mojej kieszeni.

Praca ta doprowadza go do pasji. Z natury jest nerwowy i nie może powstrzymać odruchów zniecierpliwienia. To mały chudy brunet, o lekko skośnych oczach, które nadają mu wygląd Chińczyka z komiksu. Kiedy wszystko idzie dobrze, jest rozluźniony, swobodny i tyje. Przy pierwszych trudnościach staje się niespokojny, daje o sobie znać jego nerwowość, i błyskawicznie chudnie. Ma poniżej trzydziestki, ale wygląda już dość staro. Chotard to w pewnym sensie barometr naszego konwoju. Jest z nami od paru miesięcy. Ponieważ to kumpel Jacky'ego, dałem mu posadę księgowego. Robota jest skomplikowana i dość ciekawa, toteż czuje się w niej doskonale. Kupiłem mu walizeczkę, kalkulator i wszystkie inne atrybuty jego zawodu. Jest zachwycony mogąc jeździć po Afryce w przebraniu biznesmena. Właściwie jedyna rzecz, która go męczy, to owo sprawdzanie stosów małych malijskich banknotów, co jednak nie omija go nigdy.

- Kurwa, czy nic tu nie będzie porządnie działać, do jasnej cholery!

To Peyruse, nasz mechanik, walczy z prysznicem. Jest wściekły. To kumpel z dzieciństwa, którego odnalazłem w Bordeaux, pierwszy mąż Suzy. Z pełnego zalet małego cwaniaczka przekształcał się powoli w łachudrę, pijaczka bez ambicji, jedynie z powodu tego miłosnego zawodu. W czasie całego przejazdu zabroniłem mu pić, i kuracja ta dobrze mu zrobiła. Ale wczoraj schlał się z miejscowymi Murzynkami i teraz ponosi konsekwencje.

- Kurwa mać, Charlie, ja zdechnę tutaj.

Wychodzi spod prysznic i klepie przyjacielsko Chotarda w ramię; ten wypuszcza z ręki plik banknotów, który właśnie przeliczał.

- Do cholery, przestań! Nie mogę pracować w tych warunkach. Peyruse nie odpowiada i opada na łóżko, powodując zachwianie się wszystkich stosów banknotów. Chotard nie odzywa się już, bo wściekłość Peyruse'a jest nazbyt oczywista.

Ja też jestem w złym humorze. Czas wyjechać z Mopti. Po opuszczeniu pustyni przejazd przestaje być ciekawy, i nie ma powodu, żeby marudzić. Jutro będziemy w Segou, gdzie mam dom i wszystko będzie lepiej.

- No to jak, przyjadą wreszcie ci frajerzy? Trochę im to czasu zajmuje, kurwa!

- Jacky zawiadomi nas, jak tylko tu będą, nie martw się.

- To chyba oni powinni się martwić, nie? - odpowiada z szerokim uśmiechem.

„Oni” to dwaj Europejczycy, o których mnie poinformowano; jadą w kierunku Mopti prowadząc dwie ciężarówki. Czekamy na tych cwaniaków, którzy ośmielają się przyjechać handlować na moim terytorium.

W tym momencie słyszę stukot butów Jacky'ego, mojego kumpla i współnika. Wsuwa głowę przez drzwi i oznajmia:

- Charlie, przyjechali.

W dwie minuty wszyscy są ubrani. Takie sprawy załatwiam sam, ale wszyscy chcą być obecni na wypadek, gdyby coś się zaczęło dziać albo przynajmniej, gdyby wydarzyło, się coś zabawnego. Mój sposób bycia zawsze rozbawia Jacky'ego, a u mego boku Chotard może udawać twardziela bez specjalnego ryzyka.

Przed wejściem do baru z miną właściciela rzucam okiem na oba pojazdy, małą czerwoną cysternę berliet i ciężarówkę do przewozu bydła, które wyglądają całkiem nieźle. Zresztą sam sprzedaję wyłącznie wraki.

Wchodzimy do baru, podczas gdy Peyruse podnosi maski, żeby przeprowadzić dokładniejszy przegląd. Podchodzę do stolika Europejczyków starając się ich ocenić. Dwóch facetów około czterdziestki, dobrze ubranych, każdy w towarzystwie swojej pani. Ładne mordy salonowych łowców głów.

- Dzień dobry, można?

Siadam nie czekając na odpowiedź. Postanowiłem zachowywać się grzecznie. Jacky i Chotard siedzą przy innym stoliku. Udają, że nie interesują się nami, ale wiem, że podsłuchują rozmowę i mają nadzieję, że będzie zabawna.

Tym razem nie uśmieją się. Zbyt długo czekałem w Mopti i chcę załatwić sprawę szybko. Jeśli będę wobec facetów twardy, obecność żon zmusi ich do oporu, żeby nie stracić twarzy. Źle by na tym wyszli, a ja straciłbym czas. Miejmy więc nadzieję, że nie będzie komplikacji.

- Nazywam się Charlie. Czekałem na was.

Patrzę na mnie cztery pary zaintrygowanych oczu. Mówię dalej:

- Widziałem wasze ciężarówki. Jeśli macie zamiar sprzedać je w Mali, to tylko u mnie, bo jestem tu u siebie. Jeśli sprzedacie je sami, to popsujecie mi rynek, a to byłoby nieładnie, bardzo nieładnie.

Obaj faceci są napięci. Kobiety są zaniepokojone. Peyruse wchodzi do sali wycierając ręce. Kiwa do mnie, że towar jest dobry.

- Jeśli chcecie je sprzedać niżej, w Togo, Dahomeju albo w Górnej Wolcie, nie ma sprawy. Wiem, jaką cenę zapłaciliście we Francji. Znam koszty podróży. Trochę wycierpieliście, więc jest normalne, że chcecie zarobić. Daję wam pięćdziesiąt tysięcy franków francuskich za obie. A teraz wybierajcie.

Zapada wielka cisza, po czym starszy odzywa się.

- Słyszeliśmy o tobie. Możesz nam dać chwilę do namysłu? Potakuję, wstaję i przechodzę do Jacky'ego, Chotarda i Peyruse. Zachowują powagę, ale oczy ich tryskają wesołością. Podczas gdy kelner, wysoki Murzyn w rozkloszowanych spodniach i butach na słoninie, przynosi nam naszą codzienną butelkę whisky, przy stole dżentelmenów wre zażarta dyskusja.

Mam nadzieję, że ci dwaj idioci się zgodzą. Chętnie przyznaję, że inne metody są bardziej zabawne i mają tę zaletę, że wszyscy mogą się pośmiać, ale posiadanie władzy daje coś, co sprawia mi przyjemność: możliwość bycia wspaniałomyślnym. Zawsze zostawiam honorowe wyjście: nie jest powiedziane, że dostaliby lepszą cenę, a jeżeli, to musieliby sporo się w tym celu namęczyć. Więc daję im, jak wszystkim, uczciwe rozwiązanie. Jeśli z niego nie skorzystają, tym gorzej dla nich.

I tym lepiej dla nas.

W niecałe pół godziny później umowa zostaje zawarta. Stawiam wszystkim kolejkę. Atmosfera rozluźnia się. Starszy, wysoki blondyn, uśmiecha się. Obaj wyglądają na zadowolonych z interesu.

- Chotard. Zapłać panom.

Mój księgowy otwiera walizeczkę i zaczyna przeliczać pieniądze. Obu facetów zatyka na widok ogromu forsy, jaki mamy przy sobie. Jeszcze parę kieliszków i wychodzimy obejrzeć nasze nowe ciężarówki. Peyruse robi próbną jazdę. Są w porządku.

Nie blefowałem z moimi kontrahentami. W całej strefie, którą przemierzam od osiemnastu miesięcy, od Algierii aż do Segou, z jednym wyjątkiem, kupiłem wszystkich ważnych urzędników cła i policji. Mam pełne możliwości zablokowania obu ciężarówek. Jest to jednak broń, którą posługuję się rzadko, kiedy nie pozostaje mi już nic innego. Uważam, że to zbyt łatwe i niezbyt honorowe.

Mała cysterna to świetny interes. Jest to stary model, z długim ryjem i przednią szybą rozdzieloną na dwie części. Takie ciężarówki są doskonałe na szlak i mają powodzenie w Afryce. Natomiast drugi wóz to mała renault, pięciotonówka do przewozu bydła, zbyt delikatny na tutejsze drogi.

- Chotard, wsiadaj z Jackym. Jedziecie za nami.

Mopti - Segou, dwieście kilometrów. Droga biegnie prosto, i jest w dość dobrym stanie. Już trzydzieści kilometrów przed Mopti szlak zamienił się w asfaltową szosę. Jedziemy przez nizinę porośniętą gęstymi drzewami, nie licząc baobabów. Noc jest jasna,

świeci srebrzysty księżyc w pełni. Owiewa nas chłodne powietrze. Przyjemnie się tak jedzie.

Przed wyruszeniem w drogę Peyruse kupił sobie w barze hotelu skrzynkę Solibra, piwa w butelkach po trzy czwarte litra. Wypijam jedną, on już kończy drugą.

- Znowu pijesz?

- Ee... nie. To tylko przez upał.

Nie nalegam. Jak odmówić tych małych przyjemności dorosłemu, w dodatku kumplowi? Poza tym nie mam ochoty psuć tego pierwszego od dawna sam na sam z Peyruse'em.

Należał do mojego gangu w Bordeaux. Tylko on miał mieszkanie, które wkrótce stało się naszą meliną, a przede wszystkim moją. We Francji lat sześćdziesiątych, pruderyjnej i rygorystycznej, nie było mowy o tym, żeby samotny małolat wynajął pokój w hotelu. Pełnoletniość zaczynała się od dwudziestu jeden lat, i te skurwysyny hotelarze żądali dowodu osobistego! Spędziliśmy u niego przyjemne chwile, w tej grupie zwariowanych nastolatków, jaką tworzyliśmy, był jednym z najlepszych.

Kiedy wróciłem do Bordeaux na parę dni, żeby znaleźć mechanika do moich konwojów, pomyślałem o nim.

Rozczarowanie. Myślałem, że odnajdę kumpla z dzieciństwa, wspaniałego faceta. Znalazłem się naprzeciwko zapijacznej szmaty, na samym dnie od czasu rozstania się z Suzy. Wegetował w jakimś warsztacie, który nawet nie należał do niego. Przygarbiony, ze zbyt długimi włosami, raczej brudny, facet, któremu nie miałem nic do powiedzenia. Kiedy wyszliśmy z baru, w którym wiele wypił opowiadając mi o przeszłości, zaczął rzygać zieloną żółcią do rynsztoka.

Nie wiem dlaczego, zapewne przez przyjaźń albo dlatego, że wydał mi się zagubiony, zaproponowałem mu jednak tę pracę.

- Wiesz, potrzebuję mechanika do moich konwojów, interesuje cię to?

Nawet nie wrócił do domu. Zostawił wszystko, swoją drugą żonę, z którą mieszkał po rozstaniu z Suzy, dziecko, po prostu wyjechał. Zatelefonował tylko z Barcelony i przesłał im małą sumę pieniędzy, którą mu dałem.

- Zostaniesz z nami na następne konwoje?

- Jasne.

Wyrzuca butelkę przez okno i otwiera następną.

- Uratowałeś mi życie, wiesz, Charlie. Gdybym wiedział, wyjechałbym wcześniej. Kiedy pomyślę o tym, ile straciłem czasu...

- A twoja druga żona?

- Tak, to jest problem. Nie mogę jej po prostu zostawić z dzieciakiem. Muszę ich zabezpieczyć. Dam jej trochę forsy.

- O to się nie martw. Nie ma sprawy. Jaka ona jest?

- O, nie jest ładna.

- Kochasz ją?

- Nie... nie.

- Wobec tego dlaczego jesteś z nią?

- Sam nie wiem. Wiesz, jak odeszła Suzy... Było mi źle. Nie wiem.

Kończy butelkę i trzask! - przez okno. Sięga po następną. Znowu rozmawiamy o kumplach z Bordeaux, po czym przez chwilę milczy. Zaczął już wyglądać trochę jak dawniej. Przestał pić i to mu dobrze zrobiło. Przygoda w konwoju i słońce dokonały reszty. Od czasu do czasu rzuca mi spojrzenie i uśmiecha się. Nagle poważnieje, nachmurzony.

- Słuchaj, Charlie...

- No?

- Przerznąłeś Suzy, prawda?

Suzy, piękna blondynka. Rzuciła mi się do łóżka jeszcze tego samego wieczoru, kiedy po raz pierwszy wróciłem do Bordeaux i odnalazłem grubego Christiana. Opowiadam mu.

Otwiera sobie piwo i w końcu wzdycha:

- Właściwie mam to gdzieś. I tak już odeszła, więc... Biedak. Kiedy tylko zaczyna o niej mówić, ogarnia go smutek.

- Nadal ją kochasz?

- Tak.

- Ale musisz zapomnieć, stary.

Śmieje się i potrząsa głową. Nalegam:

- Dlaczego chcesz niszczyć sobie życie dla jednej pizdy, co? Tyle innych dookoła. Zobaczysz: w Europie poznam cię z najlepszymi maszynami świata...

- Charlie. Nie chodzi tylko o to... Jest jeszcze coś więcej...

Rezygnuję z wyjaśniania mu mojego punktu widzenia na te sprawy. Nikt nie jest bardziej zaślepiony od zakochanego faceta. Skoro zostaje ze mną, mam nadzieję, że mając więcej czasu wytłumaczę mu parę podstawowych prawd.

Skrzynka piwa powoli się opróżnia, kiedy tak sobie po koleżeńsku rozmawiamy. W połowie nocy wjeżdżamy do Segou. Prowadzę Peyruse'a do ogromnej białej budowli, tuż nad rzeką.

- To mój dom.

W tym małym mieście urządziłem sobie główną siedzibę.

Naciskamy na klakson i po paru minutach Ahmed, mój służący, otwiera bramę. Wjazd ciężarówek do ogrodu budzi śpiących tu i ówdzie ludzi. Wkrótce otacza nas gromada.

- Labes, szefie Charlie?

- Labes, labes.

Stosuję zasadę otwartych drzwi. Starcy, dzieciaki, inwalidzi mieszkają tu na stałe, pod opieką Ahmeda, któremu zostawiam odpowiednie środki.

Szybko zasypiam na ogromnym okrągłym łóżku, które, wraz z wieżą stereo, stanowi jedyne umeblowanie mojego przewiewnego pokoju na pierwszym piętrze.

Rano czuję się już lepiej. Pod moimi oknami widać Afrykę z pocztówek. Pirogi płyną Nigrem, na którego czerwonych brzegach kłębi się zwarty, kolorowy tłum. Tu się krzyczy, biega, kupuje, sprzedaje. Kobiety z obnażonymi piersiami piorą w błotnistej wodzie kolorowe kawałki materiału.

W Afryce wstaję zawsze bardzo wcześnie. Dwie pierwsze godziny dnia są najprzyjemniejsze. Zwykle spędzam je z Ahmedem, który przygotowuje mi pierwsze śniadanie. To stary, pomarszczony Tamachek, którego wieku nie sposób określić. Towarzyszył mi w pierwszych konwojach. Teraz zrobił się już za stary i zajmuje się domem.

Przykucnięty przed żarem z węgla, na których pieką się kawałki baraniny, zadaje mi pytania o podróż.

- A Kara, mój kuzyn, dobrze się miewa?

- Bardzo dobrze, Ahmedzie, nadal jest ze mną.

- A Radijah? Ożeniłeś się już z nią?

Niedługo będę należeć do rodziny Ahmeda. To wuj Radijah, mój Tamachek, z którą niedługo się ożenię.

- Podczas następnego przejazdu.

Potem opowiada mi, co się wydarzyło tutaj. Kiedy pozostali przychodzą po godzinie, jestem całkowicie zrelaksowany. Prowadzę ich pięćdziesiąt metrów dalej, na prawdziwe śniadanie u libańskiego kumpla.

Kilka dobrze prosperujących sklepów w Segou należy do dwóch braci, Libańczyków, którzy mieszkają tutaj od paru lat. Libańczyków spotkać można we wszystkich małych afrykańskich miastach. Mają talent do handlu, są pracowici i inteligentni, szybko dochodzą do majątku. W Segou jeden z braci, Etienne, ma stację benzynową i kino. Zostaliśmy kumplami,

i jemu zamierzam zaproponować małą cysternę. Nie mam specjalnych stosunków z drugim, Francois, poza tym, że prowadzi knajpę i hotel z barem i że tradycyjnie jadam tam mój pierwszy posiłek. Kiedy przychodzę, wychodzi, żeby mnie powitać, i wymieniamy grzeczności. Pyta mnie:

- Jak zwykle?

- Jak zwykle.

Jak zwykle, to znaczy dla mnie dwanaście jaj i stek ważący jak najbliżej kilograma. Kiedy chcę więcej, zamawiam „dwa razy jak zwykle”. Takie posiłki należą do mojej afrykańskiej diety. Tutaj trzeba być dużym i dużo ważyć, żeby wzbudzać szacunek. Jako król handlu muszę dbać o swoją reputację. To pierwszy powód, drugim jest to, że mój organizm bez przerwy walczy z trawiącymi mnie gorączkami i malarią, które zwałyby mnie z nóg przy pierwszym osłabnięciu.

Jedynym, który jada tyle co ja, jest Jacky. Pochodzi z bogatej francuskiej rodziny, jego wykształcenie zrobiło z niego smakosza i umie jeść. Powoli, spokojnie pochłania całe kilogramy. Chotard obżera się ile może. Peyruse, obolały od kaca, skubie kawałek mięsa i stara się powrócić do formy wypijając kawę za kawą.

Miejsce jest przyjemne i, co rzadkie, czyste. Od ulicy oddziela restaurację krata. Wielu facetów, którzy przechodzą ulicą, zagląda do środka, normalna afrykańska ciekawość, i pozdrawia mnie wesołym „Dzień dobry, szefie Charlie”. Odpowiadam każdemu. Mali czyściciele butów czekają, aż ich zawołam. I oczywiście są też dziewczyny. Przed kratą oczekuje nas kolorowe stadko potężnych tyłków i zachęcających uśmiechów. Peyruse, który w Afryce jest jeszcze nowicjuszem, jest jedynym, który im się przygląda.

- Znają was tu, chłopaki. Macie takie powodzenie?

- Ależ skąd. Po prostu zobaczyły ciężarówki, to wszystko. Zamiast płacić pięć franków za sztos, jak wszyscy, dają dwadzieścia, pięćdziesiąt franków. Normalne, że je to interesuje. Tak czy inaczej, to jedyna rzecz, która je przyciąga, bądź spokojny.

Daję kobietom znak, żeby się zmywały. Na razie wolę jeść. Mięso jest doskonałe, krwiste.

- Zresztą, żadna nie ma łechtaczki.

Peyruse, który dotąd przeżuwał jakoś, przełyka z trudnością. Jacky zaśmiewając się opowiada mu ze szczegółami, jak przebiega operacja wycinania łechtaczki, przeprowadzana przez mamusię za pomocą kuchennego noża. Peyruse spogląda na swój krwisty kawałek mięsa i ostatecznie odsuwa talerz.

Jakby nie było, nie mamy czasu myśleć dziś rano o amorach, bo mamy robotę.

Po śniadaniu jedziemy do stacji benzynowej. Upał już się zaczął, przygniata nas żar i szybko jesteśmy złani potem. Pięciu pracowników stacji, sterczących obok pomp, zawiadamia mnie, że szef jest u siebie.

Etienne jak zwykle pracuje w swoim klimatyzowanym biurze. Ma około czterdziestki, siwe włosy i zaczątki brzuszka, to bardzo sympatyczny facet. Podobnie jak wszyscy libańscy chrześcijanie, doskonale mówi po francusku. Wielokrotnie już wspominał mi o swoim zamiarze kupna cysterny, niezbyt dużej, żeby samemu załatwiać część swojego zaopatrzenia, które tutaj zawsze stwarza problemy. Zanim przystąpimy do omawiania interesów, siadamy przy piwie z lodu, żeby pogadać o jego pięknym kraju.

Korzystając z tego, że mam śródziemnomorską fizjonomię, naopowiadałem mu, że moja matka pochodziła z Bejrutu. To zawsze ułatwia kontakty, i bywałem już Turkiem, Korsykaninem, Włochem, zależnie od potrzeb chwili. Wysłuchuję raz jeszcze, kiedy wzdycha nad losem naszej ojczyzny rozdartej przez wojnę, i przedstawiam mu przyczyny moich odwiedzin:

- Mam coś ciekawego dla ciebie: małą cysternę.

- Tak? Jakiej marki?

- Berliet. Jest tutaj. Gdybyś chciał rzucić okiem... Znowu upał. Etienne obchodzi ciężarówkę, zauważa, że jest stara, ale w dobrym stanie. Zwraca się do jednego ze swoich Murzynów.

- Toure, przejdź się nim na próbę.

Toure to nie byle jaki Murzyn. Jest u Etienne'a nadzorcą, to ważne stanowisko. Jego pensja jest wyższa niż u innych, co pozwala mu na posiadanie zewnętrznych oznak bogactwa. Jego wieczny uśmiech ozdobiony jest siedmioma złotymi zębami. Szkoda, że nie zostało mu już pieniędzy na uzupełnienie ubrania, bo do kabiny wsiada przytrzymując jedną ręką szorty, trzy razy za duże dla niego.

Rozrusznik, zgrzyt skrzyni biegów i siedem lśniących zębów ginie w tumanie kurzu. Test wypada pomyślnie.

- Ile za nią chcesz?

- Osiemdziesiąt tysięcy franków.

Nie jest to pierwszy deal, jaki razem robimy. Nie staram się osiągnąć zbyt wysokiego zysku, a on nie targuje się. Sam zajmie się cłem i zapłaci mi we frankach francuskich.

- Widziałeś tę drugą, małego niebieskiego renaulta?

- Tak, zauważyłem. Fajny jest. Zastanawia się chwilę.

- Wiesz, może miałbym na niego kupca. To Francuz, który założył farmę przy szosie do Zinzana. Miesiąc temu chciał kupić wóz.

- Masz jak się z nim skontaktować?

- Da się zrobić. Poślę kogoś po niego. Zjemy razem obiad?

Jesteśmy przy kawie, kiedy, przyjemna niespodzianka, biały farmer, którego Etientie kazał zawiadomić, pojawia się osobiście, bardzo zainteresowany. To krępy brodacze w szortach, w debilnej gębie tkwi fajka, jest inżynierem agronomem czy innym kretyńcem w tym rodzaju. Ogląda ciężarówkę. Nie zna się na tym zupełnie. Jest skłonny ją wziąć. Żądam czterdziestu tysięcy franków.

- To dobra cena. Ale pozostają formalności celne, pan wie, że przepisy...

- To żaden problem. Załatwię to. Przyjedź do mnie wieczorem koło szóstej. Będę miał wszystkie potrzebne dokumenty.

Następnie wracam do siebie. Ulice miasta są rozpalone. Czerwony pył, który wciska się wszędzie, jest jeszcze bardziej przykry w ciągu tych najgorętszych godzin. Jedyne, co pozostaje, to korzystać z chłodu mojego domu w czasie sjeisty w towarzystwie paru czarnych dup zgarniętych po drodze.

Około piątej ruszam w drogę. Mam nieprzyjemną rzecz do załatwienia. Składam wizytę panu Kretynowi, naczelnikowi urzędu celnego w Segou.

Jest to kupa czarnego sadła, tłusta i skorumpowana. Ostentacyjnie jeździ po Segou najnowszym modelem mercedesa. W Mali naczelnik cła oznacza: mnóstwo pieniędzy, czyli inaczej: bogactwo i imponujący obwód w talii. Nie znoszę go, a on mnie nienawidzi. Potrzebuję go, żeby zwalniać od cła moje towary, bo przestrzegając przepisów musiałbym płacić miliony. On potrzebuje mnie, żeby utrzymywać swój poziom życia.

Odwiedzam go w jego biurze, pustym i brudnym pokoju, z którego tyranizuje swoich podwładnych. Leży rozlany w swoim fotelu, pocąc się mimo wentylatora, ubrany w niebieskie bubu. Siadam naprzeciwko niego.

- I co, grubasie, jak leci!

Nie cierpi, żeby tak się do niego zwracać. Jest tu poważany, i mój ewidentny brak szacunku doprowadza go do wściekłości. Na przegubach dłoni nosi całe mnóstwo złotego złomu. Zegarki, łańcuchy, a wszystko jak największe.

- U mnie wszystko dobrze. Czego chcesz? Żeby ze mną rozmawiać, odesłał sekretarza. Przy naszych interesach nigdy nie ma świadków.

- Musisz mi zwolnić od cła ciężarówkę, grubasie.

- Masz dowód rejestracyjny?

Przeбира swoimi małymi tłustymi palcami, obciążonymi sygnetami. Wyczuwa forszę. Rzucam mu na biurko dokument.

- Dobrze. To będzie kosztowało cztery tysiące franków.

- Co jest? Podwajasz ceny? Uśmiecha się obrzydliwie.

- Wyciągać ci forszę to przyjemność; Charlie. Ale zawsze możesz załatwić to oficjalnie. Będzie cię to kosztowało sześćdziesiąt tysięcy franków.

Najgorsze, że ta kupa tłuszczu ma rację.

- Dobra, więc do roboty, wypełniaj swoje formularze, nie lubię za długo siedzieć w twoim biurze.

- Nie podoba ci się moje biuro?

- Moim zdaniem tu śmierdzi. Tym razem jest urażony.

- Nie zapominaj, że mówisz do malijskiego urzędnika państwowego. To mogłoby cię drogo kosztować.

- To już mnie drogo kosztuje. I wbij sobie do głowy, że tylko ze względu na twoje wysokie stanowisko nie rozwalam ci mordy. W dniu, kiedy cię wyrzucą, spodziewaj się kopa w dupę ode mnie. No jazda, przykładaj swoje pieczętki, płacę ci na tyle dużo, żeby nie musieć jeszcze tracić czasu.

Nie znajduje odpowiedzi i bojąc się, że jego pracownicy usłyszą moje krzyki, układa w końcu przed sobą formularze zwolnienia od opłat celnych i seryjnie przystawia pieczętki. Nie przeszkadza mu to jednak w wygłaszaniu dalszych komentarzy.

- Tacy jak ty rujnują gospodarkę kraju.

- Zamknij się, grubasie.

- Tacy spekulanci i przemysłowcy jak ty.

- Zamknij się i pisz.

Robię więcej dla tego kraju niż ten gruby łapownik. Nie będzie mi tu udzielał lekcji. Płacę zastanawiając się, dlaczego muszę znosić takiego faceta. Korupcja afrykańskich urzędników, która dawniej mnie bawiła, zaczyna mi już wylazić bokiem. Rzucam mu banknoty na biurko i zmywam się.

Kiedy przyjeżdżam do domu, jeszcze rozwścieczony rozmową z grubasem, stoję nos w nos z innym tłusciochem. Ahmed wpuścił szefa gliniarzy. Jest trochę chudszy od tamtego, bo jego pozycja zawodowa nie pozwala mu kraść aż tak wiele.

Zapewnia mnie, że cieszy się ze spotkania. Przycinam te czułości wyciągając banknot. Udaje urażonego, ale nie mam ochoty tracić z nim czasu. Ten ogromny Murzyn jest wobec

mnie jowialny, ale w swoim komisariacie to prawdziwy skurwysyn. Imponujące łopaty, które służą mu za ręce, cieszą się złą sławą wśród ludności Segou. Kiedyś Ahmed miał okazję opatrywać dwóch żebraków, którzy przeszli przez jego biuro, i mogłem osobiście zdać sobie sprawę z ogromu szkód. Tylko Murzyn może przeżyć takie obrażenia. Jaka Afryka byłaby piękna bez tych sukinsynów urzędników.

Ten jest byłym starszym sierżantem armii francuskiej. Jeśli pozwolę mu mówić, znowu będzie mi truł o defiladzie 14 lipca. Przesłuchuje z nogi na nogę rozumiejąc, że nie czas na pogaduszki.

- Panie Charlie, mój brat w najbliższej przyszłości się żeni.

- Znowu! Zawsze opowiadasz mi tę samą historyjkę.

- Nie. Tym razem to bynajmniej niestety mój brat ten-sam-ojciec-ta-sama-matka.

O! To poważna sprawa. Afrykanie ciupciają gdzie popadnie i każdy ma w rezultacie pełno braci. Ale „ten-sam-ojciec-ta-sama-matka”, to prawdziwy, o wiele ważniejszy niż zwykły „ta-sama-matka”. Daję mu pięćset franków. Afrykanin zawsze chowa do kieszeni banknot, który się przed nim pojawia, ale najwyraźniej mój rozmówca jest rozczarowany.

- Panie Charlie...

- Nie, wystarczy. Znajdź sobie tańsze kurwy.

Jest rzeczą ogólnie znaną, że szef gliniarzy w Segou pieprzy jak królik. Wiem, że no money no fuck, ale to jego sprawa.

- No jazda, spływaj.

Rozumie. Wychodzi wśród tysiąca ukłonów i pochlebnych uśmiechów. On też mnie chyba zanadto nie kocha. W Afryce, to nie tajemnica, żeby szybko iść do góry i przede wszystkim nie mieć problemów, trzeba dawać pieniądze wszystkim urzędnikom na swoim terenie działania. Kiedy się zapłaciło raz, trzeba płacić ciągle. O tym wiedziałem, ale popełniłem błąd, bo pragnąc natychmiastowego sukcesu, zacząłem za dużo płacić od początku. Teraz czekają tylko na jakiś błąd z mojej strony, i wiem, że jeśli kiedyś będę miał kłopoty, to przez nich.

Było mi pisane nie mieć dziś spokoju. Parę minut później przyjeżdża Francuz w sprawie ciężarówki do bydła.

Proszę go, żeby usiadł. Wyciąga książeczkę czekową.

- Żadnych czeków.

Zamiera z piórem w powietrzu. Widząc moje zdenerwowanie, Jacky stara się załagodzić sprawę i sugeruje, żeby Etienne załatwił inkaso. Kiedy dochodzimy do

porozumienia, farmer, który nie zrozumiał, że dziś nie jest odpowiedni dzień, pyta, jakich gwarancji mogę mu udzielić.

- Gwarancje? Jak sobie narysujesz! Załatwiam ci zwolnienie od cła, a ty mi zawracasz głowę gwarancjami?

Zacząłem krzyczeć. Jestem bardzo złym sprzedawcą. Moja działka to przejazd przez pustynię, a nie dyplomacja. Brodacz jest przerażony. Pozostawiam Jacky'emu załatwienie sprawy do końca. Spokojnie przedstawia nasze argumenty, w końcu tamten może tylko powiedzieć, że zrozumiał. Kiedy wreszcie mamy to z głowy, szybko odjeżdża. Chotard i Peyruse, którzy do nas dołączyli, mają niezły ubaw. Ja natomiast mam Afryki powyżej uszu...

- No, chłopaki, spływamy.

- Teraz?

- Tak, jutro mamy samolot z Bamako.

- Dzień dobry, szefie Charlie.

- Dzień dobry, szefie Charlie.

Dwie czarne gęby, rozjaśnione tylko wielkimi okrągłymi oczami, nieśmiało wynurzają się zza drzwi. To moi dwaj malijscy blacharze przyszli się przywitać. Uśmiecham się do nich, więc ich twarze rozjaśniają się i obaj decydują się wejść.

Sporą część swego życia spędzili w Ghanie. Zgarnąłem ich u malijskiego blacharza, który ich wyzyskiwał, i od tej pory pracują dla mnie, w naszym firmowym warsztacie. Są braćmi i jest prawie niemożliwe ich rozróżnić. Jeden jest trochę grubszy, to wszystko. Mają nazwisko nie do wymówienia, Bobobabido, oprócz tego także imiona, więc nazwałem ich One i Two. Te przydomki bardzo im się podobają.

Są tu mile widziani. Lubię tych dwóch łachmytów. Ich naiwna prostolinijność działa odświeżająco. Ponieważ wielokrotnie prosili mnie, żeby zabrać ich do Francji i żeby mogli podróżować, mówię im:

- Wyjeżdżamy, chłopaki. Jedziemy do Europy. Chcecie jechać z nami? Z mojej strony to prawie żart. Tak naprawdę, to nigdy nie miałem zamiaru zabierać tych dwóch małych, którzy zapewne dobrze pracują, ale nigdy nie wyjeżdżali z buszu, nawet żeby jechać z konwojem. Ale ich dwa szerokie uśmiechy, spontaniczna i prosta radość malująca się na ich twarzach, nie pozwalają mi się wycofać.

- Dobra. Macie prawa jazdy?... Nie szkodzi. Macie paszporty?

- Nie, szefie.

- Załatwimy to. Dobra, Chotard, lecisza do Etienne zainkasować czek tamtego jołopa i

zbierasz zamówienia. Peyruse, zajmiesz się One i Two, żeby szybko byli gotowi. Jacky, zamów nam dwie taksówki. Jedziemy do Europy, chłopaki.

Nie lubię Bamako. W tej tętniącej życiem stolicy jest się daleko od spokoju mojego zacisza w Segou. Jest to miasto nieporządne, przygniatające, absolutnie nic nie działa tam tak, jak powinno. Budynki pamiętają czasy kolonialne. Od uzyskania niepodległości żaden z nich nie był odnawiany. Aleje i ulice bez przerwy pełne są głośnego tłumu czarnych. Rozwalające się peugeoty, przeładowane pasażerami i towarami, pędzą na oślep. Biali bezustannie padają ofiarą napastliwości mnóstwa sprzedawców i żebraków, nie licząc kalek, trędowatych i wszystkich tych, którzy umierają z głodu. Zawsze staram się maksymalnie skrócić swój pobyt w tym mieście, a hotel opuszczam tylko po to, żeby dojechać na lotnisko.

Przyjechaliśmy wczoraj wieczorem po szybkiej podróży taksówką buszu, czyli peugeotem 504 break, który zwykle przewozi szesnaście osób, ale który w całości rezerwujemy dla siebie. Jutro rano mamy samolot do Paryża.

Położony nad brzegiem Nigru hotel de l'Amitie to jeden z tych nowoczesnych afrykańskich dziesięciopiętrowych superhotelu, w których standard jest jeszcze do przyjęcia, ale pokoje stopniowo się zasyfiają. Po południu, na basenie, wezwałem do siebie One i Two, żeby przekazać im ostatnie polecenia. Trzeba załatwić im paszporty i niech sami się martwią o bilety. A przede wszystkim nie chcę, żeby zabierali ze sobą do Francji zapas trawki. Wy tłumaczyłem im, że jest to tam zabronione i że groziłoby im więzienie.

- We Francji więzienie to straszna rzecz. Stamtąd nie będę mógł was wydostać. Więc żadnej trawki. Jasne?

- Tak, szefie.

- Żadnej trawki. Zrozumiałeś?

- Tak, szefie. Żadnej trawki.

Kazałem Albanie, żeby pomógł im w załatwieniu różnych formalności. Albana został mi polecony przez miejscowych znajomych moich klientów, którzy powierzają mu nadzór nad towarami. Jest to Murzyn zawsze w zawoju, bo jest muzułmaninem. Zresztą nie można powiedzieć, żeby jego religia go przygniatała. Ma się rozumieć, stosuje się do zaleceń Koranu, które mówią, że należy pluć na pierwszą kroplę wina. Jako dobry muzułmanin odlewa na stół jedną kroplę, pluje na nią i obrzuca wyzwiskami. Co do następnych kropli, to już inna sprawa...

Po załatwieniu formalności, czując się w porządku wobec religii, pieczołowicie zalewa się w trupa. Za każdym z niewielu razy, kiedy go spotykałem, zawsze był pijany pod

koniec rozmowy.

Zaleciłem mu, żeby pilnował One i Two, i przy okazji ustawiłem go. Albana mieszka w stolicy i uważa się za coś lepszego od tamtych dwóch, którzy przyjechali z buszu. Na uboczu oznajmił mi, że One i Two są Bełłahami, dawnymi niewolnikami, podczas gdy on jest z plemienia Bambara, czy coś w tym rodzaju.

- Albana, wszyscy trzej należycie do tego samego zespołu, jasne? Nie chcę tu żadnego rasizmu ani innych idiotyzmów tego rodzaju, a w każdym razie nie chcę nic na ten temat słyszeć.

Ich wzajemna niechęć wywodzi się sprzed wieluset lat, i mam to gdzieś. Poza tym lubię One i Two, a nie lubię Albany. Dałem obu czarnuchom trochę forsy, żeby mieli na życie, zanim ich problemy zostaną rozwiązane.

Dziś wieczór Peyruse urządza w barze hotelowym zabawę. Jacky przyszedł do mojego pokoju, żeby wypalić parę skrętów, i wezwałem Chotarda.

Jacky ma ogromne zalety, te, które szanuję. Kocha życie i chce z niego czerpać wszystkie przyjemności. Jest odważny, hojny i nie czuje żadnego szacunku dla pieniędzy. Od razu poczuliśmy do siebie sympatię. Po miesiącu wygłupów dołączył do mnie, kiedy postanowiłem wrócić do Afryki. Podzieliliśmy zadania między sobą. O ile ja jestem liderem, głównym szefem konwojów w Afryce, on - ponieważ lepiej ode mnie czuje się w Europie - bierze na siebie całą organizację tam, zarówno konwojów, jak i przyjemności. Zyski są dla nas obu. Jacky jest czymś więcej niż tylko współnikiem, to kumpel.

Chotard jest starszy, ma około trzydziestki. On też ma zalety, ale dla mnie główną z nich jest to, że jest długoletnim przyjacielem Jacky'ego. U mnie jest pracownikiem. Wykwalifikowanym, ale mimo wszystko pracownikiem.

- No i co, Chotard, zaksięgowaleś już wszystko?

Jacky leży na łóżku. Jest roześmiany. Nigdy nie wydaje poleceń Chotardowi, ale moment sprawdzania rachunków zawsze daje mu okazję do jakiegoś kawału. Podczas kontroli Chotard i tak jest już dosyć zdenerwowany. Jacky podpuszcza mnie, żebym z jeszcze większym przekonaniem grał rolę upierdliwego szefa w tej komedii. Bez przerwy posyła mi znaki typu „no, jeszcze, nie popuszczaj”, więc żeby sprawić mu przyjemność, za każdym razem robię, co mogę.

Chotard siedzi przy stole, jego walizeczka leży otwarta przed nim i wyciąga z niej różne papierki, które zebrał podczas przejazdu. Jacky wziął główny zeszyt i przedstawia mi ogólne sprawozdanie. Księgowość mnie nudzi. W wykonaniu Jacky'ego jest to przynajmniej

jasne i związane.

- No więc tym razem zgarnęliśmy sto trzydzieści tysięcy dolarów, plus to, co zarobiliśmy w Segou.

Ufam tylko dolarowi. Chcę, żeby moje zyski liczone były w dolarach, i sprawą Chotarda jest, żeby znać ostatnie notowania giełdowe. Bo żądam dokładnych wyliczeń.

- Nieźle. A wydatki?

- W kasie mamy teraz...

Jacky wskazuje na Chotarda, pochylonego nad stosem papierów, śmiejąc się ukradkiem.

- Według dzisiejszego kursu, jak obliczył Chotard, mamy dokładnie osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

Chotard drgnął i z niepokojem oczekuje mojej reakcji. Nie każe mu długo czekać.

- Wydaliśmy pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Chotard, co to za burdel?

Jacky i ja zupełnie nie dbamy o pieniądze. Są nam tym bardziej obojętne, że nasze zyski są ogromne. Tego Chotard nigdy nie potrafił zrozumieć. Nigdy nie wie, gdzie zaczynają się żarty. Z powagą odpowiada:

- Ależ ja zapisałem wszystkie wydatki. Możesz sprawdzić.

- Pokaż.

Nabiera powietrza i zaczyna:

- Naliczyłem sto osiem baranów...

- Zeżarliśmy to wszystko?

- Przecież po drodze wszystkich zapraszaliście. W sumie...

Jacky wybucha śmiechem. Zapalił ogromnego skręta i zaczyna świetnie się bawić.

- No dobrze, ale przecież nie mogło to kosztować aż tyle. Co dalej?

- Były też dziwki.

- Ile?

- Według dzisiejszego kursu... dwanaście tysięcy dolarów.

- Jak to, dwanaście tysięcy dolarów? Chotard, daj spokój. Przecież nie mogliśmy aż tyle przerznąć, kolego!

Im dalej zagłębialmy się w rachunki, tym robi się sztywniejszy. Ten mały brunecik, nerwowy, z lekko skośnymi oczami, doskonale pasuje do roli, którą z zapamiętaniem odgrywa, roli dokładnego i kompetentnego księgowego.

- Próbowałem już zwracać wam uwagę na tę kategorię wydatków, które moim zdaniem są przesadne...

- Tak?

- I za każdym razem śmialiście się tylko.

- Naprawdę? Musiałeś się gdzieś pomylić, to przecież niemożliwe. Z triumfem w oczach wyciąga do mnie plik papierów.

- Zaczyna się w Gao. Siedemdziesiąt dwie dziewczyny średnio po osiemdziesiąt franków.

Po czym wylicza mi poszczególne etapy podróży.

- Gossi, trzy. Hombori, dwanaście. Boni, pięć. Douentza, osiem. A niektóre biją rekordy. W Sofara jedna z tych panienek dostała sto pięćdziesiąt franków.

Biorę mu papier z rąk. Rzeczywiście, jest tam napisane: „Sofara, mineta. Charlie”.

Zaczynam rozumieć. Wprawdzie w Afryce rżnie się na potęgę, ale trudno jest osiągnąć cokolwiek innego niż zwyczajne bum-bum. „Wziąć do ust, szefie, to nie jest czyste, wsadzić do tyłu, szefie, to boli.” Więc trzeba podnieść stawkę. Dziewczyny odmawiają do chwili, kiedy cena staje się nie do odrzucenia. Chotard ciągnie dalej:

- Muszę panu powiedzieć, że jest pan daleko na pierwszym miejscu, za panem jest Jacky i...

Tu nie może powstrzymać uśmiechu. Odchrząkuje:

- No i ja.

- No właśnie!? To ty! Chotard, za dużo ciupciasz.

Tym razem ogarnia go początek paniki. Ten facet jest inteligentny, wykształcony, ma ogromne poczucie humoru. To pierwszorzędny wodzirej. Często wykorzystuje swój wygląd mandaryna, żeby udawać przewrotnego Chińczyka, z jego sarkastycznym rechem, świetnie opracowany numer. Ale ze mną nigdy nie jest sobą. Zawsze się boi.

- Ależ Charlie, zapewniam cię...

- No już dobrze. Co jeszcze?

- Zabawy, jedzenie, trawka. W sumie przyjemności kosztowały nas prawie trzydzieści tysięcy dolarów.

- Dalej?

- Łapówki dla urzędników. Trochę ponad dziesięć tysięcy. Ta suma stale rośnie. Dobrze. A dobre uczynki?

- Dziewięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt i... no, dziesięć tysięcy!

Dobre uczynki to wszystkie towary, które rozdajemy na szlaku, w tych okolicach, gdzie ludziom brakuje wszystkiego. Dlatego moje konwoje obładowane są puszkami mleka, workami ryżu i pudełkami aspiryny. Ilekroć przejeżdżamy przez Sahel, zatrzymujemy się

przy każdym obozowisku, żeby rozdać trochę rzeczy. I to mi się nie podoba. Wydatki na przyjemności są wyższe niż te na dobre uczynki. To nie jest normalne. Żeby przywrócić równowagę, następnym razem zwiększymy udział tych ostatnich.

- Rachunki się zgadzają, Chotard. Będziesz musiał poukładać to wszystko w jakieś segregatory. Za dużo tu bałaganu.

Mówię to tylko tak, żeby go podpuścić, ale nie rozumie mnie i składa wszystko z urażoną miną. Ledwo mówi do widzenia wychodząc, odmówiwszy skręta którego proponuje mu Jacky. Proszę go, żeby, jeśli idzie do baru, rzucił okiem na Peyruse'a i trochę go przypilnował. Bąka pod nosem, że „zobaczy”, i zostawia nas.

Od Gao Peyruse niepokoi mnie. Byłoby okropne, gdyby znów zaczął pić. Szybko o tym zapominam. Pościel jest szarawa, ale czysta, i wkrótce zasypiam.

Część trzecia

W Europie pełnia zimy. Nie lubię ani europejskiego chłodu, ani wielkich miast, ale Paryż jest wyjątkiem. To zaczarowane miejsce, tym przyjemniejsze, że mam dwoje doświadczonych przewodników po przyjemnościach, jakie tu można znaleźć: Jacky'ego i Kokę.

Koka macha do nas obiema rękami, kiedy pojawiamy się na lotnisku Charlie-Airport. Inni pasażerowie oglądają się za tą wysoką, ciemnowłosą i wpadającą w oko dziewczyną, która wykrzykuje nasze imiona.

Okrywa Jacky'ego i mnie naszymi futrami, których nie zapomniała przynieść, i całuje mnie z pasją wsuwając mi dłoń w spodnie. Wali Chotarda pięścią w brzuch, to samo spotyka Peyruse'a.

- Ten jest nowy. Milutki jest. No, chłopaki, pośpieszcie się, bo źle zaparkowałam. Ledwo mam czas wydać ostatnie polecenia Chotardowi i pożegnać się z Peyruse'em.

- Ciao, Peyruse. Spotykamy się za tydzień, przed następnym wyjazdem.

- Ciao, Charlie. Do zobaczenia.

I już Koka ciągnie nas za sobą. Rolls, którego wynajmujemy na czas naszych pobytów w Europie, ustawiony jest krzywo, zagradzając przejazd obwodnicą parkingu. Mały gliniarz przygląda się i zastanawia się, czy interweniować. Koka zakłada szoferską czapkę.

- Wsiadajcie.

Z tyłu oczekuje nas niespodzianka. Na małych stolikach z lakierowanego drewna Koka wyrysowała kokainą ogromne „Welcome”.

Obok czeka na nas banknot zwinięty jej rękami, dzięki czemu możemy natychmiast wdychać ten powitalny prezent. W lodówce stoi Magnum szampana. Jakże przyjemny jest ten powrót do cywilizacji!

Koka na pełnym gazie wjeżdża na paryską obwodnicę, odchylając głowę do tyłu, aby napić się trochę szampana prosto, z butelki, którą jej podsuwamy. Patrzy na mnie w lusterku, mówiąc mi różne świństwa, i wyprzedza wszystkie samochody. W niecałe dwadzieścia minut jesteśmy przed jej domem na Avenue Foch.

Stara południowoamerykańska służąca, dawniej niania Koki, otwiera nam drzwi. Uwielbia mnie i wymieniamy parę zdań po hiszpańsku. Salon to ogromny biały pokój, ozdobiony nowoczesnymi rzeźbami. Całość uzupełnia kilka obrazów wielkich mistrzów,

wartych majątek. Wokół niskiego marmurowego stolika świta nieuniknionych pasożytów Koki ledwo podnosi na nas wzrok. Jest tu stale dwóch czy trzech frajerów w okularach i stado wspaniałych młodych blondyneczek. Koka bierze jedną z nich za rękę i przyprowadza przed Jacky'ego.

- Jest dla ciebie. Możesz się wyżyć, obiecałam jej, że załatwisz ją jak dziki.

I kieruje oboje ku jednym z drzwi wiodących do pokoi, po czym prowadzi mnie do jednej z łazienek, gdzie oczekuje mnie gorąca kąpiel.

Stanowią wyjątek w życiu cudownej Koki. Ten pijak w spódnicy interesuje się tylko dziewczętami. Blondyneczki z salonu są do jej osobistego użytku. W tej wygodnej łazience przysługuje mi jednakże specjalne traktowanie, jako że oprócz tego, że jest doskonałym kumplem, Koka jest także wyjątkową partnerką. To piękna dziewczyna. Tylko jej biodra, nieco zbyt szerokie, nie odpowiadają klasycznym kanonom piękności, choć jednocześnie dodają jej specyficznego uroku. Koka jest córką dyplomatów jednej z bananowych republik latynoamerykańskich i korzysta z walizy dyplomatycznej, by zaopatrywać się w kokainę na handel. Jest osobą hiperenergetyczną, a działalność komercyjna nie przeszkadza jej zajmować się także malarstwem i od czasu do czasu dziennikarstwem.

Dziś w nocy zamierza zabrać nas na kilka zabaw. Na podtrzymanie kondycji mamy jej prywatną kokainę, niezwyklej czystości. Proszek ten nie ma nic wspólnego ze świństwem, jakie zwykle spotyka się w Europie. Ta kokaina jest afrodyzjakiem i nie odbiera apetytu. Poza tym Koka kazała nam przygotować małą kolacyjkę, na niskim stoliku w salonie. Foie gras, kawior, sery i szampan. Delektujemy się tym, rozkoszując się efektem, jaki te wspaniałości wywierają na naszych podniebieniach zmęczonych Afryką.

Przez pięć dni dostarczane są nam wszystkie możliwe przyjemności. To prawdziwy festiwal bankietów, wieczorków, rządków kokainy i nieustającego śmiechu.

Potrzebny mi jest ten luksus. Móc wsunąć się w białą, świeżą pościel w miłym towarzystwie, z kieliszkiem szampana w ręku, słuchać słodkich słówek szeptanych do ucha ciepłym głosem, być przedmiotem uwagi i pieszczot, dzielić przyjemności, to wszystko, czego mi potrzeba.

W nocy, pogrążony w półśnie, dotykam czystych i kojących tyłeczków, które mnie otaczają, i zasypiam szczęśliwy.

Po śmierdzących afrykańskich bubu przeżywam emocje nastolatka wobec malutkich i czystych białych bawełnianych fig, noszonych przez moje towarzyszki. Wszystkie moje zmysły napawają się czystością.

Spędzam też cudowne chwile tete-a-tete z Koką. Moja paryska towarzyszka nie jest zazdrosna, co nie, oznacza, że jest pozbawiona godności. Ona sama wskazuje mi, wśród swoich koleżanek, te, którymi mam prawo się zająć, a czasem wręcz dzieli się ze mną, popychając mnie w objęcia którejś z przyjaciółek.

Jacky ze swej strony wykorzystuje każdą, która pojawi się w tym bajkowym mieszkaniu.

Ale któregoś wieczoru raj gwałtownie się kończy.

La Gorda, niania Koki, zawiadamia nas, że dzwonił kilkakrotnie Chotard. Nie leży to w jego zwyczaju. Zawsze telefonuje o stałej porze i składa starannie przygotowane sprawozdanie. Jestem pewien, że coś się stało.

Po pełnej niepokoju nocy rano rozmawiam z Chotardem, który zawiadamia mnie, że Peyruse umarł w Bordeaux na atak malarii. Zniszczona przez alkohol wątroba nie wytrzymała.

To ciężki cios.

Natychmiast wsiadamy w samolot. Na lotnisku Bordeaux-Merignac czeka w swoim mercedesie Claude, inny towarzysz lat młodości. Po drodze zabieramy jeszcze Suzy, była żonę Peyruse'a, i Claude wiezie nas wszystkich do kostnicy szpitala dziecięcego, w którym umarł Peyruse.

Siedzący z przodu Claude i Jacky nie odzywają się. Jest zimno i szaro. Przejazd trwa długo, ulice zablokowane są korkami. Siedzę z tyłu z Suzy i pogrążony jestem w rozmyślaniach.

Wybacz, Peyruse, ale oprócz tego, że jestem łajdakiem, i tylko łajdakiem, potrzebuję zrozumieć. Nigdy się nie ożenię. Peyruse umarł właśnie przez ożenek. Pozwolił się zniszczyć tej pięknej blondynce, której południowo-zachodni akcent przyprawia o dreszcz, kiedy tylko zaczyna mówić.

Moje panie, nie macie w sobie litości.

Peyruse leży w swojej szufladzie. Nie ma już mojego kumpla. Jego twarz jest obrzękła, wypełniona śmiercią, cała żółta. Widzę sztywnego trupa i szkody, wyrządzone przez chorobę, i trudno mi rozpoznać tego przyjaciela z lat dziecińczych, którego przywróciłem do życia ofiarowując mu przygodę.

Kurwa mać. A przecież już prawie z tego wyszedł. Suzy maże się i siąka nosem bez przerwy. Rycz, mała, będziesz mniej sikać.

Na zewnątrz ciągle tak samo szaro i pada deszcz.

Zabawa się skończyła. Jacky szybko zaprzyjaźnił się z Peyruse'em, ale podobnie jak ja nie ma zamiaru się rozczulać. To nie w naszym stylu. Ale żaden z nas nie ma jeszcze ochoty na rozrywki. Udajemy się prosto do dzielnicy przemysłowej, gdzie założyliśmy biuro i magazyn. Moim zamiarem jest jak najszybciej przygotować następny konwój, największy jaki kiedykolwiek jeździł po Afryce. Chcę od razu rzucić się w wir przygody, zebrać kupę szmalu i przejść do czego innego.

Los miał zdecydować inaczej.

Dwa dni później korzystamy z otwarcia sezonu polowań, bo i zapowiada się prawdziwa orgia zwierząt, kiedy ogarniają mnie mdłości. Szybko rozpoznaję gorączkę, która mnie napadła. To malaria. Wygląda na to, że Afryka chce załatwić stare porachunki.

Zaniepokojony Jacky nalega, żeby zawieźć mnie do szpitala lub chociaż zdobyć chininę. To powstrzyma gorączkę.

Szpital to wielki, stary budynek, równie gościnny jak więzienie i śmierdzący eterem. Idziemy za tabliczkami „Izba przyjęć” i dostajemy się przed oblicze trzech młodych facetów w białych fartuchach, którzy właśnie zaczęli pracę. Przerывamy im picie kawy. Mały brodaty w okularach przygląda mi się, dopijając swoją filiżankę.

Najwyraźniej nie podoba mu się nasz wygląd. Jesteśmy w tym samym wieku co on, ale opaleni i bogaci, podczas gdy on skazany jest, by zielenieć pod jarzeniówkami. Daje nam odczuć, że jesteśmy tu zbędni.

- O co chodzi?

- Mam malarię. Znam objawy i czuję, że nadchodzi kryzys. Czy ma pan chininę, żeby to powstrzymać?

- Malarie?

- Tak. Wracam z Afryki. Mam co najmniej czterdzieści trzy stopnie gorączki. Jeden z pozostałych rechoce.

- To niemożliwe. Przy czterdziestu trzech stopniach nie byłby pan w stanie ustać na nogach ani mówić. Majaczyłby pan.

Brodaty potakuje.

Jak wytłumaczyć tym rzeźnikom? Zmuszam się do spokoju i cierpliwie tłumaczę brodatemu:

- Zażywam duże ilości narkotyków i jestem przyzwyczajony do stanów podniecenia. Miewałem już ataki; Chcę tylko chininy, żeby to powstrzymać.

- Ależ nie możemy wydać panu lekarstwa tak po prostu! Tym razem wyprowadza mnie z równowagi. Mam już wyjść i odesłać ich do wszystkich diabłów, ale brodaty łapie mnie za rękę.

- Zmierzymy panu gorączkę. Zobacz pan, że mój kolega ma rację. W parę minut później patrzy na termometr i zmienia ton.

- Pan musi być hospitalizowany!

Cała ta dyskusja pogorszyła mój stan. Czuję, że zalewa mnie fala gorąca, robi mi się ciemno przed oczami... Mój kumpel Jacky, wspomagany przez lekarzy, podtrzymuje mnie, po czym zdaję sobie sprawę, że kładą mnie na noszach.

- Nie. Ja chcę tylko trochę chininy, to wszystko.

Jacky mówi do mnie, kiedy niosą mnie korytarzami. Ja przecież nie mam czasu na leżenie po szpitalach! Trzeba zająć się konwojem. Parę minut później tracę przytomność.

Pływam. Budzę się, wszystko jest gdzieś daleko. Jakieś dźwięki, ktoś mnie dotyka. Znów tracę przytomność, po czym wracam do siebie w blasku elektrycznego światła, od którego bolą mnie oczy.

Mówi do mnie pielęgniarka. Znów dzień, później stopniowo chwile przytomności wydłużają się. Jestem przytomny, ale w paskudnym stanie. Nadal mam gorączkę, i nie sposób dowiedzieć się, co się dzieje. Po prawej stoi rząd łóżek, mój sąsiad, to mały staruszek, który nie poruszył się, odkąd tu jestem.

Pielęgniarka to stara kobieta o krzykliwym głosie, która wciąż się wydziera. Kiedy wchodzi na salę, od razu ustawia jakiegoś chorego, leżącego o dwa czy trzy łóżka ode mnie, zawsze tego samego. Nigdy albo źle ją rżnięto, i teraz wyżywa się na biedaku przez kilka minut. Słuchanie tego jest nie do zniesienia.

W środku czuję zimno, potem zaczynam płonąć. Proszę, żeby mi zmieniono pościel, mokrą po każdym nawrocie gorączki, ale stara nie chce o niczym słyszeć. Pościel zmienia się rano, teraz nie jest odpowiednia pora.

Jedyne znośne chwile w tym otoczeniu to odwiedziny Jacky'ego. Parę razy dziennie słyszę jego sztucznie wesoły głos: „No i jak bracie”, i budzę się. Mówi do mnie i dobrze mi to robi.

Najgorsze jest to, że nie jestem leczony. Był lekarz, osłuchiwał mnie bez słowa i zniknął. Nie dostałem jednego jedyne lekarstwa, i wszyscy udają, że nie słyszą, kiedy proszę o chininę.

Któregoś dnia nie wytrzymuję. Stara płaci za wszystkich. Wrzeszczę do niej świństwa,

jakich nie słyszała w życiu.

- Uspokój się, bracie. Spokojnie.

Czepiam się ramion Jacky'ego. Pielęgniarka wybiega z sali.

- Wyciągnij mnie stąd, bracie, nie mogę już.

- OK, bądź spokojny, załatwię to. Załatwię zwolnienie i wychodzimy.

Załatwił mi pokój u przyjaciółki. Przez kilka dni walczę z gorączką. Kryzys przedłuża się. Którejś nocy budzę się gwałtownie i skręcam się z bólu, który rozpoznaję natychmiast. Tym razem to nerki. Przez całą noc czuję, jak noże rozrywają mi biodra. W ciągu następnych dni ból nie ustępuje, rzadko bywał aż tak silny, i czuję, jak cały mój organizm zaczyna się rozlatywać.

Mój mocz ma kolor brązowy i śmierdzi. To przerażające patrzeć, jak coś takiego wycieka ze mnie. Jest to tak obrzydliwe, że zaczynam czuć do siebie odrazę. Mam wrażenie, że całe moje ciało śmierdzi. Któregoś wieczoru, po powrocie do domu, przyjaciółka Jacky'ego przychodzi do mojego pokoju, żeby powiedzieć mi parę miłych słów, jak zwykle, i otwiera okno, wpuszczając lodowate powietrze. Wówczas rozumiem, że naprawdę śmierdząc zgnilizną. Mój pot przesiąknięty jest jakimiś nieznanymi wewnętrznymi miazmatami.

Rozumiem wszystko. Koniec ze mną.

Nie mogę narzucać tej sytuacji dziewczynie. Proszę Jacky'ego, żeby zabrał mnie do innego szpitala. Może będzie tam lepsza opieka niż w poprzednim.

Ale znów zaczyna się ten sam burdel. Lekarze nie znają się na malarii, a jeszcze mniej na tym, co atakuje moje nerki. Mówię im, że byłem w szpitalu parę dni wcześniej, i sprowadzili moje akta, w których jest kilka linijek na temat mojej choroby. Reszta to zemsta starej pielęgniarki. Po przeczytaniu tego lekarze mają mnie na oku. Wysłuchuję nawet kazania.

Cały drzę, opróżniony jestem ze wszystkiego, co było we mnie zdrowe, siły opadły mnie zupełnie. Gdyby nie to, złapałbym tego błazna w białym fartuchu, który mi tłumaczy, że nie wolno napadać na personel medyczny, i zmusiłbym go do zajęcia się moim przypadkiem. Przynajmniej do spróbowania wyleczenia mnie!

Jacky przychodzi codziennie. Uśmiecha się i mówi, co nowego w sprawie konwoju, ale widzę, kurwa, że jest smutny.

- Jacky, tu są sami frajerzy. Pozwolą mi umrzeć.

- Nie ma problemu, bracie. Jedziemy stąd.

Mój koleś zajmuje się wszystkim, i w jeden dzień wynajduje prywatną klinikę.

Jest tam przynajmniej wygodnie. To najlepsze miejsce w mieście, czyste, spokojne i bardzo drogie. Mam telewizor, dużą łazienkę, a pościel zmieniają za każdym razem, kiedy jest mokra.

Ale w moim ciele gnicie postępuje dalej.

Nie mogę jeść. Sam przecież wybieram swoje menu, ale kiedy przynoszą tacę, mam ochotę wyrzucić ją przez okno. Nawet do mięsa czuję obrzydzenie. Schudłem, cały się przygarbiłem, a teraz czuję ogień w płucach. Jacky przyniósł mi skrętów, ale nie daję rady ich palić. Jeden sztach i duszę się. Ale przynajmniej mam jaśniejsze myśli przez parę minut.

Przez okno widzę dachy miasta, w którym utknąłem. Niebo, dachówki, wszystko jest szare, wilgotne, a o parę kilometrów dalej widać dymy fabryczne. Europejskie miasto w zimie.

Nie chcę umierać w tej szarzyźnie. Chcę zdychać na słońcu. Poproszę Jacky'ego, żeby zabrał mnie gdzieś, gdzie jest ciepło.

Po raz pierwszy siła wewnętrzna, która zawsze podtrzymywała mnie i popychała do przodu, słabnie. Zrezygnowałem z walki i pogodziłem się z rzeczywistością. Widzisz, Peyruse, na każdego przychodzi kolej. Dzisiaj to mnie zabija Afryka.

Jedyne siły, jakie mi zostają, po zaciągnięciu się trawką, przeznaczam na moją ostatnią przyjemność, prysznic po każdym ataku gorączki, żeby zmyć z siebie to całe świństwo, które ze mnie wychodzi. Potem padam na łóżko i pogrążam się na całe godziny w czarnym śnie, który nie przynosi wypoczynku.

Któregoś dnia, około dziesiątej, unoszę się na łóżku słysząc na korytarzu szybkie kroki, które należeć mogą tylko do jednej osoby, kroki prawie równie zdecydowane i głośne, jak chód Jacky'ego. Drzwi otwierają się z trzaskiem, to ona. W drzwiach pojawia się Koka, z rękami na biodrach.

- Charlie, to ja. Jacky powiedział mi przez telefon, że bardzo źle z tobą, więc dziś rano wsiadłam w samolot, żeby cię odwiedzić. Cieszysz się?

Podchodzi i przygląda mi się.

- Z tobą naprawdę jest źle. Poczekaj.

Podnosi mnie, ciągnie do łazienki i robi mi gorącą kąpiel, nie mogąc powstrzymać się, by nie zmarszczyć nosa. Obmywa mnie delikatnie, spłukuje i goli, nie przestając mówić.

- No, teraz jesteś piękny.

Wzywa pielęgniarkę, żeby kazała zmienić pościel, ciągnie mnie z powrotem do wyra,

wyciąga z torebki perfumy i spryskuje mi nimi szyję i ramiona.

- Już. Teraz jesteś piękny i przyjemnie pachniesz.

Kładzie się koło mnie, gładzi mi pierś, i pełna dobrych myśli pieści mi członka. Po paru minutach jednak zaprzestaje tych bezowocnych manipulacji.

- No, hombre, naprawdę kiepsko z tobą.

Wyciąga z torebki swoje wyposażenie i przyrządza mi rząderek kokainy. W mojej sytuacji nic już nie może mi zaszkodzić. Z trudnością wdycham narkotyk i głowa opada mi na poduszkę. Koka pakuje wszystko z powrotem i zakasuje spódnicę. Jak zwykle przygotowana, nie nosi pod nią niczego, nie licząc podwiązek. Czuję się, jakbym miał eksplodować. Nagłe działanie speedu w moim pozbawionym energii ciele daje mi potężnego kopa. Koka zauważa zmianę w moim stanie i ponownie kładzie się koło mnie. Nadal podkasana, nieprzyzwoita, sama się pieści, zbliżając twarz do mojej.

- Nie umrzesz przecież bez załatwienia mnie ostatni raz, Charlie, ty świnió, przerznij mnie, nim zdechniesz, ty skurwysynu.

Staje się cud. Ona wyczuwa to i uśmiecha się. Udało się jej. Odwraca się i, kierując twarz do lustra naprzeciwko łóżka, ofiarowuje mi swoją dupę.

Wysiłek przytłacza mnie, ale natężam się, żeby wykrzesać z siebie konieczną energię. Ostatni raz mam możliwość zadowolenia kobiety. Nie mogę zawieść, nie mam prawa.

Nagle w lustrze pojawia się głowa Jacky'ego, a za nim rozpoznaję lekarza. Koka krzyczy do nich, żeby wynosili się do diabła.

Później, trzęsąc się na całym ciele, całkowicie wypluty, wysłuchuję lekarza i jego asystenta, którzy opowiadają mi swoje zwykłe historyjki, i patrzę, jak Koka nakłada swoją futrzaną czapeczkę. Puszczą do mnie oko. I w tym momencie czuję, nie wiem już, gdzieś w moim ciele czy w mojej głowie, że właśnie mnie uratowała.

Nie, nie umrę.

Dziękuję, Koka, przywróciłaś mi jedyną siłę, która jest w stanie, walczyć z chorobą. Chęć życia.

Dziewczyny, czym bez was byłyby przyjemności życia? Jesteście niezastąpione. Uwielbiam was, wszystkie, wasze ładne ciała, wasze piersi, wasze usta, i pułapki, które na nas zastawiacie.

Ale jak to robicie, żeby być takie pociągające?

Pieniądze? Sława? Bez was to wszystko nieprzydatne. Zgadzam się walczyć i cierpieć, ryzykować wszystko, o ile na końcu drogi znajduje się któraś z was, bo przy niej można

zapomnieć.

Tak bardzo was potrzebujemy. Jesteście łagodne, jesteście piękne, jesteście cudowne. A poza tym, dziewczyny, wasze ładne dupcie są takie przyjemne.

Koka zostaje ze mną dwa dni, i nie szczędzi wysiłków, by przywrócić mi smak życia. Doszedłszy całkowicie do siebie, łagodnie sugeruję jej, by wróciła do Paryża, zanim jej intensywna opieka nie doprowadzi do skutków odwrotnych do zamierzonych i nie przerwie procesu zdrowienia.

O ile dobre samopoczucie powróciło, nie oznacza to, że choroba zniknęła. Gorączka przykuwa mnie do łóżka przez wiele godzin dziennie. W nocy nagłe klucie w nerkach wyrывa mnie ze snu i łamie na pół. Spędzam długie trudne godziny w ciemnościach zmagając się z bólem.

Po raz pierwszy od dawna przyjrzałem się sobie w lustrze i mogłem ocenić rozmiary szkód. Niesamowicie schudłem. Choroba zabrała dwadzieścia kilo, moje policzki są zapadnięte i blade. Choć jestem przekonany, że maszyna życia pracuje ponownie, patrzę na siebie z niepokojem; moja cera jest prawie biała, niezdrowa, a oczy błyszczą od gorączki. Moje ciało jeszcze choruje.

Słońce. Ciepło. Oto czego mi trzeba, żeby całkowicie powrócić do zdrowia. Trzeba zebrać dość sił, żeby stąd wyjść, uruchomić konwój, pojechać z nim i wyzdrowieć pod gorącym afrykańskim słońcem.

Niestety, nie jest to takie proste.

Żeby nabrać trochę energii, wystarczająco dużo do wyjścia ze szpitala, musiałbym jeść, tymczasem mój żołądek odmawia przyjęcia jakiegokolwiek pożywienia. Serce podchodzi mi do gardła, kiedy przeżuвам jedzenie, które zamawiam, i nigdy nie udaje mi się nic połknąć.

Jacky codziennie mówi o owocach i o kuracji na naturalnych witaminach. Któregoś ranka przychodzi z kilkoma torebkami egzotycznych owoców. Z tym idzie lepiej, ale mimo to nie daję rady przełknąć więcej niż jeden na raz. W pierwszym momencie zapach i smak owocu są przyjemne, ale szybko stają się nieznosne. Odżywiam się po prostu kilkoma szklankami wody. Płyn toruje sobie drogę bez większych trudności.

Pomimo to, czerpiąc z moich ostatnich rezerw, mój organizm powoli poprawia swój stan. Zmuszam się teraz do spacerowania wzdłuż korytarza, przechodzącego koło mojego

pokoju, a nawet robię parę pompek pod zdziwionym okiem mojej pielęgniarce.

Któregoś ranka, kiedy przemierzyłem właśnie cały korytarz, przyjaźnie i głośno pozdrawiając sąsiadów, drzwi windy otwierają się i wychodzi Jacky z ogromnym tekturowym pudłem w objęciach. Za nim pojawiają się kolejno, ciepło ubrani i obładowani skrzynkami owoców, One i Two, moje dwa czarnuchy, Albana, i na końcu pochodu, jak zawsze z walizeczką, uśmiechnięty i spięty Chotard.

Cała ta procesja przechodzi przede mną i zamienia mój pokój w targowisko warzyw i owoców. Jacky, jak zwykle popadając w przesadę, nakupił owoców na kilogramy. Pomarańcze, banany, jakieś egzotyczne cuda, marchewki... Jest nawet kapusta i ćwiartka dyni. Mój kumpel rozpakowuje prezent. Jest to ogromny mikser do owoców, który usiłuje złożyć i włączyć, posługując się instrukcją obsługi.

- Patrz, Charlie, to specjalne urządzenie do robienia soków owocowych. Jest to rozwiązanie problemu.

Oba czarnuchy i Albana przylecieli dwa dni wcześniej, na lotnisku czekał na nich Chotard. Jacky kazał im kupować zimowe ubrania, i mają na sobie po kilka warstw swetrów, płaszczy, spodni i skarpet. Zwłaszcza Albany nie można rozpoznać. Widać tylko jego oczy, reszta twarzy zasłonięta jest wełnianą kominiarką.

One i Two mają wspaniałe ocieplane czapki z nausznikami. Jacky kupił każdemu z nich wielką cyfrę z metalu i przypiął im do czapek odpowiednio 1 i 2. Cieszę się, że ich widzę, to sympatyczni i prości ludzie. Zaraz po przyjeździe zabrali się do roboty przy ciężarówkach, w hangarze, gdzie ich ulokowano. Proszę wszystkich, żeby usiedli i rozebrali się, ale Afrykanie zdychają z zimna w tym klimacie i zaledwie godzą się zdjąć rękawiczki. Upierają się, żeby nie zdejmować swoich ciepłych ubrań, z których są zresztą bardzo dumni.

Wreszcie Jacky'emu udaje się włączyć swoją maszynę, wrzuca owoce do pojemnika i naciska guzik. Urządzenie robi piekielny hałas, który zapewne obudzi całą klinikę. Z dumą podaje mi sok pomarańczowy, który okazuje się wyborowy. Następnie robi jeden dla siebie, potem dla Chotarda. Niebawem wokół nas pełno skórek od pomarańczy, a na ścianach pojawiają się plamy. Jacky w pośpiechu nie czeka, aż mikser się wyłączy, i podnosi pokrywę, więc sok tryska na wszystkie strony.

- Masz, One, spróbuj tego.

Ledwo podał szklankę pierwszemu czarnuchowi, już wrzuca następne owoce do pojemnika i włącza mikser.

- Teraz ty, Two. Wypij to. To dobre, to dobre.

Obsługuje wszystkich i wśród deszczu kropel soku i kawałków skórki pomarańczowej

zabiera się za drugą kolejkę. Zaśmiewa się przy tym jak dziecko. Robi się tu prawdziwy bazar. Też zaczynam się śmiać, a oba czarnuchy widząc, że się cieszę, także szczerzą zęby.

Jedyną niezadowoloną osobą jest pielęgniarka, która wchodzi właśnie do pokoju.

- Ta maszyna strasznie hałasuje. Przeszkadzacie wszystkim. I patrzcie jak nabrudziliście.

Jacky wyjaśnia jej, że stanowi to część mojego leczenia. Porządna kuracja naturalnymi witaminami. Baba wzrusza ramionami i daje spokój. Jest to stara, zasuszona kobieta, która uważa mnie za wariata, od kiedy pogłaskałam ją po pośladkach dwa dni temu, a widok, który teraz u mnie zastała, utwierdza ją w tym przekonaniu.

Ma ona jednak rację co do jednego: dość już tego dobrego. Daję znak Jacky'emu, żeby wyłączył mikser, i zapada cisza.

- No dobra, chłopaki. Nie możemy już tracić czasu. Kończcie wasze soki. Chotard, bierz taksówkę dla wszystkich. Albaha, One i Two, wracacie do hangaru. Chotard, wrócisz tu po południu, mamy robotę.

Chotard zabiera Afrykanów i zostajemy sami z Jackym.

- W hangarze wszystko w porządku?

- Z czarnuchami idzie wspaniale! Wczoraj od razu zabrali się do roboty, i pracowali przez cały dzień, pomimo zimna. Natomiast Albana...

- Co?

- Zdrowo gra mi na nerwach. Marudzi, kiedy tylko wyda mu się jakieś polecenie. Siedzi na tej swojej wielkiej dupie przez cały dzień.

- Czego chce?

- Zawracanie głowy. Opowiada, że przyjechał prowadzić ciężarówkę, a nie żeby być mechanikiem. Poza tym ma rasitowskie zagrania z tamtymi dwoma. Praktycznie zabrał im całą forszę, którą dałeś im w Bamako. One i Two nie ośmielają się protestować.

Jacky siedzi na łóżku i rozmawiając robi skręta. Teraz już mogę palić i wydatnie poprawia mi to samopoczucie.

- Jeśli chodzi o wozy, to normalka. Trzy przyczepy są całkowicie przeżarte rdzą. Ale czarnuchy powinny dać sobie radę. Kupiłem lakier. Możemy zacząć lakierowanie za parę dni. Pozostaje sprawa ładunku...

- W porządku, bracie, załatwię sprawę Albany jutro. Przyjadę obejrzyć hangar. Potrzebuję się trochę przewietrzyć.

Przy okazji pogadam z nowymi kierowcami. Żeby uzupełnić zespół, Jacky zatrudnił

trzech facetów za pośrednictwem naszych normalnych kanałów werbunku. Przekazując znajomym z ust do ust wiadomości, zawsze udaje się nam znaleźć odpowiednich kandydatów do tej roboty. Nie zatrudniam zawodowców. Kierowcy TIR-ów, ich przepisy dotyczące godzin pracy, związki zawodowe i inne idiotyzmy zupełnie mi nie odpowiadają. Ja szukam ludzi, których pociąga przygoda, ludzi, którzy mają czas i niewiele do stracenia. Według Jacky'ego trzech kandydaci, których znalazł, są jeszcze gorsi niż zwykle, do tego stopnia, że nic im nie powiedział, pozostawiając decyzję mnie.

Po południu Chotard zjawia się ponownie, w towarzystwie Wallida. Algierczyka, który na dobre zadomowił się w moich konwojach. Od czasu naszego pierwszego spotkania wyrzucono go z roboty. Był całkowicie pijany i rozbił ciężarówkę swego szefa w środku Gao, powodując wiele szkód. Od tej pory pracuje dla mnie.

Zwykle czeka na mnie w Bechar, ale tym razem pojechał aż do Europy, podrabiając kartę stałego pobytu. Odwiedza mnie ubrany po europejsku, w szerokich spodniach i w butach o wysokim obcasie i szpiczastych czubkach; na twarzy maluje się zmęczenie licznymi zabawami, w których brał udział od czasu wylądowania w Marsylii. Po drodze zatrzymywał się u wszystkich swoich kuzynów.

Potwierdzam mu, że wkrótce wyjeżdżamy, i proszę, żeby od razu pojechał do hangaru i zabrał się do pracy. Jest przyzwyczajony do mojego tempa. Chotard daje mu trochę pieniędzy i Wallid nie zwlekając rusza.

Następnie z Chotardem zabieram się do najmniej ciekawej części tych wszystkich przygotowań: przestudiowania zamówień, jakie zebraliśmy podczas ostatniej podróży.

Jest tu wszystko, od kompletnego silnika po parę butów na słoninie. Jeśli chodzi o większe rzeczy, Chotard lata po sklepach i złomowiskach. Co do drobnych zamówień i ubrań, Chotard starannie je notuje, ale nigdy ich nie realizujemy. Mówimy, że zabrakło.

Natomiast zawsze przewiduję zapas prezentów, żeby podtrzymać dobre stosunki. Tranzystorowe radia, możliwie największe, bo takie lubią, oraz kalkulatorki, które wywróciły do góry nogami etnologię Afryki. Tubylcy przeszli bezpośrednio od kamyków do elektroniki.

Dalej rzeczy, które w moich oczach są nie mniej ważne. Zapasy lekarstw i skondensowanego mleka dla dzieci. Chotard skrzyniami kupuje witaminy, aspirynę i inne lekarstwa, które rozdzielam podczas przejazdu. Osobiście dopilnowuję, żeby wszystko było w ogromnych ilościach.

Przed wyjściem Jacky zapowiada mi na wieczór wizytę Samuela Grapowitza, swego kumpla, który koniecznie chce się ze mną spotkać.

Kiedy wyszli, biorę prysznic i kładę się, bo ogarnęło mnie zmęczenie. Pani pielęgniarka przychodzi mnie przykryć. W ostatniej chwili odskakuje, unikając pieszczoty, jaką jej przeznaczyłem, i warczy na mnie:

- Proszę pana, dosyć już tego!

Marszczy brwi, ale drgające w powstrzymywanym uśmiechu wargi zdradzają, że wkrótce będzie moja.. Zasypiam szczęśliwy.

Budzę się wczesnym wieczorem. Po bezskutecznych usiłowaniach, by włączyć mikser do owoców, ciskam nim o podłogę.

Na korytarzu słyszę śmiech. To nadchodzi Samuel Grapowitz. Śmiech cichnie. Samuel Grapowitz wsuwa głowę przez drzwi, patrzy na mnie chwilę i wybucha śmiechem. Wchodzi, robi rundkę dookoła pokoju, patrzy na leżący na podłodze mikser, i ponownie jego wesołość powoduje drżenie ścian.

Samuel Grapowitz, Żyd i oszust.

Ten facet to prawdziwy wariat, tak naprawdę to najbardziej zwariowany i najsympatyczniejszy maniak seksualny, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jego członek jest dla wszystkich. Nie można spędzić w jego towarzystwie godziny, żeby o nim nie wspomniał.

Jego ulubiony żart to podejść na przyjęciu do jakiejś panienki, wyjąć członka i zapytać:

- Przepraszam... widziała pani mojego?

Od wielu lat to robi, i nigdy nie dostał po buzi. To arystokrata!

Poza tym jest doskonałym kumplem i niewiarygodnym showmanem. Bez przerwy trwa przedstawienie, najpierw w jego głowie, później dla otoczenia. Nie przestaje nigdy. Miny, przemówienia, najróżniejsze wygłupy, wraz z nim do pokoju wchodzi prawdziwe tornado. Uprawia swój zawód w sposób genialny. Polega to na wymyślaniu niezawodnych scenariuszy. Wyciąga forszę w merostwach, tworząc fikcyjne kampanie reklamowe. Jest doskonały w tej roli światowego oszusta, eleganckiego i o nienagannych manierach. Kocha luksus i ma wiele zalet.

W ślad za nim wchodzi Jacky, z uśmiechem na ustach i z załzawionymi oczami. Najwidoczniej Samuel Grapowicz zdążył już opowiedzieć mu parę kawałów w windzie. Siada i zaczyna przygotowywać skręty. Samuel Grapowicz przygląda mu się, uderza się w czoło i wybucha śmiechem.

- No i jak, Samuelu Grapowicz, wszystko dobrze?

Nagle cała jego twarz zmienia wyraz. W kilka sekund przybiera tragiczny wygląd.

- Nie. Krzyczy.

- Nie, zupełnie niedobrze!

Umysł zaprzęta mu pierwszoplanowe zagadnienie, sprawa wibracyjnych aparatów do masażu. Według niego aparaty te są na najlepszej drodze do zastąpienia mężczyzny. To prawdziwy dramat. Jacky i ja, ślaniając się ze śmiechu, staramy się go pocieszyć.

- No, jesteś już dużym chłopcem, najwyższy czas, żebyś się dowiedział.

I wyjaśniamy mu, że od zarania dziejów panie chętnie wykorzystywały dla przyjemności najróżniejsze narzędzia i warzywa.

- W naszym technologicznym wieku jest normalne, że banan zostaje zastąpiony czymś nowocześniejszym.

- I wydajniejszym.

Patrzy na nas, potrząsając głową w rozpacz.

- Wybaczcie, że wam to powiem, panowie, ale jesteście chamy. Banan to rzecz normalna, jest... jest naturalny. Jest e-k-o-l-o-g-i-c-z-n-y. Ja mam już dość, wyjeżdżam. Poszukam sobie miejsca, gdzie nadal kocha się w sposób naturalny. To postanowione. Wyjeżdżam.

- I dokąd tak wyjeżdżasz?

- Do Afryki, Charlie. Musisz zabrać mnie do Afryki.

- Ależ to niemożliwe. To zbyt ciężkie.

Myślę, że jego prośba stanowi część przedstawienia, ale wygląda na rozczarowanego moją odmową, i nalega.

- Mówię poważnie, Charlie, naprawdę. Nie miałbyś miejsca dla mnie w swoim konwoju?

Za jego plecami Jacky daje mi znaki, że rzecz jest rzeczywiście poważna. Przyglądam się temu wysokiemu, szczupłemu facetowi, elegancko ubranemu, ostrzyżonemu według najnowszej mody. O ile jest doskonały do salonów, luksusu i na przyjęcia; trudno mi go sobie wyobrazić w roli pustynnego awanturnika. Wyjaśniam mu to.

- To coś zupełnie innego niż wszystko, co znasz. To ciężkie, nawet niebezpieczne. To wymaga fizycznego wysiłku. Myślisz, że dasz radę?

- Tak. Nie wyglądam na silnego, ale jestem wytrzymały. Uprawiałem sporty.

Waham się. Zauważa to i dodaje:

- Nie mam tu już nic do roboty. To koniec. Muszę wyjechać pokazać małego pod innym niebem.

Taka argumentacja przekonuje mnie.

- OK. Jedziesz z nami jako kierowca. Umiesz prowadzić ciężarówkę?

- Nie.

- Nieważne. Prawo jazdy?

- Na osobowe.

- Zrób sobie zdjęcia. Załatwimy ci to.

Samuel Grapowitz jest szczęśliwy i rozbawiony przez resztę wieczoru. Jego wybuchy śmiechu na całe gardło, całkowicie nie kontrolowane, którym wtórują nasze, zwracają w końcu uwagę pielęgniara z nocnego dyżuru. Wchodzi wściekły i zatrzymuje się na progu, bo oczy go pieką od gęstego dymu, w którym tonie pokój.

- Co to ma znaczyć? Tu jest szpital.

Samuel zrywa się na równe nogi, całkowicie otumaniony trawką i pełen radości życia.

- Proszę pana. Świetnie, że pan jest.

Stary piernik o minie dozorca traci mowę ze zdziwienia.

Jest pan medycznym specjalistą, więc poproszę pana o radę w kwestii seksualnej, która poważnie mnie niepokoi, proszę pana, bardzo poważnie.

Ale pielęgniarz nie chce nic słyszeć na temat problemów z libidem Samuela Grapowitza. Zaniepokojony wycofuje się za próg i mówi do mnie ponad ramieniem Samuela:

- Proszę natychmiast to skończyć, przeszkadzacie chorym spać.

- W porządku, grubasie, wychodzimy. Samuelu Grapowitz, daj mu spokój.

Następnego dnia po przebudzeniu podejmuję decyzję. Jestem na dobrej drodze do wyzdrowienia. Teraz potrzebuję słońca i działania. Ze szpitalem koniec. Oznajmiam to Jacky'emu, który przyjeżdża, żeby zabrać mnie na spotkanie z kandydatami na kierowców. Zgadza się ze mną i tym sposobem opuszczam klinikę. W charakterze zapłaty zostawiam im mój jedwabny szlafrok. Chyba się im to opłaca, bo w zamian dostałem tylko pół tabletki nivaquiny dziennie.

Jedyne, czego żałuję, to to, że nie miałem czasu zająć się moją starą pielęgniarką, która dziś rano uległa mi ostatecznie i nie próbowała już uniknąć mojej pieczyoty. Biedaczka, czuję się winien, bo rozbudziłem w niej na nowo zapomniane marzenia.

Nasza siedziba wygląda bardzo poważnie. Biuro dyrektora, metalowe szafy na segregatory, telefon. Jest nawet supernowoczesny teleks. Służy on wyłącznie celom estetycznym, bo nie jest nigdzie podłączony. Zawsze przywiązywałem wagę do aspektów

wizualnych. Z nogami na biurku, jak rasowy dyrektor naczelny, oczekuję na kandydatów na kierowców, otoczony najbliższymi współpracownikami.

Wchodzą wszyscy trzej gęsiego i ustawiają się przede mną, najwyraźniej pod wrażeniem. Z kamiennymi twarzami przyglądamy się im w milczeniu, po czym Jacky zwraca się do mnie i przedstawia mi ich:

- Jos, Capone, Indianin.

Rzuca mi porozumiewawcze Spojrzenie.

- Ostrzegalem cię.

Faceci, których zatrudniamy do pracy przy konwojach, nigdy nie należą do śmietanki towarzyskiej. Tego rodzaju robota nie przyciąga świętoszków. Ale ci trzej są naprawdę wyjątkowi.

Jos wygląda jeszcze jako tako. Wysoki, prawie łysy, ubrany w sposób pozornie wyszukany. Najwyraźniej lubi styl angielski, pulower i tweed. Natomiast Indianin robi najgorsze wrażenie z całej trójki. Jako jedyny nie wystroił się na tę okazję, nie licząc szerokiego turkusowego krawata, źle zawiązanego pod kołnierzykiem czarnej koszuli. Wymyślenie jego przydomku nie musiało być trudne. To Cygan o długich, czarnych i tłustych włosach. W rękę trzyma czarny kapelusz o opadającym rondzie, który też nie wygląda najczystiej. Indianin ma naprawdę paskudną mordę.

Najbardziej niepewnie czuje się najwyraźniej mały, krępy, ubrany w stary niedzielny garnitur Capone, do którego od razu czuję sympatię. Zaklasyfikowałem go natychmiast: silny, naiwny, o dobrym sercu. Nie może się powstrzymać, żeby nie przestępować z nogi na nogę, chowając jednocześnie głowę w ramionach.

- Dobra.

Wszyscy trzej wyprostowują się.

- Jacky wszystko wam wyjaśnił. Jesteście ochotnikami. Opowiedzcie mi teraz, co robiliście przedtem.

Jos otwiera usta. Przerywam mu natychmiast.

- Będziemy razem pracować i żyć przez dwa miesiące, jak nie dłużej. Więc chcę usłyszeć prawdziwą historię, a nie tę, którą sobie przygotowaliście.

Znam takich facetów, to drobni piraci, tak naprawdę nie są źli. Niczego innego nie pragną jak tylko znaleźć się pod opieką kogoś, kto pozwoli im się rozwinąć.

Jos to żigolak. Od wielu lat żyje na koszt starszych pań, trochę już zużytych, spragnionych czułości wdów o wypchanych portfelach. Ma już dobrze po czterdziestce, jego urok osobisty zaczyna przemijać, a na myśl o starej, która zafundowała sobie jego usługi

przez ostatnie dwa lata, robi mu się niedobrze. Robota u mnie dałaby mu okazję do ucieczki.

Indianin, mały i fałszywy, jest paserem. Przez jakiś czas był kierowcą wozu dostawczego, ale zabrano mu prawo jazdy, kiedy upił się w trupa i zabił na ulicy dwie osoby.

Capone, mały chuligan, który nigdy nie dorósł, również ma już po czterdzieście. Jego kariera to włamania, drobne skoki i seria krótkich wyroków, trzy miesiące, pół roku...

Cała trójka zna się z bistra, w którym popijają całymi dniami. Obrzękłe policzki, zapadnięte wilgotne oczy, nie trzeba być wielkim lekarzem, żeby postawić diagnozę: alkohol, i to w dużych ilościach.

Jos ma ochotę popracować. Nie będzie z nim żadnych problemów. Wygląda szmatławie, ale ma zalety. Capone nie potrzebuje niczego prócz szefa i zawsze marzył o przygodzie, jaką mu teraz proponujemy, bo w gruncie rzeczy to wielkie dziecko. Z nim również nie będzie problemu.

Co do Indianina to jeszcze nie wiem. Nie jest sympatyczny i ma mordę skurwysyna. Jest wredny, może być nielojalny, ale jestem pewien, że nie jest to tchórz. Jeśli się go dobrze poprowadzi, i jak będzie wśród kolegów, może wszystko pójdzie jak trzeba.

- W porządku, jesteście przyjęci.

Wszyscy trzej uśmiechają się z ulgą, szczęśliwi. Nie zostawiam im czasu na czułości.

- Zostawcie nam nazwiska, zdjęcia, jeśli macie przy sobie, i numer telefonu. A teraz trzeba to oblać. Chotard, wyciągnij butelkę szampana.

Lodówka to w tym pokoju jedyne działające urządzenie. Wystarczy zobaczyć jak ciągną nasi trzej nowi, żeby ocenić ich pociąg do alkoholu.

Capone bierze się na odwagę, podchodzi do biurka i pyta:

- Szefie, mamy przyjść ze sprzętem?

I wskazuje pod pachę, gdzie chętnie założyłby kaburę.

- Za kogo ty nas masz? Jesteśmy handlowcami, a nie gangsterami. Jacky potwierdza:

- Sprzedajemy używane samochody za granicą.

- Nic innego. Jasne, Capone? Zrozumiał i siada, rozczarowany.

- No dobra, a teraz do roboty. Idziemy do hangaru. Trzeba przygotować ciężarówkę.

Indianin niemądrze protestuje.

- Ale nie jesteśmy odpowiednio ubrani.

- Chcecie pracować, tak czy nie?

- Tak, tak.

- No to idziemy.

Landary stoją w wielkim hangarze, oddzielnym od działnicy przemysłowej obszernymi nieużytkami. Cała budowla to długi blaszany dach podtrzymywany słupami. Blaszane przepierzenia pełnią funkcję ścian. Z zewnątrz widać tylko kilka stosów opon, które trzeba było zostawić na dworze. Miejsce jest odosobnione. Padający mokry śnieg i szare niebo dopełniają ponurego wyglądu całości.

Wewnątrz zainstalowane jest mocne oświetlenie. Wszędzie pozawieszane są lampy przenośne. One i Two zajęci są spawaniem. Jeden trzyma, drugi puszcza iskry. W jedynym wolnym miejscu ustawiono metalową beczkę, która pełni rolę piecyka. Z wnętrza wynurzają się długie płomienie. Albana wstaje, żeby nas przywitać.

- Nie pracujesz, Albana?

Rozumie groźbę i pogrąża się w tłumaczeniach, których nie słucham.

- Won stąd. Zabieraj swoje rzeczy i won.

Patrzy na mnie nieruchomo, zaskoczony. Chętnie bym mu poobrywał uszy, ale zasłania je kominiarka, poza tym polecali mi go klienci. Jako dobry Afrykanin próbuje dyskutować.

- Ależ szefie, właśnie przez parę chwil odpoczywałem. Muszę nabrać sił, żeby...

- Albana.

- Tak, szefie.

- Podejdź do mnie.

Staje przede mną prawie na baczność.

- Zdejmij kominiarkę.

Waha się. Wszyscy podeszli bliżej i przyglądają się całej scenie w całkowitym milczeniu. Albana zdejmuje czapkę i kiwam, żeby podeszedł jeszcze bliżej.

- Masz teraz uszy na wierzchu?

- Tak szefie.

- Dobrze słyszysz?

- Tak szefie.

- Więc ci wytłumaczę.

Jest całkowicie nieruchomy, patrzy na mnie swoimi wielkimi oczami, w których widać strach, cały zrobił się szary. Trzej nowi stoją na boku i w milczeniu przyglądają się.

- Albana, Jacky powiedział mi, że nic nie robisz. Traktujesz One i Two, którzy są moimi pracownikami, jak gówno, i ukradłeś im pieniądze. To już są trzy błędy. To moje ostatnie ostrzeżenie. Jeszcze jeden błąd i wypieprzam cię, niezależnie od tego, gdzie będziemy. Jasne?

- Tak.

- Zrozumiałeś?

- Tak, szefie.

- Więc teraz rusz dupę i bierz się do roboty.

Rusza. Z kominiarką w garści idzie w kierunku ciężarówek, ze zwieszoną głową.

- Albana.

Na dźwięk mojego głosu przechodzi go dreszcz. Odwraca się.

- Powtórz, że zrozumiałeś..

- Tak, zrozumiałem.

- Więc rusz dupę, skurwielu.

Tym razem porusza się szybciej i znika za ciężarówką. Wkrótce dobiegają stamtąd odgłosy walenia młotkiem, z których wynika, że zostałem dobrze zrozumiany.

Miał szczęście. Kilka lat wcześniej nie ostrzegałem ludzi przed przejściem do rękoczynów. Była to metoda szybsza. Trzej Francuzi obejrzeni całą scenę i zrobiła na nich odpowiednie wrażenie. Wallid, otrząskany z moimi metodami, podchodzi się przywitać, jak gdyby nigdy nic. W tym momencie Jos decyduje się.

- Od czego zaczynamy, szefie?

Punkt dla niego. Wskazuję na stos części, zajmujących połowę hangaru. Wszystko to trzeba załadować na ciężarówkę. Ogarnia wzrokiem ogrom roboty i pyta spokojnie:

- W jakiej kolejności? Dwa punkty.

- W żadnej. Wszystko ładujesz w maksymalnym bałaganie. To sposób na celników. Im większy burdel, tym mniej sprawdzają.

Śmieje się i ciągnie za sobą tamtych dwóch. Rozpoczyna się praca.

Ciężarówki ustawione są pod ścianą hangaru. Jest to ciąg blach o niejasnych kolorach. Całość uzupełniają rdza i wygięcia.

To stare landary, przestarzałe modele, które już wyjeździły swoje. Nie kosztują mnie drogo i nie interesuję się zbytnio ani ich pochodzeniem, ani stanem ich karoserii. Jedyna istotna rzecz to, żeby silniki wytrzymały aż do Mali. Nawet wysłużony silnik może jeszcze długo popracować, jeśli nie załuje mu się oleju i wody w chłodnicy.

Nauczyłem się tego w Afryce.

Po drugiej stronie, zajmując sporą powierzchnię w hangarze, leżą nasze towary. Są tu setki opon, ułożonych po pięć lub sześć, do wszystkich możliwych typów samochodów i ciężarówek, w najróżniejszym stanie. Znaleźć tu można zarówno opony nowe jak i łyse, nie

zapominając o poszarpanych. Trzy czwarte z nich to używane, bieżnikowane ogumienie, które w Afryce na szlaku nie zdaje egzaminu, ale daje się mimo wszystko sprzedać. Oprócz tego są tu części zapasowe, mnóstwo stosów złomu, który Chotard skupuje na wagę na cmentarzyskach według marek albo modeli samochodów. Wreszcie, nieco z tyłu, ustawiono kilka skrzyń z najróżniejszymi towarami.

Chotard przedstawił mi listę tego wszystkiego, co będziemy przewozić. Na papierze wygląda to niemal równie imponująco jak w rzeczywistości. Wszystko zostało poklasyfikowane, co daje prawdziwy inwentarz na trzydziestu stronach.

Jest tam nawet karabin na słońce, nowiutki Weatherby 458. To prezent dla malijskiego przyjaciela, który chciałby zapolować na motyle.

Kazałem urządzić coś w rodzaju salonowego kącika na wolnej przestrzeni pod ścianą. Wokół siedzeń samochodowych, znalezionych w naszym składzie, ustawiono kilka blaszanych piecyków. Tutaj też zwołuję swój sztab na przegląd sytuacji.

Jacky i Chotard siadają ze mną. Trzyma się przy nas Samuel Grapowicz. Jest już ciemno. W hangarze tętnią odgłosy działalności, którą uruchomiłem. Samuel Grapowicz otwiera usta, żeby ponownie dać upust swojej fantazji. Przerywam mu.

- Teraz poważnie, chłopaki. Ile czasu potrzeba na przygotowanie wszystkiego?

Chotard odpowiada, że dwanaście dni, żeby wszystko załadować, zakończyć prace nad karoseriami i przeglądy ciężarówek oraz załatwić sprawy papierkowe... Jedną z cech charakteru Chotarda jest wieczny pesymizm. Taki defetyzm w działaniu denerwuje mnie. Jacky ma bardziej pozytywne nastawienie i liczy na dziesięć dni.

- Dobra. Wyjeżdżamy za pięć dni.

Jacky zgadza się. Chotard trochę mniej, ale zaczyna się przyzwyczajać. Natychmiast robimy listę problemów i rozdzielamy zadania. Chotard ma zająć się wyrobieniem praw jazdy dla wszystkich.

- To znaczy, że trzeba zrobić zdjęcia nowo zatrudnionym. Załatw to jeszcze dziś wieczór. Potem poślij ich, żeby pożegnali się z żonami, pieskiem itd. Jutro wszyscy tutaj o siódmej.

Na następne dni musi nam jeszcze znaleźć dwóch dodatkowych kierowców, zawodowców, jeśli nie znajdzie nikogo innego, w miarę możliwości nie całkowitych matolów. Musimy się maksymalnie sprężyć, żeby szybko wystartować, i nie chcę tkwić tutaj z powodu braku pracowników. I wreszcie do Chotarda należy zaopatrzenie. Potrzebujemy dwóch posiłków dziennie w hangarze, jedzenie musi być obfite i pożywne. Chcę, żeby ludzie dobrze

jadali. Chotard rezerwuje dla nas pokoje w tym samym motelu co zawsze, przy szosie dwa kilometry stąd. Pracownicy będą spać na miejscu. Następnie idę rzucić okiem na załadunek w towarzystwie Jacky'ego.

- Ty, bracie, musisz przede wszystkim zająć się nauką jazdy.

- Nie ma sprawy.

- Bądź ostrożny, nie mamy czasu.

- Zgoda.

- Najpierw weź Europejczyków. Ja zajmę się osobiście One i Two, bo inaczej się wystraszą. Dobra, co innego? Jacky i Chotard potrząsają głowami.

- No to jazda.

Przygotowanie wszystkiego w pięć dni stanowiło nie lada wyzwanie. Taka przesada to najlepszy sposób, żeby ruszyć szybko z miejsca.

Już nazajutrz Chotard przyprowadził mi dwóch młodych facetów. To zawodowi kierowcy TIR-ów. Ratuje ich to, że przejechali sporo po różnych dziwnych szlakach, do Iranu, Syrii i innych górien. Są to dwaj bracia, o jednakowym wyglądzie. Wysocy, szczupli, z długimi włosami, w džinsach i tenisówkach. Przedstawili się jako Jean-Paul i Olivier, i od razu przystąpili do roboty. Nie są sympatyczni, ale nie mam wyboru.

Ludzie urządzili się w hangarze, rozłożyli tam śpiwory i koce. Robota zaczyna się bardzo wcześnie rano i ciągnie do późna w noc.

Mianowałem Josa brygadzystą, trochę, pomaga mu Wallid. On porozdzielał też zadania. Przez cały dzień jego okrzyki poganiania pracujących, i całość szybko posuwa się do przodu. Europejczycy pracują przy załadunku. Nieustannie krążą tam i z powrotem tragarze, i powoli towary układają się w stosy na przyczepach. Od czasu do czasu ogłaszamy mobilizację generalną, kiedy trzeba przenieść wyjątkowo ciężki element. Szczególne trudności związane są z przenoszeniem silników do ciężarówek. Jest ich pięć. Są to ogromne metaiowe kłoce, z których zwisają rury i kawałki żelastwa. Są jednocześnie bardzo ciężkie i niewygodne w obsłudze. Jos ściągnął parę desek, żeby zrobić pochylnię, i cały zespół natężył się, ciągnąc i pchając wśród wrzasków, aż silniki kolejno lądują na przyczepach.

Obie spawarki pracują bez przerwy. Zajmują się nimi głównie One, Two i Wallid, i pracując przy blacharce robią szybkie postępy.

Na zewnątrz, na polu, Jacky zabrał się za lekcje prowadzenia ciężarówek dla tych, którzy nigdy tego nie robili. Stosuje metodę, którą narzuciliśmy sobie sami wobec siebie. Sadza facetów za kółkiem i każe im jechać. To nic trudnego. Żeby doprowadzić trzydzieści

ton na miejsce przeznaczenia, wystarczy posadzić idiotę za kierownicą i wskazać mu kierunek. Na początku wszyscy są trochę spięci, ale szybko zdają sobie sprawę, że siedzą za sterami ciężarówki, że jadą i że ani nie umarli, ani nie wylądowali w rowie.

Zrozumieli. Jacky wybrał jako sprzęt szkoleniowy dziesięcotonowego mana. Początkowo silnik trochę cierpi. Biegi zgrzytają. Jedyna trudność przy prowadzeniu to podwójne wysprzęglanie. W dużej ciężarówce nie zmienia się biegów tak, jak w samochodzie. Trzeba wrzucić luz, przygazować, żeby zwiększyć obroty, i ponownie wcisnąć sprzęgło, żeby wrzucić bieg. Dopóki ta prosta operacja nie zostanie przyswojona, każdy denerwuje się nad dźwignią zmiany biegów. Z Jackym i ze mną było tak samo. Z chwilą kiedy się to zrozumie, wóz sam jedzie. Siedząc w moim fotelu nadzoruję postępy według odgłosów pracy silnika. Jestem zadowolony. Koncert zgrzytów, rozlegający się pierwszego dnia, powtarza się coraz rzadziej.

Daleki jestem jeszcze od wyzdrowienia, moje ciało zostało poważnie osłabione chorobą i mam jeszcze wiele kilogramów do odzyskania. Moje mięśnie stopniały i ubrania na mnie wiszą. Jacky urządził mi prawdziwy bufet, z którego czerpię na bieżąco: wędliny, kilogramy świeżego mięsa, owoce. Zdobył też dla mnie trawkę i pałę, żeby nabrać apetytu.

Lepiej teraz trawię, ale często jeszcze zdarzają się ataki gorączki, które zwalają mnie z nóg na kilka godzin. Kozuch i piecyki chronią mnie od zimna, a Jacky często wpada, żeby się powyglupiać przez kilka minut. Między jedną drzemką a drugą przyglądam się mojemu zespołowi przy pracy. Machinalnie bawię się karabinem, który przyniósł mi Chotard. Rozebrałem go, nasmarowałem, i zamontowałem na nim lunetę Zeissa. Chętnie bym sobie postrzelał do opon, ale jestem jeszcze na tyle osłabiony, że nie wiem, czy wytrzymam odrzut tak wielkiego kalibru. Poza tym nie chcę wystraszyć pracowników.

Są zadowoleni, że są tutaj. Ci faceci to szumowiny. Zgodnie z normalnymi regułami społecznymi, to znaczy według kryteriów, których nie uznaję, są skazani. Wszyscy trzej mają zalety. Jak większość facetów usuniętych na margines w krajach zwanych cywilizowanymi, po prostu chcieli żyć inaczej, przeżyć przygodę i źle się to dla nich skończyło. Więzienia są pełne takich marzycieli. Przestępcy to nic innego jak dzieciaki, które nie chciały dorosnąć.

Zwłaszcza Capone to jeden z nich, szybko się zaprzyjaźnia i jest zdolny być wiernym. Jest miły.

Już wiele razy, kiedy budziłem się w przypiływie gorączki, stał przede mną z dymiącym dzbankiem w ręku.

- Kawkę, Charlie?

To nie jest podlizywanie się, które szybko rozpoznaję. Sprawia mu to przyjemność i

korzysta z tych chwil, żeby na parę minut usiąść i trochę pogadać. Podoba mi się sposób, w jaki stara się ze mną rozmawiać, poza tym bawi mnie ten krępy facet o potężnych mięśniach, stary już trochę, o siwiejących włosach, ale o zachowaniu młodego chuligana.

Któregoś dnia po jedzeniu usiadł koło mnie zezując w kierunku mojego skręta.

- To nie jest zwykła fajka. Ćpasz?

- To nie narkotyk, to trawka.

- To nie to samo?

- Nie.

Kiwa głową. To u niego zwykły odruch. Potrząsa swoją wielką mordą, z ustami złożonymi w kuper, jak bandyta w starym filmie. Rozmawiamy spokojnie. Opowiada mi o swoich kumplach. Znają się we trójkę od lat i spotykają się w tym samym bistrze. Sami sobie nadali przydomki, jak dzieci.

- Najpierw był Indianin. Chciał, żeby go nazywać Indianin. A ja to dlatego, że chciałem być Al Capone.

Waha się, trochę zawstydzony swoją szczerością.

- No, po prostu chciałbym nim być. A Jos ma na imię Joseph, więc stąd Jos.

Patrzy jeszcze raz na mojego skręta i pyta nieśmiało, czy może spróbować, no, żeby zobaczyć jak to jest. Podaję mu i pociąga długie sztachnięcia, trzymam skręta między kciukiem a palcem wskazującym, po knajacku, i kiwając głową.

- Niezłe.

Rzeczywiście! Próbując swojego pierwszego w życiu skręta trafił na zairską trawkę, którą kupił gdzieś Jacky, jest to jedna z najmocniejszych w Afryce. Oddaje mi skręta i nadal kiwa głową w milczeniu.

Nagle przestaje, patrzy na mnie, na hangar dookoła, na chłopaków, mrucząc coś niezrozumiale, i wyraz twarzy mu się zmienia. Śmieje się, z błyszczącymi oczami, i od razu ma dwadzieścia lat mniej.

- O kurczę, coś takiego, coś takiego!

To zdrowa reakcja, reakcja ludzi o mocnym charakterze. Ten facet wydaje mi się coraz bardziej sympatyczny. Od razu myśli o kumplach:

- Ej, Indianin, Indianin, chodź tu, zobaczysz coś. Tamci dwaj nadbiegają, i daję znak Jacky'emu, żeby zrobił nowego skręta. Piętnaście minut później wszyscy trzej są na haju, siedzą obok mnie i zaśmiewają się. To pierwsza chwila odprężenia, i pozwalam na przedłużenie się przerwy.

Zadają nam pytania, Jacky'emu i mnie, na temat Afryki, miejsc, do których jedziemy,

i na temat pustyni. Nie mają o tym pojęcia. Wyjechali nie wiedząc, dokąd jadą. Jeszcze jeden punkt dla nich.

Albana zabrał się wreszcie do pracy. Moje ostrzeżenie i moja ciągła obecność spowodowały, że znalazł właściwą drogę.

Nie odstępuje teraz Europejczyków i stara się pracować z nimi przy załadunku raczej niż przy blacharce z innymi Afrykanami.

Wallid pracuje swoim stałym rytmem, powoli, ale bez przerw. Z całego zespołu on najlepiej zna się na ciężarówkach. Zajmuje się blacharką, przeglądami, sprawdzaniem kół i wszystkimi małymi śrubkami, które trzeba dokręcić. Na ogół pracuje sam, a od wczorajszej sprzeczki jest obrażony.

Tego ranka wszyscy zostali wezwani do załadunku i zamocowania jednego z peugeotów 504.

Praca przebiegała wśród zwykłych wrzasków i metalicznych uderzeń, kiedy nagle nastąpiła zmiana. Okrzyki przeradzają się w wyzwiska.

Pokonując swoje osłabienie natychmiast przybiegam na miejsce wypadków. Wallid, z lewarkiem w ręku, stoi w postawie obronnej. Przed nim, przestępując z nogi na nogę, Indianin z wściekłą miną trzyma nóż skierowany w stronę jego brzucha. To nie żarty, załatwi go.

- Nie wygłupiaj się.

Nie zdążyłem interweniować, bo rzucił się między nich Capone, rozkładając ręce.

- Mówię ci, przestań.

Jos, który przybiegł z głębi hangaru po pierwszych krzykach, z biegu rzuca się na Indianina i opasuje go rękami, wytrącając mu nóż z dłoni. Dwie sekundy ciszy, po czym uspokojony już Indianin uwalnia się od uścisku Josa skinieniem głowy, podnosi broń i bez słowa powraca do roboty.

To niebezpieczny facet, i umie trzymać kosę. Wallid, który nie jest przecież mięczakiem, dostrzegł to i najadł się strachu.

Pomimo obfitego jedzenia nieustanna praca, zimno, niewygody i brak urządzeń sanitarnych wzmagają napięcie, toteż nerwy łatwo puszczają.

Jean-Paul i Olivier, dwaj zawodowcy, nie przysparzają problemów. Robią swoje i nie oszczędzają się. Praktycznie nie rozmawiają z pozostałymi, choć nie wydaje mi się, by były między nimi jakieś nieporozumienia. Po prostu postanowili trzymać się z boku. Jak długo będą mieli odpowiednie nastawienie do, roboty i nie będą stwarzać problemów, nie mam nic

przeciwko nim.

Jedynym, który niewiele robi, jest Samuel Grapowitz. Każdemu wskazałem ciężarówkę, którą będzie prowadził, i przez cały dzień Samuel Grapowitz zajęty był upiększaniem swojej kabiny, do której następnie zaprasza mnie, żebym podziwiał owoc jego pracy.

- Charlie, chodź zobaczyć, co potrafi człowiek o wyrafinowanym smaku. Otwiera drzwiczki i pompatycznym tonem oznajmia:

- Świat piękna i przyjemności, męska siła łączy się z kobiecym wdziękiem.

Wewnątrz prawdziwy zalew dup i piersi. Każde wolne miejsce oklejone jest zdjęciami gołych dziewczyn. Znaleźć tam można blondynki, brunetki, rude, wszystko, co się chce. Przesuwając wzrok dookoła przedniej szyby ma się przegląd wszystkich możliwych pozycji we dwoje. Pod lusterkiem wstecznym zawieszona jest fotografia Jego Wysokości z członkiem w ręku.

- Dzięki temu przez całą drogę będę pamiętał o moich obowiązkach ambasadora francuskiego cesarza i romantyzmu - mówi, ocierając łzę.

Samuel Grapowitz to człowiek bardzo sentymentalny.

Nie pozostaje mi nic innego, jak pogratulować mu niewątpliwego dobrego smaku, i wracam na swój fotel, słaniając się ze śmiechu.

Załatwił sobie spanie razem z nami w hotelu. W chwilach wolnych od przyozdabiania swojej kabiny przychodzi do mnie pomajaczyć trochę na temat Afryki i Murzynek, których zamierza załatwić całe wioski. Już na samą myśl dostaje dreszczy i wygłasza na ten temat długie tyrady, podczas gdy inni pracują. Nie przeszkadza mi to. Właśnie dlatego, że to autentyczny wariat, zgodziłem się go przyjąć. Lubię wariatów.

Zresztą nauczył się prowadzić po jednej lekcji, a nawet zdarza mu się trochę pomagać przy robocie, jeżeli nie jest ona zbyt brudna. Chce tylko uniknąć zaplamienia jeszcze przed wyjazdem swojego eleganckiego ocieplanego lotniczego kombinezonu, do którego nosi zawsze apaszkę zawiązaną na szyi. W końcu posłałem go do miasta z ważnym zadaniem. Muszę kupić prezenty ślubne mojej małej Radjah, i poprosiłem go, żeby zrobił dla mnie zakupy. Pomysł niezbyt mu się podobał, dopóki nie dodałem:

- To dla kobiety.

Wyprostował się, spojrzał na mnie kątem oka i odpowiedział z łakomym wyrazem twarzy:

- Charlie, jestem twoim człowiekiem. Czego potrzebujesz?

- Perfum.

- Hmmm... brunetka, blondynka?
- Brunetka.
- Ach, brunetki! Pikantne i energiczne.

Przerywam mu i od razu wyjaśniam, że niezupełnie o taką brunetkę chodzi, po czym proszę, żeby kupił parę rodzajów perfum. Ma ich kupić sporo, żeby mieć pewność, że dobrze wybierze. Poza tym, bielizna osobista.

- Aaaaa...
- Rozmiar B.
- To ona jest malutka.
- Tak. Wybierz rzeczy białe, bardzo proste.

- Och, Charlie, ty się naprawdę znasz! Nie ma to jak czystość i prostota. Cóż może być cudowniejszego niż białe podwiązki...

- Nie.. Ograniczysz się do wzorów klasycznych, jasne? Kupisz tylko to, co niezbędne, w dużych ilościach. Na przykład małe figi z białej bawełny. Potem zajmiesz się biżuterią.

Zamawiam zestaw małych bransoletek i innych ozdób. Chce wybrać się do sex-shopu, żeby kupić parę gadżetów, więc znów muszę go ostudzić. Ma poza tym iść do księgarni i kupić tam wszelkie książki o podróżach, jakie znajdzie, w rodzaju encyklopedycznym, z dużymi zdjęciami, a także materiały szkolne, kolorowe kartki papieru, ołówki i długopisy.

- Ale... chodzi o tę samą kobietę?

- Tak. Poprosisz Chotarda, żeby poszedł z tobą, i pośpiesz się. W ciągu jednego dnia doskonale wywiązuje się ze swego zadania. Jeszcze jeden problem z głowy.

Któregoś dnia po obiedzie proszę One i Two, żeby zostali ze mną. Dobrze pracowali. Blacharka jest już w dobrym stanie, brakuje tylko jeszcze zewnętrznej warstwy lakieru, by ciężarówki wyglądały jak nowe. Obaj mają oczy zaczerwienione od przepalenia, ciągnęli skręta za skrętem, żeby uchronić się od zimna, które dokucza im, odkąd wysiedli z samolotu.

Obiecuję im, że niedługo już będziemy w pełnym słońcu. Zawieziemy ciężarówki do Afryki, do nich. Są zadowoleni.

Idziemy do szkoleniowej ciężarówki i każę im wsiąść do kabiny. Od razu na ich twarzach pojawia się niepokój.

Spokojnie. Odprężam ich rozmową.

- Widzieliście tu, na dole?

Pochylają się nad miejscem, które im wskazuję, pod kierownicą.

- To tutaj, to są pedały. Pe-da-ły. Rozumiecie?

- Tak. Pedał.
- Są trzy. Widzicie? Trzy pedały. Rozumiecie?
- Tak. Pedał.
- One, ile jest pedałów?

W jego wielkich oczach widać przerażenie. Patrzy na mnie, patrzy na Two, patrzy na dół i mówi:

- Trzy pedały.
- Tak. Brawo! Wspaniale! Bardzo dobrze. Są trzy pedały. Bardzo dobrze. Widzisz, to nic trudnego.

Klepięcie w plecy, śmieję się, a on potrząsa głową, szczęśliwy. Obok niego Two również się śmieje, zadowolony jak jego brat. Mają zaufanie, mogę teraz im wytłumaczyć. Słuchają wytyczając całą uwagę. Po każdym pytaniu marszczą brwi i koncentrują się, żeby znaleźć rozwiązanie.

- One, środkowy pedał?
- To hamulec, szefie.
- Brawo!

Po chwili ich niepokój znika całkowicie, i szybko przyswajają sobie nowe wiadomości.

W ciągu popołudnia udaje mi się nauczyć ich wszystkich funkcji pedałów i pozycji drążka zmiany biegów. Mają wprawdzie trudności z wymówieniem słowa „sprzęgło”, ale poza tym szczegółem są to bardzo zdolni uczniowie. Na zakończenie tej lekcji pokazuję im większość guziczków, których nie ma zbyt wiele, i odsyłam ich do lakierowania na zakończenie wieczoru. Prowadzeniem zajmiemy się jutro.

Następnego dnia rano ponownie wsiadamy do szkoleniowej ciężarówki.

- Chłopaki, przejedziemy się kawalek. Ja prowadzę. Wy musicie słuchać.
- Tak, szefie.
- Trzeba słuchać, rozumiecie?
- Tak, szefie. Słuchać.

Niemożliwe byłoby tłumaczyć im zasady pracy silnika, zresztą sam się na tym nie znam. Wolę polegać na ich słuchu. Słuchać hałasów to oni umieją, a później nie mają żadnych trudności z rozpoznawaniem ich. Nie jest to bardziej skomplikowane niż tamtamy.

- Kiedy silnik głośno ryczy, trzeba wysprzęglić. Zgoda?
- Tak, wypszenglicz.

- A jak się wysprzęgła?

- Pedalem.

- Świetnie. Więc ja jadę. A wy mi mówicie, kiedy wysprzęglić. Mówicie „sprzęgło”, kiedy potrzeba, dobrze?

I wszystko gra. Obaj reagują w odpowiedniej chwili.

- Pszengło, pszengło, szefie.

- Dobrze. Jedziemy dalej. Drążek jest na jakim biegu? Drugim.

- Doskonale.

- Pszengło, pszengło.

- Dobrze. Który bieg?

- Trzeci.

I tak to idzie przez cały ranek. Po południu One i Two prowadzą przez kilkaset metrów z tych sześciu tysięcy kilometrów, które im zostały do powrotu do domu. Zostawiam ich z tymi doskonałymi wynikami i oznajmiam im, że jutrzejszą lekcję poprowadzi Jacky.

Jacky pracuje jak niewolnik. Poza nauką jazdy sporo czasu poświęca na nadzorowanie prac w hangarze oraz na pilnowanie Josa. Chotard, pogrążony w swoich problemach dokumentów i zaopatrzenia, nie ma dosyć czasu, żeby się tym zająć.

Pomimo to często zagląda do mnie, żeby pogadać przez parę minut.

- Piękny konwój.

Ma rację. W wyniku uporczywej pracy nasze przedsięwzięcie przybiera realne kształty. Załadunek został praktycznie zakończony. Niektóre spośród ciężarówek są już pomalowane, i całość zaczyna wyglądać porządnie. Robi to wrażenie.

Jest tu dziewięć trzydziestotonowych naczep, berliety GLR o długim ryju, i trzy mniejsze ciężarówki, dwa pomarańczowe mercedesy i żółty mań. Dwie spośród naczep to cysterny po trzydzieści tysięcy litrów każda, które napełnimy w Algierii, trzy mają nadwozia otwarte, a cztery pozostałe to naczepy zamknięte.

Na platformach powstał niesamowity stos towarów, takich jak ciągniki siodłowe bez naczep, mam ich cztery, a także trzy peugeoty 504, nie mówiąc o skrzyniach części zamiennych i całej reszcie.

Furgonetka 504 towarzyszyć będzie konwojowi jako samochód łącznikowy, z Chotardem za kierownicą.

Moją ciężarówkę pomalowaliśmy na kolor ciemnogrnatowy, a części niklowane na kolor złoty. Również wóz Jacky'ego jest już gotowy. Jest czerwony, z białymi detalami. Na drzwiach obu samochodów Samuel Grapowitz wymalował, w odpowiednich barwach, znak

firmowy spółki. Oba są wspaniałe.

Największe wrażenie robią otwarte naczepy, bo widoczny jest ładunek. Oprócz ciągników siodłowych i samochodów osobowych umieszczono tam silniki, pod ciągnikami zmieściły się całe stosy części zapasowych, a na wierzchu piętrzą się opony.

Całość tworzy nieprawdopodobny bałagan najeżony kablami i pociętymi drutami.

Wszystko to zostało zamocowane za pomocą przyciągarek i kołowrotów.

Platformy pełne są klocków i przybitych gwoździami belek, które unieruchamiają koła załadowanych pojazdów.

To wspaniały widok. Nigdy nie działaliśmy na taką skalę.

- To ostatni konwój. Musiał być piękny.

Jacky uśmiecha się. On już ma dosyć Afryki. Jego życie podróżnika dopiero się zaczyna i ma teraz ochotę zająć się czym innym gdzie indziej, żeby trochę pożyć. Ze swej strony zaczynam mieć już tego powyżej uszu. Nie pociąga mnie już zbytnio Afryka, chociaż pustynia nadal mi się podoba, zwłaszcza teraz, kiedy ją dobrze poznałem. Na niej znajduję siłę i wrażenie potęgi, jakie mi są potrzebne. Cała zabawa, to, co mnie podnieca, to przeprowadzenie takiego ogromnego konwoju. Czarna Afryka, sprzedaż, to tylko dodatki, które tak naprawdę mało mnie interesują.

Zresztą miarka już się trochę przebrała, jeśli chodzi o tamtejsze władze. Stałem się zbyt mocny, i czuję, że to się skończy. Sądzę, że ten konwój jeszcze przejdzie, ale później nie dadzą mi już żadnych szans. Już za długo to wszystko trwa. Tym razem zarobimy około czterystu tysięcy dolarów i pozwoli nam to zająć się czymś innym. Jakiś czas spędzę z Radijah, w jakiejś oazie. Jacky też znajdzie sobie towarzyszkę i pożyjemy tak sobie ile będziemy chcieli, z dala od cywilizacji.

Później, zanim definitywnie opuścimy Saharę, przyjdzie czas na nasze ostatnie szaleństwo, zamiar, na którym nam bardzo zależy, wyścig wariatów przez pustynię.

Kiedy leżałem w szpitalu, o krok od śmierci, Jacky siedział przy telefonie i umawiał kandydatów, a później, w wolnych chwilach, pracujemy nad szczegółami organizacyjnymi. Dwudziestu szaleńców ze wszystkich stron świata zapisało się już na te zawody o zupełnie specjalnym charakterze.

To nasze wspólne marzenie, moje i Jacky'ego, ostatnia rzecz, jaką chcę zrobić przed opuszczeniem kontynentu afrykańskiego. Oby tylko pozostawiono mi dość czasu.

Pod wieczór piątego dnia wiemy już, że wygraliśmy. Konwój gotów jest do drogi. Ustawione na śniegu ciężarówki błyszczą w słońcu. Nie można powiedzieć tego samego o

ludziach. Zebrałem ich do wysłuchania ostatniej przemowy. Są wycieńczeni, wyprani z sił. Brudni, nie ogoleni, ledwie trzymają się na nogach. Trzej Murzyni przeszli bezpośrednio z potwornego afrykańskiego żaru do lodowatej europejskiej zimy. Co da innych, to tempo narzucone przez ostatnich pięć dni kazało im praktycznie zapomnieć o tym, że jeszcze przed tygodniem sypiali w łózkach, w ciepłym pomieszczeniu, po prostu normalnie.

- Moi panowie, spisaliście się bardzo dobrze. Dziś wieczorem wyjeżdżamy. Od tej pory każdy jest odpowiedzialny za swoją maszynę. Silniki są po dokładnych przeglądach, muszą wytrzymać. Dbajcie o nie, pilnujcie ich. Jeśli nawalą, to znaczy, że popełniliście błąd. Rozstaniecie się z nimi dopiero w chwili sprzedaży. Podkreślam: gdyby któryś z jakiegoś powodu gdzieś utknął, ma siedzieć na miejscu przy swojej ciężarówce, nawet pośrodku pustyni i nawet gdyby miało to zająć cały miesiąc. Jasne?

Wszyscy potakują.

- Ponadto od dziś nie chcę widzieć w tym konwoju kropli alkoholu, zrozumiałeś, Albana?

- Zrozumiałem.

- Zrozumiałeś, Indianin?

- Zrozumiałem.

- Dobrze, Chotard, rozdaj paszporty i prawa jazdy. Cieszą się jak dzieci otrzymując swoje nowe dokumenty. Capone, który ma prawo jazdy na wszystkie kategorie ciężarówek i przyczep, naśmiewa się z Josa, który dostał gorszą kategorię. Albana z zainteresowaniem ogląda pieczętkę na swoim dokumencie, podczas gdy One i Two interesują się przede wszystkim zdjęciami.

Kiedy euforia trochę opada, otwieram szampana, nalewam wszystkim i dokonuję ceremonii ochrzzczenia ciężarówek. Wszyscy uśmiechają się z dumą.

- Dobra. Żadnych pytań? No to ruszamy.

Zapalają się reflektory. Dwanaście diesli zaczyna się rozgrzewać. Ustawiam się na czele. W lusterku wstecznym widzę, jak sunie za mną rząd świateł. Z kasety rozbrzmiewają pierwsze takty Piątej Beethovena.

Kierunek na południe.

Liczyło się to, że wyruszyliśmy, nawet jeśli tego pierwszego wieczoru przejechaliśmy tylko osiemdziesiąt kilometrów, by zaraz zatrzymać się na nocny wypoczynek. Rano wszyscy obudzili się na obszernym parkingu supermarketu. Trzeba było przygotować kawę, znaleźć jakiś kran, żeby się umyć. Po spędzeniu pierwszej nocy w kabinie wozu każdy poczuł, że coś

zaczęło się dziać. Po śniadaniu po raz pierwszy uzupełniliśmy poziom wody i oleju. Ten rutynowy zabieg musi się stać żelazną tradycją. Jest to zadanie dla One i Two. Z kanistrami w rękę przechodzą od wozu do wozu, a każdy kierowca zawczasu otworzył maskę i odkręcił korki zbiorników.

Zwyczaj ten szybko wchodzi nam w krew. Co osiemdziesiąt kilometrów dwa razy naciskam klakson i cała operacja powtórzona zostaje na poboczu szosy.

Ustawiłem One i Two zaraz za mną, każdy z nich prowadzi ciągnik z otwartą naczepą. Na końcu kolumny jedzie Jacky swoim czerwonym potworem. Pomiędzy nimi każdy otrzymał miejsce, i kolejność ma pozostać niezmienna. Tylko Chotard raz jedzie za nami, raz nas wyprzedza za kierownicą swego peugeota 504, zapewniając łączność, a w razie potrzeby służąc za zwiadowcę.

W moim wstecznym lusterku często spoglądam na tę gigantyczną kolumnę jadącą w środku Europy w całkowitej pogardzie dla najbardziej elementarnych zasad obowiązujących przy tego rodzaju przedsięwzięciach.

Przejazd do granicy hiszpańskiej zabiera nam trzy dni. Jedziemy bez pośpiechu. Każdy musi przyzwyczać się do swego pojazdu i do prowadzenia przez kilka godzin z rzędu, z przerwami wyłącznie na uzupełnienie oleju i wody, a od czasu do czasu także na krótki wypoczynek lub na małą kawę.

Tylko w Pirenejach, niedaleko Hendaye, przeżyliśmy trochę emocji - jedynych na tym odcinku przejazdu.

Dwóch policjantów na motocyklach, stojących na poboczu, daje mi znak, żeby się zatrzymać. Czuję ukłucie w sercu. Otwieram okno. Na zewnątrz jest bardzo zimno, lodowaty wiatr zaczerwienił twarz pocziwego gliniarza pod białym kaskiem. Krzyczy, żebym mógł go usłyszeć.

- Nie możecie jechać dalej.

Oparłem łokieć na drzwiczkach, w klasycznej pozie starego wyjadacza szos. Niebieski fartuch, który noszę na bawełnianej koszulce, jeszcze bardziej podkreśla mój profesjonalny wygląd. Odpowiadam:

- No tak, ale szef nie chce czekać.

To celny strzał. Moja mina i mój ton są dokładnie takie, jak trzeba. Wymagania szefa to coś, co do niego przemawia. Patrzy mi prosto w oczy. Czuję u niego zawodowy odruch: kielkują mu w głowie podejrzenia. W mojej aż kipi.

Glino, mała glinko, jeśli tylko zechce ci się wykazać trochę gorliwości, masz z głowy

wystawanie na wietrze przy szosie. Jeszcze dziś wieczorem możesz zostać mianowany marszałkiem gliniarzy. Dowody rejestracyjne ciężarówek nie oprą się dokładnym oględzinom. Poza tym będę musiał wyjaśnić pochodzenie naszych części zapasowych, nie mówiąc już o tym, że wiele naszych towarów może ci się nie spodobać.

Za mną, spięci za swoimi kierownicami, siedzą One i Two, obywatele malijscy bez prawa jazdy. Capone, także bez prawa jazdy, Indianin, pirat drogowy, bez prawa jazdy. Wallid, z podrobioną kartą stałego pobytu, wydany z Francji, Samuel Grapowitz, poszukiwany w wielu krajach europejskich, bez prawa jazdy, Jacky, bez prawa jazdy.

Będą artykuły na pierwszych stronach gazet, o tobie i o mnie. Mały gliniarzu, nie rób mi tego. Widzisz przecież, że jestem tylko. pocziwym kierowcą TIR-a.

- No dobra, jedźcie, ale ostrożnie.

- Nie ma obawy, będziemy uważać.

Ruszam. Teraz jeszcze boję się tylko, czy mordy One, Two i pozostałych nie utwierdzą go w jego podejrzeniach. Niech tylko zadziwi go wielkość konwoju, i wyciągnie gwizdek. Dwieście metrów, pięćset, nic. Przejechały przed nim już wszystkie ciężarówki. Przez kilka kilometrów patrzę w lusterko wsteczne, oczekując, że pojawią się w nim obaj motocykliści. Nic się nie dzieje. Zostali na poboczu szosy. Pozostaną tam przez całe życie.

Takie właśnie chwile tworzą cały urok tego biznesu; gdyby odbywał się on zgodnie z przepisami, nie interesowałby mnie.

Granicę hiszpańską przejechaliśmy w nocy. Nie było trudności. Jedyne celnik, któremu chciało się wyjść z ciepłego pomieszczenia, otworzył moją naczepę i odskoczył do tyłu. Opona, starannie oparta o drzwi przez Josa, wylądowała o dwa centymetry od jego stóp. Przyjął moje przeprosiny. Z niesmakiem przeszedł obok otwartych naczep i panującego tam burdelu. Spróbował otworzyć naczepę Josa, delikatnie uchylając drzwi. Zobaczył tam chwiejący się stos opon. Szybko zamknął i dał spokój. Ponieważ wyraził jednak swoje zdziwienie wobec takiej ilości części zamiennych, z poważną miną wyjaśniłem mu, że jesteśmy stowarzyszeniem kierowców na urlopie i że wieziemy te wszystkie części na zabezpieczenie turystycznego rajdu przez Saharę. Popatrzył na mnie i wrócił do swojego biura bez dalszych dyskusji. Tak czy inaczej. Franco umarł przed miesiącem. Cała Hiszpania upija się, żeby to uczcić. W urzędach panuje kompletny bałagan. Równie dobrze mógłbym tędy przejechać na czele kolumny czołgów, celnicy i tak by się nie ruszyli.

Przyjemna jest jazda przez tę Hiszpanię radującą się ze śmierci marionetki. W moim zespole nastroje są doskonale. Wszyscy prowadzą się dobrze. Co do mnie, to prawdziwa

robota zacznie się dopiero w Afryce.

Nareszcie jestem znowu w słońcu. Podczas każdego postoju na kawę siadam na stopniach ciężarówki i opalam się, ile się da. Nie mam jeszcze wspaniałej kondycji, ale czuję, że w tym cieple wracają mi siły. Gra muzyką i czuję się dobrze.

Przejazd zajął nam tydzień, i obyło się bez poważniejszych incydentów. Zaśnieżone drogi w Pirenejach, choć niebezpieczne, nie sprawiają kłopotów. Raz tylko ściąłem latarnię podczas manewrów na parkingu, ale na szczęście ciężarówka nie ucierpiała. Co do wiaty stacji benzynowej, którą Two zerwał górną częścią swojej naczepy, w potwornym zgrzycie rozdzieranych blach, uważam, że i tak dawno należało ją wymienić.

Kłopot z Murzynami polega na tym, że o ile nieźle dają sobie radę z prowadzeniem wozu, to całkowicie nie mają pojęcia o przepisach drogowych. Zapomniano ich tego nauczyć, podobnie zresztą jak mnie.

Przejazd przez przedmieścia Barcelony mógł skończyć się tragicznie, ale sędzę, że sprzyja mi szczęście. Na którymś ze skrzyżowań przejechałem na pomarańczowym świetle. Ogarnięci paniką na myśl, że mogliby mnie zgubić. One i Two trzymają się blisko. A to czerwone światelko palące się na słupie nic dla nich nie znaczy. Z rozpędu cały konwój przejechał na czerwonym, wśród koncertu klaksonów i pisku opon.

Uznałem, że bezpieczniej będzie poczekać do zapadnięcia zmroku, zanim przejdziemy przez miasto. W gęstym ruchu ulicznym godzin popołudniowych katastrofa byłaby pewna.

Nie mogę mieć pretensji do moich dwóch czarnuchów. Są całkowicie zagubieni w tym kraju, gdzie - o! jaka niespodzianka! - ludzie mówią jakimś dialektem, którego nie rozumieją. „Dlaczego, szefie?” Jedyłą rzeczą, która ich interesuje, jest nakrycie głowy Guardia Civil, śmieszny rodzaj kapelusza z wodoodpornej skóry, z podniesionym daszkiem od tyłu. Przekonani, że w swojej wiosce wzbudziliby w ten sposób powszechne uwielbienie, wielokrotnie proszą mnie, żeby im takie kapelusze kupić. Na próżno tłumaczę im, że to policyjne czapki, nic nie pomaga.

Często zatrzymuję konwój przy restauracjach. Zajmujemy w nich po kilka stolików. Pracownicy są dumni, czują się mocni w grupie. Głośno się śmieją i siadając z hałasem przesuwają krzesła. Każdy opowiada o swojej ciężarówce, o swojej „maszynie” i o swoich wyczynach za kierownicą. Na razie ich przechwałki bawią mnie.

W Barcelonie Samuel Grapowitz postanowił przeżyć pierwszą miłość. Wskazałem mu Barrio Chino, dzielnicę portową. Wrócił w ostatniej chwili, tuż przed odjazdem. Wskoczył z

taksówki, rozczochrany, i z ręką na sercu dziękował mi, że pozwoliłem mu poznać uciechy zza Pirenejów.

Jeżeli kurwa z jednej z najpodlejszych dzielnic europejskich tak na niego działa, sądzę, że Samuel Grapowitz niejednym nas jeszcze zadziwi. Odpowiedziałem mu, że cała przyjemność po mojej stronie.

Zaraz za Barceloną gazety potwierdzają obawy, jakie żywię od pewnego czasu. Maroko i Algieria są skłócone i mówi się o wojnie. Myślę o wszystkich tych biednych żołnierzach, którzy zostaną zabici, i pogrąża mnie to w smutku, tym bardziej że z powodu tych ich historii wjazd do Algierii staje się dla nas niemożliwy od strony marokańskiej. Mają do zabawy największą piaskownicę świata, a mimo to muszą zawracać mi głowę stając akurat na mojej drodze.

Ponadto, jak nas informują w biurze podróży w Walencji, nie ma mowy o przeprawie promem Alicante-Oran przed upływem dwóch tygodni.

Jacky ratuje mój dobry humor genialnym pomysłem.

A gdyby tak zostawić wszystkich w Colorado i pojechać do Francji się zabawić?

To jest pomysł. Mamy znajome w Colorado, małej wiosce na południu Hiszpanii, które mogłyby gościć u siebie cały zespół. Co do nas dwóch, to Jacky przypomniał mi o moich obowiązkach. Śmierć Peyruse'a i moja choroba skróciły nasze wakacje. Podczas gdy normalnie opuszczamy Europę mając tylko tyle, ile trzeba na przejazd konwoju, tym razem zostało nam jeszcze parę milionów do przepicia.

Jest na to akurat odpowiednia pora.

Każę wszystkim wstawać, przygotowywać kawę, i w środku nocy konwój wyrusza do Colorado.

Dziś rano jakiś Hiszpan próbował zatrzymać nasz zwycięski pochód. Źle zaparkowany samochód został dosłownie rozgnieciony przez ciężarówkę Albany. Dopiero pokaźna paczka banknotów uciszyła jego wrzaski. Jeszcze za wcześnie, by stosować inne metody.

W kilka godzin później puściły mi hamulce i potrzebowałem paru kilometrów, by się zatrzymać, a cały konwój chcąc nie chcąc podążał za mną. Dwanaście ciężarówek przejeżdżających przez wioskę to rzadkość, ale z taką prędkością - to zupełny wyjątek.

El Colorado to jedna z tych wsi, przez które przejeżdża się nawet ich nie zauważając. Położona jest nieco z dala od głównej szosy, niedaleko kąpieliska Conil, w Andaluzji.

Jest tu parę willi otoczonych byle jakimi ogródkami, a także kilka barów, najwyraźniej pozamykanych, które skupione są w jednym miejscu. To tu.

Konwój zatrzymuje się naprzeciwko, wzdłuż drogi. Jacky i ja idziemy zasięgnąć języka. W domkach panuje cisza, odpowiednia dla popołudniowej pory. Jedyń, która nie śpi, jest szefowa całego biznesu, której podlegają wszystkie okoliczne domy. To Tia Zohra, ciotka Zohra, burdelmama i moja wielka przyjaciółka. Usłyszała hałas dwunastu ciężarówek ustawiających się przed jej domem i przybiega.

To gruba Marokanka około pięćdziesiątki, równie wysoka co szeroka, w ciasno opiętym różowym stroju. Całość nie jest w najlepszym guście, ale postać robi sympatyczne wrażenie.

- Charlie! Tanto tiempo. Como estas?

- Dobrze, Tia Zohra.

Wprowadza nas do kuchni. Jak każdego popołudnia, przygotowuje litrami sok pomarańczowy, w oczekiwaniu na niedługie przebudzenie swoich siostrzenic.

Proponuje nam kawę. Uczyniwszy w ten sposób zadość nakazom gościnności, pyta mnie o powód przyjazdu. Tia Zohra prowadziła liczne bary i burdele w Tangerze, Barcelonie i Tarragonie. Wyrobiła sobie własną filozofię i nauczyła się paru lekcji. Główną z nich jest to, że wszystkim rządzi pieniądz, z innej wynika, że mężczyzna nie wraca po pięciu miesiącach milczenia, jeśli czegoś nie potrzebuje. Wyjaśniam jej, że szukam dla moich ludzi dachu nad głową na najbliższe dwa tygodnie. Pyta mnie, ile chcę jej zapłacić. Robię jej zachęcającą ofertę, i przyjmuje ją. Kiedy już doszliśmy do porozumienia, zaczyna opowiadać mi o interesach. Ta grubaska o zabawnym wyglądzie nieźle daje sobie radę. Właśnie zamierza kupić sąsiedni nocny lokal. Ma poza tym monopol na fordanserki pracujące w okolicznych knajpach i jest też jednym z głównych dealerów haszyszu w tych stronach.

W rozmowie z nią co dziesiąte słowo dotyczy pieniędzy. Jej opowieści to długie pasmo kolejnych interesów, z których zresztą żaden nie jest wystarczająco dobry, żeby zapewnić jej majątek raz na zawsze. Jacky i ja szybko ulatniamy się i idziemy obudzić jej koleżanki.

W jednym z pokoi są trzy. Śpią na plecach, z rozłożonymi nogami, chrapiąc jak żołdacy. Ich połączone oddechy wydzielają na cały pokój odór alkoholu. Budzimy je paroma łaskotkami, uszczypnięciami i precyzyjnymi dotknięciami. Otwierają oczy i rzucają się nam na szyję.

Pracownicy zebrani są w komplecie w salonie ciotki, kiedy pojawiają się panienki. Jest ich około piętnastu, wszystkie są Marokankami pochodzącymi w większości z tego samego miasteczka na północy Maroka; przyjaźnią się tam z ich braćmi. Niektóre są

naprawdę siostrzenicami Tii Zohry. Jest też parę nowych, których jeszcze nie znam, wśród nich jedna Algierka i jedna Afrykanka, które przyjechały tu po pobycie w Portugalii.

O tej porze nie Wyglądają najciekawiej. W dresach albo szlafrokach opierają swoje wielkie dupska, które tak bardzo podobają się Andaluzyjczykom, o poręcz fotela albo padają na kanapę z rozłożonymi nogami, czekając w otępieniu na dojście do siebie. Po wykaszleniu pierwszych sztachów i wypiciu kawy oraz pomarańczowego soku zdają sobie nareszcie sprawę z obecności mężczyzn, stojących w onieśmieleniu dookoła, i zaczyna się.

Dziewczyny te potrafią tylko wrzeszczeć i wybuchać głośnym śmiechem. Mówią wyłącznie po hiszpańsku i po arabsku, co na początku nie ułatwia rozmowy.

Moi faceci trącają się łokciami jak uczniacy widząc, że dziewczyny otwierają pierwszą butelkę whisky.

Skoro zaczynają się wakacje, nie ma żadnego powodu, żeby kazać im tu sterczeć o suchym pysku. Ze wszystkich stron pojawiają się butelki. Jako fordanserki dziewczyny te zarabiają kupę forsy i są bardzo hojne. Większość z nich ma na utrzymaniu w Maroku całe rodziny, żyjące bardzo biednie. Lubię je, mają dobre serca, i choć urodziły się do życia z zasłoniętą twarzą, pod nadzorem męża, potrafią się bawić.

Teraz, kiedy wszyscy odczuli już pierwsze efekty alkoholu, atmosfera staje się zupełnie rozluźniona. Samuel Grapowitz przechadza się po pokoju, myszkując dookoła wzrokiem, i robi w moim kierunku wielkie znaki wyrażające aprobatę. Afrykanka wzięła pod opiekę One i Two, którzy z tego wszystkiego zdjęli swoje znakowane czapki. Tia Zohra przynosi ogromny półmisek pieczonych kurczaków i stos kawałków chleba.

Nagle dziewczyny znikają. W pokoju zapanowuje spokój. Po upływie niecałej godziny uczestniczymy w przeglądzie. Nasze brzydactwa w dresach pojawiają się, żeby się pożegnać, przebrane w stroje robocze. W mini-spódniczkach i kozakach, umalowane i uperfumowane, trzykrotnie okrążają pokój, wysłuchują komplementów, wrzeszczą jak zwykle na całe gardło i znikają.

Capone nie ukrywa rozczarowania.

- Już odchodzą, Charlie?

- Idą do roboty. Pracują w barach tu obok.

- A! Więc to dziwki?

- Ależ nie, to fordanserki. Jak chcesz, pójdziemy je zobaczyć dziś wieczór.

El Colorado ożywia się dopiero wieczorem. Około drugiej nad ranem, kiedy pracownicy ułożyli się jako tako, wspomagani przez Wallida, który służy za tłumacza, Jacky i ja zabieramy Capone'a i Samuela Grapowitza, jedynych, którzy trzymają się jeszcze na

nogach, żeby odwiedzić panienki.

Pracują wszystkie w kilkunastu barach, mieszczących się na odcinku trzydziestu kilometrów. Wszystkie są podobne: przyćmione światła, głośnie muzyka i zasłonięte kotarami boksy, do których można pójść na szybki sztos. Hiszpanie bawią się tu co noc, wspomagani przez fordanserki, które dostają pięćdziesiąt procent od zamówień klienta. Kończymy zabawę o czwartej rano w barze, który dopiero o tej porze się ożywia.

Przez resztę czasu lokal jest smutny i ponury. Dziewczyny prowadzą do niego ostatnich klientów i wszystkich tych, którzy trzymają się jeszcze na nogach. Nadejście panienek rozbudza towarzystwo. Podnieceni faceci czepiają się kontuaru z rozanielonymi twarzami. Jedna z dziewczyn podkasała bezwstydnie spódnicę i rozgrzewa się, przysuwając rozchylone uda do płomienia piecyka. Jakiś facet wyciągnął gitarę i ryczy flamenco.

Samuel Grapowitz, przy barze, przytulony do jakiejś Marokanki, mówi do niej bez przerwy. Siedzę koło niego i mimo flamenco dolatują do mnie strzępy tego, co opowiada:

- ...wylizać cipę... kutas... od tyłu...

Przy okazji próbuje dotknąć, żeby zilustrować swoje wywody, a coraz mocniejsze trzepnięcia w kark nie odstrasżają go, wręcz przeciwnie.

Wyciągamy go z baru, zanim nie zostanie pozbawiony przytomności. Słania się na nogach, całkowicie podcięty przez whisky i hasz, ale dziękuje mi:

- Ach! Te kobiety!... Co za temperament! Charlie, dziękuję ci...

Capone zrozumiał, że tutaj zabawa trwa całą dobę i podąża za nami w ekstazie, podśpiewując.

Wczesnym rankiem budzimy Josa i Chotarda, żeby przekazać im ostatnie polecenia i umówić się z nimi za dziesięć dni. Tia Zohra otrzymała instrukcje. Chotard zajmie się kieszonkowym.

Bierzemy taksówkę do Sewilli, a stamtąd samolot do Madrytu. Teraz Paryż. Jacky telefonuje z Charlie-Airport. Zaczniemy wakacje od kociaków. Są, mają czas, czekają na nas.

Jesteśmy obaj młodzi i bogaci, co podoba się kobietom, ale jesteśmy także bardzo wymagający i lubimy, by się o nas troszczono. Potrzebujemy uczuć i miłosnych słów. Idąc z kimś na jedną noc nigdy nie wiadomo, na co się trafi. Nam potrzebny jest romans. Aby kobieta tego chciała, musi być albo zakochana, albo zainteresowana materialnie. Pierwsze rozwiązanie jest piękne, ale wymaga czasu. Wybraliśmy więc zainteresowanie dwóch profesjonalistek romansu, bardzo wysokiej klasy, i wynajmujemy je, brunetkę i blondynkę.

Są obie bardzo piękne, wysokie i eleganckie. Ich niesamowite kolekcje strojów

pozwalają im zawsze wyglądać idealnie na wieczór. Co do reszty, jako że są to dziewczyny wykształcone, wyrafinowane i troskliwe, opłacane w setkach dolarów, przyjemności, które oferują, zbliżają człowieka do raju.

Na przestrzeni złożonej z ogromnej sypialni, wyłożonej grubą białą wykładziną, z szerokim łóżkiem pomyślanym dla kochanków, i ze wspaniałej łazienki, oddaję się w doświadczone ręce. Moja wybranka patrzy na mnie i czuję się piękny, słucha mnie i czuję się mądry, jej profesjonalizm posuwa się do pamiętania, co już opowiadałem podczas poprzedniego pobytu, i do autentycznego interesowania się tym. Szepcze mi do ucha czule słówka, gładzi mnie i pieści. Przez czterdzieści osiem godzin i za plik dolarów Jacky i ja przeżywamy wielką miłość, królewskie przyjemności, niesamowite odprężenie. Żadnych kompleksów, płaci za nas Afryka.

Dobłą stroną tego romansu bez skazy jest to, że kończy się on tak, jak się zaczął, to znaczy w momencie, który sami wybieramy. W tym przypadku jest to dwa dni później. Dosyć kociaków. Teraz pójdziemy się pobawić.

Poznałem wiele krajów, we wszystkich częściach świata. Próbowałem wszystkich kuchni i przetestowałem wszystkie kobiety.

Dzięki Jacky'emu odkryłem, że zarówno wśród pierwszych, jak i drugich najlepsze znajdują się we Francji. Nigdzie nie ma bogatszej gastronomii, a kobiecość Francuzek nie ma sobie równych. Jak zwykle Jacky będzie moim przewodnikiem podczas oczekującego nas tournée.

- Czołem mężczyźni.

Koka siedzi w salonie, otoczona młodymi dziewczętami. Na stole leży przygotowana dla nas paczka kokainy.

- Wracacie do Afryki, chłopaki?

- Nie. Chcemy sobie trochę poużywać.

I Jacky przedstawia program: gastronomiczne tournée, podczas którego będziemy podrywać wszystkie kobiety, jakie znajdą się na naszej drodze. W euforii, podniecony kokainą, ze szczegółami opowiada wszystko, co zamierza zrobić tym paniom. Nieco sceptyczna Koka próbuje go uspokoić.

- Być może nie wszystkie będą takie chętne, mój mały Jacky.

Odpowiedź ta nie jest złośliwa, ale Jacky przyjmuje ją bardzo źle i od tego wszystko się zaczyna. Twierdzi, że wystarczy, by kobiety spojrzały na nas, a już rzucą się nam w ramiona. Lekkie wzruszenie ramion Koki doprowadza go ostatecznie do wściekłości, a nasza

nieokiełznana przyjaciółka, równie podniecona kokainą co mój kumpel, w końcu wybucha.

- Biedni supermani za trzy grosze. Zanim wam z ledwością uda się poderwać jedną, ja zgarnę dziesięć dziewczyn. Jacky patrzy na nią wściekle.

- Przepraszam cię, Koka, ale zapominasz, że czegoś ci brakuje.

Skaczą sobie do oczu i kłócą się przez cały wieczór. Koka rzuca nam wyzwanie, byśmy ją zabrali ze sobą na nasz rajdzik. Pogardliwie proponuje zakład, że poderwie więcej dziewczyn niż my. Jacky zgadza się. W rezultacie zostaję sam w opuszczonym salonie, wzgardzony przez Kokę, która poszła do łóżka w damskim towarzystwie.

Przez chwilę waham się, czy obudzić starą Gordę, po czym przeklinając moich przyjaciół idę spać samotnie.

Następnego dnia ustalamy reguły zawodów. Każdy będzie musiał przynieść majtki swoich zdobyczy. Wygra ten, kto przyniesie ich najwięcej.

Przykro mi trochę ze względu na Kokę, która wobec nas dwóch nie ma żadnych szans, ale może oduczy ją to zostawiania mnie samego na noc w salonie. Dziewczyna proponuje, byśmy zaczęli zabawę wypadem na urodzinowe przyjęcie jej przyjaciela w Genewie. Parę godzin później rolls pędzi autostradą.

Przyjęcie, na które ściągnęła nas Koka, jest już dobrze rozkręcone, kiedy przyjeżdżamy, w doskonałych humorach, wypoczęci i z kieszeniami pełnymi kokainy. Wieczorek odbywa się w wielkim domu, w którym zabawia się dobrze ułożone i trochę świntuszące bogate towarzystwo. Eleganccy maitres d'hôtel, strumienie szampana i innych alkoholi.

Naturalnie Jacky i ja myślimy tylko o jednym, i każdy stara się rozpocząć zawody. Jacky sadza przy naszym stoliku pierwszą młodą kobietę, ale ta, którą przyprowadzam parę minut później, jest jeszcze ładniejsza. Koka gdzieś zniknęła. Zaledwie dostrzegamy ją od czasu do czasu, śmiejącą się i pozdrawiającą znajomych. Flirtujemy z naszymi towarzyszkami, genewskimi elegantkami, miłymi i bardzo zadbanymi. Kątem oka dostrzegam Kokę zagłębianą w dyskusji z wysoką rudą dziewczyną. Uśmiechają się do siebie. Koka kładzie rękę na ramieniu rudej. Jest niedobrze. Podwajam uśmiechy skierowane do mojej Szwajcarki, a Jacky, który także nie jest ślepy, roztacza cały swój osobisty urok.

Nic z tego, nie my zdobywamy pierwszy punkt. Nagle pojawia się Koka, cała w skowronkach, zupełnie naturalnym ruchem przygotowuje sobie rząderek koki wprost na stoliku, wacha go, po czym dyskretnie wyciąga ze swojej torebki brzeg małych zielonych majteczek, trofeum po swojej pierwszej zdobyczy. Wybucha śmiechem i zwraca się do naszych towarzyszek:

- Przystojni są ci moi kumple, nie? I w dodatku dobrze was przelecą.

Nowy wybuch śmiechu i znika. Obie młode kobiety, które są urocze, doskonale się bawią i zostają z nami. Rozkręcona Koka pojawia się jeszcze dwukrotnie, za każdym razem podwyższając swój wynik.

Następnego dnia rano, kiedy zabawa rozpoczyna się na nowo, wychodzimy, by uroczyście włożyć delikatne figi naszych Szwajcarek do pudełka przewidzianego na ten cel, znajdującego się na tylnym siedzeniu rollsa. Jacky podnosi wieczko i nie może powstrzymać przekleństwa, raczej obraźliwego dla Koki, które ciśnie mu się na usta. Po czym wyciąga jedną po drugiej sześć par majteczek, które już znajdują się w pudełku.

- Oszukuje.

- Jak...

- Oszukuje. To oszustka. Zna tutaj wszystkich. Oznajmia nam z wielkim uśmiechem: „Mam przyjęcie u znajomego w Genewie”. My rzucamy się na to z zamkniętymi oczami, a tymczasem ona znając tyle dziewczyn zapewnia sobie wynik nie do pobicia. To nic trudnego!

- Ej, bracie, takie są reguły gry.

- Co takiego? Ależ nie możemy jej na to pozwolić. Nie, zostaniemy tu ani minuty dłużej. Wyjeżdżamy.

I lecimy uprzedzić Kokę, że rolls zaraz odjeżdża. Przyjmuje naszą decyzję z lekko kpiącym uśmiechem, szykuje się i idzie za nami. Jacky siada za kierownicą i prowadzi jak wariat, pilno mu do Francji i na gastronomiczne tournée.

Jacky zna na pamięć listę kucharzy, do których zamierza nas zaprowadzić, i jak zwykle wybrał tylko to, co najlepsze. Zatrzymujemy się w otoczonych drzewami oberżach i w spokoju i ciszy oddajemy się rozkoszom podniebienia. Dania, które nam przynoszą, pokazują i podają, są niewyobrażalnie delikatne. Każdy kęs to fajerwerk smaków, bogatych, wyrafinowanych i subtelnych. Szczupaki, homary, sosy, a przede wszystkim mięsa, niezrównane pieczenie... Stale na haju i przepełnieni uczuciem szczęścia wszyscy troje skupiamy się na doznaniach naszych kubeczków smakowych. Jacky dobiera wina do każdego menu i stara się, by nasze odczucia były jeszcze pełniejsze.

Wieczorem bawimy się w nocnym lokalu lub kasynie, jeśli takie jest w mieście, gdzie akurat przebywamy. I otaczamy się pięknymi kobietami. Nasze podboje są fantastyczne. Nie ma nic lepszego niż szampan i kokaina, by rano przebudzić się w doskonałym humorze, mając za oknem park małego hotelu dla wybranej klienteli, w przestronnym, luksusowym i zacisznym pokoju. Po południu mała miłosna sjesta, piętro wyżej niż stół, od którego właśnie

się wstało. Z rzadka, ze względu na chłód, romantyczny spacer z towarzyszką chwili.

Ale Koka bawi się coraz lepiej. Dwoi się i troi, by wygrać nasze zawody, i podrywa na prawo i lewo. Jacky i ja byliśmy świadkami, jak poznaje, oczarowuje, po czym zabiera do siebie niesamowite ilości kobiet, młodych i nieco mniej młodych. Niekiedy sprzęta nam sprzed nosa upatrzone już ofiary.

Wczoraj po południu, kiedy z Jackym prześcigaliśmy się w uprzejmościach wobec kelnerki zacisznej restauracyjki, gdzie właśnie zjedliśmy obiad, to w końcu Koka poszła z nią na górę.

Jacky dyszy z wściekłości. Próbuję go pocieszyć:

- No wiesz, w końcu nie była taka ładna... Chodź, nadrobimy opóźnienie w mieście. Bierzemy kurtki, kłaniamy się w stronę hoteliku i ruszamy.

- A to dziwka!

Miejsce na parkingu, gdzie stał nasz rolls, jest puste. Koka unieruchomiła nas tutaj.

Jacky wzrusza ramionami. Robię to samo i idziemy coś przekąsić, skoro nic innego nam nie pozostało.

Koka wraca po południu i teraz z kolei znika Jacky. Ponieważ długo nie wraca, po piętnastu minutach idę go szukać. Siedzi w rolls-roysie na tylnym siedzeniu, z pudełkiem na kolanach. Podnosi na mnie wzrok:

- Dwadzieścia cztery, bracie!

- Nie? To niemożliwe.

Ze smutkiem kiwa głową. Sam ma siedem, ja mam sześć. Dwadzieścia cztery! Jacky wyjmuję majteczki całymi garściami i podaje mi je.

- Jestem pewien, że ta kurwa oszukuje. To z pewnością jej własna bielizna. Ty ją znasz, może byś...

Rozumiem, o co mu chodzi. Pomimo całej tej kokainy, którą się szpikujemy, mój zmysł powonienia chyba jeszcze nie zanikł całkowicie. Biorę kilka par i sprawdzam.

- Nie, to nie jej. Nie, te też nie...

I jedno po drugim oddaję majteczki Jacky'emu, po kontroli. Weryfikacja obejmuje tylko połowę, bo nie wszystkie dowody rzeczowe są czyste, ale wystarcza, by stwierdzić:

- Nie oszukiwała, bracie.

- Na pewno?

- Na pewno. No chodź, pójdziemy coś zjeść.

A Koka działa dalej. Dwie autostopowiczki, praktycznie wszystkie kelnerki,

policjantka, która chciała nam wlepić mandat, nie sposób wszystkie wymienić. Jacky i ja zwiększamy porcje kokainy, a także nasze wysiłki, ale teraz jesteśmy już praktycznie bez szans. Jacky jednak nie rezygnuje. Walczy jak wariat. Któregoś dnia widzę, jak odciąga na bok kucharkę w małej restauracyjce, w której jemy obiad. To potężna, gruba baba, której młodość zakończyła się dawno temu, ale mojego przyjaciela nic nie powstrzyma.

Dwadzieścia minut później wraca na salę, uśmiechnięty, podchodzi do Koki i z triumfem rozkłada na stole gigantyczne bawełniane gacie.

- To warto jest co najmniej cztery punkty.

Koka jednak jest całkowicie odmiennego zdania. Dla niej jest to po prostu jeden dowód rzeczowy i nic więcej.

- Jak to? A trudności wstępne?

- To tylko jedne majtki.

- A trudności realizacyjne?

- To tylko jedne majtki, Jacky, nie oszukuj.

- A kłopoty, jakie miałem, żeby jej to zabrać, co?

W końcu dochodzą do porozumienia, żeby odwołać się do mojego arbitrażu. Jest mi niezręcznie, bo czuję lojalność względem Jacky'ego, ale muszę przyznać, że te majtki, choć zakrywają jedną czwartą stolika, stanowią jednak tylko jeden kawałek materiału, a zatem dają tylko jeden punkt.

Uspokojona i zadowolona Koka rozgląda się dookoła i o kilka stolików od nas dostrzega parę w dojrzałym już wieku, o dostatnim i godnym wyglądzie. Wstaje. Po paru minutach oboje siadają przy naszym stoliku, by wspólnie z nami wypić kawę. Naturalnie Koka usadowiła koło siebie naszą nową znajomą, kobietę około czterdziestki, ubraną w niebieski kostium ozdobiony jedynie srebrną broszką.

Przyglądam się.

Lekkie drgnięcie wargi uroczej pani, kiedy podnosi filiżankę do ust, Koka właśnie dotknęła jej kolana, jestem tego pewien. Subtelny rumieniec na twarzy i nieśmiały uśmiech. To delikatna pieszczota pod stołem. Jacky trąca mnie łokciem i posyła zrozpaczone spojrzenie. Niepostrzeżenie wzruszam ramionami i, starając się robić dobrą minę do złej gry, podtrzymuję próby konwersacji czynione przez pana męża.

Dziesięć minut później obie panie znikają w toalecie. Koka pojawia się dopiero po trzech kwadransach, kiedy już naprawdę nie wiemy, o czym rozmawiać z tym panem, który zaczyna się niepokoić. W chwilę potem na salę wchodzi jego żona, ma zaognione policzki i niepewnie stąpa po wypastowanej podłodze. Z błyszczącymi oczami Koka wskazuje mi swoją

torebkę.

Rankiem piątego dnia spotykam Jacky'ego na tarasie małego luksusowego hotelu, w którym spędziliśmy noc.

Jasne zimowe słońce rozświetla salę i przyjemnie grzeje zza szerokich panoramicznych okien. Maitre d'hôtel bez mrugnięcia okiem przyjął moje zamówienie na befsztyk wołowy, który wybrałem sobie na śniadanie. Jacky towarzyszy mi. Mamy wszelkie powody, by czuć się szczęśliwymi.

A jednak kończę danie bez przyjemności. Jacky układa sobie rząderek kokainy na talerzu po grzankach i wzdycha:

- Tak już dłużej nie można.

Jednym długim, smutnym pociągnięciem wdycha kokainę i podaje mi paczuszkę. Przygotowuję porcję dla siebie na stole.

- Masz rację. Dosyć już tego.

Oddaję mu kokainę, po chwili podaje mi ją znowu, i tak to trwa dłuższy czas. Bierzemy rząderek za rządkiem w przygnębieniu i ciszy.

Maitre cThôtel, sądząc, że mamy katar, kładzie nam w końcu na stoliku paczkę papierowych chusteczek.

Jacky i ja zupełnie nie umiemy przegrywać.

Tak już rzeczywiście dłużej być nie może. Wczoraj wieczorem byliśmy w fantastycznej formie, z okazji wcześniej zamówionej kolacji przy świecach i szampanie. Wymyślić i odpicowani daliśmy z siebie wszystko, by olśnić nasze dwie zaproszone panie, śliczne dziewczyny mieszkające w okolicy.

Na zakończenie kolacji, podczas której wykazaliśmy się wyjątkowym urokiem osobistym i dowcipem. Koka i obie dziewczyny wstały.

- Przepraszamy, pora na małe siusiu.

Po dwóch godzinach zmuszeni byliśmy uznać to, co było już oczywiste. Wieczór zakończyć się miał bez nich. Ta oszustka zabrała nam je, zostawiając nas samych z resztkami kokainy i szampana. Nie pozostało nam nic innego, jak dalej się wykolejać aż do Chwili, kiedy zasnęliśmy z głowami na obrusie, po czym służba hotelowa zaniósł nas do naszych pokoi.

Jacky nie może już dłużej.

- Widzisz, zabiera nam najlepsze i w końcu wychodzimy na idiotów.

- Fakt. Zostają nam tylko odrzuty..

- Ja już mam tego dosyć. I w dodatku zabiera je nam sprzed nosa!

Następuje dłuższy okres ponurej medytacji, przerywanej jedynie pociągnięciami nosa.

Jacky podsumowuje.

- Przegraliśmy, co?

- Na to wygląda.

- Chyba nie poprosimy o zawieszenie broni.

- Jacky, bracie, trzeba umieć przyznawać się do błędów.

Z godnością idziemy do recepcji i telefonujemy do jej pokoju.

- Koka? Przegraliśmy. Zaraz przyniesiemy ci śniadanie.

Ta czarownica oparła się wygodnie na poduszkach w towarzystwie naszych dwóch dziewcząt. W obliczu tych sześciu wspaniałych piersi pokornie wyznajemy naszą przegraną i nasze pragnienie zakończenia tej głupiej zabawy.

- Jesteś najlepsza. Masz, ślicznotko, napij się kawy.

W przyływie radości przyjmuje nasze poddanie się i w królewskim geście ofiarowuje jedną ze swych zdobyczy Jacky'emu, po czym uśmiecha się do mnie promiennie i zatrzymuje mnie przy sobie.

Od tej pory to ona nagania nam młode kobiety. Pojawiają się przy naszym stole, w samochodzie, i wychodzimy na tym o wiele lepiej. Koka jest wspaniała w tej roli i sprowadza je trójkami, zawsze wzbudzając tę samą nieodpartą sympatię. Jeżeli przypadkowo przychodzi tylko z dwiema, pozostawia nas z nimi tete-a-tete, i sama dalej prowadzi poszukiwania dla siebie.

Pasztety z zająca, dziczyzna, wspaniałe udźce, wina, bukiety i aromaty, święto kulinarne trwa. W opracowywaniu menu Jacky prześciga sam siebie. Niekiedy postanawia, że do kolacji będzie szampan, albo ze znanstwem wybiera do serów białe wino. Za każdym razem doznajemy nowych odczuć, coraz bardziej wyszukanych. Nasze podniebienia wyczuliły się, i rozprawiamy na temat różnych dań jak starzy smakosze, a o miejscowych pięknościach jak starzy uwodziciele. Wszyscy troje jesteśmy zgodni. Im bliżej schodzimy Morza Śródziemnego, tym kuchnia staje się prostsza i bardziej jednolita. Natomiast kobiety stają się coraz pikantniejsze, im dalej na południe. Na północy miłość jest konwencjonalna, a gastronomia klasyczna. Na zakończenie naszej podróży postanawiamy zajrzeć do krainy foie gras.

Przez cały czas niepohamowany śmiech wstrząsa naszym rolls-royce'em 1947,

zatrzymującym się przy wszystkich przyjemnościach, jakie pojawiają się po drodze. W każdym razie było tak aż do dzisiejszego ranka, kiedy po trzech dniach i trzech nocach szaleństw awaria zatrzymuje nas w warsztacie w Perigord. Jesteśmy nie ogoleni, w wymiętoszonych ubraniach, i wreszcie każde z nas zaczyna odczuwać zmęczenie. Mechanik, któremu zapewne nie zdarza się to zbyt często, zaaferowany pochyla się nad silnikiem rollsa. Siedzimy w słońcu od pół godziny, kiedy zatrzymuje się koło nas policjant na motocyklu. Przygląda się nam przez dłuższą chwilę. Podejrzewa nas o coś, ale nie bardzo wie, o co. Boi się z nami zadrzeć. Nie ma ochoty dostać po głowie, biedny mały gliniarz. Jego celem jest spokojna emerytura. A choć nasz nieświeży wygląd może się wydawać dwuznaczny, forsa'aż kapie ze wszystkiego, co mamy. Przyglądam mu się. To krępy facet z wąsami, kask potęguje jego głupawy wygląd.

W samochodzie kokaina jest wszędzie, nawet na siedzeniach, leżą porozrzucone kawałki haszu i poniewierają się zwinięte w rurki banknoty służące do wążania rzędów. Bagażnik wypełniony jest majteczkami najróżniejszych rodzajów i rozmiarów, od nieskazitelnych do niezbyt czystych. Jeśli tam zajrzy, będzie z pewnością miał do nas parę pytań, ale brak mu śmiałości.

W momencie odjazdu Koka podchodzi do niego.

- W moich stronach gliniarze nie są tacy przystojni, wie pan? „Gliniarz” nie bardzo mu się podoba, ale nie może powstrzymać rumieńca. Koka wsiada do samochodu i przed zamknięciem drzwi bardzo wysoko podciąga spódnickę na udach, co godnego przedstawiciela bezpieczeństwa publicznego doprowadza do stanu głębokiego poruszenia. Jacky chichocze, po czym wybucha głośnym śmiechem. Koka posyła gliniarzowi całusa i krzyczy:

- Powiem panu coś: mundur zawsze mnie podniecał.

Zatraskuje drzwiczki i ostro rusza wywracając Jacky'ego, który właśnie naciągnął na głowę wielkie majtki zdobyte w czasie zawodów i który, jak go znam, zaraz zacznie obrzucać gliniarza wyzwiskami. Czas już wracać do Afryki. Tam będziemy mniej rzucać się w oczy.

Podczas naszego pobytu tam naszym rollsem zaopiekuje się Koka. Przed zakończeniem tej wycieczki czynię zadość jej pragnieniu, bym przerznął ją na masce rollsa, to jej ulubiony sposób. Wolałaby zrobić to na autostradzie, ale ja wybieram mały zagajnik nieco na uboczu. Tu dosiadam jej, uczeptionej Nike z Samotraki, z kolanami opartymi na zderzaku, w pozycji całkowicie bezwstydną, ze spódnicą zakasaną nad biodra. Jacky czeka nieco dalej.

I po ostatnim pocałunku rozstajemy się na lotnisku, gdzie czeka już samolot, którym

wrócimy do naszego konwoju.

Nie ma to jak proste przyjemności, żeby wrócić do formy. Moja choroba jest już tylko wspomnieniem, podobnie jak śmierć Peyruse'a. Hiszpania ogarnięta jest falą chłodów, kiedy przyjeżdżamy, wracając do Colorado, do konwoju i do kłopotów.

W ogródkach widać połacie śniegu. Dom zajmowany przez moich ludzi pogrążony jest w ciszy. Szyby są powybijane, okiennice pourywane, nie ma już drzwi wejściowych. Za nami, co sił w krótkich nóżkach, biegnie Tia Zohra i wrzeszczy.

- Zohra, uspokój się. Wytłumacz, o co ci chodzi, po hiszpańsku, a nie po arabsku.

- O! Twoi ludzie, o! to są bandyci. Nie chcę ich tu więcej widzieć, nigdy.

- Co zrobili?

- Wszystko poniszczyli, to prawdziwe nieszczęście.

- Uspokój się. Za wszystko zapłacę.

- Przerżnęli moje dziewczyny.

- No to co, przecież i tak nie były dziewicami...

- Tak, ale nie zapłacili...

Dosyć już mam tych wrzasków. Idę zobaczyć, co się dzieje. Pracownicy zgromadzeni są w salonie. One i Two siedzą, okutani po nos, przy małym ognisku zapalonym na podłodze. Okiennice, drzwi i meble, starannie porąbane na deszczułki, wyznaczają ich terytorium. Na suficie ogromna plama sadzy przyciemnia nieco widok. Na podłodze, po wszystkich kątach, prawdziwe pobojuwisko butelek. Prawie wszyscy moi ludzie są tutaj, i to w paskudnym stanie. Albana znowu zapomniał o nakazach religii. Leży z rozrzuconymi rękami, okulary mu się przekrzywiły, oparty o ścianę. Indianin nawet nie zauważył, że wszedłem. Śpiewa półgłosem z butelką ściśniętą między kolanami. Capone, który stoi na nogach, choć nieco się słania, pozdrawia mnie rozczulonym uśmiechem. Jos uporczywie usiłuje pozapinać guziki koszuli, pijany i zaniepokojony moim przybyciem. Nawet Chotard przyłączył się do nich. Wpada do pokoju, nieco zbyt kurczowo trzymając swoją walizeczkę. Staje przede mną z błędnymi oczami.

- Charlie. Wszystko w porządku.

Jos z trudnością potwierdza, że wszystko obyło się bez problemów.

Nie mogę mieć do nich pretensji. Oni też postanowili się zabawić. Sam jestem znany z wywracania wszystkiego do góry nogami i wandalizm zawsze mi się podobał. Poza tym wezmę ich mocno w garść dopiero w Afryce.

Moje rozbawienie rozwściecza Cię Zohrę, która znów zaczyna wrzeszczeć. Two

wstaje. W rękę trzyma maczetę. Podnosi rękę. Jacky blokuje mu ramię w ostatniej chwili.

- Two! Zwariowałeś!

Oba czarnuchy nie wyglądają najtrzeźwiej. Czapki mają przekrzywione, a ich oczy są czerwone od przepalenia. Two szczyrzy zęby.

- Trzeba ją uspokoić, szefie.

Dobrze wiem, co rozumiem przez „uspokoić”. W ich kraju żadna kobieta nie podniesie głosu na mężczyznę z tego prostego powodu, że mają wycięte łechtaczki, czyli są bezpłciowe. Nie sądzę, by Tia Zohra zgodziła się na taką operację.

- Zobaczymy, zobaczymy. Siadaj. Dlaczego rozpaliliście ognisko?

- Och! Jest bardzo zimno, szefie.

Jak im wytłumaczyć? U nich rozpala się ogień w domu, kiedy jest zimno. Wskazują na stos deszczulek, wszystko, co pozostało po meblach.

- Stara na nas wrzeszczała, bo zabraliśmy drewno. Ale ogień z węgla zabija, jeśli się oddycha, szefie.

Odsyłam Cię Zohrę do domu, zapewniając, że za niecałą godzinę ją odwiedzę i zapłacę wszystko, co jestem winien. Z Jackym robimy obchód domu, a za nami łązi Capone, bez przerwy powtarzając, że cieszy się, że mnie widzi.

W jednym z pokoi znajduję Jeana-Paula i Olmera, naszych zawodowców. Ledwo zaczynają swoją litanię wyrzutów, każę im się zamknąć. Wallid leży w wannie, w ubraniu, co jest obrzydliwym widokiem. W kuchni natykam się na Samuela Grapowitza. Siedzi na krześle, przed nim na podłodze stoi pusta butelka, opiera głowę o ścianę przedstawiając uosobienie rozpacz.

- Samuelu Grapowitz. Wszystko dobrze?

- Tak.

- Co ci się stało?

- Nic.

- Przecież widzę, że coś jest.

- Nie.

- Powiesz mi wreszcie?

- O mało nie straciłem małego, Charlie.

- Jak to?

- Poważnie!

I opowiada mi łzawym głosem. W Barcelonie zaraził się strasznym syfilisem. Miejscowy lekarz w końcu wyleczył go za pomocą cewników i czternastu zastrzyków,

robionych ogromnymi szklanymi strzykawkami. Samo wspomnienie przeraża go. Przez jego ciało przebiega długi dreszcz. Samuel Grapowitz to miły facet, ma mnóstwo zalet i jest prawdziwym geniuszem szwindla, co budzi we mnie szacunek, ale czasem jest trochę zbyt miękki i trudno nim kierować. Bardzo łagodnie pocieszam go.

- Jest już po wszystkim. Wyzdrowiałeś. Wszystko w porządku.

Podnosi głowę i mój wzrok spotyka się ze spojrzeniem pełnym głębokiej rozpacz.

- Wszyscy pierdolili, Charlie, Jos, Capone, wszyscy. Każdy miał jakąś w łóżku, a niektórzy nawet dwie. Hałasowali przez całą noc. A ja... Ja... Nawet jednej nie mogłem przetrząść.

Uciszam jego łkanie, obiecując mu Afrykanki już niedługo, i przysięgam mu, że sprowadzę dla niego dziewczyny już w Colomb-Bechar, po czym posyłam go spać. Kiedy wychodzę z kuchni, zderzam się z Caponem.

- Ten Żyd zwariował, Charlie. Wiesz, o czym mówi bez przerwy?

- Tak, wiem. Samuel Grapowitz jest bardzo sentymentalny, nie trzeba na to zwracać uwagi. Idź spać. Rano wcześnie wyjeżdżamy.

Wpadam do salonu i krzyczę do wszystkich, żeby kładli się spać. Reakcja jest zbyt niemrawa na mój gust. Podnoszę z ziemi butelkę i rzucając ją w Albanę. To skłania ich do pośpiechu.

Tia Zohra przygotowała mi kawę i rachunek. Suma, którą tam wypisała, wystarczyłaby na wybudowanie nowego domu i zakup żywności na miesiąc dla wszystkich lokatorów. Daję jej jedną czwartą i jest zachwycona.

O piątej rano budzę wszystkich za pomocą węża ogrodowego, oblewając śpiących lodowatą wodą. Nie pozostawiam im czasu na wytarcie się ani na wypicie kawy. Rozkazuję, aby ciężarówki ruszyły za dziesięć minut. Silniki zaczynają się rozgrzewać.

Natychmiast wraca dawny rytm pracy. Jedziemy do Alicante. Potrzebujemy jednego dnia i jednej nocy, żeby tam dojechać, akurat na czas, żeby załadować się na prom.

Bary przy szosie otwarte są całą noc, i są pełne. Kraj, który właśnie odzyskał wolność, to piękna rzecz. Ludzie są szczęśliwi, mogą mówić co chcą, i mogą opowiadać głupstwa, jeśli mają na to ochotę. Długo powstrzymywany ogromny wybuch śmiechu rozbrzmiewa we wszystkich kawiarniach Hiszpanii. Ucisk tyranów to prawdziwa zbrodnia. Często przejeżdżam przez kraje rządzone przez dyktatorów i władza, jaką posiada taki bandyta na tronie, zawsze doprowadzała mnie do wściekłości. Dyktator działa bez ryzyka. Masy ludowe to debile. Łatwo jest nadużywać władzy. Ci biedacy na dole mogą tylko zginać kark. Czasami

skarżą się, ale nigdy nie sięgają po broń czy porządną bombę, żeby pójść i załatwić sprawę raz na zawsze. Trzeba dopiero, żeby ktoś przyszedł i nimi potrząsnął. Kiedyś, po innych przygodach, jeśli jeszcze będę przy życiu, pojedę załatwić jakiegoś dyktatora.

Przez część popołudnia konwój blokuje nabrzeże załadownicze w porcie Alicante. Sporo czasu trzeba, żeby zjechać dwunastoma ciężarówkami do ładowni, tym bardziej że trzeba to zrobić na wstecznym. Spośród nas wszystkich tylko obaj zawodowcy to potrafią. Cofać długą naczepę to jedyny trochę skomplikowany manewr przy tego rodzaju sprzęcie. Trzeba kręcić kierownicą w tym samym kierunku, w którym się chce jechać, odwrotnie niż w samochodzie. Jeśli tylko człowiek się pomyli, rzecz jest nie do odrobienia. Naczepa jedzie Bóg wie gdzie, szybko ciągnik staje pod kątem prostym w stosunku do niej i wtedy jest po wszystkim. Trzeba wtedy odłączyć ciągnik i zaczynać wszystko od początku. Jean-Paul i Olivier biegają między ładownią a ciężarówkami. Ustawiają je jedna za drugą.

Pozostali, skupieni dookoła mnie i oparci o reling, spokojnie przyglądają się całej operacji. Jeden z pracowników portu podchodzi, rozbawiony, i pyta, dlaczego sami nie wprowadzamy naszych wozów.

Ucinam jego pytania.

- Tamci dwaj to zawodowcy jazdy do tyłu. My jesteśmy zawodowcami jazdy do przodu.

Nocna przeprawa przez Morze Śródziemne odbywa się szybko i bez problemów. One i Two pozostają przez cały czas w ładowni, mając za zadanie pilnować ciężarówek. Jos i Capone dołączyli do nich. Kiedy dopływamy, w czasie przygotowań do wyjazdu z ładowni, Jos pokazuje mi, ukryty w stosie opon, cały zestaw łańcuchów i żelaznych haków. Sprzęt należy do wyposażenia promu, zwinęli to podczas podróży. Przyklaskuję tej inicjatywie. Niedaleko stoi Capone z petem w ustach i odgrywa wielkiego bandytę uśmiechając się kącikiem ust.

Zbieram wszystkich na małą odprawę.

- Chłopaki, nie znam nikogo wśród celników w Oranie. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, ale chcę, żebyśmy jak najmniej rzucali się w oczy. Wyjeżdżamy w szyku, ustawiamy się i czekamy w kabinach. Jasne?

Czekamy tak dwie godziny, w pełnym słońcu. Polecenia wykonane zostały co do joty. Nikt nie wysiadł. Tylko Chotard przechadza się nerwowo przed ciężarówkami. Jak zwykle ma pietra. Faktem jest, że ponieważ nigdy tędy nie przejeżdżałem, nikomu też nie posmarowałem. Ale sądzę, że nigdy nie jest za późno na dobry uczynek.

Algierscy celnicy są na ogół uczciwsi niż w innych krajach Afryki. Ci nie wyglądają na wyjątki. Robią swoje, bez specjalnej złośliwości, ale też bez uprzejmości. Starszy facet z wielkimi wąsami stawia nam kupę pytań. Trochę mnie to niepokoi. Nie chcę, żeby założyli plomby na naczepy, zamierzam sprzedać trochę towaru w Algierii. Dopiero po dobrej godzinie dyskusji udaje mi się ich przekonać, że nie stanowią zagrożenia dla gospodarki kraju, jako że mój ładunek przeznaczony jest wyłącznie dla krajów Czarnej Afryki. Nawet jeśli mi nie uwierzyli, w każdym razie dobrze udawali. Tak czy inaczej, przepuścili nas.

Ruszamy. Moim celem jest jak najszybciej dojechać do Adraru, bramy Sahary i pierwszego etapu handlowego, to jest pokonać jednym ciągiem osiemset kilometrów. Dosyć już straciliśmy czasu, i będzie to dobra zaprawa dla moich ludzi. Więc jedziemy. Szosa przechodzi przez górski masyw tuż za Oranem. Przez kilka godzin walczymy z zakrętami, po czym zjeżdżamy w dół i dalej mamy już równinę. Jak okiem sięgnąć ziemia jest czerwona, porośnięta małymi kępami suchej trawy. Grzeje nas dobre stare afrykańskie słońce. Opuściłem szybę, szczęśliwy, że znowu jest gorąco. Na drugim postoju dla uzupełnienia wody i oleju wszyscy są już w samych koszulach. Wallid wyciągnął swój zawój. Witam Afrykę głośnym wesołym trąbieniem.

Późnym popołudniem konwój dociera do Bechar. Około dziesięciu kilometrów przed miastem znajduje się wiele placów postojowych dla ciężarówek, na ogół zaopatrzonych w cysterny z wodą o zgiętych pod kątem prostym rurach. Na jednym z takich piaskowych parkingów zatrzymuję wszystkich na wieczorny posiłek. W Bechar czeka nas ważne zadanie. Zaraz po kolacji uprzedzam wszystkich, że długo tu nie zostaniemy. Dla chętnych jest w Bechar ciekawostka turystyczna pierwszej klasy, zakład zwany „U Fifine”, ostatnia pamiątka po Legii Cudzoziemskiej, i najsłynniejszy burdel w całej historii francuskiego kolonializmu. Wyjaśniam chłopakom, że cnota algierskiej kobiety, podobnie jak wszystkich muzułmanek, podlega ścisłej ochronie. Wallid potwierdza moje słowa ruchem kciuka wokół szyi. Ciach! Nie chcę zatargów z mężami czy braćmi, które opóźniłyby przejazd konwoju. Krótko mówiąc, zmuszam ich, żeby poszli, zresztą bez większych trudności.

Wallid był już tutaj ze mną. Pod pretekstem zasad religijnych odmawia udziału w wyprawie do „Fifine”. Indianin od początku co chwila wyciąga zdjęcie swojej żony. Mruczy, że nie pójdzie jej zdradzać do burdelu. Capone opieprza go:

- Więc co, nie popierdolisz sobie tylko dlatego, że zostawiłeś tam swoją starą?
- Tak, żebyś wiedział. Tak.
- A wyobraź sobie, że twoja żona ma chwilę słabości. Tylko nie mów, że nie, z

dziwkami nigdy nie wiadomo. Może właśnie wali się z listonoszem. A ty co, będziesz udawał księdza na pustyni? Wychodzisz na idiotę.

Capone zostawia swojego kumpla i idzie się przygotować. W momencie, kiedy ma już zniknąć za ciężarówką, odwraca się w kierunku Indianina, który siedzi nieruchomo.

- Wychodzisz na idiotę! O!

Indianin wstaje i idzie się przygotować.

Chłopaki biorą prysznic pod cysterną i wyciągają swoje zapasowe ciuchy. Zrobili się na sto dwa dla tych panienek. Upycham wszystkich do peugeota 504 i jedziemy do Bechar.

Jest to małe nowoczesne miasto, prawie w całości zbudowane w stylu francuskim. Można by pomyśleć, że to jakieś miasteczko z południa Francji. Dom „U Fifine” jest w stylu mauretańskim, łukowe sklepienia i ściany do połowy wyłożone ceramicznymi płytkami. Na parterze kupuję dla każdego bilet.

- Panowie, ten bilet daje wam prawo do jednego numeru. Ponieważ zachowywaliście się dobrze, wyjątkowo oddaję wam moją ulubioną. Kiedy wywołają was na piętrze, proście o Kleopatę.

Zostawiam ich przy wschodnich uciechach i idę czekać przy barze, w towarzystwie Chotarda i Jacky’ego. Zapomniałem powiedzieć chłopakom, że personel „U Fifine” waży średnio po dziewięćdziesiąt kilo. Kleopatra też. Tak naprawdę to zapomniałem im powiedzieć wiele rzeczy.

Wychodzą jeden po drugim, rozczarowani, i żadnemu nie przychodzi do głowy mi podziękować, z wyjątkiem obu czarnuchów. Im to się podobało. Ilość to dla nich synonim jakości.

Parę minut później konwój odjeżdża.

Jedziemy przez całą noc. Czuję się dobrze. Na pustyni czuję się jak u siebie, i zbliżamy się do tej części, którą lubię najbardziej. Chcę teraz dać ludziom do zrozumienia, że zmieniamy reguły gry, i dają mi do tego okazję obaj zawodowcy. Podczas postoju na kawę, wodę i olej przychodzą porozmawiać. Według nich tak dłużej nie można, narażamy się na wypadek z powodu braku snu. Słyszeli, jak ludzie się skarżą, i pozwolili sobie...

Pierwszy policzek zaskakuje Oliviera, drugi sprawia, że ucieka co sił w nogach. Jego brat już się wycofał. Uderzyłem go bez złości, ale tego typu próby buntu tłumić trzeba w zarodku. A poza tym dobrze będzie, jeżeli wszyscy już teraz zdadzą sobie sprawę, że przechodzimy do spraw poważnych.

Kończę kawę i zarządzam wyjazd.

Dopiero koło południa następnego dnia dojeżdżamy do Adraru.

Ranek był trudny. Oprócz zmęczenia dokucza nam upał, który ciąży na moich ludziach jak ołowiana pokrywa. Intensywne światło sprawia ból przekrwionym oczom. W ciągu dwóch dni mój zespół z Hiszpanii przeniósł się na Saharę. Dookoła piasek jak okiem sięgnąć.

Nie wjeżdżam do Adraru. Skręcam na asfaltową szosę omijającą miasto i ustawiam konwój obok pomp benzynowych, na obszernym placu, którego zwykle używam jako parkingu.

Moje ciężarówki ustawiają się jedna za drugą. Nie zakończyliśmy jeszcze manewrowania, kiedy nadbiega kilkunastu facetów. To moi zwykli pomocnicy, jak zawsze powiadomieni o moim przyjeździe. tajemniczymi miejscowymi sposobami. Na czele postępuje Kara, mój osobisty pomocnik, który nikomu innemu nie odstąpiłby zaszczytu pozdrowienia mnie jako pierwszy.

To Tamachek z okolic Aguelock. Ma dwa metry wzrostu. Jego niebieski zawój dodaje mu jeszcze dziesięć centymetrów.

- Szeffie, tamci mówili ty już nie przyjechać, ale ja wiem, że ty jedziesz.

Odwzajemniam jego pozdrowienie. Za nim, o wiele niższy, stoi mój drugi pomocnik, Ahmed, też ubrany na niebiesko. Nieco dalej inni, których dobrze znam. Pięciu Tamacheków i trzech Malijczyków, wśród których między innymi Jussuf, który zawsze towarzyszył moim konwojom przynajmniej przez część drogi i który po Karze jest najsilniejszy fizycznie, jest niski i krępy, z byczym karkiem. Mięśnie na jego ciele są imponujące. Wszyscy oni są bogaci, odkąd pracują dla mnie, i są raczej dobrze ubrani.

Powoli schodzi się około pięćdziesięciu innych. Każdy przynajmniej raz towarzyszył mojemu konwojowi, i wszyscy znają moje płace. Daję im francuskie wynagrodzenie minimalne - SMIC - za miesiąc pracy, czyli piętnaście razy więcej niż to, co zarabiają normalnie.

Ubrani są w zbyt obszerne spodnie, dziurawe burnusy i koszule, które niczego już nie zakrywają. Jedyne, co ich łączy, to zawój na głowie zrobiony z nie zawsze czystego pasa materiału.

Tamachekowie wszyscy trzymają się bardzo prosto.

Krzyczę do nich, żeby wrócili później, pod koniec popołudnia. Zostają tylko moi pomocnicy. Kara natychmiast bierze się za przygotowanie herbaty, żeby uczcić mój powrót. Pozostali siadają nie opodal. Powoli schodzą się też moi ludzie. Kara rozpałił małe ognisko, i szykuje trzy herbaty. Jedną bardzo gorzką, jedną prawie zdatną do Picia i jedną dosyć słodką.

To sposób na pragnienie. W tej właśnie chwili Prawo zakłóca nam uroczystość. Ostrzega mnie Jacky.

- Charlie, patrz, idzie ten skurwysyn Raban.

Rzeczywiście, Pan Naczelnik, szef urzędu celnego w Adrarze, nadchodzi wielkimi krokami, w towarzystwie dwóch podwładnych. Rabah to jedyny uczciwy celnik w tym kraju. Nienawidzi mnie. Ja jego nie lubię. On jest celnikiem, a ja przemytnikiem.

- Panie Charlie!

Krzyczy, zanim jeszcze do mnie podszedł.

- Panie Charlie, dobrze pan wie, że jest pana obowiązkiem stawić się w urzędzie celnym natychmiast po przyjeździe!

- Jak leci, celniku?

- Proszę uważać na to, co pan mówi. Rozmawia pan z zaprzysiężonym funkcjonariuszem.

Rabah chlubi się swoim wykształceniem i uwielbia imponować swoim francuskim.

- Grubo się pan myli sądząc, że będę tolerował pańskie wybryki. Prawo algierskie upoważnia mnie do nakładania sankcji za takie wykroczenia. Powinien pan ustawić swoje pojazdy przed naszą siedzibą, aby można było sporządzić spis przewożonych towarów. Jeśli sądzi pan, że może się uchylać...

- Ależ spokojnie, celniku. Ledwo przyjechaliśmy. Daj nam czas na wypicie herbaty. Chcesz się napić?

Capone z wściekłą miną mówi coś o rozwaleniu małpy. Jacky ucisza go. Nie można grozić uczciwemu celnikowi. Rabah kontynuuje swoje kazanie. Żąda, abyśmy ustawili konwój przed jego budynkiem, i żebym natychmiast przyszedł załatwić formalności. Polecam Jacky'emu zajęcie się przejazdem i idę za Panem Naczelnikiem. Chotard i jego walizeczka towarzyszą mi.

Urząd celny nie jest daleko. To kilka prostopadłościaków zbudowanych z czerwonego materiału, który jest tutaj w powszechnym użyciu. Tu znajduje się biuro Rabaha, i siadamy tam czekając, aż przejdzie mu zły humor. Na zewnątrz, na piaszczystym placu przed budynkiem, ustawiają się moje ciężarówki. W pomieszczeniu nie ma wiele sprzętów. Za całe wyposażenie służą metalowy klaser i stół oraz kilka chwiejących się krzeseł.

- No dobrze. Dowody rejestracyjne i ubezpieczenia.

Dlaczego ten facet musi stać na mojej drodze. Ta sama scenka odgrywana jest za każdym przejazdem. Wzdycham:

- Chotard, daj Panu Naczelnikowi dowody rejestracyjne i całą resztę.

Chotard zna cały ten cyrk równie dobrze jak ja, ale jego szacunek dla władzy przyprawia go o drżenie rąk. Podaje dokumenty Rabahowi, który szybko sprawdza, po czym uśmiecha się zachwycony.

Z łakomym wyrazem twarzy mówi:

- Deklaracja dewizowa.

Jest to świstek, który otrzymuje się przejeżdżając zgodnie z przepisami granicę przy wjeździe, toteż nigdy go nie mam.

- Chotard, podaj Panu Naczelnikowi naszą deklarację dewizową.

Chotard jest zupełnie pozbawiony wyobraźni. Za każdym razem odpowiada mi po hiszpańsku, że zgubiliśmy dokument.

- Panie Naczelniku, mój sekretarz mówi mi, że nasza deklaracja dewizowa zaginęła. Proszę nam to wybaczyć.

Jest szczęśliwy. To jego mała przyjemność. Może wlepić mi grzywnę w wysokości tysiąca dinarów, czyli stu dolarów. Na konwoju zarobię czterysta tysięcy dolców, więc stać mnie na taki prezent. Pomimo to, z zadowoloną miną, oświadczam mu, że to dla mnie ciężki cios i że mam chore dzieci.

- Niech pan przestanie sobie ze mnie kpić. Pańskie ciężarówki muszą pozostać przed moim biurem przez cały okres pańskiego pobytu w Adrarze. W ten sposób będę mógł je nadzorować.

To coś nowego. Jest to kłopot, bo mam tu do załatwienia parę interesów. Nie będę mógł dostarczyć moich towarów pod okiem Rabaha.

- Celniku, przecież muszę napęłnić baki.

- Pojedziemy razem.

Jego uśmiech mówi mi, że coś knuje. Musiał przygotować na mnie jakąś pułapkę w czasie bezsennej nocy.

Celniku, celniku, chyba nie myślisz, że uda ci się mnie załatwić. To ja, Charlie, przekupiłem wszystkich celników w Afryce.

- Proszę mnie powiadomić, kiedy będzie pan jechał pobierać paliwo. Do widzenia.

Werbunek pomocników to pierwsza sprawa, którą zajmuję się po sjeście. Kara ustawia wszystkich facetów, którzy byli tu już wcześniej.

To imponująca grupa. Zamierzam zatrudnić wszystkich, i będzie to wymagało dobrej organizacji, bo muszę uważać, kto jest jakiej narodowości, jeśli nie chcę rzezi podczas przejazdu.

Trudno zdać sobie sprawę, do jakiego stopnia rozwinięty jest w Afryce rasizm wśród poszczególnych ludów. Podczas gdy w Europie wszyscy walczą o zniesienie segregacji białych i czarnych, ci ostatni z zapamiętaniem wyrzynają się wzajemnie. W jaki sposób potrafią rozpoznać, kto jest kto, pozostaje dla mnie tajemnicą. Według mnie wszyscy są tacy sami. Można sobie wyobrazić, jaką aberracją było ustanowienie takich granic, według kryteriów geograficznych, nie biorąc pod uwagę historii narodów.

Nie mogę posadzić Tamacheków na ciężarówkach One i Two. Moje czarnuchy to Bełlahowie. Ich plemię było niewolnikami Tamacheków przez kilka stuleci. Francuzi tolerowali to i Bełlahowie wyzwoleni zostali dopiero po przyznaniu Mali niepodległości. Po takiej tysiącletniej tradycji jest jeszcze zbyt wcześnie, by Bełlah mógł rozkazywać Tuaregowi. One i Two dostaną czarnych Malijczyków. Wszyscy pomocnicy malijscy są z plemienia Bambara, z wyjątkiem paru Fulbejów, którzy są rzadkością.

Nie mogę też tworzyć mieszanych zespołów pomocników Tamachek i Bambaru. Pierwsi zajmują północ kraju, jego część pustynną, drudzy to Murzyni pochodzący z południa, chociaż od wielu pokoleń żyją na pustyni. Obie narodowości nienawidzą się do tego stopnia, że zaraz po ogłoszeniu niepodległości prowadziły ze sobą wojnę. Bambara, którzy mają władzę i opanowali administrację w Mali, wysłali armię przeciw Tamachekom, którzy zrobili właśnie powstanie. Skończyło się to źle dla wszystkich. Armia malijska zaginęła na pustyni. Francja musiała wysłać śmigłowce na poszukiwanie tych paru tysięcy ludzi zagubionych z dala od szlaków. Historyjka nie figuruje w żadnym podręczniku, ale do dziś bawi Tamacheków. Masakry, która potem nastąpiła, nie uważają już za zabawną.

Wallidowi mogę dać tylko Tamacheków. Między Mali a Algierią stosunki nie są najlepsze. Albanie muszą przydzielić ludzi z plemienia Bambara, jak on sam, i tak dalej. Aby wszystko odbyło się szybko, każę pomocnikom określić swoje pochodzenie:

- Ludzie Bambara, podnieście rękę.

Kara i Wallid przechodzą wśród szeregów i tłumaczą. Podnosi się kilka rąk. Jak zwykle trzeba powtarzać pięć razy. Żaden Afrykanin nie rozumie od razu niecodziennego rozkazu.

Za pierwszym razem trzech facetów podnosi ręce, ale ponieważ czują się osamotnieni, szybko je opuszczają, by zaraz podnieść je znowu wobec krzyków Kary.

- Bambarowie, podnieście rękę!

Trzy nowe ręce idą w górę, nie, tylko dwie, bo jeden facet podniósł obie ręce, a pozostali szybko idą za jego przykładem. Zastanawiam się, co jeszcze podniosą, jeśli ponowie rozkaz.

- Podnieście rękę.

Bambarowie podnoszą rękę.

Nowe ręce idą w górę, ale w tym czasie podniesione wcześniej opadają. Do Kary i Wallida dołącza Albana, który korzysta z okazji i zgrywa ważniaka. Podchodzę do faceta koloru kawy z mlekiem.

- A ty kim jesteś?

- Bambara, szefie.

- Więc na co czekasz, żeby podnieść rękę?

Uśmiecha się do mnie i podnosi rękę. W końcu mamy ich wszystkich. Są wyraźnie w mniejszości.

- Teraz Tamachekowie. Podnieście rękę.

Bambarowie nie opuszczają swoich, więc razem z Tamachekami mam przed sobą dwudziestu facetów z łapami w powietrzu, którzy z uśmiechem na ustach próbują łapać chmury.

Muszę poodsuwać od siebie poszczególne grupy, żeby wreszcie mieć przegląd całości. Udaje się w końcu jakoś to porozdzielać. Oddaję wszystkich Murzynów Albanie, One i Two. Tamacheków, przydzielam pozostałym.

Zadaniem pomocników jest zajmować się swoją ciężarówką, i tylko tą. Jeśli spotykam kogoś na innym wozie, wyrzucam go. Na każdej ciężarówce jest ich pięciu albo sześciu. To o wiele za dużo. Dwóch lub trzech zupełnie wystarczy, ale skoro konwój jest wielki, równie dobrze można robić rzeczy ponad miarę w innych dziedzinach. Dwanaście przeładowany ciężarówek unieruchomionych na tym parkingu i już pokrytych pyłem, każda z załogą, obozującą nie opodal, tworzy przyjemny widok. Pilno mi już zobaczyć, jak jadą.

Rabah nie ustępuje, i przez parę dni muszę tkwić przed jego urzędem. Od czasu do czasu widzę, jak stoi na ganku z rękami założonymi do tyłu, na palcach, i napawa się widokiem mojego pięknego zespołu na postoju. Smutny przykład uczciwego urzędnika w orgazmie.

Z dnia na dzień życie obozowiska normuje się. Pracownicy zbudowali kuchnię pod płachtą rozpiętą między dwiema ciężarówkami. Wokół wozów płoną małe ogniska pomocników. Wzdłuż naczep porozwieszane są sznury do suszenia bielizny. W cieniu porozkładane są bidony i plastikowe kanistry z wodą. Od czasu przyjazdu zmieniliśmy układ wozów. Cztery ciężarówki ustawione są w poprzek, jedna za drugą, naprzeciwko budynku celników, co zapewnia nam nieco prywatności zasłaniając nas przed niedyskretnymi

spojrzeniami Rabaha.

Dni są długie. Bezczynność upalnych popołudni jest trudna do zniesienia. Nieliczne zajęcia, jakie możliwe są w Adrarze, wyczerpały się.

Odwiedziłem Ajudżila, jednego z pierwszych moich klientów na szlaku. Stał się moim przyjacielem i najpoważniejszym nabywcą moich towarów. Duża ilość części zamiennych i jeden z silników są przeznaczone dla niego. Mieszka w dużym czerwonym domu w Adrarze, podobnym do wszystkich innych. Nasze spotkania stały się już prawie tradycją. Uczestniczy w nich zawsze inny przyjaciel, gruby, wąsaty, jowialny i skorumpowany, wysoki urzędnik z Adraru.

Ajudżil to zręczny handlowiec. Zajmuje się transportem i odsprzedażą części mechanicznych, i dobrze mu się powodzi. W zaciszu jego domu prowadzimy nasze interesy.

Nie uważam, abym szkodził tutejszym mieszkańcom, wprost przeciwnie. Fakt, że moje ceny są wysokie, ale zawsze niższe niż ceny państwowe. Poza tym wiele spośród rzeczy, które przywożę, jest tu nie do kupienia. Właściwie jestem nieomal dobroczyńcą ludzkości. Władze są niestety innego zdania, i gdyby wiedziały, co knuje się pod tym dachem, skończyłoby się to więzieniem dla mnie, a jeszcze gorzej dla pozostałych. Dobrodziejstwo nigdy nie jest wynagradzane!

Ajudżil słyszał już o moich kłopotach z Rabahem, ale nie wie, co tamten szykuje. Potwierdzam mu, że przywiozłem wszystko, o co mnie prosił, i oznajmiam mu ceny. Wypija łyk koniaku. Jego oczy błyszczą za okularami. Nadeszła pora targów. Przez ponad godzinę walczymy ze sobą przyjaźnie. Fakt, iż jesteśmy kumplami, nie przeszkadza, że każdy chce zrobić możliwie najlepszy interes.

W końcu dochodzimy do porozumienia. Następnie organizuję dostawę. Nie ma mowy o tym, żeby Rabah dowiedział się o tej transakcji. Dostarczę towar na pustynię, w nocy. Wyznaczam spotkanie w miejscu między Adrare a Reggane, o około dziesięć kilometrów od szlaku. Ajudżil przyjedzie z własnym transportem. Kiedy tylko będę mógł się ruszyć, zawiadomię go.

- Musisz mi zapłacić od razu. Daj mi w dinarach tylko tyle, żeby starczyło na zatankowanie. Resztę we frankach malijskich albo CFA. Zgoda?

Poza Algierią dinar wart jest tylko tyle, co papier, na którym jest wydrukowany, i jest niewymienialny.

- Nie ma problemu, Charlie. Znajdę ci to. Zamierzasz sprzedać ropę w Mali?

Rzeczywiście, nie licząc tego, co spalą ciężarówki, zawartość cystern zostanie sprzedana po drugiej stronie granicy. Algieria jest producentem ropy. Olej napędowy kosztuje

tam grosze. W Mali, gdzie często są braki, wart jest dwa do czterech razy więcej, co oznacza duży zysk zaraz po przejechaniu granicy.

- Sporo zarobisz. Charlie. W Gao nie ma już ani kropli ropy. Mój kuzyn utknął tam już od tygodnia. Zaraz przyniosę pieniądze.

Z kieszeniami pełnymi forsy robię na mieście kilka sprawunków. Kara towarzyszy mi, by służyć za tragarza. W Adrarze jest tylko jeden dom towarowy, gdzie sprzedaje się to, co jest, czyli niewiele. Na pewno wiadomo tylko, że są tam głowy cukru, których potrzebuję, oraz mleko skondensowane. Kupuję w dużych ilościach, podobnie jak worki ryżu i makaronu. Kara zanosí wszystko do peugeota. Zawsze zadziwia mnie ten facet. Kuca przy ładunku, jego pająkowate ręce opasują go. Wstaje i stukilowy worek podnosi się ku górze, bez trudności. Nie trzeba dać się zwieść chudości tego faceta. Każde z jego ramion to potężna dźwignia. Jego ogromne dłonie to szczypce, w które lepiej nie wpaść. Jest miły i względnie inteligentny, w każdym razie bardzo kompetentny w swojej pracy. Wie wszystko o szlaku i ciężarówkach. Dzięki swej sile i doświadczeniu stał się sławny wśród pomocników. Jego niekwestionowany autorytet robi z niego nieocenionego szefa zespołu.

On zajmuje się wyposażeniem ciężarówek. Moje landary otrzymują ostatni retusz, czyniący z nich prawdziwe pojazdy pustyni. Do każdej zamocowanych zostaje po dwadzieścia podkładów, ponad dwumetrowych blach pokrytych na całej powierzchni otworami. Zwisają poziomo wzdłuż naczepy. Pod przednią częścią, tak, by zawsze znajdowały się w cieniu, zawieszane zostają dzerby. Są to buklaki z koziej skóry, niedokładnie wyprawionej, mocowane za nogi. Woda nabiera w nich trupiego zapachu, ale zawsze wilgotna dzerba utrzymuje ją w chłodzie. Podobny sposób stosujemy w odniesieniu do naszych manierek. I w tym przypadku Kara zajmuje się nauczaniem moich kierowców. Wokół butelki owijają się szmatę lub koszulę i zawiązują sznurkiem. Jeżeli co pewien czas będzie się zwilżać materiał i jeśli manierka zawieszona zostanie na lusterku bocznym, pęd powietrza będzie chłodził wodę. Aby zapewnić wodę do innych potrzeb, to jest do chłodnic i do mycia, pomocnicy zawieszają na burtach naczep połówki dętek do ciężarówek. W ten sposób woda dostępna jest łatwo na każdym postoju, bez potrzeby przesuwania wszystkiego, żeby wyciągnąć bidony.

Z własnej inicjatywy Jos zapędził wszystkich do uzupełnienia zamocowań ładunku. Skradzione na promie łańcuchy okazują się bardzo przydatne na otwartych naczepach. Jos kazał poprzeciągać je Ponad ładunkiem i zaczepia haki o brzegi platformy. Ręczna naciągarka na korbę pozwala dobrze wszystko napiąć. Obaj zawodowcy pracują razem z nim. Tych

dwóch zupełnie nie potrafię zrozumieć. Jeszcze bardziej zamknęli się w sobie, ale nigdy nie ociągają się przed robotą, i nie szczędzą rad Josowi. Potrzebują forsy, nie chcą zostać wylani. Nie rozmawiamy ze sobą.

Odkąd wróciliśmy do Algierii, odzyskałem swoje przyzwyczajenia wielkiego szefa. Jako dobry kolega, Jacky urządził mi moją kabinę komfortowo. Na postoiu wewnątrz chłodzią dwa wentylatory podłączone do akumulatora. Zakupiona w Hiszpanii szynka zwisa z sufitu, zawinięta w szmatę. Nad kuszetką kosz z suszonymi owocami. Moje łóżko ścielone jest codziennie i regularnie zmieniana pościel. Mam nawet jedwabny szlafrok z moimi inicjałami. Jacky założył mi doskonały radiomagnetofon stereo, który gra bez przerwy. Każdego ranka Capone stoi przy stopniach mojej kabiny, z kawą w ręku, i czeka, aż się przebudzę. Po naszym przyjeździe do Adraru sam się zgłosił, żeby zostać moim osobistym fryzjerem. Ma cały sprzęt i goli mnie bardzo profesjonalnie, z podniesionym małym palcem i skupionym spojrzeniem. Później spędza ze mną chwilę, opowiadając różne głupstwa i paląc skręta. Na ogół w tym czasie przychodzą wszyscy po kolei zapytać, co nowego, wysłuchać poleceń i pociągnąć skręta. Siedząc wygodnie, w szlafroku i wysokich butach, przyjmuję moich ludzi i wysłuchuję raportów.

Któregoś ranka w obozie rozlega się wycie. Okrzyki przerażenia zbliżają się do mojej kabiny. Ogarnięty histerią Samuel Grapowitz ryczy o parę metrów od mojej ciężarówki, z rozpiętym rozporkiem, z obiema rękami między nogami.

- Charlie, Charliiiiie, mam syfa, Charlie!

Jacky, zwabiony okrzykami, pokłada się ze śmiechu. Nadchodzi naburmuszony Capone z dzbankiem kawy.

- Nie ma co tak wrzeszczeć. Nie tobie jednemu się trafiło. Z trudem powstrzymuję uśmiech, pytając niewinnie:

- Co, tobie też?

- A jak! I to na poważnie. Żebyś to widział! Musiałem to złapać „U Ffine”, w Bechar.

Wrzaski Samuela Grapowitza, które oddaliły się już na drugi koniec obozu, przybliżają się ponownie.

- Wsadzą mi cewnik w małego. Cewnik w małego!

Jacky przekonuje go, żeby przyłączył się do nas i pojechał do przychodni w Adrarze.

W kierunku peugeota podąża smutna procesja. One, Indianin, Jos, Capone, obaj zawodowcy, Ałbana, Two i Samuel Grapowitz, wszyscy zarazili się syfem.

Wprowadzam ich do gabinetu zabiegowego. Pielęgniarka to wysoki facet w białym fartuchu. Przygląda się wszystkim z kamienną twarzą, po czym bez słowa odwraca się i

zaczyna krzątać się przy instrumentach.

Nikt nic nie mówi. Chłopaki są raczej blade. Pielęgniarz zapalił. palnik gazowy i gotuje wodę. Poza tym nie widać, co robi. Sterylizuje narzędzia. Machinalnie pogwizduje w czasie pracy. Wreszcie podnosi nad głowę, żeby ją widzieć pod Światło, ampulkę z płynem i napełnia strzykawkę. Wszyscy mogą zobaczyć gęsty, biały płyn, jasne, że to penicylina.

Samuel Grapowitz zrozumiał już, dlaczego ten facet wie, bez badania, jakie lekarstwo jest potrzebne, i posyła mi ze swego krzesła mordercze spojrzenie. Mogę tylko lekko wzruszyć ramionami. Tak, stary, Kleopatra to najbardziej trefna dziwka na południu

Algierii. Zostawiła już pamiątkę co najmniej pięćdziesięciu kierowcom, którym doradziłem „moją osobistą kochankę”.

Pielęgniarz odwraca się z pełną strzykawką i kolejno przechodzi od faceta do faceta.

- Ilu tym razem, panie Charlie? Ośmiu? Ostro idziesz!

Tym razem znieść muszę osiem spojrzeń pełnych nienawiści. Pielęgniarz kiwa na Josa, żeby podszedł, i pyta:

- Pamiętałeś o moich džinsach, panie Charlie?

- Ależ tak, oczywiście. Chotard, dasz mu jego džinsy.

Jos stoi z twarzą ku mnie, na parę sekund przed zastrzykiem, i jest jednym wielkim wyrzutem. Jacky i ja wychodzimy, żeby schronić się w peugeocie, gdzie wygodniej nam będzie skręcać się ze śmiechu.

Skoro zrobiliśmy już wszystko, co było do zrobienia, każę zwijać obóz. Idę odwiedzić Rabaha w jego biurze.

- Panie Charlie, co mogę dla pana zrobić?

- Nic. Przychodzę zawiadomić cię uniżenie, że jadę zatankować ropę.

Rozpiera się wygodnie w fotelu i zupełnie nie podoba mi się uśmiech, który do mnie kieruje.

- Doskonale. Na ile szacuje pan swoje potrzeby?

Potrzebuję dziesięciu tysięcy litrów na przejazd, licząc z górką. Poza tym muszę wypełnić całkowicie swoje cysterny, żeby mieć czym handlować. Oświadczam więc, że siedemdziesiąt pięć tysięcy litrów. Skacze na równe nogi.

- To kłamstwo! Jeszcze raz próbuje mnie pan oszukać! Wymachuje kawałkiem papieru pokrytym liczbami i drze się:

- Rozmawiałem z miejscowymi kierowcami i ustaliłem bardzo dokładnie pańskie zapotrzebowanie na olej napędowy. Ma pan prawo do dwunastu tysięcy litrów, nie więcej.

Dla zasady dyskutuję, opowiadam o zjeżdżaniu ze szlaku, o dodatkowych potrzebach w razie zagubienia drogi, ale wiem, że ten punkt jest dla niego. Tych parę tysięcy litrów, które udaje mi się wytargować, niewartych jest wzmianki. Towarzyszy mi do pomp i tkwi tam przez całe tankowanie. Udaje mi się jednak nieco go zaniepokoić oświadczając, że jednak zmieniłem zdanie i że zostanę jeszcze trochę w Adrarze.

Uważaj, celniku, Charlie zostaje w okolicy. Poczekam, aż wyślą cię służbowo poza Adrar, jak to często się zdarza. I wtedy napełnię cysterny. Mnie się nie śpieszy.

Ale nie jestem też cierpliwy i następne dni są wyczerpujące. Rabah odgadł, że czekam na jego wyjazd, żeby ominąć zakaz, i skurwiel siedzi na miejscu. Konwój ponownie ustawiony jest przed urzędem celnym, wszystkie urządzenia zostały na nowo zamontowane. Zaczynam mieć dość tego siedzenia tutaj i bezczynności. Tylko parę rozrywek pomaga nam przetrwać.

Niedaleko zatrzymała się mała ciężarówka. To dziesięciotonowy mercedes koloru khaki, stary model, dosyć niski. Na platformie załadowany jest peugeot 404 pod plandeką. Ciężarówką jedzie dwóch białych.

- Chotard.

Chcę ich uprzedzić, że nie powinni sprzedawać swoich wozów w Mali, chyba że mnie. Przekazanie takiego zawiadomienia przez ambasadora nadaje mu więcej powagi.

- Chotaaaaard!

Mój księgowy nadbiega, zdyszany. Na wszelki wypadek wziął ze sobą swoją walizeczkę. Ma na sobie nieskazitelną koszulkę Lacoste'a, a jego buty lśnią jak nowe.

- Pójdiesz do tych facetów tam, w moim imieniu - od razu rozumie i już jest zaniepokojony.

- Nic się nie bój, pójdzie z tobą Kara i dziesięciu pomocników.

Ale pamiętaj, zachowuj się grzecznie. Nie bądź wulgarny ani zarozumiały.

Wiem, jak łatwą i pociągającą rzeczą jest szpanować, kiedy ma się dziesięciu osiłków jako ochronę, a wykorzystywanie demonstracji siły to najlepszy sposób, żeby wzbudzić wrogość rozmówcy.

- Zapytaj, dokąd jadą. Jeśli do Mali, powiesz im, że wszystko trzeba sprzedać Charliemu, ciężarówkę i samochód. Wytłumacz im, że psują mi rynek.

- Tak. Mam im coś zaproponować?

- Obiecuj im cztery kawalki za wszystko, i uprzedź, że dalej na południe dam im mniej. Dokładnie im zaznacz, że i tak będą musieli sprzedać Charliemu, a cały czas masz być

grzeczny i uprzejmy. Jak będą się stawiać, daj spokój.

Po półgodzinie Chotard i pomocnicy wracają. Tamci odmówili.

- Jacy są?

- Raczej sympatyczni. W typie mechaników. Ten, co decyduje, ma trzydzieści pięć lat, drugi jest starszy...

- Byli grzeczni?

- Tak całkowicie. Zdaje się, że zrobiła na nich wrażenie twoja metoda, delegacja...

- Dobra, dziękuję, to wszystko.

W końcu, skoro ci faceci chcą się napocić prowadząc moje samochody i jednocześnie opuszczając cenę, nie mam nic przeciwko.

Korzystając z wolnego czasu każę uzupełnić prowiant. Kupiłem kilkanaście żywych owiec, które jako tako zostały usadowione na ciężarówce Albany. To jedyny sposób, żeby na szlaku mieć świeże mięso. Mięso martwe się psuje. Kazałem też kupić warzywa. Nigdy menu nie było tak urozmaicone jak w czasie tego ostatniego konwoju. Robię właśnie zakupy, w towarzystwie Jacky'ego, Kary i Capone'a, który wykorzystuje każdą okazję, żeby się przewietrzyć, kiedy nagle widzę starego znajomego. Jacky dostrzegł moje spojrzenie.

- Co się stało? Kłopoty?

- Nie. Raczej dobra wiadomość. Widziałeś tego faceta, który właśnie wszedł do Grand Hotelu z jakąś parą i dzieciakiem?

- Kumpel?

- Nie. To szmata. Pójdziemy się z nim przywitać. To Cygan, który od dawna kręci w tych stronach. Kradnie w Europie samochody i przyjeżdża je sprzedawać w Afryce, jak wielu straceńców, którzy się tutaj kręcą.

To skurwysyn. Kiedy mieszkałem w Niamey, w początkach mojego handlu samochodami, pożyczył ode mnie forszę i zapomniał oddać. Jest to jeszcze rzecz, którą od biedy mogę wybaczyć. Pieniądze są cenne dla tylu ludzi, że kuszące jest nie oddać długu. Ale miał też parę zagrań poniżej pasa i, co gorsza, podczas mojej nieobecności, za moimi plecami. W tym czasie często jeździłem do Europy w interesach i nie zawsze byłem na miejscu, żeby pilnować swoich spraw.

Kiedy wchodzimy do baru. Cygan siedzi przy stoliku z kobietą i mężczyzną, plecami do nas. Podchodzimy i ruchem, który może wydawać się przyjacielski, chwytam Cygana za ucho. Odwraca się. Jest mały, mocno zbudowany i ma parszywą mordę.

- Dzień dobry, kolego.

Jestem uśmiechnięty, uprzejmy i grzeczny.

- Możemy się napić z wami?

- Tak, tak, oczywiście, Charlie.

Siadamy wszyscy przy stoliku. Puszczam ucho.

Mężczyzna i kobieta to Włosi, on mówi trochę po francusku. Dowiaduję się, że jadą do Mali.

- Macie samochód?

Włoch wskazuje na Cygana. Jadą z nim. Dzieciak ma jakieś pięć lat. Siedzi na kolanach u mamy. Jego rodzice to ludzie o przeciętnym wyglądzie. Próbuję ich wypytać, ale wyczuwam nieufność. W końcu wyciągam z nich, że nie mają wizy do Mali, ale że Cygan obiecał ich przeprowadzić. To paskudna historia. Malijscy celnicy nigdy nie przepuszczą kogoś bez wizy i tamten skurwysyn doskonale o tym wie. Utkną na pustyni z pięcioletnim smarkaczem. Nie wiem, co skłania tego sukinsyna, żeby zrobić coś takiego, ale jedno jest pewne - zupełnie mi się to nie podoba.

Ten skurwiel jest zdolny do wszystkiego, gotów zabić dla stu franków. W dodatku aż mnie trzęsie, jak pomyślę, że pakują w to tego dzieciaka.

Zachowuję cierpliwość aż do chwili, kiedy Włosi idą do pokoju. Cygan próbuje się wymknąć, ale go zatrzymuję.

- Chyba zostaniesz z nami, kolego?

Ponownie siada na krześle. Czuje się osamotniony w naszym towarzystwie i milczy, bawiąc się pudełkiem zapalek. Jest zdenerwowany. Nie bez racji.

Po chwili ciszy mówi mi:

- Charlie, chcę żebyś wiedział, że zawsze chciałem oddać ci tę forszę.

- Spokojnie, koleś.

Kładę mu rękę na ramieniu.

- Charlie...

- Pojedziesz z nami. Zapraszam cię na kawę do mojego obozu.

- Nie, to miło z twojej strony, ale nie mogę, Charlie. Mam dużo do zrobienia. Capone klepie go po ręku i cedzi, jak na dobrym gangsterskim filmie:

- Musisz pojechać z nami, mały.

Kara, który zrozumiał, że coś nie gra, wstaje. Jest imponującej postury.

- Słuchaj, Charlie...

- Przyjacielu, nie zmuszaj mnie, żebym ci poobrywał uszy tutaj.

Wstaje i wychodzi z nami.

W drodze do obozu nie zamieniamy słowa. Capone pogwizduje przez zęby. Ustawiłem moją ciężarówkę w poprzek, naprzeciwko budynku celników. W ten sposób Rabah nie może zobaczyć, co się u nas dzieje. Od drugiej strony jest tylko żółty piasek, bez świadków.

Cygan siedzi na krześle, twarzą do nas. Dostał już dwa razy w mordę i jego policzki przybrały ładny, ciemnoczerwony kolor, trzeba powiedzieć, że jestem z tego efektu całkiem dumny. W ten sposób został nadany ton tej dyskusji i Cygan rozumie to. Atmosfera będzie ciepła.

Siedzę w kabinie, drzwi są otwarte i nogi trzymam na zewnątrz. Włączyłem jakąś muzykę, głośno, dla nastroju, i żeby zagłuszyć ewentualne krzyki. Wzdłuż ciężarówki stoją moi ludzie. Wszyscy mają surowe, kamienne twarze. Podają sobie skręta i pociągają z niego nie spuszczać oka z Cygana, który zupełnie się załamał.

Nie muszę go specjalnie naciskać, żeby wszystko wyśpiewał. Włosi uciekają przed policją i nie mogą wystąpić o wizę w ambasadzie Mali. Cygan, który nawciskał im kitu, zamierza zawieźć ich do Tessalitu, gdzie oczywiście nie zostaną przepuszczeni. I tam, w tej zagubionej pustynnej dziurze, będą już całkowicie uzależnieni od tej świni. Zamierza wyciągnąć od nich całą forszę i zwać do Mali.

Co za gównojad! Dla nich to śmierć albo co najmniej bardzo poważne kłopoty. Dorośli odpowiadają sami za siebie, mało mnie obchodzą ich problemy. Ale trzeba być wyjątkową kanalią, żeby wciągać w taką historię dzieciaka. Rola moralisty niezbyt do mnie pasuje, ale uwielbiam dzieci i gardzę tymi, którzy ich nie szanują.

Daję mu ostatnią szansę:

- A chłopak?

Jego znaczący gest wyraźnie pokazuje, że ma to w dupie.

Chłopaki z mojego zespołu patrzą na niego z nienawiścią. Samuel Grapowitz postępuje do przodu i jak prawdziwy inkwizytor żąda, by Cyganowi obciąć jaja. Podchodzi Capone, mniej teatralny, ale równie zdecydowany. Kiedy staje obok Cygana, podnosi rękę. W ostatniej chwili zwraca się do mnie:

- Mogę?

Wypuszcza cios zamkniętą pięścią. Cygan wylatuje z krzesła. Capone umie bić. Cygan wstaje z zakrwawionymi ustami, na wpół ogłuszony, kiedy Indianin błyskawicznie posyła go z powrotem na ziemię, kopnięciem w nogi. Tak zaczyna się seria. Każdy podchodzi i wali na odlew.

- Wstawaj.

Trzeba przyznać oskarżonemu przynajmniej jedną zaletę, jest wytrzymały. Opiera się o krzesło i udaje mu się na nim usiąść. Przód koszuli umazany jest krwią. Mordę ma jak surowy befszytk. Wargi, nos, łuki brwiowe, wszystko jest rozwalone i obficie krwawi.

Capone, zgodnie ze starą tradycją półświatka, proponuje nałożyć na niego karę.

- Dobry pomysł. Dawaj całą forszę.

Wstaje z trudem i wyciąga z tylnej kieszeni portfel z paroma banknotami, które wyciąga w moim kierunku rozłożone w wachlarz. Każę mu ściągnąć ła chy. Kopniaki pozostawiły ślady na jego piersi i na nogach. Poza tymi czerwonymi plamami jest cały biały.

- Capone. Przeszukaj mi to.

Capone podchodzi do kupki ła chów i krzywi się.

- Śmierdzi. Za często to ty się nie myjesz, śmierdzielu.

Najpierw znajduje nóż i chowa go do kieszeni. Następnie odkrywa gruby plik banknotów w zaszytej kieszeni z tyłu spodni. Krzyczę do Cygana:

- Skarpetki!

Pod każdą stopą ma niezłą paczuszkę papierów. Capone przynosi mi wszystko. Jest tu trzy tysiące dolarów, z czego rzucam Cyganowi trzysta, żeby miał za co wrócić do Europy. Pozbierał już swoje ubranie i przyciska je do piersi.

- Dajesz spokój Włochom. Więcej się z nimi nie spotykasz. Potakuje ruchem potłuczonej głowy i podnosi pieniądze.

- Jeśli cię jeszcze raz spotkam na pustyni albo dalej na południe, załatwię cię. Jasne? Z trudnością wykrztusza, że zrozumiał. Następnie ubiera się i odchodzi.

Dwa dni później dowiedziałem się, że został aresztowany za jakieś inne świństwo. Mógłbym uruchomić swoje znajomości, ale tym razem nie kiwnę palcem.

Epizod ten rozbawił mnie, a moi ludzie zareagowali prawidłowo. To prości ludzie, o prostych rozrywkach. Zaczynają czuć się na pustyni swobodnie. Zdaję sobie z tego sprawę, wracając ze spaceru z Samuelem Grapowitsem.

Jos, Capone i Indianin szpanują właśnie, zgrywając twardziel! pustyni, przed pięcioma młodymi długowłosymi.

- I co, mały, chciałbyś przejechać się przez pustynię?

Przyjemnie widzieć kontrast między tymi młodziutkimi, choć w tym samym wieku co ja, turystami a moimi trzema pracownikami o szerokich barach i spalonej słońcem skórze, zachowującymi kamienną twarz, z petem przyklejonym do warg.

- Charlie, chłopcy chcieliby pojechać na ciężarówce, jak Arabowie.

Afrykańscy pasażerowie schodzą się od czasu naszego przyjazdu do Adraru i usadawiają na naczepach. Rozłokowaniem ich zajmują się Kara i Wallid. Wiedzą, że nigdy nie odmawiam i że w moich konwojach przejazd jest za darmo. Zawsze wieziemy około pięćdziesięciu osób, dla których ciężarówka to jedyny środek lokomocji.

Turyści sprawiają najwięcej kłopotu. Zawsze chętnie spotykałem ludzi lubiących podróże, ale od paru lat widuję w Afryce tylko szmaciarzy. Szanuję tych, którzy jadą szukać przygody, ale ci są inni. Skąpi, smutni, przechodzą koło prawdziwych przyjemności nie dostrzegając ich, starając się za wszelką cenę trochę zaoszczędzić. Ci, których woziłem swoimi konwojami, stosują tę samą taktykę.

- Dla pozorów pomachają trochę szczotką, po czym znikają na czas przejazdu. Nigdy w niczym nie pomogą i sprawiają tylko kłopoty. Po każdym konwoju obiecuję sobie, że więcej ich nie zabiorę, ale teraz znowu wspomnienie Miguela, hidalgo z trąbką, każe mi zmienić postanowienie.

Przedstawiciel tamtych pięciu podchodzi do mnie i oświadcza, że mam piękny konwój, po czym pyta, dokąd jadę.

- Wsiadajcie wszyscy na którąś naczepę i żebym nie widział was na dole, zanim nie będziecie potrzebni, to znaczy, kiedy się was zawoła do roboty.

- Dziękuję. Ale jeśli będziemy pracować, to dasz nam zniżkę za Przejazd, co?

Na tym konwoju zarobię czterysta tysięcy dolarów, a ten mi tu zawraca dupę targowaniem się o pięć przejazdów po trzysta franków.

- To jest za darmo, frajerze. Jazda, włączyć na górę!

Tego samego wieczoru postanawiam, że dosyć tego. Rabah najwyraźniej nie zamierza się ruszyć. Upozoruję wyjazd i ukryję się w Reggane. Ajudžil zawiadomi mnie, kiedy ten kurewski celnik wreszcie wychyli nosa ze swojej dziury.

Wołam Josa i przekazuję mu polecenie wyjazdu. Składanie sprzętu przeciąga się. Przyspieszam robotę głośnym wrzaskiem. W niecałe piętnaście minut później wyjeżdżamy. Kara i Ahmed siadają ze mną. Pozostali pomocnicy jadą na naczepie. Pędzę wyboistym szlakiem do Reggane. W lusterku widzę za sobą sznur świateł. Dojeżdżamy bez kłopotów w niecałe cztery godziny, w środku nocy, zatrzymawszy się parę razy po drodze, żeby uzupełnić zapas suchego drewna.

Pierwszego dnia kazałem całkowicie wyładować małego mana. Chcę złożyć na nim towary przewidziane dla Ajudżila. Odwiedzam facetów z obrony cywilnej, którzy dają

zezwolenie na przejazd Tanezruftu. Znamy się dobrze od dawna. Na zewnątrz moi ludzie pocą się w upale, przenosząc graty zamówione przez Ajudżila. Nie licząc silnika do ciężarówki, który swoje waży, jest tu kilka silników do samochodów osobowych i mnóstwo części metalowych, opon i innych świństw. W sumie daje to dobrych dziesięć ton do przeniesienia z jednej ciężarówki na drugą.

Około piątej po południu, kiedy temperatura zaczyna spadać, załadunek mana zostaje zakończony. Wszyscy rzucają się na picie, a potem sješta. Pozwalam im trochę pospać, po czym każę ustawić ciężarówki w koło, i nakazuję, by odtąd było tak na każdym postoju. Manewrowanie zajmuje trzy kwadranse. Ryk silników i westchnienia pneumatycznych hamulców urozmaicają nieco zakończenie dnia. Wozy jeżdżą w kółko i przecinają sobie drogę, a ja, siedząc na murku, napawam się tym ruchomym przedstawieniem.

Wyruszamy o północy. Jacky siadł za kierownicą mana. Kara jedzie z nami. Wracamy w kierunku Adraru, ale po dwudziestu kilometrach zjeżdżamy ze szlaku, wybierając węższą drogę. Dziesięć kilometrów dalej Kara wrzeszczy:

- Piasek! Piasek!

Tuż przed nami w poprzek szlaku leży szeroka ławica miążkiego piasku. Potężny i sterowny mań, który jest jednym z najłżejszych pojazdów konwoju, przejeżdża bez trudności. Jeszcze pięć kilometrów i jesteśmy w umówionym miejscu. Jacky wyłącza silnik. Noc jest jasna, granatowa. Czekamy dwie godziny, zanim w oddali daje się słyszeć zbliżający się odgłos silnika. Jeszcze dziesięć minut i Jacky trąca mnie łokciem.

- Tam.

Po prawej zapaliły się dwa reflektory, które natychmiast gasną. Powtarza się to trzy razy, to Ajudżil. Jacky ustawia wóz w tamtym kierunku i odpowiada. Ajudżil przyjechał z kilkunastoma pracownikami, mają sześć peugeotów 404 z plandekami. Jego ludzie natychmiast biorą się za przeładunek. Kara zapala swoje małe ognisko i szykuje herbatę, po czym idzie pomóc pozostałym. Jacky, Ajudżil i ja palimy cepsi i skręty przy ogniu. Przywiozłem też ze sobą butelkę starego koniaku, za którym przepada Ajudżil. Pracownicy zsuwają silniki z ciężarówki na samochody po metalowej płycie. Podobnie jak my, instynktownie mówią szeptem. Tak naprawdę nie ma takiej potrzeby, choć na pustyni najdrobniejszy dźwięk niesie daleko, ale ten przemycniczy nastrój każe nam zniżyć głos.

Wszystko jest załatwione po trzech godzinach. Ajudżil płaci mi resztę tego, co mi był winien. Potwierdza mi też, że przyśle kogoś z wiadomością, kiedy tylko Rabah wyjedzie. Peugeoty znikają w ciemnościach.

Reggane, drugi dzień. Bezczyenne oczekiwanie to żadna przyjemność. Akurat jest czas na małe ćwiczenia dla moich ludzi. Relaks, zgoda. Ale rozprężenie - w żadnym wypadku.

Jak zwykle słońce stoi wysoko i grzeje mocno, idealna pogoda na plażowe zabawy. Zarządzam, żeby Kara załadował na mana łopaty i dodatkowe podkłady, po czym załadowuję wszystkich na ciężarówkę. Trzymają się jak potrafią, kiedy pełnym gazem jadę po wybojach. Kiedy dojeżdżam do piaszczystej ławicy, znalezionej w nocy, dodaję gazu i skręcam w prawo.

Koła zagrzebują się natychmiast. Zmieniam bieg. Szybkość spada. Dochodzę do jedynki. W ciężarówce pierwszy bieg nie jest tak mocny jak w samochodzie osobowym. Na ogół wrzucenie jedynki to początek grzęźnięcia w piachu, toteż najczęściej bardziej opłaca się jak najdłużej wlec się na dwójce, bo zachowuje się wtedy jakąś szansę mozolnego przejechania przez miękki odcinek. Czas potrzebny na zmianę biegu Jest w ciężarówce zbyt długi, biorąc pod uwagę, że jak małą szybkością jedzie się przez mialki piasek, nie sposób nie zatrzymać się na chwilę, na czas wysprzęglenia i wrzucenia niższego biegu. Ta chwila psuje wszystko. Pozbawia wóz resztek rozpędu, jaki jeszcze miał, i nie można już ruszyć z miejsca. Dodaję jeszcze gazu, żeby dobrze zagrzebać tylny most w piachu, i wyskakuję z kabiny.

- Lekcja odpiaszczania. Biercie łopaty. Zdejmujcie podkłady. Reagują powoli.

- Podkłady!

Biegną i zdejmują blachy, ciężkie i niewygodne. Najlepiej nieść je nad głową, jak to robi Kara. Cała moja banda niezgułów ciągnie je po ziemi i ustawia się przede mną. Wspomagany przez Karę pokazuję im jak kopać, urządzać pochylnię przed kołem i umieszczać blachę. Lekcja pierwsza.

Odpiaszczanie ciężarówki to praca dużo trudniejsza niż w przypadku samochodu osobowego. Blachy są cięższe. Kiedy po wykorzystaniu zagłębione są w piasku, trzeba kopać, żeby je wyciągnąć. Ilość piachu do wygarnięcia sprzed kół jest dużo większa. Trzeba się zdrowo napocić, żeby uzyskać jakiś efekt. Człowiek kopie pochylony, a słońce grzeje mu w kark, a w dodatku, co dodaje całej sytuacji pieprzu, nie można wyłączyć silnika, bo w wyniku przegrzania mógłby nie chcieć ponownie zapalić, co ostatecznie unieruchomiłoby wóz. Toteż rura wydechowa bez przerwy pluje dymem prosto w twarz kopających.

Piecze w oczy i gardło. Nie sposób pracować bez zadyszki, a wtedy głęboko oddycha się spalinami. To prawdziwa gehenna.

- Lekcja druga!

Wszyscy stoją przede mną, jak na baczność, każdy z podkładem ustawionym pionowo.

- Widzicie ślady? Prowadzą prosto. Tego właśnie nie wolno robić. Jeśli czujecie, że wóz się zaryje, od razu skręćcie w lewo albo w prawo, żeby znaleźć twardszy teren. Jasne?

Kiwają głowami.

- Lekcja trzecia. Widzicie to koło i ile trzeba było wykopać, żeby wsunąć podkład: już głębiej zaryć się nie mogło. Jeżeli grzęźnicie w piachu, nie wolno naciskać gazu, bo to pograża wóz jeszcze bardziej. Jasne?

Wsiadam z powrotem i wrzucam bieg. Koła przesuwają blachy i wyginają je, ale przejeżdżam dobry metr, zanim ugrzęznę znowu. Wychylony przez okno wrzeszczę:

- Na co czekacie?! Podkładajcie blachy!

Rzucają się do roboty. Przejeżdżam ponownie parę metrów.

Widzę w lusterkach, jak się krzątają. Przesuwam się do przodu i czuję już twardszy grunt. Podłoże wydaje się twardsze po lewej. Wrzucam bieg i dodaję gazu, nie za szybko. Po stu pięćdziesięciu metrach wyjeżdżam z piachu. Zawracam na twardym i wsiadam.

Nadal stoją tam, gdzie stali. Zwołuję wszystkich głośnym rykiem. Z trudem biegną w moim kierunku. Indianin, zamiast nieść podkład na głowie, ciągnie go po ziemi, i dobiega ostatni, choć tak samo zdyszany.

- Ruszysz ty wreszcie dupą? Lekcja czwarta, kiedy czujecie, że koła nie grzęzną, jedziecie dalej, żeby wyjechać z niebezpiecznej strefy. Zatrzymujecie się dopiero na twardym. Pomocnicy wsiadają później. Lekcja piąta...

Wszyscy słuchają zaniepokojeni.

- Część praktyczna. Jos, twoja kolej.

Jos siada za kierownicą. Ja zajmuję miejsce pasażera, pozostali uczeplieni są gdzie się da. Grzęźniemy. Wrzeszcząc kieruję operacją, wychylony przez okno.

- Capone, twoja kolej.

Jest tak napięty, że wbrew zakazowi mocno wciska gaz.

- Kurwa jebana mać!

Próbuje przeproszać, ale nie pora na to. Wrzeszczę na niego.

- Nauczysz się rozumieć, i to szybko! Wracaj do podkładów, jak nie możesz prowadzić!

Wyrzucam go z ciężarówki, i każdy kolejno siada za kierownicą. Słońce grzeje. Naprawdę jest w zenicie. Chłopaki wykańczają się, biegając obok ciężarówki, z podkładami na głowach. Przejeżdżamy ławicę wzdłuż i wszerz.

- Capone, twoja kolej. Masz coś do nadrobienia. Reszta do podkładów.

Czarnuchy dają sobie radę bez kłopotu, zarówno przy podkładach, jak i w

prowadzeniu. To samo Jos i Albana. Pozostali nadążają biegnąc. Są wypruci.

- Można się napić?

- Nie mamy wody. Dobra, słuchajcie dalej.

Po raz kolejny tłumaczę im cztery podstawowe zasady odpiaszczania.

- Zrozumiano?

- Tak, Charlie, zrozumiano.

- Ćwiczenia praktyczne. Albana, twoja kolej.

I dalej w ławicę. Grzęźnicie, podkłady, grzęźnicie, podkłady, podkłady i bieg do ciężarówki.

- Samuel. Teraz ty.

O szóstej wieczorem ślaniają się na nogach. Kiedy już wszyscy odbyli swoje ćwiczenie praktyczne, zbieram ich przed sobą.

- Zrozumieliscie?

- Tak! O, tak, zrozumielismy, Charlie.

Są czerwoni, bez tchu. Nie daję im usiąść.

- Jos, cztery zasady? Recytuje.

- Samuel Grapowitz.

Ten już ma dość. Jest purpurowy i ledwo trzyma się na nogach. Recytuje mi swoją lekcję bez teatru, jednym ciągiem i bezbłędnie.

- Dobrze, stary. Wraca do szeregu.

- Capone.

- Ja zrozumiałem, Charlie, zapewniam cię.

- Więc do ciężarówki. Zobaczymy czy zrozumiałeś.

Udaje mu się ugrzęznąć, a potem wyjechać z ławicy. Dookoła ciężarówki pozostali pracują. Szybko podkładają swoje blachy. Jedyny słaby punkt to wolne tempo dobiegania do ciężarówki z podkładami na głowach. Ryczę, żeby się pośpieszyli.

- One, teraz ty.

Manewery wykonywane są teraz pewnie, bez wahania. Chłopaki działają mechanicznie, całkowicie wykończeni, i nie popełniają omyłek. Zapada noc.

Inne ćwiczenie. Odpiaszczanie w nocy.

Zasada jest ta sama, tylko że wokół wozu jest ciemno. Reflektory oświetlają teren przed ciężarówką, i nic innego. Zaleta: jest chłodniej. Przez okno wrzeszczę, żeby przyspieszyć robotę. Teraz grzęźniemy już we własnych śladach. Na całej ławicy nie zostało jedno dziewicze miejsce.

- Jean-Paul, twoja kolej.

Bieg, grzęźnięcie, łopaty, podkłady.

Ma już wprawę i udaje mu się wyjechać z ławicy nie grzęznąc powtórnie. Nieźle, ale jeśli oczekiwał gratulacji, musi być zawiedziony.

- Albana, włącz!

Ten dałby wszystko, żeby znajdować się gdzie indziej. Uczepiony kurczowo kierownicy za każdym przejazdem nawet nie ośmiela się na mnie spojrzeć.

- Indianin!

I dalej tak samo, i zaczynam od nowa. Każdy przechodzi swoją kolej raz, potem jeszcze raz. O dziesiątej wieczorem wysiadam z ciężarówki. Wszyscy zataczają się ze zmęczenia.

- Kończymy. Padają na ziemię.

- No, chłopaki, składajcie podkłady i włączcie na górę. Wracamy do obozu.

Mało przebywam w obozie. Mam jeszcze robotę. Mam klienta na ciągnik z naczepą w wiosce, składającej się z małego skupiska czerwonych domków, z dala od szlaku i od fortu policji. Mój klient to miejscowy hadzi. Jego dom podobny jest do pozostałych, czerwony, kwadratowy i prawie pusty. Zostaję tam aż do późnej nocy. Czas upłynął nam na rozmowach i targach, ale nie udało się dojść do porozumienia. Jak to się często zdarza, będzie potrzebna jeszcze jedna noc. W handlu pełno jest idiotów, którzy uważają, że zrobili dobry interes, jeżeli targowali się przez czterdzieści osiem godzin. Dla nich dyskusja to przyjemność, ale dla Europejczyka jest to ciężkie. Trudno, wrócę tam jutro.

Reggane, trzeci dzień. Piję kawę przyniesioną przez Capone'a, całego zaspanego. Mój brygadzysta nadchodzi nieco później, wygląda na bardziej wypoczętego.

- Jos. Dosyć mam już tego bałaganu w ładunkach. Dzisiaj inwentaryzacja i ułożcie wszystko.

Kiwa smutno głową i idzie przekazać wiadomość innym. Capone goli mnie i dołącza do innych.

Słońce już grzeje. Szykuje się piękny dzień. Upływa on na przenoszeniu żelastwa i opon. Bez przerwy chodzę z Jackym wśród krzątających się ludzi i tempo nie słabnie.

Wieczorem jadę ponownie do mojego hadziego.

Tym razem zabrałem ze sobą Jacky'ego i Samuela Grapowitza. Wiem już, że zejdzie mi cała noc, i nie mam ochoty się nudzić. Wszystko zaczyna się od początku. Wypalamy

kilka cepsi, po czym mój gospodarz częstuje nas wielbłądzim mlekiem i suszonymi daktylami.

- Wszystko w porządku, Charlie?

- Tak, doskonale.

- A rodzina, Charlie, zdrowa?

- Tak, hadzi, a twoja?

- Wszyscy zdrowi, dziękuję ci. Ualaj, Charlie, arbatasz, drogo.

- Hadzi, nie mogę opuścić.

- Wiem, Charlie, wiem. Chcesz posłuchać muzyki? Na ziemi stoi radio. Przysuwa je i znajduje zakłóconą stację, jak zwykle. Mam ochotę rozwalić mu odbiornik na głowie.

Wyglupiamy się z Jackym i Samuel Grapowitz opowiada mi jakieś historyjki o dupach, przy czym palimy cepsi za cepsi. Od czasu do czasu hadzi odzywa się.

- Jak rodzina, Charlie, w porządku?

- Tak, hadzi, a twoja?

- Dobrze, dziękujemy ci, Charlie. W jaki sposób mam twoim zdaniem zapłacić arbatasz milion (sto czterdzieści tysięcy franków)? To zbyt drogo.

- Nie mogę opuścić, hadzi.

- Wiem, wiem. Chcesz zapalić kif?

O ósmej rano, po całonocnej wymianie zdań, wstaję.

- Cena jest arbatasz milion, hadzi. Skoro nie możesz zapłacić, sprzedam komu innemu.

- Ualaj, ualaj, Charlie. Kupię twoją ciężarówkę. Kupię: Ale arbatasz milion to bardzo drogo.

Nie dostaję tej forsy za nic! Żeby ją zdobyć, potrzebowałem dwóch nocy walki. Po prostu sprzedaję wóz za cenę, którą wyznaczyłem sobie z góry.

- Kletasz milion, hadzi. Dla ciebie.

Daje mu to premię dwudziestu tysięcy franków. Co do mnie, mój zysk wynosi siedemset procent.

Chce kupić ciężarówkę tu, ale odebrać w Mali, żebym mu ją przewiózł tam i zarejestrował.

- Bądź gotów do wyjazdu, hadzi. Nie wiem, kiedy wyruszę. Mogę cię zawiadomić w każdej chwili, w ciągu najbliższych dni.

Nie mam już dla nich żadnej roboty. Pracownicy są beczynni. Koło wozu Capone'a

słysz: „Czekam!”, „Wchodzę!”, „Rypię!” itd. Co to ma znaczyć: „Rypię!”? Po południu jest jeszcze gorzej. Jos, Capone i Indianin wyciągnęli kule i grają, z papierowymi łódkami na głowach. Wydaje im się pewnie, że są na koloniach. Jacky i ja też trochę gramy. Dla nas kwestia „bliżej czy dalej?” nie jest problemem. Obaj chcemy bliżej. Po dziesięciu minutach tej kretyńskiej gry rzucamy kulami byle gdzie, z całej siły. Jeden z pomocników dostaje w kostkę, i porządnie go boli. Przestajemy.

Reggane, piąty dzień. Zabroniłem gier.

Kiedy przechodzę koło nich, chłopaki spuszczaają wzrok, żeby uniknąć mojego spojrzenia. Przez cały dzień drzemią. Ta bezczynność denerwuje mnie, łażę po obozowisku we wszystkie strony. Kiedy przechodzę koło ciężarówki Albany, któraś z owiec zakupionych w Adrarze popełnia błąd i beczy. Włażę na górę i wyrzucam trzy za burtę. Niewinne zwierzęta płacą za wszystkich.

Reggane, szósty dzień. Nadal łażę.

Obóz jest pusty. Aby nie znaleźć się na mojej drodze, chłopaki pochowały się gdzie popadnie. Jeden z turystów najwidoczniej nie zrozumiał powagi sytuacji. Bez mojego zezwolenia zszedł ze swojej naczepy, gdzie nieźle się muszą smażyć w tym słońcu, i podszedł do mnie, nieświadomy niczego.

- Dzień dobry, eee... Koledzy chcieliby się dowiedzieć, czy niedługo wyjedziemy?

Łapię kamień i chybiam o włos. Wycofuje się i biegnie do swojej ciężarówki. Gonię go. Drugi kamień uderza go w ramię. Skacze na koło wołając pomocy. Tamci z góry wyciągają do niego ręce. Jego wielka dupa kołysze się chwilę. Znika w momencie, kiedy już miałem złapać go za nogę i zrobić mu Bóg wie co.

Przez dłuższy czas wygrażam wściekle chodząc wzdłuż naczepy.

Następnego ranka nareszcie przyjeżdża pracownik Ajudzila i zawiadamia mnie, że Rabah wyjechał służbowo i że ma wrócić po południu. Ryczę z radości. Chłopaki wyłażą ze swoich kryjówek.

- Capone, Indianin. Ruszajcie. Wyjeżdżamy natychmiast. - I walę z całej siły Capone'a w plecy, co wywołuje uśmiech na wszystkich twarzach. Jeszcze jeden dzień i mogłoby się to dla nich wszystkich źle skończyć. Wyczuli to.

Wyjeżdżam z dwiema cysternami.

Przejeżdżamy odległość Reggane-Adrar w rekordowym czasie. W Adrarze Rabah

zostawił pompiarzom instrukcje. Jeden z nich absolutnie odmawia obsłużenia mnie. W drugiej pompie nie ma dość oleju napędowego, żeby napełnić obie cysterny. Wysyłam Indianina do Timimun i czekamy.

Zabiera mu to dużo czasu.

Jest druga po południu i jeśli Rabah teraz wróci, jestem załatwiony.

- Charlie. To on.

Rzeczywiście nadjeżdża jego cysterna. Indianin zatrzymuje się przy nas i podniesionym kciukiem sygnalizuje, że wszystko w porządku. Adrar-Reggane, nowy rekord. Zgodnie z moimi instrukcjami konwój gotów jest do wyjazdu, ciężarówki ustawione są rzędem na szlaku. Przed powrotem do swojej kabiny robię małą zbiórkę.

- Mamy pięćdziesiąt trudnych kilometrów przed dojechaniem do znakowanego szlaku. Trzymajcie się gęsiego, w jednej linii za mną, przez tych pięćdziesiąt kilosów. Może uda nam się uniknąć ugrzęźnięcia.

Potem będzie jeszcze pięćset pięćdziesiąt do Bordż-Moktar. Cały czas szlakiem.

Zdziwiłoby mnie, gdyby się udało bez problemów.

W lusterku widzę zatrzymaną cysternę Capone'a. One i Two są za mną. Nie jestem jeszcze na pewnym gruncie. Jadę dalej aż do twardej strefy, gdzie zatrzymuję się.

Wysiadam i idę zobaczyć. Capone nadal stoi, pięćset metrów z tyłu, ale wokół ciężarówki kręcą się pomocnicy. Stąd słysząc charakterystyczne wycie silnika na pełnych obrotach, w czasie próby wyjechania z dołka. Cysterna wyjeżdża za pierwszym razem. Daję Capone'owi znak, żeby dojechał do nas.

Po odpiaszczeniu pozostają dziury. Dochodzę do miejsca i kieruję dalszym przebiegiem operacji. Każda następna ciężarówka musi teraz objechać koleiny pozostawione przez Capone'a. Pomału wszyscy przejeżdżają, jeden po drugim. Ciężarówki kołyszą się na tym pofałdowanym terenie.

Chłopaki są spięci za kierownicą. Powietrze przesycane jest spalinami i pyłem. Wycie silników jest ogłuszające.

Następny utyka Albana. Pomocnicy natychmiast przystępują do roboty. Łopatami wykopują rowy, w które wsuwają podkłady. Przegrzane opony ślizgają się na blachach, wydzielając gęsty niebieski dym. Ciężarówka ślizga się w bok i pada. Wszystko trzeba zaczynać od nowa. Daję znak dwóm pozostałym, żeby przejechali z drugiej strony. Kiedy wreszcie wszyscy przejechali, szlak rozorany jest na całej szerokości.

Pięć kilometrów dalej wszystko zaczyna się od początku. Każę spuścić powietrze z

opon, bo ciężarówka dużo lepiej przejeżdża, kiedy ciśnienie w ogumieniu jest niskie, dzięki czemu opony szerzej przylegają do podłoża zwiększając powierzchnię nacisku. W ten sposób wóz mniej się pogrąża. Szkopuł w tym, że takie flaki niszczą się na twardym gruncie i po trzydziestu kilometrach trzeba będzie poświęcić trochę czasu na ponowne napompowanie. Pomocnicy kucają przy kołach, każdy ma w ręku gwóźdź, którym naciska na zawór. Od czasu do czasu ci, którzy są przy podwójnych kołach, przerywają wypuszczanie powietrza i porównują oba koła. Ci ludzie nie potrafią odczytać ciśnienia z manometru. Dla nich wskaźnikiem jest to, że obie opony nie mogą się dotykać, bo grozi to wybuchem.

Mimo wszystko zyskujemy niewiele. Na odcinku pięćdziesięciu kilometrów każdy kierowca grzęźnie raz albo dwa. Tylko Wallid, który ma duże doświadczenie w tego typu przykrych sytuacjach, wychodzi bez szwanku. Inni stopniowo poznają nowe techniki.

Wszystko zasadza się na koordynacji wysiłków. Kierowcy i pomocnicy szybko łapią rytm pracy. Łopaty, podkłady, gaz, ciężarówka jedzie i nieco dalej grzęźnie ponownie, i wszystko trzeba zaczynać od początku. Noc jest już blisko, kiedy dojeżdżamy do słupków, oznaczających koniec miążskiego piachu.

Teraz zaczyna się twarde podłoże. Setki śladów opon, przemierzających piasek na szerokości przynajmniej kilometra, są prawie niewidoczne. Udaje mi się mimo wszystko odnaleźć trzy czy cztery najbardziej wyjeżdżone. Są to rodzaje korytarzy, o szerokości ciężarówki, nieco jaśniejsze i twarde jak kamień, miejscami pokryte blachą falistą.

Pompujemy opony za pomocą butli ze sprężonym powietrzem do hamulców. Kara sprawdza ciśnienie, przechodząc od wozu do wozu.

Jadę jeszcze jakąś godzinkę, po czym naciskam klakson i skręcam, zataczając koło, w którym wszyscy ustawiają się na noc. Zatrzymują się jeden po drugim, wykonując manewr w sposób doskonały.

Przed zapadnięciem zmroku pomocnicy oddalają się na modły. Zabierają ze sobą swoje małe dywaniki, niekiedy są to owcze skóry, oraz wielkie czajniki lub pordzewiałe puszki po konserwach, które służą im do mycia się. Zatrzymują się o jakieś sto metrów dalej, obmywają się i zaczynają swoje pokłony. Barwy nieba o tej porze, pomarańczowe i granatowe, nagle cisza i widok tej grupy ludzi pogrążonych w modlitwie, wszystko to tworzy całość, z której emanuje doskonały spokój.

Dookoła naszego kręgu, utworzonego na wzór pionierów Dzikiego Zachodu, nie ma nic. Piaszczysta równina ciągnie się aż po horyzont. Szybko załatwiamy sprawy organizacyjne i kolacja przebiega w rozluźnionej atmosferze.

Moi ludzie są pod wrażeniem tej ogromnej otaczającej nas przestrzeni, a trudne chwile dzisiejszego ranka spodobały im się. Przejechaliśmy względnie szybko i to napawa ich otuchą. Pustynia już nie wydaje im się trudna. Nie wiedzą jeszcze, co ich czeka.

Na zewnątrz kręgu palą się jeszcze ogniska pomocników, a jeszcze dalej biwakują pasażerowie. Mój klient z Reggane, hadzi, który chce zarejestrować swoją ciężarówkę w Mali, dołączył do nas peugeotem 403. Jeden za drugim ludzie idą spać. Ja idę odwiedzić pomocników.

W nocy prawie nie śpią. Drzemią w ciągu dnia, czekając, aż będzie dla nich jakaś robota. Wystarcza im parę godzin nocnego snu. Korzystają z chłodu i spokoju, prowadzą długie rozmowy.

Siadam z Karą i paroma innymi. Te chwile spędzane w towarzystwie tych spokojnych facetów to jedna z moich przyjemności. Palę i puszczam w obieg parę skrętów, słuchając ich opowieści i odpowiadając na ich pytania. Dziś wieczór Kara mówi o jednej ze swoich podróży. Zna pustynię na pamięć i któregoś dnia zapuścił się aż do Oranu. Widział tam morze i tłumaczy pozostałym, co to jest. Najwyraźniej mają kłopoty ze zrozumieniem. Nie potrafią wyobrazić sobie dużej powierzchni wody. Kara wymachuje swoimi długimi rękami, poziomo, starając się przedstawić nieskończoność. Mówię im, że jest to jak Tanezruft, ale bez piasku, tylko niebieska woda. Powoli do naszej grupki dołączają inni pomocnicy i słuchają, jak wielki Kara opowiada o morzu.

Budzimy się ze świtem. Wczesnie rano jest prawie chłodno. Pomocnicy odmawiają pierwszą modlitwę dnia. Moi ludzie jedzą śniadanie. W szlafroku i wysokich butach siedzę czekając, aż Capone skończy mnie golić. Nie spieszę się. Pierwsze godziny afrykańskiego dnia to rozkosz. Jest akurat wystarczająco ciepło, by zapomnieć o chłodzie nocy i przygotować się do późniejszego upału.

Dla zabawy pytam chłopaków, w którym kierunku trzeba teraz jechać. Ustawiając się na noc zatoczyliśmy koło. Nie ma żadnych punktów odniesienia, poza śladami na szlaku. Ale w którym kierunku za nimi podążać? Capone rozgląda się na wszystkie strony mrucząc: „Coś takiego!”, tak samo zagubiony jak pozostali. W rzeczywistości wystarczy spojrzeć na słońce, ale żaden Europejczyk nigdy o tym nie pomyśli. Na szlaku częste są anegdoty o facetach, którzy po przebudzeniu ruszyli w drogę z powrotem. Mój mały kawał dał im odczuć, do jakiego stopnia są dezorientowani.

W momencie kiedy dochodzę do mojej ciężarówki, wydawszy polecenie odjazdu,

natykam się na zrozpaczonego Karę. Z szacunkiem odpowiada jednemu z pasażerów mojego wozu, staremu, ubranemu na białą facetowi, bardzo czystemu, z ogoloną głową. Ten zwyczajnie go opieprza.

- Czego od ciebie chce ten stary?

- On marabut, szefie. On bardzo się gniewa, wszystkie jego naczynia potłuczone.

- I co z tego?

- On mówi, to twoja wina. Niedobrze załadowane.

Ten będzie mi tu zawracał głowę jakimiś potłuczonymi naczyniami! Mówię do marabuta, żeby zabierał swoje rzeczy i złąził z wozu. Kara wybałusza szeroko oczy, ale tłumaczy. Stary nie wierzy własnym uszom.

Marabut to czarownik, osoba, która wzbudza lęk i szacunek. Mruczy coś, nie rozumiejąc. Nie zostawia się kogoś pośrodku Tanezruftu! Mam to gdzieś. Niech mu Allah pomoże.

Wśród ogólnej ciszy każę znieść jego rzeczy i daję rozkaz odjazdu. Stary stoi nieruchomo i wygląda, jakby nie wierzył.

W moim lusterku wstecznym biała nieruchoma sylwetka szybko znika w tumanie pyłu, jaki podnosi nasza kolumna. Czuję wśród pomocników zaskoczenie, niedowierzanie i lęk. Nigdy nie rozumiem, jak daleko może posunąć się moje szaleństwo. Jadę piętnaście kilometrów, zatrzymuję wozy i czekam pół godziny, zanim wreszcie zawracam. Ta lekcja powinna wystarczyć.

Stary nadal tkwi w miejscu, gdzie go zostawiłem, stoi nieruchomo. Zataczam szerokie koło wokół niego. Kara wysiada.

- Przetłumacz mu: tutaj jedynym, któremu wolno wrzeszczeć, jestem ja. Kara tłumaczy.

- Chcesz wsiąść z powrotem, stary?

Uśmiech starego rozciąga się od ucha do ucha. Widać ulgę, radość prostego człowieka: zostawiam go pośrodku pustyni, a on uśmiecha się do mnie, kiedy po niego zawracam.

- Ty rozumieć? Ty już nie krzyczeć?

Szeroki uśmiech. Twarz przepoławia mu się od prawej do lewej.

- Nie, proszę pana, już nie krzyczę, jestem grzeczny, zesrałem się ze strachu.

- Kara, ładuj jego rzeczy.

Ciężarówki jadą tyralierą. Pracujące na pełnych obrotach silniki słyszalne są zapewne

o kilometry stąd, o ile jest tam ktoś, żeby słuchać. Za konwojem wzbija się w górę ogromny tuman białego pyłu. Tworzymy nieregularną linię na całej szerokości szlaku. Karoserie lśnią w słońcu.

Na naczepach stopy towarów i tabuny ludzi, pasażerów i pomocników, wzmagają jeszcze wrażenie nadmiaru. Dwanaście potworów rozpędzonych na szlaku pożera piasek. Upajam się potęgą, jaka emanuje z tej małej armii pracy do przodu. Wszyscy odpowiadają na moje długie, wesołe trąbienie klaksonami. Nic nas nie powstrzyma, Doprowadzę wszystkich na drugi brzeg. Jacky i ja zgarniemy fortunę, która się nam należy.

W swojej norze celnik Rabah krztusi się pewnie z wściekłości. Myślał, że potrafi mnie powstrzymać. U pompiarza w Adrarze zostawiłem dla niego małą karteczkę. Ehsisz Fizokak, „mam cię w dupie”, celniku. I podpisałem. Celniku, celniku, wściekły jesteś, co? Charlie jeszcze raz cię wykołował.

Lubię tego Rabaha. On też jest częścią tej przygody.

Chłopaki trzymają się dobrze. Są zadowoleni, że są tutaj. Od czasu do czasu Capone podjeżdża do mojej ciężarówki i głośno trąbi albo posyła mi wielkie znaki ręką. Z naczepy na naczepę pokrzykują do siebie pomocnicy. Lubię ich. Dobrze zrobiłem, że zabrałem aż tylu.

Obok mnie Kara zasnął. To prawdziwy kumpel, prosty i inteligentny. Dobrze się o mnie troszczy. Co wieczór przygotowuje mi łóżko. Pomaga mi zdjąć buty i założyć szlafrok. Lubię go.

Ja wszystkich lubię.

Niedługo będę z Radijah, moją małą Tamachek. Mam wszystkie prezenty z listy, którą przygotowała swoją rączką uczennicy, na kratkowanym papierze. Mam również wszystkie prezenty dla jej ojca. Ożenię się z moją małą dziewczynką z pustyni, za kilka dni, w Tessaiicie. Nie chcę już dłużej czekać. W końcu ktoś mi ją zabierze, jeśli nie położę na niej łapy.

Jest uosobieniem czystości, której tak potrzebuję i której kobiety nigdy nie dają, chyba że kłamiąc. Tam, w Tessalicie, wszyscy czekają na to wesele. Podczas ostatniej podróży mały Murzynek podszedł do mnie jak do kolegi i z ważną miną powiedział mi, że moja narzeczona chodziła z nim do jednej klasy, to znaczy do pierwszej.

To jeszcze jedna z tych rzeczy, które zdarzają się niewielu ludziom.

Później, kiedy będzie już fizycznie gotowa mnie przyjąć, nauczę ją. A potem zawsze zapewnię jej należną księżniczkę pozycję.

Dwukrotnie długo naciskam klakson. Ciężarówki zwalniają. Konwój ustawia się gęsiego za mną, po czym staje. One i Two zajmują się olejem i wodą. Każę Capone'owi zatankować wozy ze swojej cysterny. Jestem w doskonałej formie i Samuel Grapowitz będzie ofiarą mojego dobrego humoru.

Na płaskiej jak stół pustyni nie ma mowy o znalezieniu osłoniętego od spojrzeń miejsca, żeby się wypróżnić. Bierze się ciężarówkę, odjeżdża dwieście metrów dalej i w normalnych warunkach ma się spokój.

Po obiedzie Samuel Grapowitz odjechał złożyć daninę naturze. Leżąc na piasku widzę, jak ustawia się za osłoną ciężarówki, jakieś sto metrów ode mnie.

Wyciągam z kabiny karabin na słonie Weatherby i kładę się na ziemi. Zaintrygowani ludzie otaczają mnie. Dzięki lunecie Zeissa broń jest niebywale dokładna. „Paczkę papierosów z odległości czterystu metrów”, powiedział mi sprzedawca.

Samuel Grapowitz kucnął, obok stoi niezbędna puszka po konserwach wypełniona wodą. Celuję w nią.

- Bang!

Puszka ulatuje w powietrze i widzę, jak para nóg, skrępowana spuszczonej spodniami, skacze w kierunku kabiny i znika.

Taka dokładność warta jest nieco wandalizmu dla idei. Nic złego się nie stanie. Drugi pocisk rozbija nieszczęsny reflektor, zamocowany na błotniku, trzeci niszczy jedno z bocznych lusterek, moim zdaniem zbędne na pustyni w przypadku kierowcy klasy Samuela Grapowitza.

Chłopaki są pod wrażeniem mocy, hałasu i celności tej wspaniałej broni. Jeżeli na mojej twarzy rozkwita uśmiech, to bynajmniej nie z dumy, nie ma tu mojej zasługi. Z taką lunetą i ślepy by trafił. Nie śmieję się myśląc o tym biednym Samuelu Grapowitzu, który być może nabawił się przeze mnie zaparcia na całe życie.

Kończymy tankowanie. Kierowcy, z rękami w kieszeniach, przyglądają się pracy pomocników. Gorąco im. Światło jest bardzo intensywne.

Lubię, kiedy słońce grzeje mocno, bezlitośnie. W przeciwieństwie do wielu Europejczyków nigdy mi nie przeszkadzało. Od dawna już nie czułem się tak dobrze i tak pełen energii.

W połowie dnia teren zmienia się. Z obu stron szlaku, w oddali, tworzą się jakby bardzo niskie wały z piasku. Dojeżdżamy do czterechsetnego kilometra. Miejscami pojawiają

się zagłębienia. Koleiny stają się wyraźniejsze.

Takie podłoże jest trudne, a może stać się niebezpieczne, gdzieś tam są ławice miążskiego piasku. Przy odpowiednim rozpędzie przejeżdża się bez problemu.

Wały piaskowe ciągną się jeden za drugim przez pięćdziesiąt kilometrów. Przed nami nadal twardy, jasny korytarz. Słońce tworzy na nim błyszczące plamy, bardzo daleko, na horyzoncie, wyglądają jak kałuże wody. Ławice miążskiego piasku są szare, kontrastując z pomarańczową pustynią. Jedziemy jeszcze godzinę, po czym nakazuję tworzyć krąg.

Urządzamy obozowisko. W tym momencie okazuje się, że brakuje jednej ciężarówki. Albana zaginął.

- Kara. Przygotuj mi herbatę.

Nie mam ochoty od razu psuć sobie tego pięknego dnia kłopotami. Chłopaki przychodzą czegoś się dowiedzieć. Oczywiście, nikt niczego nie zauważył. Kwitną przypuszczenia. Proszę o ciszę. Wypijam herbatę i podejmuję decyzję.

Jest kilka możliwości: jeżeli się zgubił, jesteśmy w gównie po uszy. Mógł zjechać ze szlaku gdziekolwiek, i nawet nie chcę myśleć o trudnościach organizacyjnych, jakie sprawić muszą poszukiwania. Korci, żeby go zostawić, ale z drugiej strony oznaczałoby to utratę jednej ciężarówki. Mógł też ugrzęznąć po osie, jeżeli źle przejechał przez jakąś ławicę. Wolę jednak sądzić, że po prostu miał awarię. W każdym razie zawraca dupę.

- Chotard, przygotuj peugeota 504, będziesz prowadzić.

Biorę też Josa, jedyne, który zna się trochę na mechanice, Karę, jakimś cudem znajdującego wyjścia ze wszystkich naszych pustynnych problemów, i Jacky'ego, który ma ochotę się przejechać.

Jedziemy dwadzieścia kilometrów z powrotem nie dostrzegając niczego. Noc jest jasna. Jeśli ciężarówka stoi na szlaku, nie możemy jej nie zauważyć... Trzydzieści, czterdzieści kilometrów...

Wkurwia mnie ten Albana. Co, nie mógł mieć tej awarii gdzieś bliżej obozu?

W miarę, jak jedziemy, dalej, zaczynam się niepokoić. Od naszego ostatniego postoju wodno-olejowego zrobiliśmy tylko osiemdziesiąt kilometrów. Wtedy jeszcze z nami był. Dobrze pamiętam, że widziałem tę jego parszywą mordę. Dotąd zrobiliśmy sześćdziesiąt. Jeżeli po dwudziestu kilometrach nadal się nie zjawi, oznaczać to będzie katastrofę. To znaczy, że zgubił się gdzieś na pustyni.

- Chotard, ile na liczniku?

- Mniej więcej siedemdziesiąt pięć.

- Skurwiel!

Parę minut później Kara wskazuje na ciemną sylwetkę. To ciężarówka. Nareszcie. Ten kretyn nawet nie pomyślał, żeby zapalić światła jako drogowskaz. Najwyraźniej nie ruszył się od czasu naszego ostatniego postoju.

Samochód jeszcze nie zatrzymał się całkowicie, kiedy wyskakuję.

- I co?

Albana, który wyszedł mi na spotkanie, cofa się o krok.

- To nie moja wina.

- Zobaczymy. Co się stało.

- Koło się zablokowało. Nie wiem dlaczego.

Kara dowiaduje się więcej od jednego z pomocników. Z niewiadomych przyczyn wcisnął się hamulec i nie daje się odblokować. Zamiast od razu się zatrzymać, Albana pojechał dalej, w wyniku czego złamała się płośka. Zwracam się ku niemu, a on cały kurczy się pod moim spojrzeniem.

Jos, po obejrzeniu wozu, jest mniej kategoriyczny. Jego zdaniem płośka mogła pęknąć sama, blokując koło. Albana uratował głowę, ale jest nadal straszliwie zaniepokojony. Wie, że jego los związany jest z losem wozu, i że nie przepadam za nim.

- Możesz to zdemontować, Jos?

- Zdemontować tak, to proste. Ale potem złożyć z powrotem...

- Zobaczymy. Zaczynaj od razu.

Koło zdejmują szybko. Pod tylną oś wstawili lewarek, po czym trzeba było odkopać oponę, żeby wyciągnąć koło. Wszystko jest pordzewiałe i Jos musi walczyć z nakrętkami, zanim udaje mu się wyciągnąć płoškę.

Jest to długi metalowy pręt, z kołem zębatym na końcu, a właściwie z czymś, co kiedyś nim było, bo wszystkie zęby ma starte. Jos przeciera ręce piaskiem, żeby pozbyć się smaru.

- Faktycznie pękła. Nic się nie da zrobić, nadaje się tylko do wyrzucenia.

Kurwa. Zapada chwila ciszy. Każdy myśli o konsekwencjach tej awarii. Szary ze strachu Albana poci się wielkimi kroplami. Ale Jos, przyglądający się złamanej części, mówi mi w zamyśleniu:

- Zastanawiam się, czy nie widziałem czegoś takiego w ładunku. Zdaje się, że widziałem trochę takich części.

- Jesteś pewien?

- Że są takie same, nie. Ale na pewno są to płoški. Są w ciężarówce Jacky'ego i

łatwo można się do nich dostać.

To dobra wiadomość.

- Chotard. Wracaj do obozu. Znajdź te części i weź po sztuce każdego rodzaju, na wszelki wypadek. Zabierz prowiant dla trzech osób na miesiąc, na wypadek gdyby nie udało się naprawić.

Na te słowa mina Albany wydłuża się jeszcze bardziej. Zbiera się na odwagę:

- Chyba mnie tu nie zostawisz?

- A dlaczego nie? Znasz zasady. Co ja powiedziałem przed wyjazdem?

- Tak, ale...

- Powiedziałem, że każdy odpowiada za swoją ciężarówkę i że zostanie z nią, gdzie by to nie było, aż do sprzedaży. Nie powiedziałem tego?

- Owszem, ale...

- Więc czego mi zawracasz głowę? Chyba się tego spodziewałeś, nie?

- Ale Charlie, ja nie znam pustyni. Pomocnicy już prędeją. Oni mogą zostać, są przyzwyczajeni.

- Zostaniesz tutaj. W ten sposób będziesz miał czas, żeby pomodlić się do Allacha. Coś mi się zdaje, że niezupełnie jesteś wobec niego w porządku. Widzisz, jak się wszystko dobrze składa!

- Ale...

- Zamknij się! Teraz dosyć już tego. Powiedziałem, że zostaniesz i zostaniesz, aż do chwili, kiedy znajdę jakieś rozwiązanie. I nie waż mi się stąd odchodzić, zostawię instrukcje celnikom w Bordż-Moktar, żeby cię przytrzymali, gdybyś próbował przejść do Mali. A teraz stul pysk, jeśli nie chcesz, żebym cię przywiązał do wozu. Idź i pomóż Josowi.

Ten ostatni wrócił pod ciężarówkę, żeby odblokować szczękę hamulca.

Chotard wraca dwie i pół godziny później, podczas gdy mój mały zespół nadal pławi się w smarach. Jos ma uwalaną nawet twarz. Pod okiem Albany, który wstrzymuje oddech, Chotard wyciąga z bagażnika pięć długich metalowych rur. Jos porównuje je po kolei do złamanej półości. Patrzy na mnie, po czym spogląda na Albanę z małym uśmieszkiem.

- Jest dobra.

Westchnienie ulgi Albany słyszać było chyba nawet w obozie.

Naprawa, długa i żmudna, trwa wiele godzin. W środku nocy słyszymy, jak od północy zbliża się warkot silnika. Słysząc go przez dobry kwadrans, po czym w dali na szlaku przejeżdża ciężarówka. Z tyłu można dostrzec sylwetkę załadowanego samochodu. To dwaj

faceci z Grenoble, którzy nie chcieli mi sprzedać swoich wozów w Adrarze. Musieli mieć jakieś problemy, inaczej przejechaliby już dawno.

No cóż, to dobrze się składa. Będę mógł się do nich dostać od razu.

Jos uwolnił szczękę hamulca. Ma trudności z założeniem nowej płośli. Musi wejść w ściśle określonym położeniu, a niełatwo je znaleźć. W końcu woła mnie.

- Już, Charlie.

- Wspaniale! Dobra robota!

Jest zadowolony. Albana jeszcze bardziej, bo był już w rozpacz. Pomocnicy z powrotem zakładają koła, ale pojawia się nowy problem. Żeby odkopać tamto koło, zrobiliśmy taką dziurę, że ciężarówka Albany już nie tyle ugrzęzła, co zapadła się w ziemię. Koła ślizgają się i w żaden sposób nie mogą wyjechać. Podkłady są zupełnie nieprzydatne. Koła przesuwają się tylko i wyginają, ale nie znajdują oparcia. Znowu tracimy czas, podczas gdy mnie bardzo teraz pilno do Bordż-Moktar. Wrzeszczę, opieprzam pomocników i Albanę. Wykopują od strony dziury łagodny stok. Wreszcie ciężarówka wyjeżdża. Teraz osiemdziesiąt kilometrów z powrotem do obozu. Wstaje dzień. Ogłaszam, że natychmiast wyjeżdżamy i w alarmowym tempie każę wszystko zwijać. I jedziemy.

Znowu twarde podłoże, płaskie i monotonne. Wkrótce przejeżdżamy Bidon V. Okolica ta zawsze przypomina mi moje cierpienia w czasie pierwszych przejazdów, kiedy miałem zablokowane nerki. Kiedyś spędziłem kilka godzin w jednym z tych małych hangarów.

Na każdym przejeździe przeklinałem się za to, że nie wziąłem ze sobą ampulek morfiny. Potem w Niamey było już mi lepiej i zapomniałem. W Europie, daleko od bólu, nigdy niczego nie przygotowywałem. Rezultat: za każdym razem gehenna. Teraz mam ze sobą wszystko, co trzeba, ale nigdy tego nie używam. Chociaż tego nie lubię, narzuciłem sobie zasadę, by pić dużo wody, i unikałem w ten sposób nowych ataków.

Dzisiaj niebo jest lekko zamglone. Jest nadal równie gorąco, ale światło mniej razi w oczy. Mam nadzieję dojechać do Bordż-Moktar po południu.

Ale nie będę tam przed wieczorem.

W odległości sześćdziesięciu kilometrów od algierskiego punktu granicznego następuje opóźnienie. Już od wielu kilometrów widziałem na horyzoncie mały punkt bez obłoku pyłu. To jakiś zatrzymany pojazd. Im bardziej się zbliżam, tym jego kształt wydaje mi się dziwniejszy. Jest zbyt kwadratowy na ciężarówkę i zbyt duży na samochód. Pierwszy

domyśla się Kara.

- Wypadek, szefie.

Byłby to pierwszy wypadek, jaki widzę w Tanezrufcie, pośrodku równiny bez żadnych przeszkód. A jednak muszę pogodzić się z faktami, rzeczywiście leży tu na boku ciężarówka.

Dookoła porozsypywane są daktylę, które wyleciały z rozszarpanych worków, a przednia szyba jest roztrzaskana. W jaki sposób kierowca mógł się tu wywalić? Nigdy się tego nie dowiem.

W towarzystwie Kary podchodzę do grupki pasażerów, którzy są najwyraźniej w szoku. Wszystko dopiero co się rozegrało. Ludzie rozstępują się i widzę, że na ziemi leży człowiek. To kierowca. Algierczyk, którego wielokrotnie już widywałem. Jest paskudnie ranny. Twarz ma bladą i ciężko oddycha. Pod jego ręką piasek jest czerwony od krwi. Odchylam materiał i krzywię się. Nie jest to ładne. Przedramię ma otwarte złamanie. Z mięsa sterczy kość i krew tryska strumieniem. W ranie pełno piasku. Trzeba będzie działać szybko, żeby go uratować, bo na pustyni rany błyskawicznie zakażają się. Upał powoduje szybkie gnicie, w parę godzin, i śmierć jest nieunikniona. Uciszam pasażerów, którzy wszyscy zaczynają mówić jednocześnie. Nie licząc drobnych kontuzji, żaden nie wydaje się ranny.

Przede wszystkim najpilniejsze. Robię uciskowy opatrunek i zastrzyk z morfiny. Oprócz skrzyń z witaminami i aspiryną nie mamy w konwoju żadnych lekarstw ani apteczki.

- Chotard, załadujemy go do peugeot. Leć na gazie do Bordż-Moktar, zanim nie wykituje.

- Nie mogę, Charlie. Nie mogę znieść widoku krwi. Boję się, że zemdleję.

- Masz naprawdę wszystkie zalety. Capone, każ go załadować na moją ciężarówkę, ale ostrożnie, i połóż jakiś koc, żeby wszystkiego nie usmarował krwią. Chotard, jedź pierwszy i zawiadom pielęgniarza, że mamy ciężko rannego. Wallid, uda ci się podnieść ciężarówkę?

- Tak, za pomocą kabli da się to zrobić.

Podczas gdy Capone wspomagany przez trzech pomocników układa rannego w mojej kabinie, reszta zespołu bierze się do roboty.

Wyciągają nie wiadomo skąd kable i przywiązują je do wywróconej ciężarówki i do białego mercedesa Wallida, który powoli odjeżdża aż do chwili, kiedy kable są napięte. Wtedy wciska gaz. Mercedes wyje, tamten wóz chwieje się, unosi i całym ciężarem opada na koła.

Podczas gdy odłączają kable, każę wydać żywność i wodę dwóm pomocnikom z rozbitej ciężarówki. Znam właściciela, handlarza z Gao, z którym robiłem interesy;

zawiadomię go. Na razie pomocnicy, którzy nie umieją prowadzić, będą czekać na miejscu, przy ciężarówce. Może to potrwać kilka tygodni, ale nie są zaniepokojeni, są przyzwyczajeni do takich sytuacji. Pasażerowie rozmieszczają się na moich wozach, po czym na pełnym gazie jedziemy do Bordż-Moktar. Na blasze falistej pojękuje ranny. Trochę zwalням, ale musimy przecież jechać szybko, jeśli chcemy go uratować. Zresztą, niezależnie od szybkości, ciężarówka podskakuje na każdym wyboju. Znow zaczęła lecieć krew.

Kilka kilometrów dalej ranny zaczyna wyć. Ten leżący obok mnie biedak zaczyna mnie denerwować. Wydaje z siebie długie, przenikliwe jęki. Nic dla niego nie mogę zrobić na tej nierównej drodze.

Czemu nie cierpi w milczeniu? Jego wrzaski, w połączeniu z brakiem snu, męczą mnie. Proszę Karę, żeby kazał mu milczeć. Nic z tego. Zdenerwowanie wpływa na mój sposób prowadzenia i najeżdżam prosto na wzgórek nieco większy niż inne. Podskakuję do sufitu, a Kara całym ciężarem spada na rannego, który wydaje ryk bólu. Rozwścieczony staję w miejscu, co wyrzuca ich obu na szybę.

Wyrzucam z kabiny wszystko, co mi wpadnie w rękę. Znajduję Przesyconą smarami szmatę i wciskam ją rannemu w usta.

- Połknij to i daj mi spokój.

Jego wzrok wyraża najwyższe przerażenie. Zapomina nawet o bólu.

- Kara, wytłumacz mu: rozumiem, że go boli, zgoda na ból, ale w ciszy. Milczeć! Kiedy krzyczy, nie mogę prowadzić.

I ruszam dalej, podczas gdy mój pomocnik tłumaczy. Pomiędzy jednym omdleniem a drugim ranny wydaje już teraz spod knebla tylko zduszone pomruki. Kara wymierza mu od czasu do czasu policzki, żeby go ocucić. Opatrunek jest źle założony i krew nadal płynie. Facet powoli wykrwawia się, i w końcu już nie ma siły, żeby krzyczeć. Przy każdej utracie przytomności Kara mierzy mu tętno, po czym kiwa głową na znak, że gość jeszcze żyje.

Noc już prawie zapadła, kiedy zajeżdżam pod budynek celników. Oczekuje mnie wojskowy pielęgniarz. Zabiera rannego, który szczęśliwym trafem jeszcze oddycha.

Ciężarówka facetów z Grenoble jeszcze tu jest. Dogoniłem ją, mimo straconego czasu.

Dawno już nie spałem. Jestem wykończony, zdenerwowany, ale mam jeszcze coś do zrobienia. Muszę jechać do malijskich celników. po drugiej stronie no man's landu, o sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. Ponieważ noc jest jasna, nie mogę obudzić celników algierskich. Zatrzymaliby mnie. Dwudziestu pomocników na zmianę popycha naszego peugeota, do którego wsiadłem z Jackym. Kiedy uznaję, że jesteśmy dostatecznie daleko

włączam silnik.

Przejazd zajmuje dwie godziny. Walcząc ze snem jadę na pełnym gazie, przy muzyce Rolliag Stonesów, ku utraپieniu małych skoczków, które pojawiają się w świetle reflektorów, skacząc jak małe kangury. Jacky podaje mi papierosa za papierosem, żeby utrzymać mnie na jawie. Nie rozmawiamy wiele.

Szlak zmienia się. Mamy teraz czarny żwir, znak, że niebawem wjedziemy w masyw Adraru Iforasów. Droga robi się węższa. Jest bardzo wyboista, pełno tu zakrętów i wzniesień.

Przejeżdżamy między dwoma czarnymi wzgórzami i jesteśmy w Tessalicie. Trzeba skrócić w wąską drogę w prawo, żeby dojechać do lepianki celników.

Budzę strażnika w szortach, który śpi na macie rozłożonej przed drzwiami.

- O! Dzień dobry, panie Charlie. Nie masz ciężarówek?

- Na razie nie, jadę z tyłu. Jest tu Cissoko?

- Nie, porucznik poszedł z kobietami. Przywiozłeś moje buty? I moją piłkę futbolową? Dasz mi je?

- Poczekaj trochę. Później, śpieszy mi się. Wiesz, gdzie jest porucznik?

Cissoko to szef posterunku. Jest mi całkowicie oddany. Od trzech lat poważnie zwiększam jego dochody i podniosłem jego poziom życia, nie licząc prezentów. Korzysta z mojej hojności i załatwia liczne kobiety w wiosce.

- Wiesz, w którym jest domu?

- Tak, panie Charlie, ja wiem.

Po obudzeniu połowy Tessalitu wreszcie znajdujemy porucznika Cissoko. Jest szczęśliwy, że mnie widzi. Przy okazji każdych moich, odwiedzin zarabia forszę.

- Mam dla ciebie robotę. Szeroki uśmiech.

- Co mam zrobić?

- Dwóch facetów jedzie tutaj ciężarówką. Przybłokuj ich, zabierz im paszporty i nie dopuść, żeby wyjechali, aż do mojego przyjazdu.

- A więc to łatwe.

- Ale tylko ich zatrzymaj. Żadnego bicia, żadnego więzienia. Nie zabierzesz im pieniędzy, niczego im nie ukradniesz.

- O! Więc to trudne.

- Dostaniesz peugeota 504, jeśli wszystko pójdzie dobrze, bez przemocy.

Jest zadowolony. Już od dawna obiecuję, że przywiozę mu samochód. Zapewnia mnie, że nie ma problemu. Powtarzam mu, że ma działać łagodnie.

- Obiecuję, przysięgam, bądź spokojny.

Mam być spokojny z tą chlubą malijskiej armii! Odbywa służbę w Tessalicie, w środku pustyni, za karę, a żeby zostać ukaranym w Mali, trzeba naprawdę na to zasłużyć. Ale sojuszników się nie wybiera. Jestem przynajmniej pewien jednego. Faceci z Grenoble nie pojedą dalej.

Mamy akurat tyle czasu, ile trzeba, żeby wrócić do Bordż-Moktar. Pędzę po wyboistym szlaku i wielokrotnie walimy głowami o sufit. Po trzydziestu kilometrach jesteśmy już na płaskim podłożu i teraz naprawdę przyśpieszam. Jak wszyscy tutaj, celnicy wstają wcześniej, żeby skorzystać z porannego chłodu. Niebo już jaśniej, kiedy dojeżdżamy w pobliże Bordż-Moktar, w samą porę.

Ponownie objeżdżam wioskę i stoję koło ciężarówek.

Teraz mam czas. Chcę tylko jednego, spać.

Mogłem pospać dłużej, ale przychodzą zawracać mi dupę.

- Charlie, kawaaaaa! Mam dla ciebie trzy dziewczynki! To Capone z jego kawałami.

Żeby sprawić mu przyjemność, udaję zainteresowanie. Nie ruszając się z pryczy pytam:

- Fajne czy balerony o niskim zawieszeniu?

- Ooch, może jest trochę niskie.

Cholerny Capone. Powinien podwyższyć nieco poziom swoich kawałów. Przez chwilę wyobrażam sobie, jak mógłby w rzeczywistości przedstawiać się widok trzech dziewczyn na pustyni, przy stopniach mojej ciężarówki. Byłoby to niezłe. Capone powtarza się.

- Chcą się z tobą widzieć.

- Dobra, Capone, robisz się nudny.

- Nie on jeden zresztą.

Do cholery! Naprawdę odpowiedział mi kobiecy głos, i to po francusku. Wkładam szlafrok, zeskakuję z pryczy. Otwieram drzwi: to nie kawał.

Rzeczywiście stoją na dole trzy dziewczyny, znieruchomiałe w milczącej dezaprobachie. Patrzę na nie i już żałuję, że zszedłem z pryczy. Jedna z nich jest jako tako znośna, trochę tłuścawa. Pozostałe to balerony o niskim zawieszeniu: gruba turystka model popularny, zaczerwieniona i mała, oraz mała brunetka, wysuszona i brzydka.

Już mnie nienawidzą i zabijają wzrokiem. Mój dobry humor prysł.

- Czego chcecie?

Mały pudel odpowiada kwaśno.

- Przede wszystkim trochę szacunku.

I zaczyna się feministyczna tyrada, rządy mężczyzn się skończyły, kobiety mają dość traktowania jak przedmioty, nie na darmo całe życie walczyła o zniesienie męskich przywilejów i pustynia nie jest miejscem, gdzie pozwoli się w ten sposób traktować. Co ja takiego zrobiłem? Z dobrego serca trochę żartuję, a traktuje się mnie jak ostatnią świnię.

Podczas tej gadki schodzę po stopniach i idę na tył wozu, żeby się odlać. Idzie za mną wydzierając się, całkowicie pochłonięta treścią swego przemówienia. Będę mógł wreszcie spokojnie się wysuszać czy nie? Zdaje sobie sprawę, co właśnie robię, i wycofuje się zaszokowana, nadal wydając swoje piskliwe dźwięki.

Wyzwolenie kobiet i wszystkie te rzeczy bardzo popieram. Gdyby tylko zechciały nie krzyczeć za każdym razem, kiedy do mnie mówią, i obrażać mnie pod pretekstem, że mówią do mężczyzn. Nie widzę nic złego w tym, że bronią swoich praw i swojej osobowości. Chętnie przyznam im swobodę myśli, ale mnie interesuje ich dupa.

Zauważyłem, że najbardziej wsiadają na człowieka te najbrzydsze, bo na nie nikt nie wsiada. Nienawidzą mężczyzn, bo nigdy żadnego nie mają. Właśnie mam przed sobą taki egzemplarz.

- No dobra, nie obudziłyście mnie, żeby zawracać mi dupę waszymi pretensjami. Czego chcecie?

- Mamy kłopot z amortyzatorem w naszym samochodzie, trzeba by go załadować na ciężarówkę. To dla nas jedyna możliwość wyjazdu stąd. Pan...

- Nie. Nie mogę.

- Ale...

- Niemożliwe.

To się tej małej nie podoba. Któregoś dnia odkryła, że myśli, i od tej pory zupełnie straciła głowę. Jeśli naprawdę czegoś nie lubi, to właśnie chamów w moim stylu. Przynajmniej tak o mnie myśli. Więc specjalnie jeszcze sobie dodaje:

- To niemożliwe, bo nie chcę żadnych samic w moich konwojach. Nie chcę, żeby jakieś dupy odwracały uwagę moich ludzi.

Zatyka ją. Jacky i Capone ślaniają się ze śmiechu. Nie powinna była zaczynać. Skoro traktuje mnie jak wroga swojej rasy, ja robię to samo.

- No już, zjeżdżajcie. Nie jesteście nawet ładne.

- Świnia.

Wybucham paskudnym śmiechem.

- Zamknij się. Capone, zabierz to stąd.

Odwracają się wszystkie trzy i wracają do swego samochodu, żółtego citroena 2CV, zaparkowanego nieco dalej. Po drodze pudel odwraca się, by posłać mi jeszcze ostatnie nienawistne spojrzenie. Czekałem na to, i kiedy odwraca się do mnie, mam już rękę wyciągniętą do przodu ze sterującym do góry palcem środkowym, w ostatnim pozdrowieniu.

Jak im wytłumaczyć, że nie z czystej złośliwości odesłałem je do diabła. Nie mogę przyjąć ich do zespołu mężczyzn. Kobiety mają tę właściwość, że ogłupiają. Gdybym je przyjął, wszyscy moi faceci zaczęliby prześcigać się w ukłonach, mając nadzieję, że uda się im którąś przerznąć. Nie ma nic głupszego niż facet w pozycji psa, i to mnie denerwuje. Skoro już reguluję rachunki, postanawiam wysadzić turystów zabranych w Adrarze. Przez te trzy dni ciągle tylko skarżyli się, i na ogół znikają, kiedy potrzebujemy ich pomocy. Tak czy inaczej, będą bezpieczniejsi tutaj niż jadąc dalej w moim konwoju.

Jacky nie zgadza się, żebym sam ich spędził z ich grzedy. Woli to załatwić po swojemu. Pozwalam mu działać i zamawiam u Capone'a kolejną kawę, żeby spokojnie zjeść śniadanie. Nic z tego, zaledwie zdążył przynieść parujący dzbanek, kiedy nadchodzą pasażerowie.

- Nie możecie nas zostawić pośrodku pustyni.

Najgrubszy, ten, który dostał kamieniem, trzyma się ostrożnie z tyłu. Mały blondynek płacze. Po policzkach cieką mu łzy. Co ja dziś takiego zrobiłem, żeby na to wszystko zasłużyć?

- Tutaj jest wioska, kretyni. Za parę dni będzie ktoś przejeżdżał i będziecie mogli dokończyć podróż na jego wozie. Jacky już wam powiedział, żebyście się wynosili, i ja wam mówię to samo. Nie zawracajcie mi głowy, spadajcie.

Rzecznik waha się. Patrzy na mnie, rozumie i odchodzi pociągając za sobą pozostałych.

Kawa ostygła.

Zrzucamy z naczepy Albany cztery owce, które padły w czasie jazdy. Wybieram pięć innych na obiad. Dobrze żarcie na nowo pogodzi mnie z życiem. Wokół ciężarówek zbierają się dzieciaki Tamacheków. Niektóre przychodzą powiedzieć dzień dobry i prosić o prezent. Pod kierownictwem Wallida moi ludzie rozdzielają puszek z mlekiem i długopisy. Tutejsze dzieci zawsze proszą o długopisy. Wyglądają coraz mizerniej, a na oczach siadają im muchy. Capone jest wzruszony i cały ranek spędza na rozdawaniu darów.

Wreszcie siadamy przy stole zaimprovizowanym wokół ogniska. Pomocnicy dostają swoją część. Dzieciaki zbliżają się i każę im rozdać wszystko, co zostało.

Chotard, który rano wyjechał z plikiem paszportów moich ludzi i pomocników, wraca z zaproszonym gościem.

To jeden z tutejszych policjantów. Prosiłem go parę razy o przysługę i zawsze wszystko załatwił bez gadania. Dziś on ma do mnie sprawę.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

Przełyka kawałek baraniny. To młody facet, w zawoju. Na południu algierscy funkcjonariusze nie noszą munduru. Jest na to za gorąco.

- Utknęły tu trzy kobiety. Chciałbym, żebyś je zabrał. Mógłbyś załadować ich samochód na jedną z twoich naczep.

- Nie. Poproś mnie o co zechcesz, ale nie o to!

- Charlie. Nie możesz mi odmówić. Znoszę je już od pięciu dni, zwłaszcza tę małą czarną. Charlie, znamy się od trzech lat, jesteś moim przyjacielem, musisz mi pomóc. Nigdy o nic cię nie prosiłem.

- Aż tak dają popalić?

Spojrzenie, które wznosi do nieba, mówi więcej niż jakakolwiek opowieść. Żeby zagubiony na pustyni Algierczyk chciał pozbyć się trzech kobiet, muszą to być wyjątkowe zdziury. Ale nie zrozumiałby, gdybym odmówił mu teraz pomocy, podczas gdy on zawsze załatwiał dla mnie sprawy. Jestem zmuszony się zgodzić.

Dlaczego ten facet musi przychodzić tu psuć mi obiad? Jacky też wstaje i opuszczamy towarzystwo. Było nam dobrze, jedliśmy sobie spokojnie baraninę, było przyjemnie ciepło. Mieliśmy spokój. Zawsze coś musi wszystko popsuć.

Medytując nad niesprawiedliwościami tego życia, idziemy przed siebie w milczeniu.

W ten sposób zbliżamy się do żółtego 2CV tych trzech wysuszonych na słońcu pizd, które, jestem tego pewien, zaraz wleżą nam na głowę.

Nie mam ochoty z nimi gadać. W milczeniu przyglądamy się, jak jedzą jakąś mało apetyczną breję. Są zażenowane. Zwłaszcza pudel zerka na nas spod oka, zawsze gotów do walki, i ona też łamie się pierwsza.

- Czego chcecie?

Robimy sobie skręta, nadal milcząc, i zapalamy. One zastanawiają się, po co tutaj przyszlismy.

- Zróbcie mi kawy.

Zaskoczenie. Pudel nie znajduje żadnej repliki. Czerwona przyrządza kawę.

Wyciągam wygodnie nogi i dorzucam:

- Lubię mocną.

Jest kawa. Wypijam i dziękuję. Są zdezorientowane. Jedyna rzecz, jaką zrozumiwały, to to, że nie należy mi się naprzykrzać.

- Zabiorę was.

Podnoszę rękę, żeby uciszyć potok podziękowań. Jeszcze nie skończyłem.

- Robię to wbrew sobie. Tamten gość ma już dosyć patrzenia na wasze mordy i nie może już was znieść. Jestem mu winien przysługę. Oddaję mu ją. To wszystko.

Doceniam nienawistne spojrzenie, jakie posyła mi pudel. To jedna z przyjemności tego życia, wzbudzać nienawiść.

- Ale nie życzę sobie, żebyście spały z moimi ludźmi. Pomimo dezaprobaty trzech tłustych, mówię dalej.

- Jesteście brzydkie, ale moi ludzie są na pustyni od kilku tygodni. To nadaje wartość waszym dupom. Macie władzę. Zrozumcie to i nie wykorzystujcie jej. Zostawcie moich ludzi w spokoju. Jasne?

Żadnej odpowiedzi, chyba nikt nigdy do nich tak nie mówił. Po tym ostrzeżeniu możemy przejść do spraw towarzyskich.

- To jest Jacky, a ja jestem Charlie.

Brunetka reaguje pierwsza. Nazywa się Yannick. Pudel nazywa się Domi, jest pielęgniarką. Zapomniałem imienia zaczerwienionej, kiedy tylko się przedstawiła. Mówię do Yannick, że będzie jechać ze mną. Jacky krzywi się, bo wybrałem najbardziej znośną. Każę im ładować rzeczy od razu i zabieram Yannick.

Po drodze pyta mnie, dlaczego ma jechać ze mną. Odpowiadam jej, że z całej trójki jest najmniej brzydka, i że w związku z tym jest normalne, że pojedzie ze mną.

Teraz trzeba zająć się pojazdem tych pań. Cały zespół zostaje zmobilizowany do załadunku 2CV na okrytą platformę. Stojąc na uboczu dziewczyny przyglądają się całej operacji. Trzydziestu pomocników wybranych spośród najsilniejszych przepchnęło samochód w pobliże platformy. Dwudziestu łapie go teraz ze wszystkich stron, natężają się i jednym ruchem podnoszą do góry. Pozostali wślizgują się pod spód, prostują i ostatecznie podnoszą wóz na wysokość platformy. Delikatnie stawiają na niej przednie koła, po czym równie delikatnie, wspinałym pchnięciem ramion, dosłownie wyrzucają wóz do przodu i 2CV spokojnie wjeżdża przodem pod stojący dalej ciągnik i zaklinowuje się tam, wśród głośnego zgrzytu blach. Opasujemy go jeszcze kablem i oto wóz jest zamocowany i gotów do drogi.

Pudel posuwa się do tego, że przychodzi do mnie skarżyć się, że „urwano” błotnik jej

samochodu. Posyłam ją do diabła.

Wieczorem po kolacji ostrzegam moich ludzi, by trzymali się z dala od dziewczyn. Wallid jest rozczarowany. Szybko wrócił mu apetyt na turystki po przygodzie, jaką miał z dziewczyną z Luksemburga w czasie mojej pierwszej podróży.

Jeden Samuel Grapowitz nie słucha mojego ostrzeżenia. Jest już w towarzystwie trzech samiczek i ostro smali do nich cholewki. Jutro przy pierwszej okazji zajmę się nim. Mam już nawet pewien pomysł.

Wieczór mija w spokoju. Moi ludzie są rozluźnieni. Wszyscy już przybrali pustynny wygląd. Głowy piratów, źle ogoleni, spaleni słońcem i pokryci pyłem. Proponuję pójście ze mną na herbatę do pomocników i większość idzie.

Kara siedzi przykucnięty przed ogniskiem, obok inni w tej samej pozycji, kolana zgięte, ręce zwisające ponad kolanami. Pytam, czy możemy się przyłączyć, i jest zachwycony.

Ahmed sprowadził innych pomocników i teraz herbata gotuje się na kilku ogniskach. Moje dzisiejsze odwiedziny mają określony cel, ale cierpliwie czekam.

Wiem, że sami zaczną o tym mówić.

Tamachekowie rozmawiają między sobą, po czym Kara zwraca się do mnie.

- Szefie...

Uśmiechy, pomocnicy kiwają się i śmieją się.

- Szefie, dziewczyny to turystki?

W Afryce to coś nowego, to pojawienie się turystów. Znają to słowo, nazwę tego nowego plemienia, ale nic to dla nich nie znaczy. Jak im wytłumaczyć? Jechać zobaczyć coś nowego, podróżować dla przyjemności, to pojęcia zbyt skomplikowane dla tutejszych ludzi. To bardzo prości ludzie. Znają tylko swoją okolicę. Dlatego właśnie zresztą wierzą we wszystko, co im mówię, i wykorzystuję to.

Wszyscy przybliżyli się, z uśmiechami na ustach. Oczy im błyszczą. U Murzynów widać zresztą głównie to. Wielkie oczy i zęby.

- Te dziewczyny, to niedobre.

- Niedobre.

Wszyscy potrząsają głowami. Uśmiechy poznikały. To niedobrze. Moje dwa czarnuchy też podeszły bliżej. Nadal mają na głowach swoje czapki, na których metalowe cyfry błyszczą w świetle ognia.

- Te dziewczyny są nic niewarte.

Wszyscy czekają teraz na wyjaśnienia. Nie mają pojęcia o kobiecie europejskiej. Ich własne albo chodzą z zasłoniętą twarzą, albo wycięto im łechtaczki, żeby nie zawracały głowy. Miłość po europejsku to dla nich abstrakcja. Oni rzną raz, szybko, na sucho, żeby zapewnić sobie potomstwo, to wszystko. W dodatku są szalenie pruderyjni. Nawet nie próbują dotknąć tego czegoś, co kobiety mają między nogami. Nie chcą wiedzieć, jak to wygląda. W tej sytuacji tłumaczę im posługując się gestami.

- Te dziewczyny...

Pokazuję: trzy. I wskazuję na miejsce, gdzie poszły spać.

- Te dziewczyny liżą sobie cipy.

- Liżą czipy?

- Nie. Wiecie, co to pochwa? Co kobiety mają tutaj? Pokazuję między nogami.

- Pochwa. Rozumiecie?

Kiwają głowami. Rysy mają napięte, oczy utkwione we mnie, twarze lśnią im w świetle płomieni.

Samuel Grapowitz wysuwa język i rusza nim, jakby coś lizał.

- One sobie... no... językiem, rozumiecie?

Cofają się nieco. Tłumaczą sobie coś w swoich dialektach. Patrzą jeden na drugiego. Nic nie rozumieją. Oni sami starają się nawet nie dotykać. Ustne pieszczoty to coś okropnego, coś absolutnie zabronionego. A w dodatku między kobietami!

- Kobiety, szefie? Kobiety razem?

- Tak. U nas, w naszym kraju, to się nazywa lesbijki.

- Lesbijki. Tak, szefie.

Moi ludzie zaczynają się uśmiechać, rozumieją, o co mi chodzi. Capone zdecydowanym ruchem potakuje głową i potwierdza na użytek Albany i moich dwóch czarnuchów, powtarzając moje gesty:

- Liżą sobie cipy, chłopie. Pomocnicy są zaskoczeni i przerażeni.

- I czekaj, jeszcze nie wiesz najgorszego. - Znów podchodzą bliżej i słuchają.

- Tu, między nogami, wiecie co mają? Nie. Nie wiedzą.

- Mają w pochwie zęby. W dziurze, zęby. - Pokazuję zęby i miejsce, w którym są.

- Jeśli jakiś facet spróbuje...

Wysuwam dłoń poziomo w powietrzu i uderzam w nią kantem drugiej jak nożem gilotyny.

- Klak!

Jacky podchwytuje tę myśl. Robi ten sam gest rękami i krzyczy:

- Klak!

Pomocnicy jak jeden mąż odskakują do tyłu, przerażeni. Krzyczą coś w swoim dialekcie, instynktownie zasłaniają się. Jacky krzyczy dalej.

- Klak! Klak!

Postępuje do przodu, a pomocnicy cofają się w panice. Teraz włącza się Capone:

- Tak, chłopaki, jedno machnięcie zębami i klak! Koniec! Teraz Jacky:

- Zęby są ostre, spiczaste, obcinają za pierwszym razem. Klak! Capone:

- Ale mają kły! Klak!

Samuel Grapowitz uśmiecha się ukradkiem. Na jego oczach znika cała konkurencja, ma nadzieję, że sam zostanie w szrankach i uwiedzie wszystkie dziewczyny.

Ludzie powoli uspokajają się. Pomocnicy rozmawiają między sobą. Albana czuje, że nadeszła jego pora. Ostatnio zrobił się bardzo dyskretny, cichy, ale teraz ma okazję pochwalić się swoją wiedzą. Wstaje, przybiera ważną minę i uczonym tonem oświadcza, że mamy rację. Był w Europie, widział, i to, co powiedziałem, to prawda. Ahmed wskazuje na niego palcem.

- Ty, Albana? Klak! Klak?

- Nie, widziałem to na filmach. Ja w Europie chodziłem do kina. Widziałem filmy.

I rozpoczyna tyradę po arabsku. Pozostali z powagą słuchają, zwłaszcza Tamachekowie. Opowiada im zapewne o religii, o nieczystych kobietach i takie rzeczy.

Po tym przedstawieniu jestem spokojny. Sami zrobią wszystko, żeby trzymać się z dala od dziewczyn. Pozostaje jeszcze Samuel Grapowitz. Trudno jest koledze zabronić się rżnąć, zwłaszcza Samuelowi Grapowitzowi, po piętnastu dniach na pustyni. Zrobię mu mały kawał, i sama myśl o tym pozwala mi zasnąć z uśmiechem na ustach.

Następnego dnia, kiedy nadchodzi pora wyruszenia do Tessalitu, Kara z trudem decyduje się wsiąść do kabiny. Yannick, nasza mała klakklak, przeraża go.

Bruneteczka osiadła między mną a Karą. Kątem oka popatruje na tego olbrzymia ubranego na niebiesko, który wszystko robi, żeby jej nie dotknąć, i widać, że jest nim zainteresowana. Próbowала nawiązać ze mną rozmowę, ale postanowiłem ją ignorować. Skoro żądam od moich ludzi, żeby nie dotykali, nie mogę teraz dać im złego przykładu. Szkoda. Dziś rano, kiedy wsiadała, powiedziałem jej tylko:

- Jak mówiłaś, że się nazywasz?

- Yannick.

Robi przy tym uroczą minkę.

- A tak, Yannick. Wsiadaj.

I dalej prowadzę w milczeniu. Mimo wszystko przybrałem korzystną pozycję w stylu „szef konwoju”. Ramiona proste, łokieć w oknie, spojrzenie skierowane w dal, jak w kinie. Od czasu do czasu lekkie napięcie mięśni, żeby dopełnić wrażenia, i... po prostu mam ją gdzieś. Będę ją ignorował. Nie interesuje mnie.

Widzisz, mała, jak cię ignoruję.

Miałem zamiar przejechać sto sześćdziesiąt kilometrów do Tessalitu jednym ciągiem, ale po drodze czekają na mnie interesy. Trzech ludzi w bubu, stojących koło peugeota 404 z plandeką, daje mi wielkie znaki ręką. To kupiec z San, małego, malijskiego miasta, jeden z moich dobrych klientów.

Przyjechał z południa, żeby się ze mną zobaczyć. Telegraf buszu raz jeszcze zadziałał. Wie, że nadjeżdżam, i chce pierwszy stanąć do negocjacji. Szybkość przekazywania informacji w krajach Trzeciego Świata zawsze będzie dla mnie tajemnicą.

Pocałunki, poklepywanie.

- Cześć, hadzi.

- Ualaj, Charlie, cieszę się, że cię widzę.

Badu Traure jest młody, ma około trzydziestki. To wysoki Murzyn w obowiązkowym niebieskim bubu. Ciemne okulary, złoty sygnet i zegarek to nieodłączne atrybuty bogactwa.

Przyjechał z dwoma pomocnikami, ubranymi w kolorowe bubu. Badu Traure klepie mnie po dłoniach, śmieje się, klepie mnie po plecach.

Jest przyjacielem tamtego hadziego, tego, który jedzie za mną peugeotem 403 od Reggane. Cieszą się ze spotkania i już gadają po arabsku. O czym mogą rozmawiać? Zapewne jakieś historyjki o hadzich.

Dołączył do nas Jacky, i zaczynamy interesy w cieniu pod plandeką.

- Chotaaard!

Będę potrzebował księgowego. Już dawno go nie widziałem. Właściwie co rano stawał do raportu, ale ponieważ nic do niego nie miałem, nie zwracałem na niego uwagi.

- Chotard, do cholery, gdzie się podziewałeś tyle czasu?

- Jak to... przecież jestem tutaj cały czas.

Spytałem go tak tylko, przyjaźnie, a on od razu się nastroszył.

- No dobra, mamy robotę, uważaj. Badu Traure rzuca się na niego.

- Księgowy. Jak zdrowie, księgowy?

Chotard nie cierpi spoufalania się. Nie wyciąga dłoni do poklepania. Spuszcza wzrok i chowa się za swoimi papierami.

Badu Traure chce dużo sprzętu. Ma wszystkie zalety dobrego handlowca. Jest wytrzymały, uparty, przebiegły i umie oszukiwać. Biznes zajmie nam trochę czasu.

- Abdulaj, robię interes, jeśli ciężarówki dobre.

Odpowiadam mu, że wszystkie moje ciężarówki są dobre, i wybucha śmiechem. Zwraca się do swojego pracownika:

- Słyszysz? Charlie przywozi tylko dobre ciężarówki. O tak! Dobre ciężarówki, Charlie ualaj.

Chyba pięć minut trwa napad śmiechu, który nim wstrząsa, zanim mogę dowiedzieć się, o co chodzi.

- Wiesz, jakie są twoje ciężarówki?

Opowiada mi epilog jednej z moich ostatnich transakcji. Jednemu facetowi z Severe, dalekiemu kuzynowi Badu Traure, sprzedałem małą, trzy i półtonową ciężarówkę. Ponieważ nie podobał mi się ten przecinek w dowodzie rejestracyjnym, zmieniłem ładowność na dziesięć ton i tak sprzedałem wóz.

Jak wszyscy Afrykanie mój klient pomyślał sobie, że skoro wóz może udźwignąć dziesięć ton, to wytrzyma i piętnaście. Załadował towar i podwozie złamało się.

Mówię do Badu Traure, że był to błąd księgowego w dokumentacji i że coś takiego jemu nie może się przytrafić.

- Wiem, Charlie. Ty jesteś dla mnie bratem. Mam do ciebie zaufanie. Jesteś przyjacielem.

Ponowne pocałunki. Klepanie po plecach. Nie przeszkadza to, że chce wszystko sprawdzić, ciężarówki i części zamienne. Zlecam Chotardowi sporządzenie inwentarza. Przez całe popołudnie chodzi po obozowisku z hadżim, jego pracownikami i Josem, który wyciąga sprzęt.

W piasku leżą tysiące małych kamyków, poza tym jest płasko i goło jak okiem sięgnąć. Jesteśmy o jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Tessalitu, pośrodku no man's landu.

Nasze trzy klakklaki usiadły sobie na uboczu, odrzucone przez wszystkich. Pomocnicy z daleka obchodzą to miejsce, żeby zaniechać się do nich nie zbliżać.

Samuel Grapowitz, wyprostowany i swobodny jak w eleganckim salonie, siedzi z nimi i rozmawia.

- Jacky, zauważyłeś?

- Tak, nie rozstaje się z nimi. Był tam już przy śniadaniu w Bordż.

- Słuchaj, nie chodzi o to, że to on, ale mam tego dość, kapujesz?

Mój plan jest prosty. Trzeba oderwać go od dziewczyn każąc mu przyjść do mnie na rozmowę. Kiedy będziemy sobie gadać, Jacky pójdzie do klaklaków i zapyta pielęgniarkę, czy ma penicylinę, tłumacząc jej, że to dla Samuela Grapowitza, i już będzie spalony do końca życia.

Samuel Grapowitz przybiega na wezwanie. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapuścić sobie czegoś, co ma udawać wąsy, naśladując Jacky'ego i mnie. Bez przerwy gładzi tych parę włosków dwoma palcami. Najwyraźniej jest wniebowzięty.

- Chciałeś się ze mną widzieć, Charlie? Jestem. Czym mogę służyć?

- Niczym, stary. Chciałem się dowiedzieć, czy wszystko w porządku, nic więcej. Podoba ci się pustynia?

- Cudowna.

- To świetnie, stary. Słuchaj, widziałem, że nieźle ci idzie z dziewczynami.

Aż podskakuje.

- Zauważyłeś. Widziałeś, nie? Widziałeś?

- To jasne, stary. Podobasz im się. Jak ty to robisz, żeby tak szybko dawać sobie radę z kobietami?

Promieniejąc z radości Samuel wygłasza egzaltowaną tyradę. Wyznaje mi, że te trzy dziewczyny to dla niego okazja, by odżyć.

- Rozumiesz, Charlie, seks to warunek równowagi ogólnej, rozumiesz?

Patrzę w kierunku klaklaków. Jacky właśnie do nich podszedł i rozmawiają. Obok mnie Samuel opowiada o miłości grupowej, o wymianie partnerów. W oddali pudel grzebie w swoim plecaku. Samuel Grapowitz głośno marzy, podczas gdy o dwadzieścia metrów dalej wspaniała przyszłość, która się przed nim otwiera, zostaje zniszczona jednym celnym kopniakiem.

- Samuel...

- Hmmm?

- Nie powinieneś zostawiać ich samych. W takim obozowisku to błąd, który może się zemścić. Wiesz, ilu facetów na nie czyha?

Kładzie mi rękę na ramieniu, drugą dłonią przygląda swoich parę włosków pod nosem.

- Masz rację, Charlie. Masz całkowitą rację. Idę, biegnę tam natychmiast. Nie może już ustać w miejscu.

- Czeka na mnie szczęście, Charlie, idę tam na-tych-miast! i biegnie ku katastrofie.

Jacky był nieco nadgorliwy. Zgodnie z umową powiedział dziewczynom, że Samuel Grapowitz ma syfa. Dodał, że dobrze mu tak, bo nie powinien był rznąć owiec. Mam niemal wyrzuty sumienia, kiedy pomyślę, że wysłałem go tam z powrotem.

Badu Traure ogląda części i ciężarówki. Korzystamy z tego z Jackym, by oddać się beczynności. Kara przyrządza nam herbatki. Jest w złym humorze. Zdaje się, że coś się nie układa wśród pomocników. Chyba były jakieś nieporozumienia. Nie mieszam się do tego.

Samuel Grapowitz też jest w złym humorze. Siada z nami. Bez słowa kolejno odmawia skręta, herbaty, kawy. Nie chce niczego. Jest rozczulający.

Jacky i ja palimy w milczeniu. Dopiero po godzinie Samuel Grapowitz otrząsa się ze stanu prostracji i oświadcza:

- Charlie, chcę wrócić do domu.

Wydajemy okrzyki zaskoczenia, mówimy, żeby został z nami, że fajnie się razem bawimy. Nie chce o niczym słyszeć.

- Dziś rano między tymi dziewczynami a mną była nić prawdziwego porozumienia. Zaczęliśmy się rozumieć. Wszystko zmierzało do doskonałego związku. A teraz się na mnie boczą, kiedy ja właśnie miałem pokazać im małego. I nazwały mnie zoofilem.

Wstaje, stoi chwilę i patrzy w ogień.

- Tak, męską świnią i zoofilem, tak powiedziały.

Ze spuszczoną głową idzie prosto przed siebie, powoli, jego rozpaczliwa sylwetka powoli maleje na tle pustyni.

Unikam dyskusji z Badu Traure. Rokowania będą trwały godzinę i wolę odłożyć to do jutra. Schroniliśmy się już z Jackym w kabinie, kiedy znów pojawia się Samuel Grapowitz.

Leżę na pryczy. Jacky robi skręta za skrętem. Samuel Grapowitz, siedząc na stopniach ciężarówki, lamentuje półgłosem. Od czasu do czasu słyszeć niepohamowany wybuch śmiechu Jacky'ego, jako tło. Regularnie dostaję nowego skręta.

- W Barcelonie... Zaczęło się w Barcelonie... Cewniki. A wszyscy inni rznęli się bez przerwy... Kleopatra... Miłość orientalna, rzeczywiście!... To вина Charliego... Zastrzyk... Marokanka...

Rano jeszcze tam siedzi, otoczony niedopałkami skrętów. Butelką po koniaku jest pusta. Jacky zasnął tam, gdzie siedział. Nadchodzi Capone z kawą. Trzeba będzie zabrać się do pracy.

Aż do drugiej po południu Chotard walczy z Badu Traure. Siedzę razem z nimi, ale ograniczam się do wyrażenia zgody względnie manifestowania swojej dezaprobaty. Hadzi chce kupić trzy ciężarówki, obie cysterny oraz biały ciągnik z naczepą, a także dużą ilość części. Dyskusja koncentruje się na alternatorach, wtryskiwaczach, uszczelkach głowicy, i nudzę się potwornie.

Traure uważa, że skoro kupuje hurtem ma prawo do niesłychanych cen. Chotard nie ustępuje. Zrobił duże postępy w targowaniu się. Pozwala Badu Traure śmiać się, jęczeć, płakać, aż ustalają sumę sześciuset tysięcy franków, płatnych we frankach francuskich i malijskich. Badu jest w stanie wypłacić mi natychmiast część we frankach malijskich, jako zaliczkę. Żeby mieć resztę pieniędzy, musi wrócić do domu. Umawiamy się, że spotkamy się w Gao. Pracownik w bubu przynosi nam torbę plastikową wypełnioną malijskimi banknotami i Chotard, wzdychając, zaczyna liczyć. Po trzech godzinach peugeot 404 odjeżdża w pustynię.

Kara jest wściekły. Jest uznanym wodzem Tamacheków. Pokłócił się z Yssoufem, pochodzącym z plemienia Bambara szefem czarnych pomocników, facetem o byczym karku. W czasie jazdy do Tessalitu mówi o zabójstwie. Proszę, żeby poczekał do końca konwoju. Z szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę wjeżdżamy w górskie wąwozy przed Tessalitem.

Powoli nasze potwory pokonują wzniesienie za wzniesieniem. Naczepy kołyszą się na boki. Wzbijamy za sobą obłoki czerwonego pyłu. Konwój przejeżdża między dwoma czarnymi wzgórzami i wprowadzam moje ciężarówki prosto do wioski.

Tessalit nie zmienił się. Nadal jest około setki glinianych domków. Cywilizację widać tylko u Amica. Jego wielka radziecka lodówka działa i zawsze wypełniona jest zimnym piwem, kiedy przyjeżdża mój konwój. Jest tu też ciężarówka facetów z Grenoble. Rodziny Tamacheków, słysząc ryk silników, siadają na progach domów. Ludzie machają mi na powitanie. Spłoszone kobiety zasłaniają twarze niebieskimi chustami.

Amico stoi w drzwiach i uśmiecha się. Przed sąsiednim domem czeka na mnie Radijah ze swoją rodziną. Ma na sobie długą białą tunikę, jaką noszą tutaj dzieci.

- Dzień dobry, kochanie.

Opuszcza swoje wielkie oczy, onieśmielona. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżam, zawsze potrzebuje trochę czasu, żeby z powrotem przyzwycząić się do mnie. Kiedy minie już ta pierwsza nieśmiałość, robi się cudowna. Negocjacje z jej ojcem są utrudnione, bo bardzo słabo mówi po francusku. W dodatku brak mu większości zębów, co nie poprawia jego wymowy.

Matka Radijah uczestniczy w rozmowie. Jest dużo młodsza od męża, zapewne ma mniej niż trzydzieści lat. Musiała kiedyś być bardzo piękna. Zgadza się, by ceremonia zaślubin odbyła się nazajutrz.

Następnego dnia, bardzo wcześnie, wyrzucamy padłe owce. Żywych zostało już tylko cztery. Każę uzupełnić zapas o dziesięć nowych, które kupuję u jednego z wieśniaków. Następnie pomocnicy zarzynają całe to stado według wszelkich reguł sztuki, podczas gdy inni, przy udziale mieszkańców Tessalitu, zapalają pośrodku wsi ogniska, pomiędzy rzędem ciężarówek a domami.

Siedzę na składanym fotelu przed drzwiami domu Amica, daję znak Karze i dwudziestu moich pomocników zanoszą do domu mego przyszłego teścia towary, stanowiące cenę za jego córkę.

Procesja zaczyna się od dywanów. Jest ich dziesięć i moi ludzie niosą je na ramionach po dwa. Z uroczystymi minami, wyprostowani jak struny, idą od ciężarówek do domu Radijah. Czterej następni równie uroczyście niosą na głowach skrzynie głów cukru, w postaci stożków owiniętych w niebieski papier. Dalej nadchodzą skrzynie z herbatą.

Następnie niosą mniej tradycyjne dary. Przynoszą mojemu teściowi pudła kartonowe pełne puszek konserw, mleka w proszku i ubrań.

W tyle, w głębi placu, pieką się owce. Cała ludność zebrała się wokół. Widzę wśród zebranych wszystkich znajomych. Jest tam Bayah, są obsypani orderami celnicy, miejscowy policjant, mechanicy z Grenoble, co najmniej równe zaskoczeni, jak moi kierowcy. Moi ludzie wnoszą teraz prezenty dla Radijah, perfumy, książki, i w końcu procesja kończy się ostatnim moim prezentem dla teścia, ogromnym radioodbiornikiem z magnetofonem kasetowym oraz skrzynką baterii.

Wówczas moja teściowa przyprowadza mi Radijah, która, po raz pierwszy w życiu, ma na sobie niebieską suknię, jaką noszą kobiety Tamachek. Siedzam ją koło siebie i ruchem ręki nakazuję, by zaczęły się uroczystości.

Zaproszona jest cała wioska. Baranina została poćwiartowana i rozdano kawałki mięsa. Amico dostarczył skrzynki z piwem, wielkie butelki flagu i sok pomarańczowy. Kursują też wśród ludzi bukłaki z doio, białym napojem alkoholowym z prosa. W uczenie bierze udział dwieście osób. Moi kierowcy otaczają mnie. Dostrzegam, że niektórzy kątem oka zerkają w stronę Radijah, która grzecznie siedzi koło mnie.

Natomiast klakklaki są najwyraźniej zgorszone i trzymają się na uboczu.

Każdy do woli czerpie w wielkich cebrzykach pełnych świeżych warzyw,

dostarczonych przez Amica. Później jemy owoce mango, a wreszcie podają kawę i herbatę. Oczy mojej małej księżniczki błyszczą z zadowolenia.

Cały ten tłumek po jedzeniu zaczyna drzemać. Radjah wróciła do domu na sjęstę. Kiedy wszyscy są już dobrze wypoczęci, wydaję długo oczekiwany rozkaz, by przygotować się do wyścigu. To zawody tradycyjnie rozgrywane wśród pracowników wszystkich moich konwojów, kiedy jesteśmy w Tessalicie.

Chodzi o to, by pomocnicy przebiegli odległość około 500 metrów wokół centralnego kopca, trzymając na głowach podkłady ponad dwumetrowej długości.

Faceci lubią mierzyć się między sobą i zachęca ich duża nagroda, którą ofiarowuję zwycięzcy. Zawsze wygrywał Kara. Startuje dwunastu pomocników. Jako wytrawni gracze wyścigów konnych, Capone i Indianin oceniają zawodników. Nie. posuwają się jednak do obejrzenia ich zębów.

Indianin nie lubi Murzynów. Któregoś dnia, na dobrym haju, mówi do mnie dumny ze swego odkrycia:

- Wiesz, Charlie, Murzyni zupełnie nie są tacy jak my.

- Tak?

- Jak dobrze się zastanowić, mają kolor gówna.

I odchodzi kiwając głową, a po dziesięciu minutach wraca.

- A najlepsze jest to, że na głowie mają włosy z dupy!

Nigdy się nie dowiem, czy się wygłupiał. Na razie jednak zapomina o swoim rasizmie i przyjmuje zakłady. Sam stawia tysiąc franków na Yssoufa, i Capone szybko idzie w jego ślady.

Fakt, że Yssouf wydaje się dużo silniejszy od Kary. Jest niski, i wygląda, jakby był pakietem mięśni, podczas gdy u Kary wszystko jest wydłużone. Ale Kara wygra, jestem pewien. Jest najlepszy, a poza tym to mój pomocnik. Capone patrzy na mnie z politowaniem.

Lubię spektakularne gesty, więc daję przeciwnikom Kary dziesięć metrów forów i przyjmuję zakłady pięć do jednego. Natychmiast Capone czuje w sobie powołanie trenera. Zawiązuje wokół szyi prawie białą serwetkę i każe Murzynowi robić różne ćwiczenia i ruchy gimnastyczne. Wali go po ramionach i każe zdumionym Murzynom Bambara masować mu plecy.

Zaskoczony Yssouf nic nie rozumie, ale pozwala na wszystko. Capone gra rolę gwiazdy i opowiada każdemu, kto chce go słuchać, że jego podopieczny jest nie do pokonania. Kiedy Murzyni przestali już masakrować mu plecy, zaciąga Yssoufa w jakiś kąt, żeby „pogadać o strategii” i opracować tajny plan rozegrania biegu.

Żeby nie pozostać w tyle, zabieram Karę do kawiarni Amica. Zapewnia mnie, że wygra. Kiedy zdejmuję z głowy swój niebieski zawój, po raz pierwszy zauważam, że ma siwe włosy.

- Ile masz lat. Kara?

- Nie wiem, szefie. W Aguelock, we wsi, mówią teraz stary Kara...

Nagle opada mnie zwątpienie. Zaryzykowałem dziesięć tysięcy stawiając je na starca.

- Ale wygrasz, co. Kara?

- Tak szefie. Yssouf, on jest za głupi.

Na dworze wszystko jak na niedzielnych wyścigach w Longchamp. Warunki zawodów są doskonałe. Słońce oświetla trybuny. Bieżnia jest dobra, bardzo sucha. W Tessalicie nie padało od piętnastu lat.

Na trybunie honorowej siedzimy z Radijah i Jackym, a u moich stóp leżą paczki forsy, przyciśnięte kamieniem. Pomocnicy i motłoch ustawieni są wzdłuż domów. Zawodnicy są gotowi, każdy ma swój podkład. Kara stoi dziesięć kroków za wszystkimi. Sygnał do startu ma dać Samuel Grapowitz. Bierze głęboki wdech, podnosi ręce i krzyczy:

- Ofiaruję zdjęcie pornograficzne zwycięzcy tych zawodów!

Zapada całkowita cisza, zmącona jedynie śmiechem Jacky'ego. Samuel Grapowitz odlicza:

- Raz! Dwa! Trzy, start, wszyscy biegną!

Ruszyli ile sił w nogach. Podkłady tańczą w powietrzu nad peletonem. Przed nimi okrążenie placu. Kara bez wysiłku dobił do peletonu, ale Yssouf biegnie szybko. O pięć kroków wyprzedza główną grupę zawodników, biegnących wzdłuż ciężarówek. Yssouf biegnie z rękami wyciągniętymi nad głową. Powiększa przewagę, za nim biegnie Ahmed. Tłum zaczyna falować, klaszcze w dłonie. Capone'a i Indianina ogarnia histeria.

- Dalej! Gazu! Gazuuuu! Tak!

- Bierz go! Bierz go! Bierz gooooo!

Pierwszy za wzgórzem znika Yssouf. Krzyki cichną. Capone patrzy na mnie z triumfem. Powinienem był kazać Jacky'emu schować się za kupą kamieni i walnąć czarnucha w łeb, żeby uchronić się od niespodzianek. To вина Kary. Jest za stary. Jest skończony.

Nadbiegają. Bambara jest na przedzie, ale Kara zaraz za nim. I przesuwa się do przodu. Każdy jego krok to dwa kroki Yssoufa. Biegnie jak rozpędzony pająk.

- Kara! Kara! Karrrrraaaaa!

Jacky jednocześnie ze mną podnosi się z miejsca.

- Karaaaaa!

Wyprzedza. Unosi się w powietrzu. Yssouf jest wykończony. W odległości dwudziestu metrów od mety wyprzedza go też Ahmed. Kara jak bolid przelatuje przede mną. Drugi Ahmed. Trzeci Yssouf.

Cholerny Kara! Inteligentnie pobiegł.

Idę pogratulować pomocnikom. Mój jest szczęśliwy, dumny z dobrze spełnionego obowiązku. Chotard wręcza mu wyznaczoną nagrodę, pięćset dinarów, co odpowiada połowie jego pensji. Ahmed dostaje dwieście dinarów.

Pogardliwym spojrzeniem miażdżę Capone'a i Indianina. Przeciagam przyjemność w czasie.

- Chotard, zapisz, że ci panowie są mi winni tysiąc franków. Stroszą się.

- Każdy...

Co za przyjemność widzieć, jak miny im się wydłużają.

- Do potrącenia z pensji.

Atmosfera uspokaja się. Ludzie się rozchodzą. Radjah nadal siedzi, wygląda jak z obrazka na swoim fotelu koło mojego. W obieg idzie gruby skręt. Kara jeszcze przez chwilę przeżywa euforię zwycięstwa. Samuel Grapowitz daje mu plakat przedstawiający blondynkę z dużymi piersiami, który specjalnie zdjął ze ścianki swojej kabiny. Kara ściska Żyda na piersi.

- Bamuel Pupitz! Ach! Bamuel Pupitz!

Kilka minut później, podczas gdy rozmawiam z Amico, przybiega jeden z pomocników.

- Szefie, Kara nie żyje.

- Co takiego?

- Podkład spadł z ciężarówki, na głowę.

Pędzę do ciężarówek. Kara leży na piasku, koło mana. Pozostali pomocnicy otaczają go w milczeniu.

Kara. Podchodzę i klękam koło tego ogromnego ciała. Kładę rękę. na piersi. Nic.

Ten cholerny, kurewski, przeklęty konwój! Kara, mój kumpel.

- Nie żyje.

Wszyscy przygarbiają się, zaskoczeni. Patrzą po sobie, patrzą na ciało, patrzą na mnie. Kurwa, kurwa, kurwa! Dlaczego właśnie on, to niesprawiedliwe. Czuję się pusty, zniszczony. Kara...

Pudel, pielęgniarka klakkiak, nadbiega ze swoją torbą. Nie mam nawet siły, żeby ją

odepchnąć.

- Daj spokój.

Kłęką z drugiej strony, mierzy tętno i podnosi głowę.

- On nie umarł.

Niemożliwe! Nie umarł, to wspaniałe, dzielna pielęgniarka,

- Jesteś pewna?

- Tak, oddycha, ale jest w paskudnym, stanie. Trzeba się nim zająć.

Nie umarł, i to jest najważniejsze. Uratujemy go, przysięgam.

Porusza się. Pudel zaczyna oglądać mu głowę, opartą o jej ramię. Kara unosi rękę i odpycha ją od siebie. Otworzył oczy. Teraz widzę, że naprawdę z nim źle. Jego spojrzenie jest nieobecne, oczy wywrócone. Robi wysiłek. To szaleństwo próbować się podnieść.

- Nie ruszaj się, Kara, zajmujemy się tobą.

Unosi się tylko troszkę, z trudem, i patrzy na mnie. Otwiera usta. Chce coś powiedzieć. Na kącikach warg pojawiają się krwawe pęcherzyki. Patrzy na mnie intensywnie. Chce mówić ze mną. Przysuwam głowę, przykładam ucho do jego ust.

- Spokojnie, Kara. Słucham cię. Wszystko dobrze.

- Szefie...

Jego głos dobiega gdzieś z daleka, głuchy, straszny.

- Słucham, Kara. Powiedz mi, co chcesz. Słucham cię, przysięgam.

- Niek...niek...

Patrzy na mnie, patrzy na pielęgniarkę pochyloną nad raną. Jego oczy poszerzają się jak pod wpływem paniki, i w nadludzkim wysiłku udaje mu się wydyszeć:

- Nie klakkiak, szefie.

Przestraszyła go ta kurwa. Nie mogłaby się gdzieś schować? Ale robi dobrą robotę. Odsuwa wszystkich i opatruje go nie tracąc głowy. Jej ruchy są dokładne. Błyskawicznie zdjęła mu z głowy zawój i odsłoniła ranę, głębokie krwawe rozcięcie. Całe szczęście, że gruby turban złagodził uderzenie. Dezynfekuje skórę i owija głowę ciasno bandażem. Nic innego nie możemy zrobić. O tym, czy została uszkodzona czaszka, dowiemy się jutro. Na razie każę zanieść Karę do pokoju u Amica. Jeśli przeżyje noc, będzie uratowany, jeśli nie, Insz'Allah.

Dzisiaj Radijah i ja mamy noc poślubną. Zamknęliśmy się w pokoju u Amica. Jej ojciec przyprowadził mi ją, przygotował herbatę na piecyku, po czym wyszedł.

Jestem zdenerwowany jak uczeń. Radijah, nagle onieśmielona, zachowuje wielką

powagę. Od dawna przygotowywała się do tego dnia. Choć nie wie dokładnie co, podświadomie wyczuwa, że dzisiaj zaszło coś nowego. Jej początkowe zażenowane milczenie szybko ustępuje na rzecz naturalnego rozszczebiotania.

Radijah dużo mówi, opowiada mi różne historyjki, stara się mnie zachęcić do mówienia. Już nie dziecko, jeszcze nie kobieta, drażni mnie, próbuje czułych pieszczot. Powoli z dziewczynki wyłania się kobieta i jej zachowanie wyraźnie zaczyna się zmieniać.

Ten moment wybieram, by wyciągnąć mój ostatni prezent, pięćdziesięciocentymetrową lalkę, którą trzymałem schowaną pod łóżkiem. Natychmiast jej oczy rozjaśniają się. Znikają pierwsze cechy kobiecości, jakie już się pojawiły, i znów mam przed sobą Radijah - szczęśliwe dziecko, które dostało niespodziewany prezent.

Razem bawimy się lalką przez część wieczoru. Później, kiedy chce się jej spać i kładę się na łóżku, znów poważnieje i prosi, bym zgasił gazową lampę. W ciemności rozbiera się i przychodzi przytulić się w moich ramionach jak mała spłoszona gazela.

Bardzo szybko zasypia, jak każde dziecko. Poza paroma bardzo delikatnymi pieszczotami nie mieliśmy żadnych fizycznych stosunków. Nie jest jeszcze gotowa, żeby mnie przyjąć. Później, w przyszłości, nauczę ją wszystkiego. Na razie potrzebuję przede wszystkim niewinności.

Następny dzień i dalsze to prawdziwy raj. Niestety, szczęście to ograniczone jest do paru godzin dziennie. W ciągu dnia moja małżonka musi chodzić do szkoły. Każdy pedagog przyklasnąłby mojemu pragnieniu, by nie przeszkadzać w kształceniu tego dziecka. Pierwsza klasa szkoły podstawowej to ważny etap w szkolnym nauczaniu.

Do wakacji został jeszcze miesiąc. Powiedziałem teściowi, żeby wówczas przygotował Radijah do wyjazdu. Przyślę wtedy po nią. Z największymi trudnościami odwiódłem go od pomysłu, by utuczyć ją na wielbłądzim mleku, żeby wyglądała tak, jak jego zdaniem powinny wyglądać wszystkie kobiety Tamachek.

Wieczory są wspaniałe, gdyż spędzamy je sam na sam. Przez kilka godzin dziennie zajmuję się dziecięcymi zabawami. Przejrzelśmy i rozpakowali wszystkie prezenty, jak na Boże Narodzenie. Udaję, że zjadam ze smakiem kolacyjki, które mi przyrządza. Wszyscy pracownicy widzieli, jak gram z nią w klasy. Żaden nie ośmielił się roześmiać. Zresztą przegrałem, podobnie jak skacząc na skakance. Moja waga i moje rozmiary nie pozostawiły mi żadnych szans wobec zwinności mojej księżniczki. Kiedy nie bawimy się, Radijah opowiada mi jakąś wymyśloną historię, bez końca, po czym długo się śmieje. Jej zęby to małe perełki, rozjaśniają całą jej twarz. Promienieje z niej szczęśliwa niewinność. Jest piękna.

Po raz pierwszy od dawna jestem zakochany.

Odwiedziłem moją nową rodzinę. Mam teraz kuzynów rozsianych po całym buszu wokół Tessalitu. Żyją tam setki rodzin. Niektóre namioty są luksusowe, większość to po prostu kawałki płótna rozciągnięte między suchymi gałęziami.

Zapraszany jestem na zapoznawcze herbatki. Wypiłem ich już dziesiątki i uściśnąłem setki dłoni, każdy powołuje się na mniej lub bardziej dalekie pokrewieństwo ze mną i podejrzewam, że niektórzy przychodzili po parę razy po prostu dla przyjemności uściśnięcia mi ręki.

W Tessalicie wszyscy moi ludzie przeżywają romanse z jedną lub kilkoma kobietami z okolicy. Wallid odegrał rolę pośrednika. Przy tej okazji Żyd Samuel Grapowitz zaprzyjaźnił się z Algierczykiem. Odkryli w sobie wspólną pasję do kobiet i stali się nierozłączni.

Mój pocziwy Kara wylizał się. Następnego dnia po wypadku nadal oddychał. Teraz już nawet je i choć miewa jeszcze długie okresy, kiedy traci kontakt ze światem, wiadomo już, że jest uratowany i że wyzdrowieje.

Obaj zawodowcy jazdy do tyłu, Jean-Paul i Olivier, pozostają dla mnie zagadką. Przeszkadzają mi, ale nie mogę im niczego zarzucić. Robotę wykonują porządnie, ale nigdy nie zadają się z pozostałymi członkami zespołu. Nawet tutaj trzymają się na uboczu i prawie nie wychodzą ze swoich ciężarówek.

Dziś wieczór faceci z Grenoble skapitulowali. Zajęło im to trochę czasu. Są tu zablokowani od pięciu dni. Od czasu do czasu widywałem ich pętających się bez zajęcia po wiosce.

Na początku Cissoko odgrywał rolę celnika, któremu bardzo przykro, ale który musi przestrzegać przepisów. Później miał już dość tego ich ciągłego przyłazenia. Teraz obrzuca ich wyzwiskami i najstraszniejszymi groźbami, kiedy tylko się pokażą.

Muszę nawet dyskretnie interweniować, żeby ich nie aresztowano. Widzieli, jak błyskawicznie załatwione zostały formalności mojego konwoju, i choć żaden nie jest orłem, w końcu zrozumieli i proszą o zawieszenie broni. Chotard przychodzi mnie o tym zawiadomić, kiedy właśnie jesteśmy z Radijah w połowie partii wojny morskiej.

Pełnia księżyc oświetla dolinę Tessalitu. Goście z Grenoble mają swoje obozowisko z dala od moich ciężarówek. Robią mi miejsce i młodszy zabiera głos:

- Będę mówił wprost, dobra? Ile nam dajesz za ciężarówkę i samochód?

To gruboskórne typy, żadnej ogłady. Ich partnerki są brudne. Widać, że dokucza im

gorąco, choć są rozebrani do pasa. Nie czuję do nich wrogości. Nie próbują się stawiać, i to ich ratuje.

- Tę samą cenę, którą proponowałem wam w Adrarze, czterdzieści tysięcy franków.

Zgadniają się i odczuwają ulgę po usłyszeniu mojej ceny, która zostawia im niewielki zysk.

- Mam zwyczaj nakładać grzywny na ludzi, którzy mi się opierają, mimo że zostali uprzedzeni o sytuacji, ale macie pocziwe mordy. Chotard, zapłać panom.

Następnie posyłam go po ich paszporty. Po dziesięciu minutach wraca z dokumentami, na których widnieją wszystkie potrzebne pieczętki.

Szczęśliwi z takiego obrotu sprawy obaj Francuzi zapraszają nas do wypicia ich ostatniej butelki wina. Spędzamy razem parę chwil na luzie. Od początku ich podróży mieli problemy na wszystkich granicach. Wydaje się, że nie żywią do mnie żadnej urazy, chyba że są doskonałymi hipokrytami. Przed powrotem do pokoju radzę im, żeby bez zwłoki wracali na północ.

- Czuję do was dużo sympatii, ale nie chcę was tu więcej widzieć.

W naszym pokoju Radijah śpi z głową na książce z obrazkami.

Nie pozostaje nam tu wiele do roboty. Kara może już wstać, ale nadal jest bardzo słaby. Myślenie sprawia mu trudność i często robi wrażenie, że jest myślami gdzie indziej. Jest zbyt osłabiony, żeby pracować.

Rozdałem tubylcom prezenty. Szef policji dostał nagrodę, o którą sam mnie prosił w zamian za swoje usługi: Radijah jest zbyt młoda, by wychodzić za mąż i trzeba było przerobić nieco dokumenty malijskiego Stanu Cywilnego. Gliniarz wydał mi fałszywe papiery bez oporów. Dostał w zamian samochód równie solidny jak on sam. Miałem wręcz trudności ze znalezieniem wozu, który by do niego pasował. Nie trzeba mylić hojności z głupotą.

Cissoko, celnik, również otrzymał peugeota 504 w zamian za przytrzymanie facetów z Grenoble. Teraz ten kretyn jeździ przez wioskę na pełnym gazie, tam i z powrotem, a jego czterej podwładni siedzą z tyłu.

Dałem mu w prezencie peugeota, którym przyjechał Chotard. Ten natomiast zasiadł teraz za kierownicą nowo zakupionej ciężarówki. Przez cały dzień uczy się ją prowadzić. Jest spięty, nerwowy, to najgorszy uczeń w całym zespole. Za każdym razem skrzynia biegów niemiłosiernie zgrzyta i wyje. Dopiero groźba ostrych represji zmusza go do zrobienia małego wysiłku.

Domi, Yannick i czerwonawa boczą się na nas. Moi ludzie zajęci są kobietami jednej

z najpiękniejszych ras świata, i panny klakklaki sporo straciły na wartości. Tamachekowie wygadali się. Cały Tessalit wie o ich seksualnych obyczajach, i otacza je powszechny ostracyzm. Reputacja, jaką im zbudowałem, powinna towarzyszyć im teraz w całej Afryce.

Dziś wyjeżdżamy. Uprzedzeni poprzedniego dnia pracownicy pożegnali się ze swoimi wybrankami i mieli czas, żeby się wymyć, przebrać i ogolić. Na naczepach wiszą prawdziwe ludzkie winogrona. Ludzie w okolicy wiedzą, że nigdy nie każę płacić za przejazd, w przeciwieństwie do innych, i chcąc jechać na południe czekają, aż nadjedzie mój konwój. Wspinają się z pięćdziesięcioma kilogramami bagażu i lokują się, gdzie mogą.

Kara i Yannick wsiedli do mojej kabiny. Stoję przy stopniach, kiedy podbiega do mnie Radijah. Rzuca mi się na szyję i niezręcznie próbuje pocałować. Zostaje tak w moich ramionach, jej śliczną twarzyczka wtulona jest w moją szyję.

- Wrócisz po mnie?

- Ależ oczywiście, Radijab. Jesteśmy teraz małżeństwem.

- Tam w ciężarówce to twoja biała żona?

- Ależ nie, nie niepokój się.

Odsuwa się nieco ode mnie. Jest poważna.

- Wiem, że masz dużo pieniędzy i że kupiłeś dużo kobiet. Pocieszam tę małą kobietkę i odsyłam ją do rodziców.

Inni też chcieliby, żebym wrócił, na przykład Cissoko i jego banda celników, których apetyty są coraz większe.

- Wrócisz, prawda, panie Charlie?

Mam słabość do uroczystości, i na moją prośbę Cissoko wydaje komendę „bacność”, a ja dokonuję przeglądu.

Ci naprawdę skorzystali z mojej szczodroblewości. Kiedy tak stoją w szeregu przede mną, z ogromnymi kaczymi stopami i z dupami wypiętymi do tyłu, można zrobić inwentarz wszystkiego, co im przywiozłem. Najwyższy, pośrodku, ma na głowie pilotkę, którą wcisnął sobie aż na policzki. Mały grubas z gołymi stopami w plastikowych sandałach dumnie pręży pierś, ozdobioną dwoma skrzyżowanymi pasami na naboje, jakie nosi się w operetce. Najwspanialej wygląda porucznik Cissoko, ma epolety z frędzlami, niebieską koszulę, beżowe szorty, gigantyczne spadochroniarskie buty, za pasem parę rękawic motocyklowych, manierkę, od której zgubił korek, i ze dwadzieścia breloczków. Generał Lee byłby zdziwiony widząc, że panowie Murzyni dumnie przypięli sobie na piersiach emblemat Południowców w

postaci dwóch skrzyżowanych karabinów. I tak pięciu wyszamerowanych imbecyli, nadal stojąc w szeregu, macha mi na pożegnanie, podczas gdy konwój powoli zaczyna się toczyć.

Niebawem przysłania ich tuman kurzu.

Krótki postój w Aguelock daje nam okazję pierwszy raz rozdać trochę żywności. Otwieramy skrzynie mleka w proszku i cukru oraz worki z ryżem i rozdzielamy to wszystko wśród ludności. W Aguelock jest około trzydziestu domów, prawie wyłącznie zamieszkałych przez Tamacheków. Na tym odludziu, gdzie nigdy nic nie przejeżdża, przybycie konwoju jest wielkim wydarzeniem. Ze wszystkich stron wybiegają dzieci i biegną w stronę ciężarówek. Jedziemy bardzo powoli, żeby żadnego nie przejechać. Wielu pomocników pochodzi stąd, więc daję im trochę wolnego, żeby mogli przywitać się z rodzinami. Niepokoi mnie Kara. Kiedy nie śpi, przez większość czasu jest nieobecny duchem. Praktycznie nie nadaje się do niczego, a nas czeka przejazd przez Marcouba. To najtrudniejsze miejsce na tym szlaku. Strefa ryzyka ciągnie się tylko przez piętnaście kilometrów. Nieustający wiatr nanosi na ziemię grubą warstwę piasku, miękką, ruchomą i zmieniającą się za każdym przejazdem.

Dla samochodu osobowego to pestka. Sprawna zmiana biegów i zwrotność pozwalają na szybkie manewry i na wzięcie rozpędu w miejscach, gdzie jest twarde podłoże. W przypadku ciężarówki ma się pewność, że ugrzęźnie się wiele razy. Kiedy jedzie się ciągnikiem z załadowaną naczepą, przejazd zamienia się w wyczyń.

W takim terenie trzydziestotonowy pojazd robi się bezradny. O ile dysponuje ogromną mocą uciągu, jego przyspieszenia są praktycznie żadne. Mając przedni napęd i ogromny, ciężar z tyłu, potrafi ugrzęznąć niesłychanie szybko.

Późnym popołudniem zatrzymuję się na początku strefy. W moich światłach widzę dwie głębokie koleiny. Pomocnicy i pasażerowie korzystają z postoju, by oddalić się nieco i zmówić małą modlitwę do Allacha, prosząc o możliwie bezbolesny przejazd. W tym czasie idę się rozejrzeć. Piasek ten jest nieprzewidywalny. Niekiedy jego kolor i konsystencja pozwalają odgadnąć, co nas czeka, lecz wielokrotnie zdarzało się, że przewidywania takie okazywały się błędne. To samo dotyczy wszystkich sposobów, stosowanych przez mieszkańców Sahary. Żaden nie jest stuprocentowo pewny. Co do mnie, to wolę jechać w nocy. Piasek nie jest wtedy taki suchy i mniej się grzęźnie. Poza tym niewątpliwie ciężkie prace łatwiej wykonywać w stosunkowo chłodnym nocnym powietrzu. Ponieważ najlepszym sposobem sprawdzenia, co nas czeka, jest jechanie do przodu, próbuję przedrzeć się przez koleiny i po paru metrach grzęznę w piasku.

Po całonocnej pracy ujechaliśmy do przodu nie więcej, jak sto pięćdziesiąt metrów.

Przeprawa będzie trudna.

Jest już gorąco, kiedy każe zsiąść wszystkim pasażerom. Trzeba pozbyć się zbędnego balastu. Każe urządzić prowizoryczny obóz dla kobiet, dzieci i starców, o parę kilometrów stąd, na uboczu.

Podczas gdy pozostali pracują, przeprowadzam selekcję oddzielając starców od leni.

- A ty, ile masz lat?.

- Trzydzieści pięć. Jestem stary.

Trzeba trochę powrzeszczyć, zanim kolumna około czterdziestu niezdolnych do pracy gotowa jest do wymarszu. Wsiadam do peugeota 403 hadżiego z Reggane, żeby dopilnować urządzenia obozu. Jedziemy wzdłuż Marcouba. Jest to płaskowyż z lekkim wzniesieniem pośrodku. Zbudowany jest z szarego, martwego piasku. Wielka płyta nagiej skały wyznacza koniec trudności.

Rozpinamy płachty, żeby zrobić trochę cienia. Kilku pomocników przyniosło żywność, ryż, herbatę, cukier i drewno. Trzy klakklaki na mój rozkaz pozostaną tutaj.

Uspokojony odjeżdżam. Oddaliłem wszystkich tych, którzy nie są do niczego przydatni. Są urządzi jak się dało najlepiej i nie będę musiał sobie nimi zaprzętać głowy w czasie akcji.

Dla lepszej przyczepności spuściliśmy trochę powietrza z opon. Przede mną stu pięćdziesięciu ludzi, rzucam parę rozkazów, które natychmiast zostają przetłumaczone.

- Pracujcie! Nie chcę widzieć nikogo bezczynnego. Mała groźba:

- Zostawię tu pierwszego, który mi podpadnie.

I zaczynamy.

Rząd ciężarówek rozciąga się na pięćset metrów wzdłuż korytarza kolein, którym postanowiłem jechać. Przy kołach każdego wozu pracuje dwudziestka pochylonych ludzi. To nieustający balet. Faceci parami wyciągają podkłady i przenoszą je do przodu. Przy każdej ciężarówce widać w powietrzu cztery czy pięć łopat. Pozostali, na kolanach, wykopują pasek rękami. Kierowcy pomagają w tych pracach ziemnych, po czym skaczą do kabin i wciskają gaz. Pojazd kołysze się, podnosi przód wrywając się z piasku, po czym z rozpaczą opada. Za każdym razem nie przejeżdża więcej niż metr. W skali konwoju postęp jest prawie niewidoczny.

W ciągu pierwszych godzin upał wzmaga się, aż osiąga maksimum i tak już pozostaje, co jeszcze bardziej utrudnia pracę. Choć balet stał się mechaniczny, upał spowalnia go. Aby to zrównoważyć, nie robimy przerwy. Na czele konwoju moja ciężarówka nie zatrzymuje się

nigdy i nawet pomocnicy zaczynają słabnąć. Popołudnie jest rozpalone, bezlitosne i ciągnie się bez końca.

Aż do ostatnich godzin dnia słońce praży niemiłosiernie. Klakklaki nie mogły już znieść bezczynności w obozie i zaoferowały mi swoje usługi.

- Potrzebuję żarcia dla wszystkich. Ugotujcie coś treściwego i gorącego, w dużych ilościach.

Nadzoruję pracę poszczególnych ekip. Pod osłoną nocy, kiedy patrzę gdzie indziej, tempo zaczyna spadać. Trzymam się za ich plecami i nie mają wyboru, muszą brać się do roboty. Dorwałem Indianina, który dekował się za kierownicą zamiast kopać piasek razem z innymi. Wyrzuciłem go z kabiny na ziemię. Ma zdrową reakcję: kopie piasek. Później natknąłem się na Albanę. Siedział sobie po prostu na stopniu, odpoczywając parę minut. Uderzeniem łopaty rozwaliłem mu okulary. Pojękując wbił obie dłonie w piasek i zniknął pod ciężarówką.

Posiłki są szybkie. Jemy na stojąco. Klakklaki smarują maścią pierwsze oparzenia. Szczególnie ucierpiał od słońca Capone. Skóra schodzi mu z ramienia płatami, jest purpurowy. Wszyscy Europejczycy cierpią. Ku mojemu zaskoczeniu Chotard nieźle się trzyma.

Nadchodzi moment, kiedy ludzie są już tak wycieńczeni, że rozkazy nie wystarczają. Trzeba też dać przykład. Tego dnia sam też kopię.

Przychodzę pomagać wszystkim ekipom. Moja obecność przywraca im siły i pozwala na pokonywanie kolejnych odcinków. Manewrowanie odbywa się precyzyjnie. Niektórzy znajdują nawet siłę, by żartować, kiedy z nimi pracuję.

Konwój rozciągnął się. Większość wozów znajduje się pośrodku. Ciężarówki Albany i Samuela Grapowitza są bardziej w przedzie.

Ponownie ogarnia wszystkich zmęczenie.

Nagle wszystko zostaje przerwane przez wybuch chłodnicy jednej z ciężarówek.

Przybiegam na dźwięk klaksonu. To wóz Samuela Grapowitza, żółty man. Jacky jest już na miejscu.

- Co jest?

Zrozpaczony Samuel pokazuje mi chłodnicę, i oceniam rozmiary. katastrofy. Metalowa kratka pękła i powstała dziura na szerokość dłoni. Rozerwana jest cała dolna część chłodnicy.

- Kurwa mać!

Odpoczynek.

Rozpatrujemy i odrzucamy wszystkie kolejne propozycje. Tym razem daliśmy plamę. Nie mamy ze sobą niczego, co pozwoliłoby naprawić tę kurewską dziurę. Ani spawarki, ani masy uszczelniającej, nic. Ciężarówka stoi na drugiej pozycji i zagraża drogę reszcie konwoju.

Tak czy inaczej, nie można jej tu zostawić.

Nawet gdybym miał ją kazać ciągnąć i pchać przez dwustu pomocników. Nigdy nie zostawiłem za sobą ciężarówki i dziś nie będzie pierwszy raz.

Podczas gdy w myślach ściągam już wszystkich mężczyzn z wiosek doliny Telemsi, Kara otrząsa się ze stanu półprzytomności, w którym pogrążony był od swojego wypadku, i mówi:

- Ryż i makaron. Ubijasz, ubijasz, dolewasz wody, mieszasz, mieszasz i kładziesz na chłodnicę, i będzie trzymać.

Będzie trzymać? Bardzo bym się zdziwił. Zastanawiam się, czy wstrząs nie doprowadził u niego do całkowitego rozmiękczenia mózgu. Pomocnicy wydają się z nim zgadzać. Wiem, że na szlaku kombinowanie nie zna granic, ale zupełnie bez przekonania posyłam po ryż i makaron.

Wszyscy patrzymy, jak Kara siada i miesza, miesi i ubija przez pół godziny.

Każę wypełnić chłodnicę. Najwyraźniej nie przecieka. Samuel Grapowitz jest przerażony. Odciąga mnie na bok. Ma poparzoną twarz.

- Nie zostawisz mnie tu, co, Charlie?

- A ty co byś zrobił?

Boi się. Jest zbyt zmęczony, by odstawiać jakikolwiek cyrk. Jest zbyt słaby, żeby wziąć na siebie opiekę nad ciężarówką, i sam na pustyni umarłby. Poza tym to mój kumpel.

Jos cierpi i zaczyna się łamać. Oprócz wysiłku wycieńczają go ameba i biegunka. Jego twarz wychudła. Nawet Jacky nie jest już ten sam. Jest brudny, ma wyostrome rysy.

Kara założył swoje spoiwo. Pierwsza papka była zbyt luźna i szybko przeciekła przez dziurę. Teraz zrobił gęstszą. Wąłkował swoimi długimi dłońmi, aż wyszedł mu rodzaj kuli. Teraz znów wygląda, jakby trzymało, ale musimy poczekać dwie godziny, żeby nabrać pewności. Musi dobrze wyschnąć. W milczeniu uzbrajamy się w cierpliwość.

Jest zbyt gorąco, żeby spać. Chronimy się pod ciężarówką. Tylko trzy Europejki są jeszcze na nogach. Opatrują poparzenia i pokaleczone ręce. Moje są pokryte pęcherzami,

popękane i obolałe.

Wreszcie papka wysycha, jest twarda jak gips.

- Samuel. Włącz silnik.

Zapala i natychmiast z dziury tryska woda. Nie trzyma, oczywiście. Samuel Grapowitz wysiada, znów przerażony, i przychodzi do mnie, żeby porozmawiać.

Kara przygląda się chłodnicy. Woła mnie.

- Zobacz, szefie. Tylko mała dziurka.

Rzeczywiście, większa część spoiwa wytrzymała. Woda cieknie tylko przez mały otwór, i Kara zapewnia, że można to zalepić. Ponownie zaczyna przyrządzać to swoje świństwo. Przy powtórnej próbie zapalenia silnika nie ma już wycieku.

Kiedy wszystko jest wreszcie gotowe, zachodzi już słońce. Pomocnicy i pasażerowie oddalają się, niosąc swoje czajniki czy puszki od konserw oraz służące za dywaniki baranie skóry, i zaczynają swoje pokłony. Chwila doskonałego spokoju emanującego z zachodzącego słońca, z ciszy, która nagle zapadła, i z tej grupy ludzi na kolanach.

Posiłek. Wygłaszam mowę, żeby podkreślić zapał ludzi. Puszczam w obieg hasz. Jeszcze kawa i ruszamy.

W czasie pracy zaczynają puszczać nerwy. Coraz częstsze są gwałtowne, desperackie odruchy. Yssouf uderzył Murzyna, który pracował zbyt wolno. Rozwalił mu wargi. Nie interweniowałem.

Jemy coraz częściej. Yannick i czerwona gotują ogromne garnki ryżu i mięsa, a my pożeramy to wszystko.

Od początku obaj zawodowcy wykonują swoją część roboty bez zarzutu. Są wszechobecni wokół swoich wozów, dobrze kierują pomocnikami i nie żałują własnych sił. Wallid korzysta ze swego wielkiego doświadczenia, jego ciężarówka regularnie posuwa się do przodu. U innych praca przebiega automatycznie. Ludzie wyszli już poza zmęczenie. Przestali myśleć, dają się ponieść regularnemu rytmowi.

Harujemy tak jeszcze jedną noc i prawie cały następny dzień. Pod koniec popołudnia moja ciężarówka dociera do skraju skalnej płyty, pierwszego twardego kawałka podłoża po drugiej stronie Marcouba.

Nareszcie.

Idę wzdłuż konwoju, by raz jeszcze poderwać ekipy do pracy. Bliskość celu pobudza energię. Po trzech godzinach doskonałej roboty cały konwój wyjeżdża z piasku i ustawia się.

Trzy dni i dwie noce, żeby przebyć piętnaście kilometrów!

Ludzie powylączali silniki i pokładli się wokół ciężarówek. Rozkoszujemy się tak przez godzinę wypoczynkiem, kiedy wybucha dramat.

Yssouf, pomocnik, podszedł do Kary od tyłu, pośrodku obozowiska, i walnął go korbą w głowę, rozciągając na piasku. Uderzenie było nie do przewidzenia. Z daleka, bezsilni, widzieliśmy wszystko dokładnie.

Przez sekundę trwa potworna cisza.

Potem wszystko kipi. Tamachekowie, za którymi zaraz biegą kierowcy, rzucają się na Yssoufa, który usiłuje wymknąć się tej hordzie, ale bardzo szybko zostaje porwany i znika pod gradem uderzeń. Pomocnicy Bambara nadbiegają, żeby go bronić, i w końcu pasażerowie przyłączają się do tej dzikiej kotłowaniny.

Wkrótce walczą wszyscy. Tamachekowie przeciw czarnym, czarni przeciwko Tamachekom. W powietrzu świszczą trzonki łopat i siekier, wszystkich ogarnia szaleństwo. Ciosy zadawane są z pełnego rozmachu. Zaczyna się rzeź. Żadne wrzaski nic tu nie pomogą.

Biegnę po karabin i chwytam Weatherby oraz garść naboí. Dwie pierwsze kule przelatują tuż nad głowami, ale ogłuszające wystrzały zatrzymują gwałtownie masakerę.

- Przestaniecie wreszcie, skurwiele! Cisza.

- Rozwalę łeb pierwszemu, który się nie uspokoi.

Nikt się nie rusza. Ładuję dwa kolejne naboje do komór i kieruję broń na grupę Murzynów.

- Wy, Bambarowie, jazda stąd. Do ciężarówek.

Ponieważ nie słuchają, składam się do strzału i celuję prosto w nich. Odruchowo cofają się i ustępują.

- Pozostali, rozejść się. Wszyscy wycofują się. Koniec.

Bambarowie odprowadzają Yssoufa, a ja podchodzę do Kary. Wbrew wszelkim oczekiwaniom jeszcze żyje. Klakklaki, które w tym czasie przybiegły, krzątają się przy nim.

Wszyscy są zmęczeni i podniecenie szybko opada. Przez cały wieczór ostentacyjnie chodzę z bronią, i rozkazy są rygorystyczne. Uprzedziłem wszystkie ekipy, że będę strzelać do każdego, kto będzie łąził po terenie. Kierowcy mają nie opuszczać kabin. Pierwszy raz zdarza mi się coś takiego pośrodku Sahary.

Później, kiedy nastroje uspokajają się nieco, idę do Yssoufa. Zdrowo dostał. Cała twarz jest zakrwawiona. Ma rozbity nos i oba łuki brwiowe, jedno ucho jest naderwane. Całe

ciało pokryte jest siniakami.

Pytam go łagodnie:

- Co się stało, Yssouf?

Nie odpowiada i ukrywa głowę między kolanami. Jest mu przykro z powodu tego wszystkiego. Nie mogę traktować go jako jedyne winowajcy. Kara to mój przyjaciel, ale nie mogę osądzać Yssoufa na podstawie tych niewielu informacji, jakie mam na temat ich sprzeczki. Być może Kara doprowadził Malijczyka do ostateczności albo też może jest odpowiedzialny za coś, co spowodowało zemstę. Fakt, że Yssouf zaatakował mojego pomocnika od tyłu, nie ma tu znaczenia. Kara jest silniejszy. Jediną szansą Yssoufa było powalić go w ten sposób, i to wykorzystując słabość przeciwnika. Prawdziwa nienawiść to uczucie, nad którym nie można panować. Wobec niej kryteria lojalności i szlachetności to wartości moralne, które się nie liczą. Poza tym Yssouf zawsze pracował porządnie.

- Nie mogę cię zatrzymać przy sobie, Yssouf. Wszyscy są przeciwko tobie. Nie byłoby tu dla ciebie bezpiecznie. Kiwa głową. W oczach pojawiają się łzy.

- Chotard zapłaci ci, ile jesteśmy ci winni. Odeślę cię do Gao natychmiast. Ciao, Yssouf.

- Do widzenia, szefie.

Wołam hadźiego z Reggane:

- Bierz swojego peugeota i zawieź Yssoufa do Gao. Tam się spotkamy. Wyjeżdżasz natychmiast.

- Rozumiem, Charlie. Ale nie zapomnisz o mojej ciężarówce, co?

- Nie martw się o to. Pośpiesz się.

Kara zadziwia mnie po raz kolejny. Nawet jeśli jego turban zamortyzował uderzenie, po raz pierwszy zdarza mi się widzieć, by facet po wstrząsie mózgu dostał tak po głowie i wyszedł z tego cało. Albo ma niesamowitą odporność, albo boi się umrzeć.

Dwa dni po tym zdarzeniu jest już gotów do dalszej drogi, choć może jeszcze nie do pracy. Wszyscy są trochę pokaleczeni. Capone obnosi się z podbitym okiem, opuchniętym i sinym. Chotard ma rozbitą górną wargę. Najdotkliwiej poranili się pomocnicy, choć nie wydaje się, by zbytnio cierpieli. Raz jeszcze nasze miłe klakklaki mają ręce pełne roboty, ich zabiegi stanowią dla mnie rzeczywistą pomoc.

Okres odpoczynku jest wystarczający, by wszyscy przyszli do siebie. Pasażerowie, którzy dotąd żyli na uboczu, wracają na naczepy. Chłodnica naprawiona przez Karę nadal działa i ciąg dalszy odbywa się w mniej urozmaiconych okolicznościach.

Trzy dni później jedziemy wzdłuż doliny Telemsi, zamieszkaney przez nomadów oraz mieszkańców nielicznych wiosek, wszyscy to wyłącznie Tamachekowie. Jest to pogranicze Sahelu, regionu od dawna cierpiącego z powodu suszy i nędzy. Pięćset kilometrów szlaku wśród ludu, który umiera.

Nie wierzę w Boga, ale jeśli takowy istnieje, powinniśmy móc dobrze się rozumieć. Przy każdym większym skupisku namiotów zatrzymujemy się, by rozdać żywność i mleko w proszku tym ludziom, którzy nic nie mają. Całe szczęście, że studnie nie wyschły całkowicie, bo nasze puszki z mlekiem wyglądałyby wówczas na żart.

Nie ma wspanialszego uczucia niż to, które związane jest z pomaganiem innym. Wielkość, którą się wtedy odczuwa, nie ma sobie równych. Radość dzieci działa na mnie kojąco. Uwielbiam je: są w wieku, kiedy człowiek jest najbardziej naturalny. Całymi tuzinami nadbiegają, kiedy tylko pojawią się ciężarówki. Chłopcy mają włosy obcięte na Mohikanina. Chudość ich nóg, sterczących spod koszul, sprawia mi ból. Niektórzy mają twarze starców, poważne, bez włosów. Inni nic nie mówią i skupiają się wokół otwartej naczepy. Chotard, wspomagany przez paru innych, otwiera pudła. Po dary wyciągają się dziesiątki rąk. Nieco dalej, na obrzeżu tłumu, najślabsi, którzy nie dali rady przedrzeć się do przodu, przyglądają się smutnie. Kobiety przychodzą czerpać z pootwieranych worków ryż.

Capone wyspecjalizował się w rozdawaniu długopisów, których domagają się wszystkie dzieciaki. Popychany, nastroszony, rozdaje ich całe pudełka.

Kiedy jest taka możliwość, kupuję cztery albo pięć razy więcej owiec, niż wynoszą nasze rzeczywiste potrzeby, i każę je rozdawać. Tutaj jeszcze bardziej niż gdzie indziej nie sposób jeść pod spojrzeniem dziesiątek osób o twarzach wychudzonych przez głód.

Najwięcej energii całej sprawie poświęcają coraz sympatyczniejsze klakklaki. Początkowo zaskoczone działalnością, której nie oczekiwały, same wykonują teraz dużą część roboty. Domi leczy, ile się da, robi seryjnie zastrzyki i rozdziela całą swoją apteczkę. Czerwonawa rozczuła się do łez. Jest idealna do rozdawania darów wśród dzieci. Mała Yannick zawsze ma jedno lub dwoje dzieciaków na ręku. Wszystkie trzy robią, co się da, żeby dystrybucja naszych prezentów odbywała się możliwie sprawiedliwie, sympatycznie i szybko.

Teraz mają do nas zupełnie inny stosunek. Yannick zaczyna myśleć, że nie jestem taką wredną świnią, jak sądziła. W tej sytuacji mój urok osobisty zaczyna działać. Żeby ją ukarać, udaję, że nie dostrzegam jej wysiłków w ubieraniu się i jej uśmiechów. Trzeba było

zrozumieć od razu.

Samuel Grapowitz przeżywa bajkowy sen. Dostarczyliśmy mu narzeczoną. W jego urodzinowy wieczór odbyłem rozmowę z Jackym. Ani on, ani ja nigdy nie spędziliśmy samotnie urodzinowej nocy. Była okazja, żeby zrobić coś dobrego dla naszego kolegi. Poszliśmy do czerwonawej, żeby porozmawiać z nią w cztery oczy. Jacky wytłumaczył jej, że zrobiliśmy im kawał z Samuelem i że teraz ten głupi żart zamienia się w dramat.

- Od tamtej pory umiera z miłości do ciebie.

- Pisze nawet wiersze.

Jej pierwszym odruchem jest odmówić naszemu koledze. Ale dziewczyna ma dwie zalety. Jest głupiutka i miła. W paru starannie opracowanych zdaniach dajemy jej do zrozumienia, że Samuel Grapowitz bliski jest samobójstwa dla niej. Wkrótce dziewczyna ustępuje, tym łatwiej że Samuel ma przyjemną gębę, że ona sama to prawdziwe brzydactwo i że nieczęsto musi się jej zdarzać okazja, by ktoś się nią poważnie zajął.

Radość Samuela Grapowitza, kiedy pojawiliśmy się przy stopniach jego ciężarówki z naszym zarumienionym prezentem pośrodku, była głośna i energiczna. Złapał grubą i zatrzaskał drzwiczki za swoim szczęściem. Radosny śmiech z nawiązką wynagrodził nam nasze wysiłki.

Następnego dnia cały konwój stoi, w oczekiwaniu na Samuela Grapowitza. Pościł przez ponad miesiąc i teraz stara się przedłużyć przyjemność. Z jego ciężarówki dobiegają krzyki, przerywane głośnymi wybuchami śmiechu. Zaintrygowani pracownicy podchodzą małymi grupkami. Wkrótce wokół mana siedzą w kółku wszyscy uczestnicy konwoju, i komentarze płyną wartko. Jest to prezent, nie można przerywać nocy poślubnej, ale jego witalność mimo wszystko zadziwia mnie.

Około dziesiątej, kiedy zaczynam się już niepokoić o grubą, drzwiczki wozu otwierają się i pojawia się Samuel Grapowitz w wielkich białych gaciach. Uśmiecha się nieznacznie, widząc publiczność, pozdrawia obecnych wielkim machnięciem dłoni, stawia nogę na stopniu i sztywno osuwa się na ziemię.

Długie godziny spędzam w namiotach z Tamachekami. To spokojni i piękni ludzie. Cierpią z godnością, pozbawieni wszystkiego i bez żadnej nadziei. Są zaniepokojeni. Pora deszczowa zakończyła się, i nie spadła ani jedna kropla deszczu. W studniach poziom wody opada. Przewidują nadejście nowej fali głodu, a to znów oznacza śmierć.

Dojechaliśmy do turbiny wiatrowej, osiemdziesiąt kilometrów od Gao. Droga nadaje się już do jazdy citroenem 2CV trójki dziewczyn. Mają ogromne opóźnienie w stosunku do zaplanowanego przejazdu i wyraziły chęć wyjazdu już nazajutrz. W tej sytuacji proszę małą Yannick, miękkiem i ciepłym głosem, by tego wieczoru była moja. Jej oddech robi się szybszy, kiedy na nią patrzę. Z uroczą minką zgadza się.

Każę urządzić na piasku wygodne legowisko i przynieść wody. Yannick ma do swojej dyspozycji mydło i perfumy, żeby mogła się przygotować. Kiedy wracam, jest świeża i czysta, ubrana tylko w jedną z moich koszul. Stanowi zupełnie wyjątkowy widok czegoś kobiecego w środku pustyni.

Przychodzi namydlić mi plecy, po czym mnie wyciera. Przyciągam ją do siebie, żeby ją pocałować. Jej drobne ciało drży. Niosę ją na legowisko, nie słysząc prawie miłosnych zaklęć, które do mnie szepcze. Biorę ją brutalnie i szybko, i po paru sekundach leży pozostawiona sama sobie, rozwartą, z kolanami przy ramionach.

- I co, malutka, szczęśliwa?

Mój śmiech wykazuje jej, że tak naprawdę jestem tylko wredną świnią. Nie pozwalam jej uciec. Mocno i czule przytulony do niej zasypiam szczęśliwy.

To mój ulubiony kawał z dziewczynami.

Zaczynała już brać mnie za jakiegoś bohatera, a ja nie lubię uchodzić za harcerza. Faktem jest, że uratowałem jej życie parę dni wcześniej.

Przynajmniej ona tak sądzi.

Za każdym razem, kiedy łapię skorpiona, obcinam mu żądlą i wkładam go do pudełka po zapalkach. Pozwala to później na robienie kawałów w najlepszym guście.

Tym razem kładę jednego na ramieniu Yannick i czekam, aż ona go zauważy, kątem oka śledząc powolne ruchy okaleczonego zwierzęcia. Zobaczyła go i zaczyna krzyczeć, ale Tarzan jest tuż...

- Nie ruszaj się. Przede wszystkim nie ruszaj się. Stoi jak skamieniała, blada.

- Stój spokojnie, Yannick. On wyczuwa, kiedy się boisz. Jak w najlepszych horrorach powoli wyciągam rękę i błyskawicznym ruchem starego saharyjskiego wyjadacza łapię, rzucam na ziemię i rozgniatam obcasem biedne, bezbronne zwierzątko, które nikomu nic nie zawiniło.

Następnego dnia wyładowujemy 2CV. Domi, czyli pudel, żegna się ze mną męskim uściskiem dłoni, po koleżeńsku. Czerwonawa powstrzymuje łzy, co nadaje jej jeszcze bardziej krowi wygląd. Yannick nawet na mnie nie spojrzała podając mi rękę z dystansem i

zdecydowanie odwraca się do mnie plecami. Patrzę, jak oddala się ta dupcia, wroga i zamknięta, i ogarniają mnie wyrzuty sumienia.

Zdarza mi się mścić na kobietach. Zbyt wiele nakłamano mi na ich temat. Kiedy byłem mały, wyobrażałem sobie, że życie pełne przygód da mi w nagrodę dziewczę na wieży, czystą i czułą, która potrafi zająć się mną, kiedy wrócę z bitwy. Bardzo wcześnie sprawdziłem, jak wygląda ta dziewczica, i spróbowałem się dowiedzieć, co powinienem jej zrobić. Szybko przekonałem się, że moja dziewczica z wieży śmierdzi rybą! Ale tym razem pełne dezaprobaty spojrzenie tej małej dupci przeszkadza mi. A gdyby tak zaczęła wkoło rozpowiadać, że Charlie nie umie dogodzić kobiecie? Nie to. Człowiek broni się przed reputacją paskudnego samca, ale ma jednak swoją dumę.

Wziąłem Yannick za rękę. Zaciągnąłem ją do mojej ciężarówki, nie słuchając jej protestów.

- Wsiadaj.

Oddaliłem się od kowoju jadąc na pełnym gazie, żeby nie mogła wyskoczyć w biegu.

Całym ciężarem swojego ciała przygniatałem ją do maski. Obrzuca mnie wyzwiskami i okłada małymi piąstkami, po czym ulega. Załatwiam ją przez cztery godziny.

Krzyczy z rozkoszy, ale także z bólu. Piasek jest parzący, a blacha, na której ją rozłożyłem, jeszcze bardziej. Jej ciało pokryte jest różnymi rodzajami czerwonych plam. O sto metrów dalej zajeżdża na pełnym gazie ciężarówka Samuela Grapowitza i dobiegają z niej dzikie wrzaski. Samuel Grapowitz też się żegna. Yannick od dawna już jęczy, żebym przestał, kiedy ją wreszcie puszczam. Już dwukrotnie podjeżdżał do nas i trąbił citroen 2CV. Czerwona i rozczochna Yannick za każdym razem kazała mu jechać do diabła.

W jakiś czas później naprawdę rozstajemy się. Żegnamy się ostatecznie.

- I co, malutka, szczęśliwa?

Odpowiada mi „tak” z uśmiechem. Urocze dziecko.

Moi ludzie dają już sobie doskonale radę. Obozy są rozbijane i zwijane bez problemów. Wyładowanie 2CV było sprawą banalną i szybko załatwioną. Jos powoli dochodzi do siebie na diecie składającej się z wody po gotowaniu ryżu, która ma silne właściwości wstrzymujące, za to teraz dokuczają mu zęby.

One i Two cieszą się wracając w rodzinne strony. Wioska, z której pochodzą, znajduje się w rejonie Gao, i będą mogli tam powrócić, kiedy tylko im zapłacę. Wallid również na pewno zostanie w Gao i pozbędę się Albany, który do końca jest trudny do zniesienia. Mnie samemu nie spieszy się do przejazdu do Czarnej Afryki, i staram się przedłużyć farniente

wśród Tamacheków.

Dziś po południu niedaleko obozowiska zatrzymują się trzy ciężarówki, wszystkie w paskudnym stanie. To typowe używane wozy, jakie sprzedaje się w Afryce, pierwszą reakcją moich ludzi jest głęboka nieufność.

- Spokojnie, chłopaki, jednego znam.

Freda, faceta z Bordeaux, którego poznałem w Niamey, spotykam dwa albo trzy razy w roku. Wesoły Alain, jego kumpel, nie zajmuje się już handlem w Afryce. Fred nadal jeździ szlakiem do Nigru, i utrzymujemy dobre stosunki. Znam również obu jeleni, których zabrał ze sobą. Pierwszego spodziewałem się jeszcze gdzieś tutaj spotkać, to facet z tych, co latami potrafią robić to samo. Jest nim Francis, zwany Sygneciarzem, alfons z Bordeaux i etatowy frajer afrykańskich szlaków. Raz pomogłem go obrobić u Ministra Dobrych Interesów.

Spotkanie trzeciego jest niespodzianką. To Ciastkarz, facet, którego wystawiłem do wiatru i któremu wyjąłem cały szmal trzy lata temu, z Miguelem.

Ależ to było dawno!

Nie jest zachwycony widząc mnie, ale nie jest to też dla niego niespodzianka, bo mówiono mu już o mnie. Mimo wszystko wielkość mojego konwoju robi na nim wrażenie. Sygneciarz rozpływa się w komplementach.

Za plecami Ciastkarza tłumaczy mi obficie gestykulując to, co już dawno zrozumiałem: Ciastkarz to jeleń. Podczas gdy tak się rzuca, stojący z tyłu jak zwykle z kamienną twarzą Fred jednym mrugnięciem oka przekazuje mi drugi aspekt tej sprawy. Jeśli Sygneciarz sądzi, że w całej tej historii jest tylko jeden jeleń, będzie okrutnie rozczarowany.

Fred nie zmienił się. Za okularami intelektualisty ukrywa się bezlitosny pirat, naciągający każdego frajera, jaki mu się nawinie. Jako zawodowiec nie może nie mieć się przede mną na baczności, choć nie ma żadnego powodu. Ich pobyt nie trwa długo i odjeżdżają do Gao.

Konwój wjeżdża na teren Czarnej Afryki. Wyjechaliśmy już z pustyni. Piasek porośnięty jest teraz drzewami, karłowatymi i wysuszonymi, ale jednak zielonymi.

Jesteśmy w drodze od pięćdziesięciu trzech dni, trwa to o wiele dłużej niż zwykle. Ciężarówki zmieniły wygląd. Wszystkie odsłonięte powierzchnie pokryte są skorupą suchego piasku. Opony, łysy już w momencie wyjazdu, są miejscami poszarpane. Przednie szyby są matowe. Niektóre wozy zdradzają objawy mechanicznego zmęczenia. Będę musiał się ich pozbyć w pierwszej kolejności.

Ale zmęczony jest nie tylko materiał.

Ludzie również mają dość. Kiedy konwój ustawił się już na parkingu wielkiego hotelu Atlantide w Gao, polecam Josowi, by zorganizował warty, żeby nie dopuszczać ciekawskich zbyt blisko, po czym zarządzam ogólny odpoczynek.

W sali hotelowego baru rozpoczyna się dzień rozrywki i zabawy. Miejska elektrownia nie działa i lodówki nie chłodzą. Zdobywamy jednak lód. Anyżówka to jedyny zimny napój, jaki możemy znaleźć. Wszyscy z rozkoszą rzucają się na nią. Siadam z Jackym i Chotardem, który karmi mlekiem małego feneka, kupionego w Tabankort kilka dni temu. Na pierwszy rzut oka zwierzę przypomina feneka: cztery łapy, ogon i uszy.

- Jacky, jesteś pewny, że to naprawdę fenek?

- Jasne, że jestem pewien!

- W takim razie dlaczego jest taki ohydny i śmierdzi jak kozioł?

- Zazdrość z ciebie wyłazi. Poczekaj, aż trochę podrośnie, i jak się go umyje i wyszczotkuje, zobaczysz, że będzie wyglądał wspaniale.

Bez przerwy podchodzą do nas różni notable i hadziowie, którzy chcą rozmawiać o interesach. Umawiam ich na następny dzień, na ósmą.

Są punktualni. Niektórzy są nawet na miejscu o ósmej rano. Inni łążą po hotelu oczekując na okazję rozmowy ze mną.

Handel ten jest korzystny i niezwykle łatwy. Handlarze i przewoźnicy mogą kupować na miejscowym rynku wyłącznie nowe ciężarówki, które kosztują bardzo drogo. Ja przywożę im pojazdy za pół ceny. Wyrrywają je sobie, chociaż obecnie rynek nie jest już tak dobry, jak na początku.

Przyjmuję klientów w moim pokoju i powtarza się ciągle ten sam scenariusz. Chotard zajmuje się targowaniem, z dokładnością do dziesięciu lub dwudziestu tysięcy franków mniej lub więcej.

Szybko pozbywam się tych, którzy przychodzą udawać kupców dla samej przyjemności pogadania, co jest częstym przypadkiem, a także tych, których wstępne propozycje nie mieszczą się w ramach uznanych przeze mnie za rozsądne. Przed moimi drzwiami tłoczą się dwa rodzaje poważnych klientów: przewoźnicy, poszukujący ciężarówek, i kupcy pragnący nabyć pojazdy, części do nich bądź jedno i drugie. Zamierzają albo używać ciężarówkę dla własnych potrzeb, albo też przeznaczyć ją do dalszej odprzedaży. Tak jak przypuszczałem, pierwsza transakcja, jaką zawieram, to sprzedaż pięćdziesięciu tysięcy litrów oleju napędowego. Otrzymuję za nie czterokrotną cenę z powodu braków rynkowych, o

których trzeba powiedzieć, że nieźle mi służą. Opony znikają stosami. Stanowią w Afryce rzadki towar, który sprzedaje się doskonale. Niekiedy służą nawet jako środek płatniczy w drobnych interesach. Części mechanicznych nie sprzedają na sztuki. Są do wzięcia całymi partiami. Po dwóch dniach nie zostaje już nic.

Załatwiłem też sprawę hadźiego z Reggane, który przyjechał tu zarejestrować swoją ciężarówkę. Handlarz Bau Traure, który w tym czasie przebywał w no man's land, odwiedza mnie ponownie i wyrównujemy rachunki. W wyniku tego spotkania sprzedaję dwie ciężarówky i trzy spośród ciągników przewożonych na naczepach.

Trudne są te dni negocjacji. Całe szczęście, że jest ze mną Chotard w roli kozła ofiarnego i że korzystam z pomocy Jacky'ego, który spędza ze mną gros czasu. Jedyną wadą jego odwiedzin jest to, że przynosi ze sobą swego rzekomego feneka. Pomimo powtarzanych kąpieli zwierzę uparcie śmierdzi coraz bardziej.

- To nie może być fenek.

- Ależ jest, zapewniam cię.

- W takim razie to jakaś rasa śmierdzących feneków. Czwartego dnia robimy rachunki.

- Chotard, ile mamy?

Rzuca się na kalkulator. Płacą nam we frankach malijskich, frankach CFA i frankach francuskich, a Chotard przelicza na dolary.

- Mamy dwieście czterdzieści tysięcy dolarów.

Nieźła suma. Na częściach mamy dobre przebicie, W sumie sprzedaliśmy sześć ciężarówek na trzynaście, wliczając w to wóz gości z Grenoble, trzy spośród czterech ciągników, i zostały nam już tylko trzy peugeoty 504. Mam wielu potencjalnych klientów na pozostałe ciężarówky, w Mopti i w Segou, są to praktycznie pewne zamówienia, które ostatecznie zaokrąglają nasze obroty.

Tego samego wieczoru świętuję ten sukces z Jackym idąc z wizytą do domu kurtyzan, gdzie zwykle zajmują się nami jasnoskóre Mauretanki, do których należy przybytek.

Mam w tym burdelu faworytę. To bardzo jasna Metyska, moja jednoręka. Nie do uwierzenia, ile potrafi zdziałać jedną ręką.

Rozkoszuję się chwilą intymności z dwiema specjalistkami, kiedy do naszego pokoju wprowadzają małą dziewczynkę.

Jest bardzo młoda, nie ma nawet zawiązków piersi. Moim pierwszym odruchem jest ją odesłać, ale kiedy przyłącza się do zabiegów moich towarzyszek, drugi odruch każe mi ją przerznąć. W końcu nie trzeba przesadzać.

W ten sposób w Afryce osiągam dwa bieguny mego życia seksualnego. Najmłodszą właśnie miałem. Dokonałem inseminacji najstarszej na Wyspach Kanaryjskich, kiedy poznałem Jacky'ego. Była to angielska lady, przyznająca się do siedemdziesięciu pięciu lat, a wyglądająca na osiemdziesiąt. Wychodząc z założenia, że wszystkiego w życiu trzeba zakosztować, odważnie poszedłem na front. Porzuciłem ten relikw epoki wiktoriańskiej w stanie omdlenia będąc o krok od nekrofilii.

Pozbyłem się większości pomocników. Zatrzymałem przy sobie tylko kilkunastu Tamacheków, w tym Karę i Ahmeda. W pierwszej kolejności odesłałem Bambarów i Fulbejów. Murzyni to dobrzy pracownicy, ale Tamachekowie to dla mnie teraz część rodziny. Odchodzący kolejno podchodzili do mnie i każdemu dawałem, co mu się należało. Wielu odjechało jeszcze tego samego wieczoru lub nazajutrz rano, ciężarówkami ciągnącymi na północ.

Moi ludzie robią z hotelu burdel. Parking za budynkiem zamieniony został w wioskę. Ludność Gao, która nigdy nie ma nic innego do roboty jak tylko oglądać nadarżające się widowiska, tłumnie ściąga obejrzyć, utrzymywana z dala od parkingu przez naszych wartowników. Pomiędzy ciężarówkami płoną ogniska. Murzynki w różnym wieku i różnej tuszy gotują, piorą i od czasu do czasu są wciągane do kabin.

Można również znaleźć moich ludzi w barze. Cztery wentylatory pod sufitem stanowią jedyne źródło chłodu w Gao, o ile działa elektrownia. Oparci o ladę lub rozwaleni w plastikowych fotelach ci krzykacze prześcigają się w przechwałkach.

Capone zapewnia, że przerznął najgrubszą. Samuel Grapowitz nalega, by uznano go za zwycięzcę pod względem ilości, w czym popiera go jego przyjaciel Wallid, skromnie zadowolający się tylko drugim miejscem. Po serii orgii, które dzielił, ze wszystkimi, Indianin przeżywa kryzys moralny i mówi tylko o swojej żonie. Jos trzyma się na uboczu, bo bołą go zęby. Poradziłem mu, by wezwał na pomoc miejscowego dentystę.

Ten praktykuje na ulicy i przychodzi na wezwanie do domu. Jego narzędzia mieszczą się w małej drewnianej skrzynce. Składają się na nóż, kombinerki i obcęgi oraz mała puszka po konserwach na pieniądze. Dentysta to mały bardzo wysuszony Murzyn. Zapewne w ciągu dnia przeprowadził jakąś operację, bo widać plamy krwi na jego szortach i na koszuli.

Jos pociąga potężny łyk whisky.

Bierze butelkę ze sobą i siada pod lampą, pośrodku sali barowej. Pozostali otaczają go kręgiem.

Ponieważ jest zbyt mały w porównaniu z metrem dziewięćdziesiąt Josa, dentysta usiadł mu w końcu na kolanach, by móc dosięgnąć jego ust. Pacjent, jak zwykle spokojny, nie odzywa się, dookoła za to gwaro od komentarzy i śmiechów.

Od czasu do czasu, kiedy karzeł przerywa tortury, Jos pociąga kolejny łyk whisky. Tamten z powrotem wchodzi mu na kolana i kontynuuje natarcie. Z otwartych ust cieknie strużka krwi i dochodzi obrzydliwy chłupot. Kombinerki pracują. Publiczność zaśmiewa się.

- Dalej, teraz będziesz go miał, ciągnij.

Ale nic z tego. Po upływie czterdziestu minut publiczność zaczyna mieć dość. Niektórzy powrócili już do baru, kiedy dentysta unosi w powietrze ogromny trzonowy ząb, krwawe trofeum w uchwycie kombinerek. Karzeł wygląda na bardzo dumnego z siebie. Nikt nie klaszcze.

Za nim Jos płucze gardło szkocką, parokrotnie pluje krwią, po czym kiwa na swego oprawcę, żeby podszedł.

Ten podchodzi z wyciągniętą ręką, by otrzymać należność. Stojąc mocno na dwóch nogach Jos wznosi rękę do tyłu i wali go fantastycznym ciosem pięści z półobrotu, prosto w mordę. Mały Murzyn odlatuje do tyłu, przewraca fotel, wali łbem o ścianę i powoli osuwa się na ziemię, nieprzytomny.

Bokser palcem rozchyła mu rozwalone wargi i sprawdza, czy wynik jest mniej więcej równy. Wyciąga z kieszeni zwój banknotów i wciska mu w zakrwawione usta.

To dobra zapłata.

Cóż zrobić wobec tego barbarzyństwa, pozostaje tylko się przyłączyć.

Podchodzę ja i wsuwam kilka dodatkowych banknotów. Capone, Indianin, One i Two kolejno składają swego obola. Każdy daje, ile chce, tylko Samuel Grapowitz wychodzi na sknerę wkładając do krwawej mazi jedynie kilka monet.

Zostało mi siedem ciężarówek i jeden ciągnik przewożony na naczepie, z którymi pojedę do Segou. Pozbywam się nadmiaru kierowców. Albana wziął zapłatę i zniknął jak złodziej. Mamy go z głowy. Wallid zamierza wydać na miejscu zarobione pieniądze, po czym dołączy do mnie w Segou.

Obaj zawodowcy jazdy do tyłu otrzymują każdy podwójną zapłatę. Nie lubię ich i jest to uczucie odwzajemnione, ale zrobili dobrą robotę. Nie są nawet zaskoczeni, nasz pożegnalny uścisk dłoni jest lodowaty.

Pożegnanie One i Two przebiega w cieplejszej atmosferze. Zdjęli swoje numerowane czapki. Stoją jeden koło drugiego, oparci plecami o bar, i szczerzą wszystkie zęby do

zgrupowanych. Nalegali, żeby postawić wszystkim kolejkę. Propozycja spotkała się z powszechnym aplauzem. Każdy otrzymał podwójną pensję i będą mogli kupić sobie najlepszą kobietę w wiosce. Może nawet wystarczy na zagospodarowanie się.

Ta pożegnalna kolejka daje sygnał do rozpoczęcia zabawy. Ślepiec, największy alfons w Gao, wpada do baru i swobodnie podchodzi do kontuaru.

- Charlie. Gdzie jesteś? Wiem, że tam jesteś.

Odkąd się znamy, chyba nigdy nie przebrał się ani nie wyprał swojego bubu. Zrobił mi świństwo i odpłacił mi tym samym. Od tej pory poszukuje mnie.

- Charlie, jesteś mi winien pieniądze.

- To nieprawda. Chodź, dam ci zarobić.

Zamawiam u niego na noc coś luksusowego. Obiecuje mi młode dziewczęta. Zabieram pracowników na przegląd Gao by night przy ciepłej whisky.

Do odwiedzenia mamy trzy nocne lokale. Wnętrza są względnie czyste. Całe wyposażenie to parę metalowych stolików i nieodłączne plastikowe fotele. Spotkać tam można dobrze sytuowanych Murzynów, studentów i kurwy. Muzyka wyje bez przerwy. W tym wilgotnym upale nikt nie tańczy.

Moi ludzie, pomocnicy i kierowcy, wrzeszczą i opowiadają o swoich wyczynach. Samuel Grapowitz i Capone udają przystojniaków i zabijaków wobec Murzynek. Zachowują się po europejsku, starając się osiągnąć urokiem osobistym coś, co dostać mogą tylko za pieniądze.

Chotard, Jacky i ja siedzimy przy stoliku i rozprawiamy o tym feneku, co do którego jestem pewien, że fenekiem nie jest. Chotard ma na ten temat swoje zdanie.

- To zwierzę to szakal.

- Sam jesteś szakal, Chotard! Ty, on naprawdę przypomina szakala.

Co jakiś czas któryś pracownik podchodzi do mojego stolika, żeby podziękować mi za wszystko, co dla nich zrobiłem. Pozostawiam ich w oparach alkoholu, zanim staną się zupełnie nie do wytrzymania. Zresztą robota nie jest jeszcze zakończona.

Jestem pewien, że to nie fenek.

Nazajutrz rano, po przebudzeniu, mam do swojej dyspozycji same trupy. O brzasku konwój podjeżdża do przystani promu, dwa kilometry od Gao. Niger to szara płaszczyzna wody. Płynie powoli, gładko, okolica wygląda zacisznie. Po drugiej stronie wznoszą się strome brzegi. Szlak objeżdża je w miłym piachu.

Dziesięciu Murzynów pracuje przy promie, to znaczy przy podłej metalowej

platformie, na której przeprowadzić się może na raz tylko jedna ciężarówka. Potrzebujemy całego dnia, by w komplecie znaleźć się po drugiej stronie. W końcu ruszamy i grzęzniemy w piachu,

Manewrowanie paraliżuje konwój. Zbyt wiele czasu zajmuje nam przejechanie tych stu metrów. Wystarczyła jedna zabawa, żeby nastąpiło ogólne rozprężenie. Celem przypomnienia wszystkim obowiązującego regulaminu zarządzam ogólny przegląd wozów, smarowanie, pompowanie opon i tak dalej. Ruszamy dalej w nocy. Nikt nie dokończył posiłku. Osobiście zająłem się przyprawieniem potraw, wrzucając po dwie garście pieprzu do każdej menażki. Tylko Jacky i ja zjedliśmy normalnie. Poprosiłem go, żeby dołał trochę oleju napędowego do zapasu wody pitnej, żeby nadać jej niedobry smak. Z wrodzonej złośliwości nalał za dużo i nikt nie może pić. Nie jest to bezsensowne okrucieństwo. Muszę wziąć ludzi z powrotem w garść, i narzucić im normalny rytm pracy.

Okolica jest pagórkowata. Nie ma ściśle wytyczonego szlaku, poza śladami kół pomiędzy drzewami. Te ostatnie zaczynają osiągać spore rozmiary i gdzieś tam pojawiają się baobaby. Pierwszych sto kilometrów przejeżdżamy bez kłopotów. Dalej pora deszczowa narobiła szkód i musimy zwolnić tempo. Za jednym przejazdem udaje się nam pokonać maksymalnie trzydzieści kilometrów. Błotniste odcinki to pułapki, w których ciężarówki grzęzną bez końca.

Błoto nieustannie zalewa dziury, z mazołem wykopane przed kołami. Podkłady ślizgają się bezradnie i nie pozwalają przejechać więcej niż najwyżej pół metra. Koła rozchlapują błoto. Ubrania i włosy mamy posklejane tym czerwonym świństwem.

O ile na początku starali się zasłaniać, pracownicy szybko zrozumieli, że najskuteczniej jest zanurzyć się, uklęknąć i prowadzić walkę w samym oku cyklonu. Ranek nadal zastaje nas w tym błotnym oceanie. Dodaję po dwie garście pieprzu do posiłku. Nie ma nic do picia, nie licząc kawy.

- Ruszamy!

Jest mniej gorąco niż na pustyni, ale upał bardziej daje się we znaki. Nawet jeśli człowiek się nie rusza, trudno wytrzymać. A przed nami błoto, ciągle błoto.

Jos ugrzązł aż po osie. Nawet przednie koła zanurzają się. Ciężarówka wygląda, jakby tonęła. Długo mordowaliśmy się z podkładami, po czym trzeba było zmienić taktykę. Moja ciężarówka posłużyła jako ciągnik, przywiązany do wozu Josa kablami. Oba współpracujące silniki pozwoliły wreszcie wyciągnąć wóz z tej brei. Całość zatrzymała nas na dwie godziny. O tyle mniej czasu mamy na wypoczynek.

Błoto jest wszędzie. Moi ludzie nigdy nie byli tak usmarowani. Wszyscy są wściekli do maksimum. Praca i wypoczynek przebiegają w milczeniu, nie licząc paru krótkich wybuchów. Przy czwartym z kolei niejadalnym posiłku Capone cisnął swoją menażkę przez środek obozu i zamknął się w kabinie.

Wysiłek Samuela Grapowitza, by wytrzymać, jest godny szacunku. Przygarbił się jak sęp. Nie uśmiecha się już wcale, napięty i wyczerpany, w czarnym nieprzemakalnym płaszczu ubrudzonym zaschniętą gliną.

Chotard wyrócił się jak długi w błoto i twierdzi, że ktoś podstawił mu nogę. Radzę mu, żeby o tym zapomniał.

Jos trzyma się, ale także chętnie zrezygnowałby z tego dodatkowego odcinka. Od czasu wyjazdu z Gao tylko przez dwie godziny jechaliśmy bez trudności, przekraczając masyw górski Hombori, koło wsi o tej samej nazwie. Wznoszą się tu dziwne szczyty, wyglądające, jakby wyrastały bezpośrednio z równiny, jak zęby. U ich stóp kamienisty grunt zapewnia twarde podłoże, ale trwa to zbyt krótko.

Wyjeżdżamy z błota i napotykaemy kolejne przeszkody. Wśród drzew i ciągłych podjazdów droga nie nadaje się do użytku. Ciężarówki zatrzymują się przed dwumetrowymi dziurami, które niekiedy przytrzymują nas godzinami. Trzeba przejeżdżać pod kątem prostym, przez pagórek, nie niszcząc łącza między ciągnikiem a naczepą.

Choć przejazd jest teraz mniej spektakularny, dalszy teren jest uciążliwy. Trzeba pokonywać pagórek za pagórkiem. Ciężarówki niebezpiecznie przechylają się na boki. Jeśli w porę nie zauważy się dołka, cała kabina wylatuje w powietrze. Od ciągłej pracy przy kierownicy bolą ramiona. Powoli posuwamy się w terenie dobrym dla czołgów, ale jednak jedziemy naprzód.

Dzisiaj Indianin paskudnie się urządził. Poszedł rozpalić sobie ognisko na uboczu, żeby samotnie coś zjeść, i źle się to dla niego skończyło. Niezdarnie dołał benzyny do ognia i poważnie poparzył sobie prawą rękę. W tym stanie nie może prowadzić. Zwęglona skóra niszczy mu się dookoła rany.

Moglibyśmy mu być wdzięczni za ten nieoczekiwany wypoczynek, ale jego skargi i pojękiwanie wszystko psują. Każe mu zamknąć mordę i przy okazji przestać wreszcie opowiadać nam o żonie.

- Jak wrócisz, okaże się, że ją rzną wszystkimi otworami.

Mojej przepowiedni towarzyszy złośliwy śmiech pozostałych. Trzy godziny później

Indianin siedzi za kierownicą.

Nie brakuje nam widzów, odkąd wjechaliśmy w gęsciej zamieszkane rejony. Droga przemieszcza się dużo ludzi, piechotą lub zaprzężonym wozem, a nawet na rowerze. Mężczyźni noszą stożkowate skórzane kapelusze, by uchronić się od słońca. Kobiety mają wokół ust niebieskie tatuaże. Wszyscy ci ludzie machają do nas lub podchodzą przyjrzeć się najbardziej widowiskowym wydarzeniom. Przejeżdżamy przez wioski pełne glinianych chat, wśród których stoi czasami szary budynek o mocniejszej konstrukcji, więzienie, szkoła lub koszary.

Nie zatrzymujemy się. Nie mam czasu.

Wreszcie, po sześciu dniach, trzydzieści kilometrów przed Mopti, Kara wykrzykuje zdanie, które dla mnie oznacza koniec podróży:

- Jedź, jedź, szefie, to asfalt.

Po raz pierwszy od Adraru pod naszymi oponami mamy cywilizowaną nawierzchnię.

Po półgodzinie walczymy z prysznicami w hotelu w Mopti. Na spotkanie wyległy też komary. Gorąca wilgoć unosząca się z wód Boni jest nie do zniesienia. Złe samopoczucie pogłębia jeszcze wspomnienie Peyruse'a. A przecież muszę tu pozostać przez czas potrzebny do załatwienia sprzedaży ostatniego ciągnika.

Odwiedzam klienta nazajutrz. Następnie łączę z chłopakami, żeby pokazać im pirogi. Na targu, między stosami owoców mango, rozładowują ciężarówkę. Nieco dalej stoi inna. Afrykański transport rozwija się. W Nigerii zaczynają produkcję ciężarówek na licencji Mercedesa, używając części odrzuconych z zachodnich linii montażowych. Niedługo używane ciężarówki przestaną być tak atrakcyjne dla afrykańskich kupców. I pojawił się też sprzęt japoński. Jest nowy i wytrzymały, a ceny zbliżone do moich.

Wieczorem trąbię przed bramą mojego domu w Segou i Ahmed, stary Tamachek, przychodzi otworzyć. Sześć ciężarówek wjeżdża na podwórze.

Jak dobrze znów być w domu! Zaprosiłem wszystkich, również Ahmeda i Karę. Pozostali pomocnicy pożegnali się z nami w Mopti. Jest więc dość pokoi dla wszystkich.

Klient, który umówiony był na kupno sześciu ciężarówek, przychodzi następnego dnia dać mi ostateczną odpowiedź. To młody Murzyn, w brązowym garniturze notabla. Nosi złocene okulary i mówi zbyt wyszukany francuskim, charakterystycznym dla wykształconych tubylców. Wyjaśnia mi, że jego czarownik badał kurze wnętrze i że flaki

wypowiedziały się jednoznacznie: pora nie jest odpowiednia, by kupować.

- W tych warunkach, panie Charlie, mam nadzieję, że okaże się pan wyrozumiały i że będziemy mogli odłożyć transakcję na lepsze czasy.

Okazuję się natychmiast wyrozumiały i wyrzucam tego kretyna za drzwi.

Przestudiowaliśmy wszystkie możliwości sprzedaży. Nie mamy żadnej alternatywy, żeby sprzedać nasze ciężarówki w Segou. Trzeba by jechać do Górnej Wolty, na co nie mam absolutnie ochoty, bo Bamako, bardziej na północ, to okolica, której unikam jak mogę. Z ciężkim sercem muszę zrezygnować z szybkiej gotówki.

Znam w Segou wielu kierowców ciężarówek, którzy pracują u przewoźników i mają nadzieję kiedyś dorobić się własnych wozów. Ci, którym szczęście dopisze, osiągną to po dwudziestu pięciu latach. Zebrałem najbardziej sympatycznych i zaproponowałem im kredyt, słowo, którego na tym kontynencie nikt nie wypowiada.

Na Wybrzeżu Kości Słoniowej przewoźnik może zarobić milion franków malijskich na jednej podróży trwającej tydzień. Jest to w zupełności wystarczające, by zapewnić mi udział w zyskach jako zapłatę. Wpłata ulega po prostu opóźnieniu. Jednocześnie pozwala to mi wejść w środowisko przewoźników, gdzie da się, być może, zrobić parę dobrych interesów.

Zostaje nam jedna ciężarówka, i Jacky wyjątkowo jedzie ją sprzedać w Bamako. Wraca po dwóch dniach, bez forsy i bez wozu. W tym ostatnim nawaliła skrzynia biegów. Jacky ma atak malarii. Czując nadejście gorączki umieścił ciężarówkę we względnie bezpiecznym miejscu, by jak najszybciej wrócić i położyć się. Nie podoba mi się ta historia. Nie lubię, kiedy któryś z moich wozów wymyka mi się spod kontroli, i niepokoją mnie drobne kłopoty, które zaczynają się mnożyć na zakończenie tej podróży.

Jacky nie miał wyboru. Ledwie zdołał opowiedzieć mi, co się wydarzyło, padł na łóżko z gorączką, która potrwa dwa dni. Podczas gdy dochodzi do siebie, spędzam długie godziny z nim i jego łysym kundlem, który w miarę dorastania coraz bardziej ujawnia swoje prawdziwe pochodzenie. Jak za każdym razem, kiedy nie ma nic innego do roboty, rozmawiamy o wyścigu.

Start na pustyni, na wysokości Adraru. Meta w Mopti, dwa tysiące pięćset kilometrów poniżej. Wszyscy zawodnicy jechać będą peugeotami 404, z dwustulitrową beczką z tyłu. Zasadą jest jechać jak najszybciej, żeby dotrzeć przed innymi.

Wszystkie chwytaki dozwolone.

Jedynym ograniczeniem będzie zakaz posiadania broni palnej. Kiedy tylko wpadliśmy na ten pomysł, od razu wiedziałem, że bez kłopotu znajdziemy dość wariatów z całego świata,

którzy będą chcieli startować. Pierwsze ogłoszenia od razu przyniosły sporo zgłoszeń. Planowaliśmy stu startujących, mamy już dwudziestu kandydatów, których pociągają mocne wrażenia i kupa forsy jako nagroda.

Każdy zawodnik wpłaca dwa tysiące pięćset dolarów, w ramach wpisowego. Cała pula stanowi nagrodę zwycięzcy.

Zwycięzcą będę ja. Bo oczywiście będziemy oszukiwali. Dostatecznie znam pustynię, żeby móc przygotować konkurentom najbardziej niewiarygodne sytuacje, dzięki współpracy z miejscowymi urzędnikami i wykorzystaniu trudności terenowych, żeby sprawić, by pobiłdzili, i zapewnić im porcję mocnych wrażeń, jaka im przysługuje.

Myśl o stu samochodach prujących na pełnym gazie przez piaszczystą równinę napelnia mnie radością. Jeśli została mi jeszcze jakaś przygoda do spróbowania na pustyni, to musi to być ta.

Tymczasem trzeba zbierać pieniądze i nie pozostaje nam nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość. Takie wymuszone wakacje nie są wcale przyjemne.

Większość czasu spędzam w ogrodzie, gdzie słucham muzyki, palę skręty i zajadam z pozostałymi pieczoną baraninę. Wśród moich zajęć należy wymienić także i to, że zajmuję się urządzaniem ogrodu. Siedzę sobie w białej przewiewnej szacie, wygodnie, i patrzę, jak pięćdziesięciu facetów przekopuje mój ogromny ogród.

Koło mnie siedzą moi ludzie i również przyglądają się przebiegowi prac. Pokupowali sobie nowe rzeczy, korzystając ze śmiesznie niskich miejscowych cen. Zwłaszcza Capone wygląda imponująco. Zafundował sobie buty z krokodylej skóry, pasek z krokodyla i portfel z krokodyla. Nosi teraz na małym palcu wielki złoty sygnet, no i oczywiście, żeby dopełnić obrazu, złoty łańcuch na przegubie. W sygnet kazał wstawić mały jednokaratowy diament, który ofiarowałem mu z mojej osobistej kolekcji kamieni. Siedząc przy mnie chucha na swój diament i pociera go o klapę co dwie minuty, a w przerwach ćwiczy kołysanie łańcuchem. Od czasu do czasu śmieje się lub opowiada jakiś kawał.

Wszyscy są rozluźnieni, zrelaksowani i cały dom ma ogromne zapotrzebowanie na bumbum. Wszyscy, tylko nie ja. Kilka kobiet, które załatwiam dziennie, wystarcza mi. Potrzebuję romansu.

Posłałem więc Ahmeda i Karę po Radijah, dla niej właśnie kazałem rozpocząć te wykopki.

Dla Radijah chcę, żeby było tu zielono, chcę, żeby był trawnik. Trzeba przerzucić tę

wyschniętą czerwoną ziemię i rozkruszyć ją. Trzydzieści metrów wzdłuż, prawie tyle samo wszerz, głębokość jeden metr, pięćdziesięciu facetów pracuje bezustannie.

Rozsiewają nawóz, dużo i bardzo dobrego, sądząc po cenie, jaką za niego płacę. Wreszcie pochyleni sadzą trawę żdźbło po żdźble. Kupiłem ją u faceta, zajmującego się „rozwojem, samopomocą i rolnictwem”, czy coś takiego. Chciałem trawy, która będzie dobrze wyglądała po pięciu dniach. Zachwycony okazją znalazł mi taką, bardzo drogą, doskonałej jakości.

Zresztą na faktury ledwo zerkam jednym okiem. To robota Chotarda, ja tylko płacę. Jedyna rzecz, jakiej chcę, to trawnik, szybko, spokojnie, w angielskim stylu, zamiast mojego kawałka pustyni otoczonego murem.

Jacky już wstał i przechadza się po ogrodzie ze swoim zwierakiem. Musiał w końcu przyznać, że jest to coś bardzo brzydkiego, łysego, żółtawego, chudego, że koszmarnie śmierdzi i że rzeczywiście jest to szakał. Zatrzymał go, bo zwierzę podobne jest do Chotarda.

Samuel Grapowitz opowiedział mi o swoich rozczarowaniach po paru dniach pilnych badań:

- Nie, Charlie, rozumiesz, to absolutnie nie są prawdziwe kobiety.

Kutas bez łechtaczki po drugiej stronie to coś sprzecznego z naturą. Patrzę na krajobraz, na trawnik, który jest już gęsty i który każe podlewać każdego wieczoru. Karawana mułów przynosi mi wodę z rzeki, która przepływa nie opodal. Patrzę na Niger, który błyszczy pośród spalonej ziemi, i na wspaniałą plamę świeżości, jaką tworzy mój ogród.

I pomyśleć, że wyciskam z siebie siódme poty, żeby ukształtować boski zakątek, a ten mi go psuje wprowadzając tam swego ohydneho szakała.

- Rozumiesz, Charlie, nie można kobiecie wyciąć łechtaczki. Nigdzie. To dzikusy.

Zaplanowałem dla niego podróż pocieszenia, przez Rio, Bangkok, i dałem mu pieniądze potrzebne do realizacji jego marzenia. Pojedzie pokazać małego najpiękniejszym kobietom świata.

Decyzja Samuela jest sygnałem dla innych. Indianinowi pilno wracać do żony. Jos i Capone tęsknią za ojczyzną.

Któregoś ranka taksówka czeka na nich wszystkich przed bramą, żeby zawieźć ich do Bamako, każdego do swojego samolotu. Capone jest wzruszony i stara się przyśpieszyć odjazd, żeby to ukryć.

- Ale przyjedziesz po nas, Charlie? Nie zapomnisz? Samuel Grapowitz kładzie rękę na sercu.

- Dziękuję, Charlie, dziękuję.
- Cała przyjemność po mojej stronie.

Nasi przyjaciele czarnuchy dają nam parę okazji do pośmiania się. Któregoś dnia podczas spaceru oglądamy scenę ze starego gagu z filmów rysunkowych. Wysoko na drzewie facet piłuje gałąź, na której siedzi, z niewłaściwej strony.

- Zakładam się o sto dolarów, że spadnie.

Ani Jacky, ani Chotard nie zgadzają się ze mną. Chotard sądzi, że facet jednak w końcu się zorientuje.

- Sto dolarów.
- Zakład stoi.

Odczekaliśmy aż do końca. Głośny trzask i gałąź razem z facetem spada prosto do naszych stóp. Murzyn wstał, potarł sobie czoło, uśmiechnął się do nas, po czym podniósł narzędzie i wlażł z powrotem na drzewo.

Ci ludzie zawsze będę mnie zadziwiać.

Wieczorami, kiedy wyświetlają filmy karate, seanse w miejscowym kinie są szczególnie zabawne. Umeblowanie w środku ograniczone jest do minimum, a operator nigdy nie słyszał o kolejności taśm.

Atrakcja polega na walce, jaką toczą między sobą rozjuszeni widzowie, naśladujący karateków, w celu pozbierania monet, które rozrzucam po zakończeniu projekcji.

Nie ma oczywiście mowy, by którykolwiek łagodził ciosy, zadawane kantem dłoni. Walą się wzajemnie wydając dzikie okrzyki i bitwa jest krwawa. Mamy z Jackym ulubione miejsce, mały murek na uboczu, skąd możemy oglądać i robić zakłady. Ci ludzie naprawdę są inni.

Jacky czuje się lepiej i jedziemy razem do Bamako, żeby załatwić sprawę tej ciężarówki. Następnego dnia po naszym przyjeździe w hotelowej recepcji czeka na nas wezwanie. Komisarz policji, kobieta, chce nas widzieć w swoim biurze. Nie znam policji w Bamako. Postanawiam pójść. Urzędnicy administracji, zwłaszcza policjanci, łatwo się obrażają i zasłaniają przepisami, wobec których człowiek jest bezsilny.

Przez półtorej godziny czekamy w małym hallu głównego komisariatu. Po centralnym podwórku łążą policjanci, wśród intensywnej aktywności, jaka tu panuje. We wszystkich kątach siedzą cywile. Jakieś kobiety sprzedają szaszłyki i napoje. Zniecierpliwiony mówię wartownikowi, żeby zawiadomił komisarza o naszej wizycie.

- Jestem przewoźnikiem i mam kłopoty z ciężarówką.

Muszę pojechać do Segou. Wrócę za dwa dni.

Kilka godzin później, w hotelu, naszą sjęstę przerywa gwałtowne walenie do drzwi. To policja, pięciu gliniarzy, z, pistoletami w dłoniach. Ktoś w rodzaju sierżanta kieruje całą operacją.

- Przychodzę was aresztować.

- Dlaczego?

- Próbowaliście ujść sprawiedliwości. Mam rozkaz was aresztować. Nie chce negocjować. Ustępuję.

- Chodź, Jacky, zobaczmy, czego chce pani komisarz.

Na dole czeka na nas stary landrower. Szybko odjeżdżamy, po czym wóz psuje się po paruset metrach. Resztę drogi przechodzimy pieszo, w asyście gliniarzy, obrzucani wyzwiskami dzieciaków i zaciekawionymi spojrzeniami przechodniów. W komisariacie kierujemy się w stronę biura, gdzie czekaliśmy rano. Sierżant wrzeszczy coś i trzech gliniarzy zastępuje nam drogę. Idziemy do innego budynku.

Kiedy wchodzimy do pokoju, rozumiem, że cała sprawa śmierdzi trochę bardziej, niż myślałem. Małeńkie biuro zavalone jest torbami i ubraniami w nieładzie. Jacyś faceci siedzą przy stole, przed nimi leży księga.

To areszt.

Odwracam się do Jacky'ego i ostrzegam po hiszpańsku:

- Uwaga. Bądź w pogotowiu.

Chcą nas zamknąć. Jest ich pięciu, uzbrojonych, za naszymi plecami, plus ci od księgi. Nie mamy żadnych szans.

- Proszę dać swoje rzeczy osobiste.

- Dlaczego? Chcę się widzieć z komisarzem.

Krzyczy, żebyśmy mu nie komplikowali roboty, sierżant robi krok do przodu. Nie chcą o niczym słyszeć, uczepieni jedynych rozkazów, jakie otrzymali. Wyciągam z butów pieniądze. Jacky robi to samo. Kładziemy na stole dwieście tysięcy franków, nasz mały zapas na zabawę. Stos banknotów wzbudza pożądanie. Sierżant proponuje mi, żeby po prostu nie wpisywać pieniędzy do rejestru.

- Włożymy do koperty, napiszesz na niej swoje nazwisko i dobrze.

Pomimo braku zaufania do ich oficjalnych dokumentów dyktuję skrybie, co ma napisać w księdze. Oprócz pieniędzy jest moja złota sprzączka od paska, nasze łańcuszki i mały złoty podkład, który noszę jako medalion. Zdejmowanie tego wszystkiego, przed tymi

małpami to prawdziwa tortura.

Wypychają nas z pokoju i pod dobrą eskortą prowadzą do końca podwórza komisariatu. Jesteśmy boso, bez pasków, całkowicie bezbronni. Budynek to długi pawilon z blaszanym dachem. Jedyne otworem jest okienko w drzwiach. Śmierdzi.

Poczekaj. Chcę się zobaczyć z komisarzem. Zaprowadź mnie do komisarza.

- Już wyszła.

- Kiedy wróci?

- Jutro rano. Przyjdzie do ciebie.

Sierżant odsuwa zasuwę. Wypychają nas do środka, smród zapiera nam dech w piersiach, to zwierzęcy odór, jakby gęsty, w dodatku panuje tu niewiarygodna wilgoć, która natychmiast sprawia, że złani jesteśmy potem. Znaleźliśmy się w piecu, gorącym i śmierdzącym.

Ciemności są całkowite, nie widać absolutnie nic, ale są tu ludzie, i to dużo. Zaledwie weszliśmy i natykamy się na tłum, w zwartym szeregu, tłum stojących ludzi.

Moje oczy przyzwyczajają się do ciemności. Wszędzie przede mną głowy Murzynów, jedno przy drugim, błyszczące oczy, jakieś odblaski, więcej nie widać. I na całym ciele czuć dotknięcia.

Moim pierwszym odruchem jest rozpychać się i walić, żeby się odsunęli. Spośród tej gęstwy głów odzywa się nagle jakiś głos i wita nas. Przestaję boksować dookoła. Zdaje się, że to nic nie pomoże. Jest nas tu zbyt wielu, żeby zrobić miejsce, a nikt nam źle nie życzy.

Inny głos, równie spokojny, wyjaśnia nam, że trzeba oddychać przez okienko w drzwiach jak długo się przy nim jest.

Potem nie twoja kolej. Czekać.

Wdycham długie hausty powietrza. Po paru minutach pchają z lewej i musimy się przesunąć.

Kiedy tylko jest się dalej od okienka, zaczynają się trudności z oddychaniem. Powietrze jest zepsute, parzące, przepełnione smrodami nie do zniesienia. Jestem przemoczony, czuję, jak pot kapie mi na stopy. Jacky, który jest niższy, znika między Murzynami i jest w dużo gorszym stanie. Włosy lepią mu się do głowy, a jego twarz ocieka potem.

Zaczynam widzieć trochę lepiej. W tej komórcie z blaszanym dachem stoją młodzi, starzy, różni. Ściągam koszulę, wyżymam ją i cieknie strużka wody. A jesteśmy tu dopiero niecałą godzinę.

Koszmar na historię!

Powoli poruszamy się. Co dwie lub trzy minuty tłumek otrząsa się i każdy przesuwają się o parę kroków. Pora, by następny pooddychał przez okienko.

Co za przyjemność pociągnąć haust świeżego powietrza! Ale do mojej kolejki daleko. Nadal cały spływam potem. Są zapewne dni, bardziej upalne niż inne, kiedy padają tu trupy.

Żeby oszukać rosnące przerażenie, nawiązuję rozmowę z sąsiadami. Niedawno odpychałem ich bezmyślnie, ale nie da się tu przetrwać w samotności. Wszyscy są chętni do konwersacji. Każdy opowiada, za co się tu znalazł. Pierwszy, z którym rozmawiam, miał dług w wysokości tysiąca franków CFA, czyli czterech dolarów. Posiedzi tu dwadzieścia dni. Inny ma spędzić cały miesiąc w tym piekle. Ten znowu jest tu już od tygodnia. Nie mogę w to uwierzyć.

Jak oni tu wytrzymują, jak w ogóle pozostają przy życiu? Jeden z więźniów opowiada o sobie. Im dłużej słucham, tym niebezpieczniejsza wydaje mi się pułapka, w którą wpadliśmy. Faceci są tu z zupełnie niewiarygodnych powodów. Jeden źle naprawił samochód gliniarza, inny wystawił dla władz zbyt wygórowaną fakturę, trzeci uderzył kuzyna gliny. Niektórzy nie wiedzą, kiedy wyjdą.

To zły sen. To prawdziwy średniowieczny loch. Nie ma przepisów, króluje głupota. Koniecznie trzeba, żeby ta komisarzowa przyszła i wyciągnęła nas stąd.

W miarę wysłuchiwania informacji i historyjek dowiaduję się paru praktycznych szczegółów, równie ciekawych, co wszystko inne: jedzenie przynoszą tu rodziny. Jeśli nikt nie przyjdzie, nie ma co jeść, to proste!

Wypuszczają ich raz dziennie, rano, na dziesięć minut, wtedy można odlać się i wysrać. Jeśli któryś nie wytrzyma i zrobi w środku, wzmaga to smród. Wszyscy ludzie wokół śmierdzą. Podobnie jak Jacky i ja, obficie się pocą. Zapach potu jest kwaśny i trudny do zniesienia.

Wreszcie, po iluś godzinach, zbliża się moja kolej, by pooddychać przy okienku. Jestem od niego zaledwie o metr, kiedy gliniarz na zewnątrz podaje facetowi w środku skręta z trawki. Pracuję łokciami, pociągając za sobą Jacky'ego, i podchodzę do niego. Nie robi trudności i daje nam się zaciągnąć. Te długie sztachy czystej trawki dobrze nam robią.

Piekło to stworzono z myślą o Afrykanach. Odkąd jestem na tym kurewskim kontynencie, wielokrotnie uderzała mnie ich moralna i fizyczna wytrzymałość. Są silni, niewiarygodnie odporni i obdarzeni zadziwiającą zdolnością znoszenia przeciwności losu, wolą nieograniczonego wytrwania, i to bez buntu. W ten właśnie sposób przez wieki

pozwolili się zamienić w niewolników. W tym mamrze oni mogą przeżyć, ale nie dwaj biedni biali, którzy nie lubią cierpieć. Nie wiem, czy pani komisarz przyjdzie, ale my musimy stąd wyjść.

Kiedy wszyscy padli bezładnie, żeby spać, usiadłem z Jackym na czymś w rodzaju wąskiej ławki pod ścianą. Obaj jesteśmy cali mokrzy i ubrania mamy przemoczone. Trawka otępiła nas trochę i dobrze nam to robi. Rozmawiamy przez chwilę, tylko tyle, ile trzeba, żeby zachować spokój. Opowiadamy sobie, jak to komisarzowa przyjdzie i zwolni nas z przeprosinami, ale żaden z nas w to nie wierzy.

- Jacky, nie wytrzymamy następnego dnia. Zdechniemy tu.

- Tak, wiem.

- Najważniejsze, to się stąd wydostać. Niech nas przynajmniej zamkną gdzie indziej. Potem to będzie tylko kwestia czasu, żeby wszystko załatwić. Tutaj tego czasu nie będziemy mieli.

Mam pomysł. To prosty plan, ale liczę na głupotę afrykańskich policjantów, może się uda.

- Ty zagrasz główną rolę, Jacky. Jutro, kiedy nas wypuszczą, musisz upaść. Będiesz udawał atak serca, omdlenie, cokolwiek, co cię przewróci na ziemię, i nie możesz się ruszać. Tamci to chamy. Przekonam ich, że jest tu nam za ciężko. Jeśli uda mi się ich zaniepokoić, umieszczą nas gdzie indziej.

Jacky zgadza się i pozostałe godziny spędzamy na omawianiu planu działania.

Jacky to solidny gość i wiem, że mogę mu ufać na sto procent. Doskonale zagra swoją rolę. Był taki moment w jego życiu, w szczególnych okolicznościach, kiedy musiał udawać wariata. Wsadzili go w kaftan bezpieczeństwa, a karaluchy z całej celi przychodziły się ogrzać między jego nogami i pośladkami. Wytrzymał. Jest twardy. W parę miesięcy stał się moim najlepszym kumplem. Zgadza się co do pewnych podstawowych spraw.

- Jeśli jutro się nie uda, rąbniemy ich i niech nam Allah dopomoże! Lepiej umrzeć w walce, niż zdychać tutaj.

Noc wydaje się nie mieć końca. Jesteśmy gotowi, podnieceni myślą o akcji, ale nie łagodzi to warunków. Tracimy litry wody, słabniemy, trwa to długo.

Wreszcie, o ósmej, drzwi celi otwierają się i powoli wszyscy wychodzą na codzienny dziesięciominutowy spacer.

Teraz wszystko się rozegra. Jacky przechodzi przez drzwi.

- Trzymam za ciebie, Jacky. Mały uśmiech.

- I ja za ciebie.

Idziemy.

Więźniowie trzymają się w grupie, o parę metrów od celi. Dwóch gliniarzy zostaje przy drzwiach, a trzech stoi przy grupie. Jeden ma broń. Jeśli pójdzie źle, na niego rzucę się najpierw.

Jacky przewraca się.

Jego upadek jest doskonały. Nagle miękną mu nogi i pada całym ciałem, twarzą do ziemi. Ja opieram się o beczkę, z miną, jakbym się dusił. Udawanie nie sprawia mi żadnych trudności. Myślę, że nie wyglądam zbyt ładnie. Pozostali więźniowie, widząc, że Jacky zemdłał, oddalają się, a kilku macha do strażników. Ci spod drzwi zauważyli, to pewne. Mój też, ten z bronią, nie mógł nie widzieć upadku mojego kumpla, który leży nieruchomo.

I nic się nie dzieje.

Żaden z tych skurwieli nie rusza nawet małym palcem. Upływają minuty. Opadam na moją beczkę. Na ziemi Jacky nawet nie drgnie. Trzymaj się, bracie, w końcu będą musieli coś zrobić. Nie ruszaj się.

Gliniarze przy drzwiach machają do więźniów. Koniec przerwy.

Nareszcie coś się dzieje. Powoli, biernie, więźniowie wracają do mamra, bez pośpiechu, ale i bez buntu. To smutny obrazek. Uzbrojony strażnik podchodzi do nas. Jesteśmy teraz sami na podwórzu. Drugi Murzyn podchodzi do Jacky'ego, okrąża go, i daje mu strasznego kopniaka szpicem buta pod żebra.

Ty kurewski czarnuchu! Skurwielu!

Tamten jeszcze raz obchodzi mojego kumpla dookoła. Ponowny kopniak.

Ponowny skurwielu.

Jacky nie ruszył się. Specjalista od kopniaków patrzy na mnie, spojrzenie kretyna.

- Co myślisz, kutasie, wydaje ci się, że go obudzisz?

Patrzy mi prosto w oczy jego cała afrykańska głupota. Prawie słysząc, jak myśli. Sporo czasu zajmuje mu sformułowanie pytania:

- Co mu jest?

Zwracam się do uzbrojonego, wygląda na nieco mniejszego idiotę.

- Słuchaj. My, biali, nie przyzwyczajeni do takiego więzienia. Inni podchodzą. Niebawem stoi wokół mnie pięciu. Dalej tłumaczę mojemu, który słucha mnie uważnie.

- Takie więzienie, niedobre. Rozumiesz? Zbyt ciężkie dla nas, białych. My umrzeć tam. Kiwa głową. To już jakiś początek. Ale inny, mały i wysuszony, zaczyna krzyczeć:

- Jak to niedobre? Dobre dla innych, więc dobre dla ciebie też. Pierdol się. Zwracam się znów do mojego:

- My, nie tak silni. Dużo mniej silni. Rozumiesz? Mniej silni, wiesz?

- Tak, mniej silni.

Posuwamy się. A tamten sabotuje mi robotę.

- Więzienie dobre dla wszystkich. Wszyscy tak samo, jest równość. Nie zwracam na niego uwagi. Nie spuszczam z oczu mojego.

- Ja czuć się niedobrze. On zemdłał. Rozumiesz? Chory.

- Tak, chory.

- Jeśli wrócimy tam, umrze. Ty będziesz odpowiedzialny. Przez twarz przebiega skurcz paniki. Krzykliwy zarzuca go zdaniami w dialekcie. Nalegam.

- Ty odpowiedzialny. Odpowiedzialny, niedobrze. Odpowiedzialny!

Daje znak podnieconemu, żeby wreszcie zamilkł. Drapie się w głowę, w brzuch, w jaja i postanawia:

- Tego trzeba tam zanieść. Jest chory.

Dwóch podnosi Jacky'ego i prowadzą nas do małego budynku oddalonego od reszty komisariatu. Wchodzimy do pokoju, rodzaju sali wypoczynkowej połączonej z biurami, i tam nas zostawiają.

- Jacky.

Otwiera oczy, rozgląda się po tym niezbyt atrakcyjnym, ale normalnym otoczeniu, i jednakowo reagujemy:

- Uf!

Wywalczyliśmy względną swobodę ruchów, ale nudzimy się okropnie przez następnych dziewięć dni. Dostaliśmy z powrotem nasze buty i trochę pieniędzy na życie.

Pokój i biura pomalowane są łuszczącą się zieloną farbą. W kącie żółtawa umywalka z kranem, w którym od dawna nie ma już wody. Żeby się napić albo umyć, trzeba wychodzić do kranu na podwórzu. Łóżka to zwykłe prycze z dziurawymi moskitierami. Nie ma nic innego do roboty jak przyglądać się widowisku, jakim jest sam komisariat. Mały staruszek oskarżony został o kradzież orzeszków. Dwóch gliniarzy każe mu połknąć orzeszki wraz z łupinką. Następnie jeden z nich siada okrakiem na starcu, który jest już na czworakach, i popędzając go uderzeniami w kark każe się zanieść do drzwi mamra w głębi podwórza, za które wpycha staruszkę kopniakiem.

Ci ludzie są inni. Kupujemy sobie jedzenie na podwórzu. W biurach obok naszego

pokoju pracują wyłącznie inspektorzy w cywilu. Są równie tępi i złośliwi jak pozostali, ale wobec nas zachowują się normalnie. Zaczynamy nawiązywać przyjaźnie, żeby ich przekupić i korzystać z ich drobnych usług.

Policjanci zabawiają się, jak mogą. Mają warcaby i w skupieniu rozgrywają długie partie. Zamiast kamieni używają kapsli od coca-coli. Nie umieją przegrywać i po każdej rozgrywce przegrywający wyciąga z celi więźnia, żeby go pobić dla wyładowania złości.

Zupełnie inni niż my.

Wreszcie zawiadamiają nas, że dziś rano zobaczymy się z komisarzem. Dla nas oznacza to koniec kłopotów. Będziemy mogli wyjaśnić całą sprawę. Gdyby były problemy, tym łatwiej będzie nam zawrócić w głowie temu komisarzowi, że jest samicą, a więc w naturalny sposób wrażliwa jest na męskie wdzięki.

Furia, która wpuszcza nas do swego biura, natychmiast odbiera nam wszelkie złudzenia. Jest to Murzynka w wieku około trzydziestu pięciu lat. Ciało ma niezłe. Trudno ocenić twarz, bo zniekształcona jest grymasami gniewu.

Jacky i ja patrzymy po sobie. Obaj odświeżyliśmy się i odpicowali. Z nią nie mamy żadnych szans, ma wyciętą łechtaczkę. Robię Jacky'emu znak, jakbym obcinał sobie palec wskazujący. Zrozumiał i potakuje.

- Co to za gest?

- To nic, proszę pani. Proszę mówić dalej.

Mówi dalej. Śledztwo zaczęło się od ciężarówki zaparkowanej w Bamako. Dalej dochodzi do Interpolu, wspominając po drodze o całym spisie najróżniejszych przestępstw. To długa litania kłamstw bez sensu, która potwierdza to, czego się obawiałem. Jesteśmy tu z powodu moich wrogów, którzy opłacili komisarza albo należą do jej rodziny. Grzecznie słuchamy do końca i wracamy do pokoju, żeby zacząć działać.

Obiecaliśmy dużo pieniędzy jednemu z inspektorów za przekazywanie listów. Znam w Bamako paru byłych ministrów oraz dawnego przedstawiciela kraju w ONZ. Jacky pisze do francuskiego konsulatu i do Chotarda.

Żaden z moich „przyjaciół” nie odpowiada i moje obawy potwierdzają się. Mają mnie tu na celowniku i Mali przestało być przyjaznym krajem, którym było dotąd. Jacky otrzymuje odpowiedź od konsula, który odwiedza nas w komisariacie.

To stary dyplomata, jeszcze z czasów Służby Kolonialnej, alkoholik, miły, ale mało skuteczny wariat. Zgadza się z nami co do wartości prawnej oskarżeń, wysuniętych przez komisarza. Wystarczy mu powiedzieć słowo i moglibyśmy wyjść, ale czekamy jeszcze trzy dni, zanim grubas decyduje się zastukać do właściwych drzwi, żeby pójść do niej i ją

przekonać. Wreszcie wychodzimy, w towarzystwie konsula.

Po powrocie do Segou podsumowujemy sytuację z Chotardem, którego ogarnęła panika. Zdaję sobie sprawę, że przeciągnąłem już zdrowo strunę. Nasze ostatnie nieszczęścia to ostrzeżenie. Nie możemy już zostać w Mali. Czas zakończyć tę przygodę, wyciągnąłem z niej ile się dało. Niebezpieczeństwo jest teraz zbyt duże. Jeśli po latach przygód jestem jeszcze przy życiu i na wolności, to dlatego, że zawsze wiedziałem, kiedy odejść.

Najprostsze rozwiązanie to wyjechać do Wagadugu i czekać tam na Chotarda. Ten ostatni zbierze forszę, która nam się należy w ramach spłat kredytu. Jacky nie zgadza się.

- Mam dosyć Afryki.

Nie trzeba dużo czasu, żeby mnie przekonać. Walczyłem, zrobiłem burdel jak zwykle, pomagałem na swój sposób, zakosztowałem wszystkich przyjemności. Ja też jestem już nasycony.

Jacky wyciągnął atlas. Z zamkniętymi oczyma dotyka palcem mapy świata.

- Ameryka Środkowa.

Zebraliśmy gotówkę. Chotardowi poleciliśmy czekać tu na resztę i dołączyć do nas później, po czym zmyliśmy się wprowadzać burdel gdzie indziej.

Nie będzie wyścigu. Żałuję tylko Radijah,

Jacky i ja przez wiele lat byliśmy razem.

Capone i Jos poszli własnym kursem.

Albana zbyt dużo pił na alkohol i w końcu od niego umarł.

Rasizm Indianina okazał się proroczy: po powrocie do domu zastał żonę z Afrykaninem.

Chotard uciekł z pieniędzmi. To szakał.

Opowiadano mi o hidalgu, zmarłym z przedawkowania heroiny, który jeździł po Azji dmuchając w starą trąbkę.